

VICTORIA HOLT

Pani na Mellyn

Rozdział 1

„Zubożała szlachcianka ma przed sobą dwie drogi” - oświadczyła mi ciotka Adelajda. „Pierwsza to wyjść za mąż, a druga - znaleźć pracę stosowną do swego urodzenia”.

Wsiadając do pociągu, mknącego przez porośnięte lasami wzgórza i rozległe zielone łąki, wybierałam tę drugą ewentualność, jak sądzę, po części dlatego, iż nigdy nie miałam okazji wypróbować pierwszej.

Zadawałam sobie pytanie, jak się przedstawiam w oczach współtowarzyszy podróży, oczywiście gdyby zechcieli zadać sobie trud przyjrzenia się mej osobie; ale wydawało się to mało prawdopodobne. Byłam dwudziestoczteroletnią kobietą średniego wzrostu, mającą za sobą pierwszą młodość, ubraną w brązową merynosową suknię z kołnierzykiem z kremowej koronki i lekko przymarszczonymi mankietami z tegoż samego ozdobnego materiału (kremowy kolor jest praktyczniejszy od białego - powiedziała ciotka Adelajda). W przedziale zrobiło się duszno, rozpięłam więc przy szyi czarną pelerynę. Na głowie miałam brązowy aksamitny czepek, związany pod podbródkiem również brązowymi aksamitnymi wstążkami. Tego rodzaju nakrycie głowy było bardzo korzystne dla niewiast o tak niekwestionowanej kobiecości jak moja siostra Phillida, ja natomiast zawsze miałam uczucie, że wyglądam w nim trochę dziwnie. Gęste, miedzianorude włosy, z przedziałkiem pośrodku głowy, spływały po bokach mojej nazbyt pociągłej twarzy. Z tyłu były zebrane w niezdarny węzeł, nie mieszczący się pod czepkiem. Największą moją ozdobę stanowiły duże oczy, które czasami, w zależności od oświetlenia, przybierały kolor bursztynu. Wyraz tych oczu był jednak zbyt śmiały - orzekła ciotka Adelajda; w jej ustach oznaczało to, że nie wabiły tą zalotnością, która jest właściwa kobiecie. Nos miałam za krótki, a usta za szerokie. W istocie - pomyślałam sobie - nic w tej twarzy do siebie nie pasuje. Zmuszona jestem wobec tego pogodzić się z losem i wyruszyć w drogę. Nie będzie to z pewnością ostatnia moja podróż. Będę jeździć z miejsca na miejsce i zmieniać posady. Tak już pozostanie do końca życia, ponieważ muszę zarobić na sobie, a nie ma widoków na tę pierwszą możliwość - zdobycie męża.

Minęliśmy zielone łąki Somerset i wjeżdżaliśmy w głąb rozległych wrzosowisk i porośniętych lasami pagórków Devon. Powiedziano mi, bym szczególną uwagę zwróciła na wybitne dzieło inżyniera architekta Brunela - na piękny most, który spinał rzekę Tamar w miejscowości Saltash. Minąwszy go, zostawiam za sobą Anglię i przekraczam granice księstwa Kornwalii.

Byłam śmiesznie podekscytowana myślą, że mam przejechać przez ten most. W owym czasie nie należałam do kobiet o wybujałej fantazji - być może później, gdy zamieszkałam już w Mount Mellyn, zmieniłam się, ale przebywanie w takim domu mogło pobudzić wyobraźnię nawet najbardziej przyziemnych ludzi - nie bardzo więc rozumiałam, skąd się u mnie bierze to niezwykle ożywienie.

To przecież zupełny absurd - przekonywałam siebie. Może się okazać, że Mount Mellyn to wspaniała rezydencja; Connan TreMellyn może być człowiekiem równie romantycznym jak jego imię, ale to ciebie nie będzie dotyczyć. Ty będziesz się poruszać w obrębie dolnych schodów lub może poddasza. Ciebie będzie obchodzić jedynie opieka nad małą Alvean.

Jakie dziwne imiona mają ci ludzie - pomyślałam, wyglądając przez okno. Wrzosowiska tonęły w słońcu, ale szare skaliste pagórki w oddali wyglądały dziwnie groźnie. Przypominały skamieniałe ludzkie postacie.

Państwo, do których jechałam, pochodzili z Kornwalii, a Kornwalijszczyki mają swój własny język. Im również moje imię: Martha Leigh, może się wydać dziwne. Martha. Zawsze wstrząsałam się na dźwięk tego imienia. Tylko ciotka Adelajda zwracała się do mnie w ten sposób; w moim rodzinnym domu, kiedy jeszcze żył mój ojciec, on i Phillida nigdy nie nazywali mnie Martha. Dla nich byłam Marty. Nie mogłam się oprzeć uczuciu, że Marty była znacznie sympatyczniejszą osobą, niż Martha kiedykolwiek mogła nią być. Zrobiło mi się smutno. Czułam się trochę przerażona, ponieważ zdawałam sobie sprawę, że rzeka Tamar na dłuższy czas całkowicie odetnie mnie od Marty. W nowej pracy, jak przypuszczałam, będą mnie nazywać panią Leigh, może panienką albo jeszcze mniej dostojnie - po prostu Leigh.

Jedna z licznych przyjaciółek ciotki Adelajdy słyszała o „kłopotcie, jaki miał Connan TreMellyn”. Pilnie szukał odpowiedniej osoby, która by mu pomogła w wychowywaniu dziecka. Musiała być

dostatecznie cierpliwa, by sprawować pieczę nad jego córką, na tyle wykształcona, by ją uczyć, i mieć na tyle dobre pochodzenie, by dziecko nie czuło się upokorzone, że musi słuchać nauczycielki nie należącej do jego sfery. Innymi słowy, taką osobą, której potrzebował Connan TreMellyn, była zubożała szlachcianka. Ciotka Adelajda doszła do wniosku, że odpowiadam wszystkim tym wymogom.

Kiedy umarł nasz ojciec, który był wiejskim wikarym, ciotka Adelajda przyjechała i zabrała nas do Londynu. Będzie tam sezon balów i zabaw - powiedziała do nas: do dwudziestoletniej Marthy i osiemnastoletniej Phillidy. Phillida pod koniec tego sezonu wyszła już za mąż, ale ja, po czterech latach mieszkania pod wspólnym dachem z ciotką Adelajdą, nadal, niestety, byłam panną. Tak więc nadszedł w końcu dzień, w którym mi oświadczyła, jakie to dwie drogi widzi przede mną.

Wyjrzałam przez okno. Wjeżdżaliśmy na stację w Plymouth. Moi współtowarzysze podróży wysiedli i przedział opustoszał. Odchyliłam się do tyłu na siedzeniu, obserwując ruch na peronie.

Kiedy kierownik pociągu gwizdkiem dał sygnał do odjazdu, drzwi się otworzyły i do przedziału wszedł mężczyzna. Uśmiechnął się do mnie przepaszająco, jakby tym uśmiechem chciał wyrazić nadzieję, że nie mam nic przeciwko temu, by dzielić z nim przedział. Ja jednakże skierowałam wzrok w inną stronę.

Kiedy wyjechaliśmy już z Plymouth i zbliżaliśmy się do mostu, mężczyzna zwrócił się do mnie z pytaniem:

- Podoba się pani nasz most? Odwróciłam głowę i spojrzałam na niego. Zobaczyłam człowieka około trzydziestki. Był dobrze ubrany, ale jego strój wskazywał na przynależność do klasy ziemiańskiej. Miał na sobie ciemnogrnatowy surdut, szare spodnie oraz melonik, który w Londynie nazywałyśmy rondlem, kształtem swym bowiem przypominał to właśnie naczynie. Położył go na siedzeniu obok siebie. Jego sposób bycia wydał mi się trochę rażący. Ironicznie zmrużone brązowe oczy mówiły wyraźnie, iż jest świadom wszystkich ostrzeżeń, jakich nie szczędzono mi przed podróżą, dotyczących zwłaszcza niestosowności wdawania się w rozmowę z nieznanymi mężczyznami.

- Owszem - odparłam. - To rzeczywiście wspaniały obiekt.

Roześmiał się. Przejechaliśmy przez most i znaleźliśmy się w Kornwalii.

* * *

Brazowe oczy przyglądały mi się badawczo. Pod wpływem tego spojrzenia poczułam się niezręcznie; uzmysłowiłam sobie swą dość bezbarwną powierzchowność. Pomyślałam: on tylko dlatego się mną interesuje, ponieważ nie ma tu innej kobiety, która by przyciągnęła jego uwagę. Przypomniałam sobie, co powiedziała kiedyś Phillida, że odstręczam od siebie ludzi okazujących mi zainteresowanie, bo jestem przekonana, iż robią to tylko dlatego, że nie mają nikogo atrakcyjniejszego pod ręką. „Postrzegaj siebie jako środek zastępczy - brzmiała maksyma Phillidy - a staniesz się nim na pewno”.

- Czy ma pani jeszcze daleko? - zapytał.

- Wydaje mi się, że już nie tak bardzo. Wysiadam w Liskeard.

- Ach, Liskeard! - Wyciągnął nogi i oderwał ode mnie wzrok, by przyjrzeć się czubkom swoich butów. - Jedzie pani z Londynu? - dopytywał się dalej.

- Tak - odrzekłam.

- Będzie pani tęsknić za wielkomijskim życiem.

- Mieszkałam kiedyś na wsi, a więc wiem, czego się mogę spodziewać.

- Zamieszka pani w Liskeard?

Nie bardzo mi były w smak te indagacje, ale znowu przypomniałam sobie przestrożę Phillidy: „Jesteś zbyt opryskliwa w stosunku do mężczyzn, Marty. Odstraszasz ich”.

Postanowiłam, że będę przynajmniej uprzejma, odpowiedziałam zatem:

- Nie, nie w Liskeard. Jadę do małej miejscowości na wybrzeżu, która nazywa się Mellyn.

- Ach tak! - Milczał przez chwilę, ponownie utkwivszy wzrok w czubkach swoich butów.

To, co następnie powiedział, zaskoczyło mnie:

- Przypuszczam, że młoda, rozsądna dama, taka jak pani, nie wierzy we wróżby i inne przepowiednie tego rodzaju?

- Ależ... - wyjąkałam. - Co za dziwne pytanie!

- Czy mogę obejrzeć pani dłoń?

Zawahałam się i spojrzałam na niego podejrzliwie. Czy wypada w takich okolicznościach podać rękę obcemu mężczyźnie? Ciotka Adelajda z pewnością by uznała, że taka propozycja kryje w sobie jakieś nieczne zamiary. W tym wypadku może się nawet okazać, że ma

rację - pomyślałam. Bądź co bądź byłam kobietą, i to jedyną, jaka się znalazła pod ręką.

Uśmiechnął się.

- Zapewniam panią, że jedynym moim pragnieniem jest zobaczyć, co los trzyma dla pani w zanadrzu.

- Ale ja nie wierzę w takie rzeczy.

- Niemniej niech mi pani pozwoli popatrzeć. - Pochylił się do przodu i szybkim ruchem ujął moją rękę. Trzymał ją w swojej dłoni lekko, prawie jej nie dotykając. Zastanawiał się nad nią długo, z głową przekrzywioną na bok.

- Widzę - stwierdził - że doszła pani do zwrotnego punktu w swoim życiu... Wkracza pani w obcy, nieznany świat, całkowicie różny od tego, który panią dotychczas otaczał. Będzie pani musiała zachować ostrożność... szczególną ostrożność.

Uśmiechnęłam się cynicznie.

- Widzi mnie pan w podróży. Jedzie pan ze mną w jednym przedziale. A co pan na to, jeśli powiem, że udaję się w odwiedziny do krewnych i możliwe, że w ogóle nie otrę się o ten pański nowy, dziwny świat?

- Stwierdzę, że nie grzeszy pani prawdomównością. - Figlarny uśmiech błędził na jego wargach.

Mimo woli poczułam do niego coś na kształt sympatii, chociaż wydał mi się trochę nieobliczalny, jednocześnie jednak był wesoły i jego niefrasobliwość do pewnego stopnia również mnie się udzielała.

- Nie - ciągnął dalej - jedzie pani, by rozpocząć nowe życie, podjąć nowe zajęcie. Nie ma żadnych wątpliwości co do tego. Przedtem mieszkała pani na odludnej prowincji i dopiero później przeniosła się pani do miasta.

- Mam wrażenie, że napomknęłam już o tym.

- Nie musiała pani napomykać. Ale to nie przeszłość nas interesuje w tej chwili, zgadza się pani? To chodzi o przyszłość.

- Jaka jest ta przyszłość?

- Jedzie pani do dziwnego domu, domu pełnego duchów. Będzie musiała się pani z rozwagą po nim poruszać, panno...

Zawiesił głos, czekając, aż uzupełnię pytanie, podając swoje nazwisko, ja jednak nie kwapiłam się, by zaspokoić jego ciekawość. Rozczarowany, ponownie podjął przerwany wątek:

- Jest pani zmuszona zarabiać na życie. Widzę dziecko i mężczyznę... Przymuszczalnie jest to ojciec dziecka. Duchy otaczają ich ze wszystkich stron. Dostrzegam tam jeszcze kogoś... ale ten ktoś prawdopodobnie nie żyje.

To głównie ta smutna grobowa nuta w jego głosie, a nie złowróżbne słowa, wyprowadziła mnie z równowagi. Wyrwałam rękę z jego dłoni.

- Co za bzdura! - oburzyłam się.

Puścił moją uwagę mimo uszu i przymknąwszy powieki, snuł dalej swoją wizję:

- Będzie pani musiała uważać na małą Alice, a pani obowiązki daleko wykrócą poza opiekuńcze zajęcia. Na pewno musi się pani strzec Alice.

Poczułam na plecach lekkie mrowienie, zaczynające się u podstawy kręgosłupa i pełzające w górę do szyi. Takie uczucie - wiedziałam - ludzie nazywają gęsią skórka.

Mała Alice! Ale jej nie było na imię Alice. Nazywała się Alvean. Przez chwilę się zaniepokoiłam, ponieważ obydwa te imiona brzmiały bardzo podobnie.

Poczułam, jak wzbiera we mnie irytacja, a nawet gniew. Czy rzeczywiście pasuję do swojej roli? Czyż to możliwe, że odcisnęło się już na mnie piętno ubogiej szlachcianki, którą życie zmusiło do wybrania jedynej istniejącej dla niej możliwości? Guwernantki!

Czy on się ze mnie naśmiewał? Spoczywał oparty o wyściełane siedzenie przedziału; oczy miał nadal zamknięte. Wyglądałam przez okno, jakby ani on, ani jego śmieszne przepowiednie nie obeszły mnie w najmniejszym stopniu.

Otworzył oczy i wyciągnął zegarek. Dokładnie i z powagą sprawdzał wskazówki na tarczy tak, jakby ta niezwykła rozmowa nigdy się między nami nie odbyła.

- Za cztery minuty - oświadczył wesoło - będziemy już w Liskeard. Czy pozwoli pani, że zajmę się jej bagażem?

Ściągnął walizki z półki. „Panna Martha Leigh” widniał napis na etykietkach. „Mount Mellyn, Mellyn, Kornwalia”.

Nie zauważyłam, by zaciekały go te etykietki. Doszłam do wniosku, że przestał się mną interesować.

Kiedy pociąg wjechał na stację, mężczyzna wysiadł z przedziału i ustawił mój bagaż na peronie. Następnie zdjął kapelusz, który włożył

na głowę, kiedy zabierał walizki, i skłoniwszy się przede mną głęboko, odszedł.

Wyrażałam mu właśnie półgłosem swoje podziękowanie, kiedy zauważyłam starszego mężczyznę, który szedł w moim kierunku i wołał:

- Panna Leigh! Panna Leigh! Czy pani jest panną Leigh? Chwilowo zapomniałam o swym towarzyszku podróży.

* * *

Naprzeciwko mnie stał wesoły niski człowieczek o brązowej pomarszczonej skórze i czerwonawobrazowych oczach. Ubrany był w surdut z prążkowanego materiału oraz spiczasty kapelusz przypominający kształtem głowę cukru. Zsunął go niedbale na tył głowy i jakby zapomniał, że ma go na sobie. Wyzierały spod niego włosy koloru imbiru; brwi i wąsy miały również ten sam odcień.

- A więc, panienko - odezwał się - odszukałem panienkę. Czy to panienki bagaże? Proszę mi je dać. Pani, ja i stary Cherry Pie niezadługo znajdziemy się w domu.

Zabrał walizki i ruszył przodem; ja trzymałam się z tyłu. Wkrótce go jednak wyprzedziłam, zostawiając o krok za sobą.

- Jak daleko mamy do domu? - spytałam.

- Stary Cherry Pie dowiezie nas tam wszystkich na czas - odparł, ładując mój bagaż na dwukołowy wózek. Ja tymczasem usadowiłam się obok niego.

Sprawiał wrażenie człowieka dość gadatliwego. Postanowiłam to wykorzystać, ponieważ odczuwałam ogromną ochotę, by zanim dotrzemy na miejsce, dowiedzieć się czegoś więcej o ludziach, wśród których przyjdzie mi żyć.

- Nazwa tego domu, Mount Mellyn, pochodzi przypuszczalnie od jego położenia na wzgórzu, czy tak? - zagaiłam rozmowę.

- Zbudowano go na szczycie skały, z której jest dobry widok na morze, a ogrody się ciągną w dół, aż do samego brzegu. Mount Mellyn i Mount Widden to jak para bliźniąt. Te dwa domy rzucają jakby wyzwanie morskiemu żywiołowi, prowokują morze, by podeszło bliżej i wzięło je w swoje posiadanie. Ale one stoją na twardej skale.

- A więc tam są dwa domy? - zdziwiłam się. - Mamy bliskich sąsiadów.

- Można to tak nazwać. Nansellocki, ci, którzy posiadają Mount Widden, zamieszkują go od dwustu lat. Są oddaleni od nas o ponad milę. Między naszymi posiadłościami rozciąga się jeszcze zatoka Mellyn. Obie rodziny zawsze utrzymywały ze sobą dobrosąsiedzkie stosunki, do chwili...

Umilkł, więc powtórzyłam zachęcająco:

- Do chwili...

- Dowie się pani bardzo szybko - odrzekł. Uważałam, iż jest to poniżej mojej godności wnikać zbyt natarczywie w takie sprawy, zmieniałam więc temat.

- Dużo mają służby? - zapytałam.

- Jestem ja i pani Tapperty oraz moje córki Daisy i Kitty. Zajmujemy pomieszczenia nad stajniami. W domu mieszka pani Polgrey i jej mąż Tom. Dochodzi jeszcze mała Gilly, której jednak nie można nazwać służącą. Ale jest tam i zalicza się do służby.

- Gilly - powtórzyłam. - Co za niezwykle imię!

- Gillyflower, czyli goździk. Uważam, że Jennifer Polgrey musiała mieć źle w głowie, dając jej takie imię. Nic dziwnego, że dziewczynka jest taka, jaka jest.

- Jennifer? Czy to ona jest panią Polgrey?

- Nie. Jennifer była córką pani Polgrey. Wielkie ciemne oczy i najcieńsza talia, jaką można sobie wyobrazić. Nie miała zwyczaju zadawać się z chłopakami, aż się okazało, że pewnego dnia poszła na siano - lub może na goździki - z pewnym mężczyzną. Zanim się spostrzeżliśmy, na świat przyszła mała Gilly. Co zaś do samej Jennifer - to pewnego ranka weszła w morze. Naszym zdaniem nie ma wątpliwości co do tego, kto był ojcem Gilly.

Nie odezwałam się, a on rozczarowany brakiem odzewu z mojej strony ciągnął dalej:

- Jennifer nie była pierwsza. Wiedzieliśmy też, że nie będzie ostatnia. Geoffrey Nansellock, gdziekolwiek się pojawił, zawsze zostawiał za sobą ślad w postaci kolejnego bękarta. - Roześmiał się i zerknął na mnie z ukosa. - Nie musi się pani tak jeżyć, panienko. On nic pani nie robi. Duchy nie są w stanie skrzywdzić młodej kobiety, a pan Geoffrey Nansellock jest teraz... wyłącznie już tylko duchem.

- A więc on także nie żyje. Czyżby... poszedł w morze za Jennifer?

Tapperty zachichotał, tak go rozśmieszyło moje pytanie.

- Nie, on nie z takich. Zginął w wypadku kolejowym. Musiała pani słyszeć o tej katastrofie. Stało się to wtedy, gdy pociąg wyjeżdżał z Plymouth. Wypadł z torów i stoczył się z nasypu. Było bardzo wiele ofiar. Pan Geoff jechał tym pociągiem, ze złym skutkiem dla siebie. I tak zakończył swoje życie.

- A więc go nie poznam, spodziewam się jednak, że zobaczę Gillyflower. Czy to już cała wasza służba?

- W ogrodzie, w stajniach i częściowo w domu pomagają dodatkowo zatrudnieni chłopcy i dziewczyny ze wsi. Ale nie jest już tak, jak było dawniej. Sytuacja bardzo się zmieniła od śmierci pani.

- Nie wątpię, iż pan TreMellyn jest bardzo przybity. Tapperty wzruszył ramionami.

- Kiedy pani TreMellyn umarła? - spytałam.

- Ponad rok temu. Tak, będzie już ponad rok.

- I dopiero teraz wasz pan zdecydował się zatrudnić guwernantkę do małej Alvean?

- Od śmierci pani zmieniły się już trzy guwernantki. Pani jest czwarta. Żadna nie zagrzała miejsca. Panna Bray i panna Garret żaliły się, że im się tutaj nudzi. Była też panna Jansen, naprawdę śliczna osóbką. Ale została odprawiona. Przywłaszczyła sobie cudzą własność. Wielka szkoda. Lubiliśmy ją wszyscy. Uważała, że to dla niej zaszczyt mieszkać w takim domu jak Mount Mellyn. Powtarzała, że staroświeckie siedziby to jej hobby. Ale się okazało, że oprócz tego miała jeszcze uboczne zainteresowania. Musiała więc odejść.

Skupiłam uwagę na wiejskim krajobrazie. Był już koniec sierpnia. Jechaliśmy wzdłuż nasypu; po obu jego stronach rozpościerały się jasne łąny zbóż, przetykane czerwonymi plamami polnych maków i kurzyśladu. Od czasu do czasu mijaliśmy samotną chatę z szarego kornwalijskiego kamienia. Te domki na odludziu sprawiały na mnie dość przygnębiające wrażenie.

Nastrój mi się poprawił, kiedy spośród pofałdowanych pagórków błysnęła szaroniebieska tafla morza. Krajobraz raptownie się zmienił. Kwiaty wzdłuż nasypu wydawały się gęściejsze, a w powietrzu unosił się zapach sosen. Fuksje obficie rosnące przy drodze uderzyły mnie rozmiarem swego kwiecica. Nigdy w naszym parafialnym ogródku nie udało się nam wyhodować równie wielkich i pięknych okazów tej rośliny.

Skręciliśmy z drogi na stromym wzgórzu i skierowaliśmy się w dół, ku morzu. Jechaliśmy teraz skalistą dróżką. Widok, który roztoczył się przed moimi oczami, był tak urzekający, że z wrażenia dech mi zatkało. Z poszarpanego morskiego brzegu wyrastała prosto stroma i wysoka skała. Rosły na niej trawy i kwiaty; wśród nich przeważały morskie goździki oraz fiołkowe i białe kwiaty waleriany, przetykające fioletowy kobierzec wrzosu - miękkiego i grubego jak wschodni dywan.

Wreszcie dotarliśmy na miejsce. Dom wznoszący się na skalistym płaskowyzu, podobnie jak inne domy w tej okolicy, zbudowany z granitu, przypominał zamek - wspaniały i dostojny. Trwał tutaj od kilkuset lat i równie dobrze mógłby tak stać przez następne stulecia.

- Cała ta ziemia należy do naszego dziedzica - poinformował mnie z dumą Tapperty. - A jak pani popatrzy na drugą stronę zatoki, dostrzeże pani Mount Widden.

Spojrzałam w kierunku wskazanym przez Tapperty'ego i ujrzałam dom zbudowany, tak jak Mount Mellyn, z szarego kamienia. Był on jednak znacznie mniejszy i powstał dużo później. Nie mogłam przyjrzeć mu się zbyt dokładnie, ponieważ właśnie podjeżdżaliśmy do Mount Mellyn; ten dom, rzecz jasna, interesował mnie o wiele bardziej.

Podjechaliśmy już na wyżynę. Zatrzymaliśmy się przed ogrodzeniem z misternie wykutą żelazną bramą.

- Hej, tam, otwierać! - wykrzyknął rozkazującym tonem Tapperty.

Przy wrotach znajdowała się mała stróżówka; w jej drzwiach siedziała starsza kobieta zajęta robotą na drutach.

- Gilly - odezwała się - idź, otwórz bramę, oszczędź moje stare, biedne nogi.

U stóp staruszki siedziała mała dziewczynka. Dziecko posłusznie wstało i podeszło do bramy. Proste, prawie białe włosy i wielkie niebieskie oczy nadawały dziewczynce niepospolity wygląd.

- Dziękuję ci, Gilly - rzekł do niej Tapperty, gdy tymczasem Cherry Pie, parskając radośnie, wjeżdżał przez bramę do środka. - To jest ta nowa pani, która będzie się opiekować panią Alvean.

Spojrzałam w puste niebieskie oczy, których wyraz trudny był do określenia. Stara kobieta podeszła do bramy, a Tapperty dokonał prezentacji:

- To jest pani Soady.

- Dzień dobry - powitała mnie pani Soady. - Spodziewam się, że dobrze pani będzie wśród nas.

- Dziękuję - odparłam, z trudem odrywając wzrok od dziecka, by przenieść go na kobietę. - Mam taką nadzieję.

- Ja też ją mam - dodała pani Soady. I potrząsnęła głową, jakby nie bardzo wierzyła, że ta nadzieja się ziści.

Odwróciłam głowę, by jeszcze raz przyjrzeć się dziewczynce, ale gdzieś znikła. Zastanowiło mnie, dokąd mogła pójść. Jedynym miejscem, gdzie mogła się skryć, były imponujących rozmiarów krzaki hortensji. Nigdy w życiu nie widziałam równie bujnych kwiatów i na dodatek tak intensywnie niebieskich. Przypominały mi błękit tutejszego morza.

- Dziewczynka się nie odezwała - zauważyłam, gdy wjechaliśmy w główną aleję.

- Nie. Ona niewiele mówi. Za to chętnie śpiewa. Włóczy się samopas. Ale mówić... to nie bardzo.

Aleja ciągnęła się jakieś osiemset metrów. Jej pobocza były wysadzone kwitnącymi krzewami hortensji, wśród których przewijały się kępki fuksji. Między pniami sosen połyskiwało morze. Następnie zobaczyłam dwór. Dwa pawie stąpały dumnie po obszernym trawniku, rozpościerając przed pawicą swe niezwykle piękne ogony, rozłożone na kształt wachlarza. Czwarty ptak siedział na kamiennym murku. Dwie wielkie palmy, wysokie i proste, zdobiły przeciwległe strony ganku.

Dom wydał mi się obszerniejszy niż wtedy, gdy ujrzałam go po raz pierwszy ze skalnej ścieżki. Był długi, trzypiętrowy i zbudowany w kształcie litery L. W szybach jego gotyckich okien odbijały się promienie słońca. Nagle ogarnęło mnie jakieś dziwne uczucie: odniosłam wrażenie, że jestem obserwowana.

Tapperty podjechał przed ganek zwirową aleją od strony frontu. Kiedy zatrzymał konia, drzwi się otworzyły i na progu stanęła kobieta. Jej siwe włosy przykrywał biały czepek. Kobieta była wysoka i miała haczykowaty nos. Wyraźnie władczy sposób bycia nie pozostawiał wątpliwości, iż jest to pani Polgrey.

- Ufam, iż miała pani dobrą podróż, panno Leigh - przywitała mnie uprzejmie.

- Bardzo dobrą, dziękuję - odparłam.

- Założę się, że była męcząca i marzy pani o wypoczynku. Proszę, niech pani wejdzie. Zapraszam panią do siebie na herbatę. Proszę zostawić bagaże. Każę je zanieść na górę.

Odetchnęłam z ulgą. Ta kobieta kojąco wpływała na moje nerwy. Rozwiała obawy podświadomie drzemiące we mnie od chwili spotkania w pociągu nieznanego mężczyzny. Joe Tapperty opowieściami o śmierci i samobójstwie jedynie wzmógł mój niepokój. Ale pani Polgrey - miałam przekonanie - to osoba, której obce były wszelkie niedorzeczności. Emanował z niej zdrowy rozsądek i realizm, co - przypuszczalnie w wyniku zmęczenia długą podróżą - bardzo mi w tej chwili odpowiadało.

Podziękowałam jej i odrzekłam, że z przyjemnością wypiję herbatę w jej towarzystwie. Po tym wstępie pani Polgrey poprowadziła mnie do domu.

Najpierw znalazłyśmy się w ogromnym westybulu, który niegdyś musiał odgrywać rolę sali bankietowej. Posadzka ułożona była z kamiennych płyt. Drewniany sufit znajdował się tak wysoko, że wydawał się sięgać aż do samego sklepienia budynku. Pięknie rzeźbione krokwie nadawały wnętrzu dekoracyjny akcent. W jednym końcu sali było podium, a za nim wielki otwarty kominek. Na podwyższeniu stał refektarzowy stół z cynową zastawą.

- Jakie to wspaniałe! - mimo woli wyrwało mi się z ust, ku wyraźnemu zadowoleniu pani Polgrey.

- Osobiście doglądam odkurzania i polerowania mebli - poinformowała mnie. - W dzisiejszych czasach trzeba mieć służbę stale na oku. Dziewuchy Tapperty'ego to dwie gaduły, proszę mi wierzyć. Muszę mieć oczy naokoło głowy, by je dopilnować. Pszczeli wosk z terpentyną - to najlepsza receptura pod słońcem. Nic jej nie dorówna. Sama przygotowuję tę mieszankę.

- Niewątpliwie może być pani z niej dumna - stwierdziłam grzecznie.

Przeszłam za nią przez cały westybul do wyjścia znajdującego się na drugim końcu. Pani Polgrey otworzyła drzwi. Wychodziły na klatkę schodową prowadzącą na wyższą kondygnację; wiodło do niej sześć schodków. Po lewej stronie również znajdowały się drzwi. Moja przewodniczka wskazała mi je ręką, po czym, po krótkiej chwili wahania, nacisnęła kłamkę.

- Kaplica - oświadczyła.

Zdażyłam dojrzeć kamienne płyty z niebieskiego łupku, ołtarz i kilka ławek. W powietrzu unosił się niemiły zapach stęchlizny.

Pani Polgrey szybko zamknęła drzwi.

- Nie uczęszczamy teraz do tej kaplicy - wyjaśniła. - Jeździmy do kościoła, do Mellyn. Znajduje się we wsi, po drugiej stronie zatoki... tuż za Mount Widden.

Weszliśmy po schodach na górę do pokoju, którego wygląd wskazywał na jadalnię. Była bardzo przestronna. Ściany zdobiły piękne gobeliny. Stał w niej także wypolerowany do połysku stół oraz kilka kredensów wypełnionych drogocennym szkłem i porcelaną. Podłogę przykrywał niebieski dywan. Ogromne okna wychodziły na otoczony murem dziedziniec.

- Pani pokój znajduje się w innej części domu - poinformowała mnie pani Polgrey - ale uważałam, że powinna pani poznać również pomieszczenia od frontu. Jak się to mówi, dobrze jest mieć rozeznanie w sytuacji.

Podziękowałam jej, domyślając się, że w ten zawoalowany sposób pani Polgrey dawała mi do zrozumienia, że jako guwernantka nie powinnam liczyć na towarzyskie kontakty z państwem.

Z jadalni wyszliśmy na następną klatkę schodową i po przebyciu kolejnych kilku stopni znalazłyśmy się w dość przytulnym saloniku. Ściany były wybite piękną dekoracyjną tkaniną, z którą doskonale współgrało misterne obicie krzesel. Większość mebli, jak zauważyłam, była bardzo stara, ale każdy lśnił od woskowo - terpentynowej politur i czułej troski pani Polgrey.

- Pokój ten nazywamy ponczowym salonikiem - oznajmiła moja przewodniczka. - Zawsze się tak nazywał, ponieważ tu zbierano się na tradycyjną szklanekę ponczu. I ten zwyczaj trwa do dziś.

Na końcu saloniku znajdowały się jeszcze jedne schody. Oddzielone były nie drzwiami, lecz jedynie ciężką brokatową kotarą, którą pani Polgrey odsunęła na bok. Po tych schodach weszliśmy na galerię, której ściany zawieszono były rzędami portretów. Obrzuciłam każde płótno szybkim spojrzeniem, zastanawiając się, czy wśród nich jest również konterfekt Connana TreMellyna. Nie zauważyłam jednak żadnej nowocześnie ubranej postaci, domyśliłam się więc, iż jego portret nie figuruje jeszcze między wizerunkami przodków.

Kilka wyjść prowadziło z galerii, ale my minęłyśmy ją szybko, kierując się w stronę drzwi umieszczonych na dalekim końcu.

Byłyśmy teraz w zupełnie innym skrzydle domu; domyśliłam się, że przeszłyśmy do pomieszczeń dla służby, ponieważ przestrzeń nagle się zmniejszyła.

- W tej części domu mieści się pani pokój - oświadczyła pani Polgrey. - Na końcu korytarza znajduje się klatka schodowa prowadząca do dziecinnych pokoi. Pani sypialnia jest tam, na górze. Ale najpierw zapraszam panią do mojego saloniku na herbatę. Poleciałam Daisy, by się nią zajęła, gdy usłyszałam, że Joe Tapperty zajeżdża przed ganek. Nie powinnyśmy zatem długo na nią czekać.

- Obawiam się, że minie dużo czasu, nim dobrze poznam rozkład domu - stwierdziłam.

- Szybko się pani zorientuje. Ale wychodzić pani będzie inną drogą niż ta, którą przyszłyśmy. Będzie pani korzystała z drugiego wyjścia. Kiedy się już pani rozpakuje i odpocznie, wskażę je pani.

- To bardzo uprzejmie z pani strony.

- Zależy mi na tym, by pani się dobrze u nas czuła. Powtarzam stale, że pani Alvean powinna być wychowywana w posłuchu. A czy ja jestem w stanie nauczyć ją karności, mając tak wiele obowiązków? Ładnie by wyglądał ten dom, gdybym jeszcze zajmowała się wychowywaniem pani Alvean. Ona potrzebuje jedynie rozsądnej guwernantki, a o taką wcale nie jest łatwo. Jeśli pani, panno Leigh, pokaże, że dobrze sobie pani radzi z tym dzieckiem, może pani liczyć na naszą wdzięczność.

- O ile wiem, miałam kilka poprzedniczek. - Pani Polgrey zmieszana się nieco, pośpieszyłam zatem z wyjaśnieniem: - Były inne guwernantki przede mną.

- To prawda. Żadna z nich jednak się nie nadawała. Niewątpliwie najlepsza była panna Jansen, ale się okazało, że miała pewien brzydki nałóg. Osłupiałam dosłownie z wrażenia, kiedy to do mnie doszło. Dałam się jej całkowicie zwieść. - W głosie pani Polgrey przebijało zdziwienie, że znalazł się ktoś, kto potrafił wyprowadzić w pole taką doświadczoną osobę jak ona. - No cóż, okazuje się, jak to mówią, że wygląd bywa zwodniczy. Panna Celestine była naprawdę zgnębiona, kiedy to wyszło na jaw.

- Panna Celestine?

- Młoda pani z Widden. Panna Celestine Nansellock. Ona do nas często zagląda. Młoda, spokojna pani, zakochana w naszym domu. Wystarczy, że przestawię jakiś mebel, a ona już o tym wie. Nic nie

ujdzie jej uwagi. Dlatego też ona tak się dobrze rozumiała z panną Jansen. Ich wspólną pasją były stare domostwa, rozumie pani. To była taka szkoda, taki wstrząs dla nas wszystkich... Pozna ją pani któregoś dnia. Jak mówię, prawie nie ma dnia, by nas nie odwiedziła. Niektórzy z nas uważają... Och, mój Boże, ja tu gadu - gadu, a pani z pewnością marzy o filiżance herbaty!

Otworzyła drzwi do pokoju, a ja odniosłam wrażenie, jakbym nagle przeniosła się w inny świat. Zniknęły antyki i nostalgiczna atmosfera minionych lat. Pokój był z dzisiejszej epoki i utwierdzał mnie w mej dotychczasowej opinii o pani Polgrey. Na krzesłach leżały pokrowce. W rogu pokoju stała etażerka zastawiona różnymi bibelotami, wśród których znajdowały się takie cacka, jak szklany pantofelek, złota świnka oraz kubek z napisem „Pamiętka z Weston”. Pokój był tak zatłoczony meblami, że trudno się w nim było swobodnie poruszać. Nawet na gzymsie kominka drezdeńska pasterka wydawała się walczyć o miejsce z marmurowymi aniołkami. Sennie tykał połączony zegar z brązu. Wszędzie stały krzesła i różne małe stoliczki. Urządzenie pokoju było odbiciem osobowości pani Polgrey, kobiety przywiązującej dużą wagę do konwenansów i przejawiającej wielki respekt dla tego, co słuszne - w jej mniemaniu, naturalnie.

Jednocześnie jednak panowała tu atmosfera sympatycznej normalności, która obejmowała również osobę właścicielki pomieszczenia.

Pani Polgrey spojrzała na główny stół i wykrzyknęła z irytacją. Podeszła do dzwonka i pociągnęła za sznurek. Wkrótce ciemnowłosa dziewczyna o szelmowskim spojrzeniu wniosła do pokoju tacę, na której znajdowały się: srebrny czajniczek do herbaty, spirytusowa maszynka, filiżanki, talerzyki i spodeczki oraz dzbanuszek z mlekiem i cukiernica.

- Rychło w czas! - skarciła ją pani Polgrey. - Postaw tę tacę tutaj, Daisy.

Daisy spojrzała na mnie i lekko mrugnęła okiem. Nie chciałam obrazić pani Polgrey, udałam więc, że nie zauważam jej spojrzenia.

Pani Polgrey ciągnęła dalej:

- To jest Daisy, panno Leigh. Może się pani do niej zwracać, kiedy będzie pani czegoś potrzebowała.

- Dziękuję, pani Polgrey, dziękuję ci, Daisy. Obydwie miały nieco zaskoczone miny. Lekko zażenowana Daisy dygnęła, po czym wyszła z pokoju.

- W dzisiejszych czasach... - wymruczała pod nosem pani Polgrey, zapalając spirytusową maszynkę.

Przyglądałam się, jak otwiera kredens, wyjmując puszkę z herbatą i stawia ją na tacy.

- Kolację - ciągnęła - podajemy o ósmej. Pani będzie otrzymywała posiłki do pokoju. Ale pomyślałam sobie, że przecież musi się pani najpierw pokrzepić po podróży. Kiedy skończymy herbatę, wskażę pani jej pokój i zaprezentuję panią panience Alvean.

- Co ona zazwyczaj porabia o tej porze? Pani Polgrey zmarszczyła brwi.

- Włóczy się gdzieś samopas. Ma zwyczaj wychodzić z domu bez opieki. Pan tego nie lubi. Dlatego też tak mu zależy na guwernantce, rozumie pani.

Zaczynałam rozumieć. Miałam już pewność, że Alvean jest trudnym dzieckiem.

Pani Polgrey odmierzyła herbatę do czajniczka, jakby to był złoty pył, i zalała ją wrzątkiem.

- Bardzo ważne jest, czy ona panią polubi, czy nie - mówiła dalej pani Polgrey. - Ona ma dziwny charakter. Są ludzie, których darzy sympatią, i osoby, których nie znosi. Ogromnie lubiła pannę Jansen. - Pani Polgrey potrząsnęła ze smutkiem głową. - Szkoda, że miała taką brzydką przywarę.

Zamieszała herbatę w czajniczku, przykryła go watowaną kołderką i zapytała:

- Śmietanki, cukru?

- Chętnie - odrzekłam.

- Zawsze twierdzę - dodała, jakby w przekonaniu, że przyda mi się odrobina pociechy - że nie ma to jak filiżanka dobrej herbaty.

* * *

Piłyśmy herbatę i jadłyśmy herbatniki, które pani Polgrey wyjęła z blaszanej puszki stojącej w kredensie. Z rozmowy z nią wywnioskowałam, że Connan TreMellyn wyjechał na jakiś czas.

- On ma dobra dalej na zachód - poinformowała mnie pani Polgrey. - W okolicach Penzance. - Jej dialekt stawał się bardziej zauważalny w momentach, gdy porzucała swoją zwykłą sztywność,

tak jak w tej chwili. - Jeździ tam od czasu do czasu, by doglądać majątku. Odziedziczył tę posiadłość po żonie. Pochodziła z Pendletonów, którzy wywodzą się z tych stron.

- Kiedy wróci? - spytałam.

Robiła wrażenie nieco zgorzzonej moim pytaniem. Domyśliłam się, że popełniłam nietakt, ponieważ odparła cokolwiek wyniośle:

- Powróci w swoim czasie.

Zrozumiałam, że by zasłużyć u niej na dobrą opinię, muszę przestrzegać konwenansów. Przypuszczalnie guwernantce nie wypadało pytać o pana domu. Pani Polgrey mogła sobie pozwolić na mówienie o nim; była tutaj osobą uprzywilejowaną. Stwierdziłam, że muszę się szybko przyzwyczaić do swej nowej życiowej pozycji.

Po chwili zaprowadziła mnie do mego pokoju. Było to spore pomieszczenie z wielkimi oknami, z których roztaczał się widok na trawnik przed domem, palmowe drzewa oraz podjazd. W zagłębieniach okiennych stały małe kanapki. Łóżko było z baldachimem i harmonizowało ze stylem pozostałych mebli. Na tle ogromnego pokoju to wielkie łoże wydawało się jednak znacznie mniejsze. Podłogę zaścielały dywaniki. Deski posadzki były tak wyfroterowane, że stąpienie po chodniczkach groziło niebezpiecznym poślizgnięciem. Pomyślałam, że nie mam powodu, by błogosławić panią Polgrey za jej zamiłowanie do polerowania wszystkiego, co znajduje się w zasięgu wzroku, na wysoki połysk. W pokoju stała także duża komoda oraz mniejsza komódka z szufladami. Zauważyłam również, że były w nim jeszcze jedne drzwi, oprócz wejściowych.

Pani Polgrey pochwyciła moje spojrzenie.

- To sala lekcyjna - wyjaśniła - za nią jest sypialnia pani Alvean.

- Rozumiem. Ten pokój nas przedziela. Pani Polgrey potwierdziła skinieniem głowy. Rozglądając się wokoło, dostrzegłam w jednym rogu parawan, a gdy podeszłam bliżej, stwierdziłam, że kryje się za nim płytka wanna.

- Ilekroć pani zechce ciepłej wody - powiedziała pani Polgrey - proszę zadzwonić, a Daisy lub Kitty w każdej chwili ją pani przyniosą.

- Dziękuję. - Spojrzałam na kominek i wyobraziłam sobie, jak w zimowe dni buzuje na nim wesoły ogień. - Widzę, że będzie mi tu bardzo wygodnie.

- To uroczy pokój. Jest pani pierwszą guwernantką, która w nim zamieszka. Inne guwernantki zajmowały pokój po drugiej stronie sypialni pani Alvean. Ale panna Celestine doszła do wniosku, że tak będzie lepiej. Muszę przyznać, że tu jest o wiele przyjemniej.

- Winnam zatem podziękować panie Celestine.

- Bardzo miła z niej pani. Ona bardzo troszczy się o pani Alvean. - Pani Polgrey znacząco potrząsnęła głową.

Zaintrygowało mnie, co chciała wyrazić tym gestem: może to, że zaledwie rok minął od śmierci żony pana domu, a on już nosi się z zamiarem ponownego małżeństwa. A czyż może być odpowiedniejsza kandydatka niż panna Celestine, która tak bardzo lubi pani Alvean? Może chodzi im tylko o to, by nie narażać się na plotki i odczekać odpowiedni okres ze względu na żałobę.

- Z pewnością pragnie pani umyć ręce i rozpakować się. Kolacja będzie za dwie godziny. A może woli pani najpierw obejrzeć salę lekcyjną?

- Dziękuję, pani Polgrey - odparłam - przede wszystkim chciałabym się umyć i rozpakować.

- A więc dobrze. A może pragnie pani odpocząć? Podróżowanie jest takie męczące, wiem o tym. Przyślę pani ciepłej wody przez Daisy. Jeżeli pani sobie życzy, posiłki możemy podawać również w sali lekcyjnej.

- Będę jeść z pani Alvean?

- Pani Alvean spożywa teraz posiłki w towarzystwie ojca, z wyjątkiem wieczornego mleka i biszkoptów. W rodzinie naszych państwa wszystkie dzieci po ukończeniu ośmiu lat zasiadały do stołu z dorosłymi. Pani Alvean obchodziła swe ósme urodziny w maju.

- Są jeszcze jakieś inne dzieci?

- Wielki Boże, nie! Miałam na myśli dzieci urodzone dawniej. W tej rodzinie panuje taki zwyczaj, rozumie pani.

- Rozumiem.

- Zostawiam panią teraz samą. Jeśli ma pani ochotę przejść się trochę przed kolacją, nic nie stoi na przeszkodzie. Proszę zadzwonić na Daisy lub Kitty i ta z nich, która będzie wolna, wskaże pani właściwe schody. One wychodzą na kuchenny ogród; stamtąd z

łatwością trafi już pani wszędzie. Tylko proszę nie zapomnieć: kolacja o ósmej.

- W sali lekcyjnej.
- Lub w pani pokoju, jeśli tak pani woli.
- Ale - dodałam - w pomieszczeniach guwernantki.

Nie bardzo wiedziała, jak zareagować na tę uwagę. Pani Polgrey, kiedy czegoś nie rozumiała, zazwyczaj puszczała to mimo uszu. W chwilę później zostałam sama w pokoju.

Gdy wyszła, odniosłam wrażenie, że zaczyna mnie ogarniać dziwna atmosfera tego domu. Prawie namacalnie czułam otaczającą mnie ciszę - tajemniczą ciszę staroświeckiego domostwa.

Podeszłam do okna i wyjrzałam przez szybę. Wydawało mi się, że już bardzo dużo czasu upłynęło od chwili, kiedy przyjechałam tutaj z Tappertym. Usłyszałam głos ptaka, poważny i donośny; to odzywała się makolągwa.

Spojrzałam na zegarek przypięty do bluzki; minęła szósta. Do kolacji zostało dwie godziny. Już miałam zamiar zadzwonić na Daisy lub Kitty i poprosić o ciepłą wodę, kiedy wzrok mój padł na drzwi prowadzące do sąsiedniego pokoju - do sali lekcyjnej.

Sala lekcyjna stanowiła bądź co bądź moją domenę i miałam prawo dokonać jej przeglądu. Otworzyłam drzwi. Pomieszczenie było większe od mojej sypialni, ale miało ten sam typ wykuszowych okien z kanapkami, na których leżały stosowne czerwone pluszowe poduszeczki. Na środku pokoju stał stół. Podeszłam do niego i zauważyłam, że blat jest odrapany i poplamiony atramentem. To przy tym stole - pomyślałam - mali TreMellynowie od pokoleń odrabiali lekcje. Próbowałam sobie wyobrazić Connana TreMellyna jako małego chłopca, pochylonego tutaj nad książkami. Moja fantazja zrobiła z niego pilnego ucznia, różniącego się zdecydowanie od swej chodzącej własnymi drogami, trudnej córki, którą miałam sobie podporządkować.

Na stole leżało kilka książek. Przejrzałam je. Zawierały umoralniające czytanki dla dzieci. Znajdował się tam również zeszyt, na którego okładce nabazgrano: „Alvean TreMellyn. Arytmetyka”. Otworzyłam go i zobaczyłam kilka zadań arytmetycznych, w większości błędnie rozwiązanych. Przewracając leniwie kartki, natknęłam się na rysunek dziewczynki; bez trudu rozpoznałam na nim małą Gilly, dziecko, które ujrzałam przy stróżówce obok bramy.

- Całkiem niezły - powiedziałam do siebie półgłosem. - A więc nasza Alvean ma talent do rysunków. To już jest coś.

Zamknęłam zeszyt. Ponownie doznałam dziwnego uczucia, które przeniknęło mnie, gdy przekroczyłam progi tego domu, że ktoś mnie obserwuje.

- Alvean! - zawołałam odruchowo. - Jesteś tu, Alvean? Alvean, gdzie się ukrywasz?

Odpowiedziała mi głucha cisza. Uzmysłowiłam sobie absurdalność sytuacji i zaczerwieniłam się ze wstydu.

Odwróciłam się raptownie i poszłam do swego pokoju. Pociągnęłam za sznur od dzwonka. Kiedy pojawiła się Daisy, poprosiłam o przyniesienie ciepłej wody.

Rozpakowanie bagaży i rozwieszenie rzeczy w szafach zabrało mi czas prawie do kolacji. Stajenny zegar nie wybił jeszcze do końca godziny ósmej, gdy w pokoju zjawiła się Kitty z tacą. Znajdowało się na niej pieczone udko kurczęcia z jarzynami oraz przykryty cynową pokrywą jajeczny krem.

Daisy zwróciła się do mnie z pytaniem:

- Będzie panią jadła kolację tutaj czy w sali lekcyjnej?

Postanowiłam nie zasiadać do posiłku w pokoju, w którym - wydawało mi się - jestem podglądana.

- Tutaj, Daisy - odparłam. Następnie, ponieważ Daisy sprawiała wrażenie osoby rozmownej, dodałam: - Gdzie jest panią Alvean? Dziwne, że jej jeszcze nie poznałam.

- To niedobre dziecko! - wykrzyknęła Daisy. - Czy pani wie, co by spotkało mnie i Kitty, gdybyśmy wycinały takie numery jak ona? Porządne garbowanie skóry, ot co! I to w miejscu, na którym trudno jest później siedzieć. Ona słyszała, że panią przyjeżdża, i dlatego się ulotniła. Pan wyjechał, a my zachodzimy w głowę, gdzie się ona podziewa. Dopiero kiedy z Mount Widden przysłano lokajczyka, dowiedzieliśmy się, że jest u nich. Poszła odwiedzić pannę Celestine i pana Petera, jak kto woli.

- Rozumiem. Coś w rodzaju protestu przeciwko nowej guwernantce.

Daisy podeszła i trąciła mnie łokciem.

- Panna Celestine rozpuszcza to dziecko. Jest w nią tak zapatrzona, że ktoś mógłby pomyśleć, iż to jest jej własna córka. Ale,

uwaga! wydaje mi się, że słyszę powóz. - Daisy w jednej sekundzie znalazła się przy oknie, przywołując mnie do siebie skinieniem.

Czułam, że nie powinnam stać przy oknie ze służącą i podglądać, co się dzieje na dziedzińcu, lecz pokusa była zbyt silna. Stałam przy Daisy i zobaczyłam je wysiadające z powozu... młodą kobietę, która, sądząc na oko, była w moim wieku lub może o rok czy też niewiele więcej starsza, i dziecko. Nie przyglądałam się damie; moja uwaga skupiła się wyłącznie na Alvean. To od Alvean zależało moje powodzenie, było więc rzeczą oczywistą, że w tej pierwszej chwili głównie na nią patrzyłam.

Powierzchność dziewczynki wydała mi się dość pospolita. Jak na osiem lat była względnie wysoka. Jasnobrazowe włosy miała splecione w warkocz. Musiał być bardzo długi, ponieważ oplatał całą jej głowę. Przez to sprawiała wrażenie przedwcześnie dojrzałej. Wyobraziłam sobie, że musi być wyjątkowo rozwinięta jak na swój wiek. Ubrana była w brązową sukienkę w kratkę, białe pończochy i czarne pantofelki wiązane w kostce. Wyglądała jak mała kobietka. Z nieokreślonego powodu zrobiło mi się w tym momencie ciężko na duszy.

Rzecz dziwna, dziewczynka zdawała sobie chyba sprawę z tego, że jest obserwowana, ponieważ spojrzała w kierunku okna. Odruchowo cofnęłam się do tyłu, ale wiedziałam, że mój ruch nie uszedł jej uwagi. Odczułam to jako swoją pierwszą zawodową porażkę, zanim jeszcze los nas ze sobą zetknął.

- Założę się, że ona coś knuje - półgłosem zauważyła stojąca przy mnie Daisy.

- Być może - odparłam, odchodząc od okna. - Czuje się trochę zatrwożona na myśl, że będzie miała nową guwernantkę.

Daisy wybuchnęła gromkim śmiechem.

- Kto? Ona! Bardzo przepraszam, panienko, ale nie mogę się powstrzymać od śmiechu, słysząc, co pani mówi.

Podeszłam do stołu, usiadłam i zaczęłam jeść kolację. Daisy już szykowałą się do wyjścia, gdy rozległo się pukanie do drzwi i weszła Kitty.

Zrobiła grymas w kierunku siostry, a do mnie uśmiechnęła się poufale.

- Pani Polgrey poleciła mi powiedzieć panience - oznajmiła - że prosi, by pani zaraz po kolacji zeszła do ponczowego saloniku. Czeka

tam panna Nansellock, która chce panią poznać. Panienska Alvean wróciła i już jest w domu. Chcą, by pani zeszła do nich możliwie jak najszybciej. Panienska Alvean jest na razie u siebie.

- Zejdę, gdy skończę jeść - odparłam.

- Wobec tego proszę dać znać, kiedy pani będzie gotowa, a ja lub Daisy pokażemy pani, jak się tam idzie.

- Dziękuję. - Usiadłam i nie śpiesząc się, dokończyłam posiłek.

* * *

Wstałam i podeszłam do lustra stojącego na toalecie. Policzki miałam silnie zaróżowione. Było mi z tym jak zwykle bardzo do twarzy, a moje oczy w tej chwili rzeczywiście przypominały dwa bursztyny. Upłynęło już piętnaście minut od wyjścia Daisy i Kitty i domyślałam się, że pani Polgrey i panna Nansellock z niecierpliwością oczekują mego pojawienia się na dole. Nie miałam jednak najmniejszego zamiaru dopuścić do tego, by stało się ze mnie jedno z takich biednych, małych popychadeł, w które wiele guwernantek pozwala się zamienić. Jeżeli Alvean jest takim dzieckiem, jakim podejrzewałam, że jest, to od samego początku musi sobie uzmysłwić, iż ja tu rządzę i należy się do mnie odnosić z odpowiednim szacunkiem. Pociągnęłam za sznurek od dzwonka. Na wezwanie stawiała się Daisy.

- Czekają już na panią w ponczowym saloniku - oznajmiła. - Panienska Alvean już dawno powinna być po kolacji.

- Powinna zatem wcześniej wrócić do domu - odrzekłam pogodnie.

Kiedy Daisy się śmiała, jej pulchne piersi, zdające się rozsadzać bawełniany stanik sukienki, trzęsły się i podskakiwały radośnie. Zdażyłam już zauważyć, że Daisy bardzo lubiła się śmiać. Wydawała mi się równie niefrasobliwa i wesoła jak jej siostra.

Zaprowadziła mnie do ponczowego saloniku, który pokazywała mi pani Polgrey, kiedy oprowadzała mnie po domu. Odsunęła na bok kotarę i wskazując na mnie teatralnym gestem, oznajmiła:

- A oto i panienska.

Pani Polgrey siedziała na jednym z wyściełanych krzeseł, a Celestine Nansellock na drugim. Alvean stała obok, z rękami splecionymi z tyłu. Sprawiała wrażenie niebezpiecznie poważnej.

- Ach - powiedziała pani Polgrey, podnosząc się z krzesła - oto panna Leigh. Panna Nansellock czeka, by panią poznać. - W jej głosie wyczuwało się lekką naganę.

Wiedziałam, co to znaczy. Ja, zwykła guwernantka, pozwoliłam damie czekać, gdy tymczasem sama kończyłam kolację.

- Witam panią - odezwałam się.

Były wyraźnie zdziwione. Przypuszczam, iż oczekiwały, że dygnę przed nią lub zrobię jakiś inny gest świadczący o tym, że zdaję sobie sprawę ze swej służebnej roli. Widziałam utkwione w siebie niebieskie oczy dziecka. W tej pierwszej chwili w zasadzie obchodziła mnie tylko mała Alvean. Miała zaskakująco błękitne oczy. Pomyślałam, że w przyszłości, gdy dorośnie, będzie z niej prawdziwa piękność. Ciekawa byłam, czy jest podobna do ojca czy matki.

Celestine Nansellock stanęła przy Alvean i położyła jej rękę na ramieniu.

- Alvean wybrała się do nas w odwiedziny - wyjaśniła. - Jesteśmy wielkimi przyjaciółkami. Jestem panną Nansellock z Mount Widden. Musiała pani widzieć nasz dom.

- Widziałam go, jadąc ze stacji.

- Mam nadzieję, że nie będzie się pani gniewać na Alvean. Alvean się najeżyła; jej oczy błysnęły groźnie. Spoglądając prosto w te niebieskie buntownicze źrenice, odparłam:

- Nie mam prawa karcić za to, co stało się przed moim przyjazdem, nie sądzi pani?

- Ona traktuje nas... mnie... jako część swojej rodziny - ciągnęła panna Nansellock. - Zawsze mieszkaliśmy blisko siebie.

- Nie wątpię, że jest to dla niej wielka pociecha - odrzekłam i już tym razem uważniej przyjrzałam się panie Nansellock.

Była wyższa ode mnie i w żadnym razie nie mogła uchodzić za piękność. Miała nieokreślone, kasztanowate włosy, orzechowe oczy i bladawą cerę. Cała jej postać tchnęła głębokim spokojem. Moim zdaniem brakowało jej indywidualności, ale niewykluczone, że przytłaczało ją tylko wyzywające zachowanie się Alvean i konwencjonalne dostojeństwo pani Polgrey.

- Mam nadzieję - oświadczyła - że jeżeli pani zechce zasięgnąć w jakiejś sprawie mojej rady, panno Leigh, nie zawaha się pani przyjechać do Mount Widden. Rozumie pani, jestem bardzo bliską sąsiadką i sądzę, że traktują mnie tutaj jak członka rodziny.

- To bardzo ładnie z pani strony.

Jej łagodne oczy napotkały mój wzrok.

- Pragniemy, by pani dobrze się czuła wśród nas, panno Leigh - dodała. - Wszyscy tego pragniemy.

- Dziękuję - odparłam. - Ale w tej chwili uważam, że Alvean powinna iść spać. Przypuszczam, że minęła na to pora.

Celestine powiedziała z uśmiechem:

- Ma pani rację. To prawda. Zazwyczaj wypija wieczorne mleko z biszkoptami w sali lekcyjnej o wpół do ósmej. Teraz jest już po ósmej. Dzisiaj jednak ja się nią zajmę. Proponuję, by pani wróciła do siebie, panno Leigh. Podróż z pewnością panią zmęczyła.

Zanim zdążyłam otworzyć usta, Alvean wykrzyknęła gwałtownie:

- Nie, Celestine! Żądam, by ona się mną zajęła. Ona jest moją guwernantką. To należy przecież do jej obowiązków, prawda?

Widoczna uraza odmalowała się na twarzy Celestine. Alvean natomiast wyraźnie nie potrafiła ukryć satysfakcji. Błysk triumfu mignął w jej oczach. Zaczynałam rozumieć. Dziewczynka pragnęła pokazać swoją władzę; nie chciała dopuścić, by Celestine Nansellock towarzyszyła jej, gdy kładła się spać, z tej tylko przyczyny, że Celestine tak bardzo na tym zależało.

- Świetnie - oświadczyła Celestine. - Mogę zatem wracać do domu.

Patrzyła na Alvean z nadzieją, że ta zmieni zdanie i zacznie ją prosić, by została, ale osobliwe spojrzenie Alvean skierowane było w moją stronę.

- Dobranoc - pożegnała ją nonszalancko. I zwracając się do mnie, powiedziała: - Idziemy, jestem głodna.

- Zapomniałaś podziękować pannie Nansellock za to, że cię odwiozła do domu - upomniałam ją.

- Nie zapomniałam - odcięła się. - Nigdy niczego nie zapominam.

- A zatem twoja pamięć jest znacznie lepsza niż twoje zachowanie - odparowałam.

Były zdziwione, wszystkie trzy. Sama też czułam się zaskoczona. Wiedziałam jednak, że jeśli mam zapanować nad tym dzieckiem, muszę okazać stanowczość.

Alvean się zaczerwieniła, a jej oczy przybrały hardy wyraz. Chciała się jakoś odciąć, ale nie wiedząc, jak to zrobić, wybiegła z pokoju.

- No, proszę - odezwała się pani Polgrey. - No cóż, panno Nansellock, to było takie uprzejme z pani strony...

- Nie ma o czym mówić, pani Polgrey - odparła Celestine. - Przecież to naturalne, że ją odwiozłam.

- Alvean podziękuje pani później - zapewniłam ją.

- Panno Leigh - powiedziała Celestine z przejęciem - musi pani ostrożnie postępować z tym dzieckiem. Straciła matkę... dopiero co - wargi Celestine zadrżały. Uśmiechnęła się do mnie. - Ta tragedia wydarzyła się tak niedawno i pamięć o niej jest nadal bardzo żywa. Ona była moją serdeczną przyjaciółką.

- Rozumiem - odparłam. - Nie będę surowa dla dziecka, ale widzę, że potrzebuje silnej ręki.

- Niech pani będzie ostrożna, panno Leigh. - Celestine postąpiła krok naprzód i położyła mi rękę na ramieniu. - Dzieci to takie delikatne stworzenia.

- Zrobię wszystko, co w mej mocy, dla dobra Alvean - przyrzekłam.

- Życzę powodzenia. - Uśmiechnęła się do mnie, a następnie, zwracając się do pani Polgrey, oświadczyła: - Wyjeżdżam. Chcę zdążyć do domu przed zmrokiem.

Pani Polgrey pociągnęła za sznur od dzwonka i przywołała Daisy.

- Zaprowadź pannę Leigh do jej pokoju, Daisy - rozkazała. - Czy panienka Alvean dostała już mleko i biszkopty?

- Tak, psze pani - brzmiała odpowiedź.

Powiedziałam dobranoc Celestine Nansellock, która skinęła mi głową, po czym wyszłam wraz z Daisy.

* * *

Skierowałam się do sali lekcyjnej. Alvean już tam była, piła mleko i jadła biszkopty. Zbliżyłam się do stołu i usiadłam obok niej, ale ona celowo nie zwracała na mnie uwagi.

- Alvean - odezwałam się - jeżeli mamy ze sobą współpracować, byłoby lepiej dla nas obu, gdybyśmy żyły ze sobą w zgodzie. Czy nie uważasz tego za słuszne?

- A jeżeli mi na tym nie zależy? - odpowiedziała krótko pytaniem na pytanie.

- Powinno ci zależeć. Dobre stosunki między nami wszystkim leżą na sercu.

Alvean wzruszyła ramionami.

- Jeżeli do tego nie dojdzie - odrzekła szorstko - będzie pani musiała odejść. Zatrudnię inną guwernantkę. Dla mnie to nie ma żadnego znaczenia.

Spojrzała na mnie triumfalnie; jej spojrzenie mówiło, że jestem jedynie płatną służką i że to ona tu będzie rozkazywać. Zadrżałam bezwiednie. Po raz pierwszy zrozumiałam uczucia osób, których egzystencja zależy od dobrej woli innych.

Z oczu Alvean wycierała złośliwość, a mnie ogarnęła przemożna chęć, by dać jej tęgiego klapsa.

- To powinno mieć dla ciebie znaczenie - odrzekłam - ponieważ daleko przyjemniej jest żyć w zgodzie niż w niezgodzie z ludźmi, którzy nas otaczają.

- To nie jest ważne, jeżeli ci ludzie różnią się od nas... jeżeli ich można odprawić.

- W życiu najbardziej liczy się uprzejmość. Uśmiechnęła się do swego mleka i wysączyła ostatnie krople ze szklanki.

- A teraz - poleciłam - idź spać!

Podniosłam się z krzesła jednocześnie z nią, ale ona zaprotestowała:

- Sama położę się do łóżka. Nie jestem już niemowlęciem.

- Sądziłam, że jesteś młodsza niż w rzeczywistości, ponieważ bardzo wielu rzeczy musisz się jeszcze nauczyć.

Zastanowiło ją to. Następnie wzruszyła ramionami. Jak później odkryłam, był to jej charakterystyczny odruch.

- Dobranoc - powiedziała, odchodząc.

- Przyjdę powiedzieć ci dobranoc, kiedy już będziesz w łóżku.

- Nie ma potrzeby.

- Niemniej przyjdę.

Otworzyła drzwi prowadzące do jej pokoju. Ja zawróciłam do swej sypialni.

Byłam przygnębiona, ponieważ zdawałam sobie sprawę, jaki ciężki los mnie czeka. Nie miałam żadnego doświadczenia w obchodzeniu się z dziećmi. Dawniej, kiedy o nich myślałam, wyobrażałam je sobie jako małe, uległe i tkliwe istotki, z którymi obcowanie jest samą radością. A teraz oto przychodzi mi wychowywać trudne dziecko. A co stanie się ze mną, jeżeli dojdą do wniosku, że nie potrafię poradzić sobie z Alvean? Jaki los spotkał

ubogie szlachcianki, które nie zdołały zadowolić swych pracodawców?

Mogę pojechać do Phillidy. Mogę stać się jedną z owych starych ciotek, które są na każde kiwnięcie i zawołanie wszystkich domowników. Mogę jak one spędzić swe nieszczęsne życie skazana na łaskę innych. Nie należałam do osób, które łatwo pogodzą się z tego rodzaju zależnością. Musiałabym poszukać innej posady.

Przyznałam w duchu, że obleciał mnie strach. Aż do momentu, w którym stanęłam twarzą w twarz z Alvean, nie przyszło mi na myśl, że mogę nie poradzić sobie z nowymi obowiązkami. Starłam się nie rozmyślać o tym, że być może będę musiała zmieniać posady jedną po drugiej, ponieważ nie potrafiłam sprostać wymaganiom położonych. Jaki los spotkał kobiety takie jak ja, pozbawione ważnych w życiu powabów, zmuszone toczyć bezustanną walkę ze światem, by zapewnić sobie szansę przetrwania?

Miałam ochotę rzucić się na łóżko i płakać, płakać bez końca z gniewu i żalu na okrutny los, który zabrał mi kochających rodziców i rzucił nie przygotowaną na pastwę bezlitosnego świata.

Uprzytomniłam sobie, że Alvean, gdy pojawię się przy jej łóżku, może dostrzec ślady łez na mej twarzy. Cóż to byłby dla niej za triumf! W ten sposób nie mogę rozpocząć walki, która, byłam tego pewna, musi między nami rozgorzeć.

Spacerowałam po pokoju tam i z powrotem, starając się opanować wzburzenie. Podeszłam do okna i spojrzałam na trawnik przed domem, a potem ponad nim, na pagórkowaty krajobraz. Nie widziałam morza, ponieważ dom był usytuowany tyłem do wody, a moje okno znajdowało się od frontu. Sięgnęłam więc wzrokiem poza płaskowyż, na którym stał dom, na rysujące się w oddali pagórki.

Jak pięknie, jaki spokój na zewnątrz w przyrodzie! - pomyślałam. A jaka walka wewnątrz, między ludźmi! Kiedy wychyliłam się z okna, po drugiej stronie zatoki dojrzałam Mount Widden. Oto dwa domy stojące naprzeciw siebie od wielu lat; pokolenia Nansellocków i TreMellynów rodziły się tu i umierały, a ich losy przeplatały się ze sobą tak ściśle, że historia jednego z tych domów była dziejami drugiego.

Odwróciłam się od okna i przez salę lekcyjną przeszłam do sypialni Alvean.

- Alvean - szepnęłam.

Nie odpowiedziała. Leżała w łóżku z mocno, zbyt mocno zaciśniętymi powiekami. Nachyliłam się nad nią.

- Dobranoc, Alvean. Będziemy przyjaciółkami, wiesz - rzekłam cicho.

Nie było odpowiedzi. Udawała, że śpi.

* * *

Pomimo zmęczenia spałam bardzo niespokojnie. Zapadałam w sen, po czym budziłam się ogarnięta przerażeniem.

Powtarzało się to kilkakrotnie, aż w końcu rozbudziłam się na dobre.

Leżałam w łóżku i rozglądałam się po pokoju. Meble w niewyraźnym świetle księżycy wyglądały jak zamglone postacie. Miałam uczucie, że nie jestem sama, że słyszę wokoło siebie szepczące głosy. Czułam, że w tym domu rozegrała się tragedia, która wciąż nad nim wisi.

Zastanawiałam się, czy przyczyną tego nie była śmierć matki Alvean. Umarła zaledwie rok temu. Ciekawiło mnie, w jakich okolicznościach to się stało.

Pomyślałam o Alvean, która ukazywała światu dość gniewne oblicze. Musiała mieć do tego jakiś powód. Byłam pewna, że żadne dziecko nie zachowuje się wrogo wobec obcych bez specjalnej przyczyny. Postanowiłam odkryć źródło nieprzyjaznego zachowania się Alvean. Przrzekłam sobie, że uczynię z niej normalne, szczęśliwe dziecko.

Dniało już, kiedy ponownie zapadłam w sen. Światło dnia wprawiło mnie w nieco lepszy nastrój; bałam się ciemności w tym domu. To była dziecinna obawa, wiedziałam o tym, ale tak wyglądała prawda.

Śniadanie zjadłam w sali lekcyjnej z Alvean. Oznajmiła mi z dumą, że kiedy jej ojciec jest w domu, spożywa śniadanie w jego towarzystwie.

Następnie zasiadłyśmy do pracy. Zorientowałam się, że jest dzieckiem inteligentnym i bardziej odczytanym niż większość jej rówieśników. Okazywała żywe zainteresowanie tematem lekcji, choć usilnie starała się, by nie dopuścić do polepszenia stosunków między nami. Samopoczucie, zaczęło mi się poprawiać i nabrałam przekonania, że po pewnym czasie moje wysiłki zostaną uwieńczone powodzeniem.

Obiad składał się z gotowanej ryby i ryżowego puddingu. Kiedy potem Alvean zaproponowała mi pójście na spacer, uwierzyłam, że wszystko idzie ku dobremu.

Do majątku należały lasy i Alvean oświadczyła, że mnie po nich oprowadzi. Ucieszyłam się z tej propozycji i chętnie poszłam za nią między drzewa.

- Proszę spojrzeć! - wykrzyknęła, wyciągając ku mnie zerwany przez siebie szkarłatny kwiat. - Czy pani wie, jak się ten kwiat nazywa?

- Wydaje mi się, że to bukwica. Skinęła głową twierdząco.

- Niech pani sobie narwie tych kwiatów i wsadzi w pokoju do wazonu. Odstraszą złe siły. Roześmiałam się.

- To stary przesąd, Alvean. Dlaczego mam odstraszać od siebie zło?

- Każdy się stara to robić. Te kwiaty ludzie sadzą na grobach, w których leżą zmarli, dlatego, że się ich boją.

- Niemądra obawa. Zmarli nie mogą nikogo skrzywdzić. Wsadziła kwiat w dziurkę od guzika mego płaszcza.

Wzruszyło mnie to. Gdy wykonywała ten gest, twarzyczka jej tchnęła łagodnością. Odniosłam też wrażenie, że kieruje nią w tej chwili coś w rodzaju instynktu opiekuńczego.

- Dziękuję ci, Alvean - powiedziałam miękko. Spojrzała na mnie i życzliwość zniknęła z jej twarzy, ustępując miejsca złości i hardości.

- Nie złapie mnie pani! - wykrzyknęła i pobiegła w głąb lasu.

Nie miałam zamiaru jej gonić. Zawołałam:

- Alvean, wróć!

Ale ona zniknęła wśród drzew, a z oddali dobiegł mnie tylko jej szyderczy śmiech.

Postanowiłam powrócić do domu. Las był gęsty i nie wiedziałam dokładnie, w którą stronę się udać. Uszłam kawałek, lecz wkrótce zrodziła się we mnie wątpliwość, czy idę we właściwym kierunku. Wpadłam w popłoch, zaczęłam sobie jednak perswadować, że nie mam się czego obawiać. Było słoneczne popołudnie, a od domu nie mogło mnie dzielić więcej niż pół godziny drogi. Ponadto byłam przekonana, że las nie jest duży.

Nie miałam zamiaru dać Alvean powodu do uciechy, że udało jej się wywieść mnie do lasu z zamiarem, bym w nim zabłądziła.

Pewnym krokiem ruszyłam między drzewa, ale stopniowo las gęstniał coraz bardziej i wkrótce się zorientowałam, że nie idę w dobrą stronę. Mój gniew na Alvean wzmógł się jeszcze, gdy usłyszałam szelest liści, tak jakby ktoś szedł za mną. Byłam pewna, że dziewczynka krąży gdzieś w pobliżu, drwiąc sobie z mego niezręcznego położenia.

Wtedy usłyszałam piosenkę. Ten ktoś, kto śpiewał, miał głos dziwny i lekko fałszował. Była to jedna z bardzo modnych w tym czasie melodii. Słyszało się ją w salonach całego kraju. W tej chwili jednak nie poprawiła mi ona samopoczucia.

Alice, gdzie jesteś?

Rok temu wieczorem

Byłaś przy mym boku,

Przyrzekając mi miłość,

Alice, cokolwiek się stało...

- Kto tam?! - zawołałam.

Odpowiedziało mi milczenie. W oddali mignęła postać dziewczynki z białymi włosami. Rozpoznałam w niej małą Gilly, która w dniu mego przybycia przyglądała mi się zza krzaków hortensji, obok stróżówki przy bramie.

Przyśpieszyłam kroku. Po chwili las zaczął rzednąć i poprzez kolumny drzew ujrzałam drogę. Wyszłam na nią i zorientowałam się, że jestem na zboczu prowadzącym na wyżynę i do bramy ze stróżówką.

Pani Soady siedziała w drzwiach portierni, tak jak w chwili mego przyjazdu, z robótką na kolanach.

- Cóż to, panienko! - zawołała. - Była pani na spacerze?

- Poszłam na spacer z panienką Alvean. Zabłądziłyśmy w lesie.

- Ach tak! uciekła pani, prawda? - Pani Soady potrząsnęła głową, otwierając mi bramę. Kłębek wełny ciągnął się za nią po ziemi.

- Mam nadzieję, że trafi sama do domu - wyraziłam przekonanie.

- Jasne, że tak. Panienska Alvean zna las jak własną kieszeń. Nie ma tam zakątka, którego by nie знаła. O, widzę, że ma pani kwiat bukwicy.

- Panienska Alvean zerwała go i koniecznie nalegała, bym go sobie przypięła do płaszcza.

- Proszę, proszę. Widzę, że już zdążyłyście się zaprzyjaźnić.

- Słyszałam w lesie tę małą dziewczynkę, Gilly. Śpiewała - powiedziałam.

- Wierzę. Ona w lesie zawsze śpiewa.
- Zawołałam ją, ale nie chciała do mnie podejść.
- Płochliwa jak królik. Taka już jest.
- Myślę, że zdołam ją oswoić. Do widzenia, pani Soady.
- Do widzenia, panienko.

Poszłam wzdłuż alei wysadzonej rzędami hortensji i fuksji. Złapałam się na tym, że nad słuchuję, czy nie dobiegną mnie znowu słowa piosenki, ale do mych uszu docierały jedynie sporadyczne hałasy jakiegoś małego zwierzątka buszującego w zaroślach.

Byłam spocona i zdyszana, kiedy wreszcie dotarłam do domu. Poszłam wprost na górę do swego pokoju i zadzwoniłam po ciepłą wodę. Kiedy się obmyłam i uczesałam, udałam się do sali lekcyjnej, gdzie już czekała na mnie herbata.

Alvean siedziała przy stole z poważną miną. Nie napomknęła ani słowem o naszej popołudniowej przygodzie. Ja również nie poruszyłam tego tematu.

Po herbacie oświadczyłam jej:

- Nie wiem, jaką metodę nauczania stosowały twoje poprzednie guwernantki, ale ja proponuję, abyśmy odbywały lekcje rano, a potem, między obiadem a podwieczorkiem, robiły przerwę. Godzinę między piątą a szóstą możemy przeznaczyć na wspólną lekturę.

Alvean nie odpowiedziała; przypatrywała mi się z uwagą, po czym niespodziewanie mnie zagadnęła:

- Czy pani podoba się moje imię? Czy znała pani kiedyś kogoś o imieniu Alvean?

Odparłam, że imię mi się podoba, ale że zetknęłam się z nim po raz pierwszy.

- To kornwalijskie imię. Czy pani wie, co ono znaczy?

- Nie mam pojęcia.

- Wyjaśnię pani. Mój tatuś mówi i pisze po kornwalijsku. - Gdy mówiła o ojcu, na jej twarzy pojawiał się wyraz rozmarzenia. Pomyślałam, że jest to przynajmniej jedyna osoba, którą podziwia i na której aprobacie jej zależy. Dziewczynka mówiła dalej: - Po kornwalijsku „Alvean” znaczy: mała Alice.

- Och! - głos mi się lekko załamał.

Podeszła do mnie i położyła mi ręce na kolanach. Następnie spojrzała mi w oczy i oświadczyła z powagą:

- Widzi pani, moja mama miała na imię Alice. Jej już nie ma. Ale ja dostałam imię po niej, dlatego nazywają mnie małą Alice.

Podniosłam się z krzesła, ponieważ nie byłam w stanie dłużej znieść badawczego wzroku dziecka. Podeszłam do okna.

- Spójrz - powiedziałam - po trawniku spacerują dwa pawie.

Stała przy moim łokciu.

- Przyszły, ponieważ jest to pora ich karmienia. Są strasznie łakome. Daisy im zaraz wyniesie grochu. One o tym wiedzą.

Pawie zniknęły mi z oczu. Przypomniałam sobie teraz kpiarskie spojrzenie mego współtowarzysza podróży, mężczyzny, który ostrzegł mnie w pociągu, bym miała się na baczności przed małą Alice.

Rozdział 2

Na trzeci dzień po moim przyjeździe do Mount Mellyn dziedzic wrócił z podróży.

Zdażyłam się już wciągnąć do codziennych zajęć. Każdego ranka po śniadaniu zasiadałam z Alvean do lekcji. Stwierdziłam, że jest zupełnie niezłą uczennicą, pomijając jej bezustanną chęć do zadawania mi kłopotliwych pytań.

Podejrzewałam, że pragnie przyłapać mnie na czymś, czego nie wiem. Bynajmniej nie chodziło jej o to, by mi się przypodobać. Motywem jej postępowania było pragnienie wiedzy na tyle silne, że przeważało nad niechęcią do guwernantki. Doszłam do wniosku, że umyśliła sobie, że im prędzej nauczy się tego wszystkiego, co ja umiem, tym prędzej będzie mogła oświadczyć ojcu: „Panna Leigh już niczego więcej nie może mnie nauczyć, czy jest więc sens trzymać ją dłużej?”

Często przypominałam sobie zasłyszane od różnych osób opowieści o guwernantkach, których starość opromieniało ciepło miłości ich dawnych uczniów i uczennic. Ja po Alvean z pewnością nie mogłam się tego spodziewać.

Wstrząsnęło mną, kiedy po raz pierwszy usłyszałam imię Alice. W rezultacie, gdy zapadł zmrok, zaczęło mi się wydawać, że w każdym kącie domu czają się tajemnicze widma. Były to oczywiście wyłącznie urojenia. Spotkanie tego mężczyzny w pociągu i jego wróżby stanowiły niewątpliwie zły omen.

W samotności swego pokoju, kiedy w domu zaległa wieczorna cisza, zaczęłam się zastanawiać, co było przyczyną śmierci Alice. Musiała być zupełnie młodą kobietą. To dlatego jej duch wydaje się ciągle obecny w tym domu - mówiłam sobie - że zeszła z tego świata tak niedawno; przecież rok to bardzo niewiele.

Obudziłam się w środku nocy, słysząc głosy, które wydawały się wołać jękliwie: „Alice, Alice. Gdzie Jesteś, Alice?”

Podeszłam do okna i zaczęłam nadśłuchiwać. Szepczące głosy jakby unosiły się w powietrzu.

Daisy, która podobnie jak jej siostra nie przejawiała najmniejszych skłonności do fantazjowania, rozproszyła moje przywidzenia, kiedy nazajutrz rano zjawiała się z ciepłą wodą.

- Słyszała pani morze dzisiejszej nocy, panienko, w starej zatoce Mellyn? Sis...sis...sis...woa...woa... i tak aż do rana. Przypominało to zupełnie dwie zrzedne staruchy mielące bez Przerwy jęzorami.

- Rzeczywiście, słyszałam.

- To zdarza się w takie noce, kiedy jest wysoka fala, a wiatr wieje z pewnego kierunku.

Roześmiałam się sama do siebie. Tajemnica się wyjaśniła.

Poznałam wszystkich domowników i całą służbę. Pani Tapperty któregoś dnia zaprosiła mnie do siebie na szklaneczkę pasternakowego wina własnej roboty. Wyraziła nadzieję, że zdążyłam się już przyzwycząić do nowego otoczenia i że dobrze się czuję w Mount Mellyn. Następnie opowiedziała mi o swych przejściach związanych z chroniczną niewiernością Tapperty'ego. Nie przepuścił żadnej służącej, zwłaszcza młodszej. Obawiała się, że Daisy i Kitty wrodziły się w ojca. Ich matka, która, jak mówiła o sobie, jest osobą bogobojną, regularnie uczęszczającą co niedziela do kościoła na ranne i wieczorne nabożeństwo, bardzo się tym gryzła. Teraz, kiedy dziewczęta już dorosły, do jej zwykłych obaw, czy Joe Tapperty nie uganiania się za panią Tully ze wsi, doszło również strapienie, co Daisy wyprawia w stajniach z Billym Trehayem lub Kitty z tym lokajczykiem z Mount Widden. Dla kobiety tak przestrzegającej boskich przykazań, jak ona, to był prawdziwy krzyż.

Odwiedziłam także w stróżówce przy bramie panią Soady, od której usłyszałam opowieść o jej trzech synach i ich dzieciach. „Nigdy nie widziałam - mówiła - by ktoś wypychał palcami takie dziury w pończochach. Cerowanie tych pończoch to osobne zajęcie dla jednej osoby”.

Zawiła sztuka naprawiania pięt niezbyt mnie pasjonowała, rada byłabym usłyszeć raczej coś o domu, w którym mieszkałam. Nie odwiedzałam zatem zbyt często pani Soady.

Próbowałam od czasu do czasu zbliżyć się do Gilly i porozmawiać z nią. Ale chociaż niekiedy mignęła mi gdzieś w pobliżu, nigdy nie udało mi się do niej podejść. Przyzywałam ją, skutek jednak był taki, że jeszcze szybciej uciekała. Jej śpiew - miękki, zawodzący - zawsze głęboko mnie poruszał, ilekroć dobiegł do moich uszu.

Czułam, że trzeba coś dla niej uczynić. Gniewali mnie tutejsi wieśniacy, którzy uważali ją za osobę nienormalną, ponieważ się od

nich różniła. Chciałam porozmawiać z Gilly, jeżeli taka możliwość się nadarzy. Pragnęłam się dowiedzieć, jaka myśl kryje się za pustym spojrzeniem niebieskich oczu.

Wiedziałam, iż jest zaintrygowana moją osobą, i miałam powód do przypuszczeń, że i ona w jakiś sposób też wie o zainteresowaniu, jakie we mnie budzi. Ale mimo to czuła przede mną strach. Coś złego musiało się jej przydarzyć w przeszłości, co pozostawiło w jej psychice trwałe urazy, była bowiem nienaturalnie nieśmiała. Gdyby mi się tylko udało dowiedzieć, co się takiego zdarzyło, gdybym mogła przekonać ją, że z mojej strony nic jej nie grozi, wierzyłam głęboko, że potrafię zrobić z niej zdrowe, normalne dziecko.

W tym okresie więcej myślałam o Gilly niż o Alvean. Ta ostatnia, moim zdaniem, była jedynie rozpuszczoną, zepsutą dziewczynką. Takich dzieci było tysiące. Czułam, że łagodna istotka, nazywana romantycznie Gillyflower, jest od niej znacznie ciekawszym dzieckiem.

Z panią Polgrey trudno było rozmawiać o jej wnuczce, ponieważ była osobą zbyt konwencjonalną. W jej pojęciu było się albo wariatem, albo człowiekiem zdrowym na umyśle, a stopień tego zdrowia zależał od tego, na ile był on zgodny z własnym charakterem pani Polgrey. Ponieważ Gilly różniła się od swej babki, tak jak różniłby się każdy inny człowiek, to według jej kryteriów dziewczynka była nieuleczalnie chora umysłowo.

Pani Polgrey, mimo iż próbowałam poruszyć z nią temat Gilly, nie wyrażała chęci do rozmowy. Jej surowe spojrzenie mówiło dostatecznie wymownie, że jestem tu po to, by opiekować się panią Alvean, a jej wnuczka nie powinna mnie obchodzić.

Tak wyglądały sprawy w momencie, kiedy Connan TreMellyn powrócił do Mount Mellyn.

* * *

Connan TreMellyn od pierwszej chwili sprawił na mnie duże wrażenie. Właściwie to uświadomiłam sobie jego obecność, zanim go jeszcze ujrzałam.

Przyjechał po południu. Alvean wypuściła się gdzieś sama, a ja zadzwoniłam po ciepłą wodę, by umyć się przed spacerem. Wodę przyniosła mi Kitty. Skoro tylko weszła, natychmiast uderzyła mnie zmiana w jej wyglądzie. Czarne oczy dziewczyny lśniły, a usta nieco nabrzmiały.

- Pan dziedzic wrócił - oznajmiła.

Staralam się nie pokazać po sobie, że czuję się trochę zdenerwowana. W tym momencie w drzwiach pojawiła się głowa Daisy. Siostry były w tej chwili bardzo do siebie podobne. W ich zachowaniu widoczne było pewnego rodzaju wyczekiwanie, które zrodziło we mnie uczucie niesmaku. Wydawało mi się, że rozumiem dobrze wyraz twarzy tych dwóch krzepkich dziewcząt. Podejrzewałam, że żadna z nich nie jest już dziewicą. Świadczyły o tym ich ruchy, a widziałam, jak poufale poszturchiwały się w stajniach z Billym Trehayem i chłopakami ze wsi, których dorywczo zatrudniano w gospodarstwie. Zmieniały się niepostrzeżenie w obecności płci przeciwnej i wiedziałam, dlaczego tak jest. Ich ożywienie z powodu przyjazdu pana, którego, jak zdążyłam się zorientować, wszyscy się bali, nasunęło mi określony wniosek; poczułam lekką odrazę nie tylko do obydwu dziewcząt, ale i do siebie samej za to, że dopuszczam do głowy takie myśli. Czyżby należał do tego gatunku mężczyzn? - zadawałam sobie pytanie.

- Przyjechał pół godziny temu - wyjaśniła Kitty. Przyglądały mi się w zamyśleniu, a ja po raz drugi jakbym czytała w ich myślach. Przymuszalnie przekonywały siebie, że jako rywalka nie jestem zbyt groźna.

Ogarnął mnie jeszcze większy niesmak. Odwróciłam się od nich i oznajmiłam zimno:

- Umyję tylko ręce i możecie zabrać wodę. Idę się przejść.

Włożyłam kapelusz i szybko skierowałam się do wyjścia. Ale chociaż jak zwykle zeszałam tylnymi schodami, od razu wyczułam zmianę w atmosferze domu. Pani Polgrey przebywała w ogrodzie, a dwóch chłopców ze wsi pracowało tak pilnie, jakby od tej pracy zależało ich życie. Tapperty czyścił stajnie; tak był pochłonięty tym zajęciem, że nawet mnie nie zauważył.

Nie było wątpliwości, że cały dom żył w strachu przed panem.

Kiedy tak przechadzałam się po lesie, powzięłam postanowienie, że jeżeli nie spodobam się Connanowi TreMellynowi, to wyjadę. Na razie zatrzymam się u Phillidy i będę się rozglądać za nową posadą. Przynajmniej miałam krewnych, do których mogłam się udać w potrzebie. Nie byłam tak zupełnie sama na świecie.

Zaczełam nawoływać Alvean, ale mój głos zginął w leśnej głuszy i nie doczekałam się odzewu. Po chwili zawołałam:

- Gilly! Przyjdź, porozmawiaj ze mną, jeżeli tu jesteś. Nic ci nie zrobię!

Odpowiedzi nie było.

O wpół do czwartej wróciłam do domu; gdy wchodziłam do siebie, na schodach dogoniła mnie Daisy.

- Pan dziedzic pytał o panienkę. Chce panienkę zobaczyć. Czeka w ponczowym saloniku.

Kiwnęłam głową i odpowiedziałam:

- Rozbiorę się i zaraz do niego zejdę.

- Ale pan widział, jak panienka wchodzi, i kazał się panience zaraz stawić.

- Najpierw muszę zdjąć kapelusz - odparłam.

Serce zaczęło mi bić żywiej, a na policzki wystąpiły silne rumieńce. Byłam nastawiona buntowniczo, nie rozumiałam jednak, skąd się u mnie bierze to uczucie. Z pewnością z przekonania, że przyjdzie mi wkrótce pakować manatki i wracać do Phillidy. Postanowiłam, że jeżeli już tak się ma stać, to muszę się zachować z jak największą godnością.

W pokoju zdjęłam kapelusz i przyglądałam włosy. Moje oczy miały dziś kolor bursztynu. Wyzierała z nich uraza, niewątpliwie śmieszna, jeśli się wzięło pod uwagę fakt, że nie znałam jeszcze tego człowieka. Schodząc na dół, do ponczowego saloniku, pomyślałam, że zbudowałam sobie jego obraz li tylko na podstawie pewnego wyrazu, jaki malował się na twarzach tych dwóch płochych dziewcząt. Wmówiłam w siebie, że przedwczesna śmierć biednej Alice została spowodowana niewiernością jej małżonka. Zapukałam do drzwi.

- Proszę! - zawołał. Głos miał silny, a nawet, jak to określiłam, zanim go jeszcze ujrzałam, arogancki.

Stał odwrócony tyłem do kominka. Od razu rzucił mi się w oczy jego wzrost. Miał ponad metr osiemdziesiąt, a ponieważ był bardzo szczupły - rzecz by można nawet chudy - wydawał się wyższy. Był brunetem o jasnych oczach. Ręce trzymał w kieszeniach spodni do konnej jazdy. Ubranie uzupełniały granatowy surdut i biały krawat. Nosił się z tą niedbałą elegancją, która charakteryzuje swobodny i niewymuszony sposób bycia. Chciał przez to dać do zrozumienia, że nie dba o ubiór, a to, że dobrze w nim wygląda, nie jest wcale wynikiem jego starań.

Sprawił wrażenie zarówno silnego, jak i okrutnego. Z jego twarzy przebijała zmysłowość. Ale ta twarz była maską, pod którą kryło się wiele innych uczuć. Zorientowałam się szybko, że w tym ciele mieszka dwóch mężczyzn - dwie różne osobowości - Connan TreMellyn z jednym obliczem dla świata i drugi Connan, który kryje się w cieniu pierwszego.

- A więc nareszcie mamy okazję się poznać, panno Leigh.

Nie postąpił naprzód, by się ze mną przywitać. To aroganckie zachowanie miało mi przypomnieć, że jestem tylko guwernantką.

- Przebywam w pańskim domu zaledwie od kilku dni. To wcale nie taki długi okres - odparłam.

- Nie będziemy się teraz rozwodzić nad tym, czy ten okres jest długi, czy krótki. Wystarczy mi, że pani tu jest.

Przyglądał mi się drwiąco, a ja pod tym bezlitosnym, taksującym spojrzeniem poczułam się brzydka i niezdarna. Moje zmieszanie dodatkowo potęgował fakt, że stałam przed znawcą kobiet, a przecież nawet wśród niezbyt doświadczonych młodych mężczyzn nie uchodziłam za obiekt godny pożądania.

- Pani Polgrey bardzo się dobrze o pani wyraża.

- To bardzo uprzejmie z jej strony.

- Dlaczego mówienie prawdy mamy rozpatrywać w kategoriach uprzejmości? Od swych pracowników wymagam przede wszystkim, by byli ze mną szczerzy.

- Miałam na myśli to, że jest dla mnie bardzo miła i dlatego wydała o mnie taką dobrą opinię.

- Widzę, że jest pani kobietą, która nie operuje frazesami, lecz mówi to, co myśli.

- Mam taką nadzieję.

- Świetnie. Odnoszę wrażenie, że nasza współpraca będzie się dobrze układać.

Wiedziałałam, że lustruje mnie baczным spojrzeniem, rozpatrując starannie każdy szczegół mej powierzchowności. Przypuszczalnie orientował się, że przez kilka lat z rzędu dane mi było uczestniczyć w londyńskim sezonie balów i zabaw i że, jak to określiła ciotka Adelajda, stworzono mi „wszelkie możliwości”, a mimo to nie udało mi się zdobyć męża. Jako znawca kobiet dobrze wiedział, dlaczego tak było.

Pocieszyłam się, że przynajmniej nie będę narażona na jego zaloty. Byłam przekonana, że stara się uwieść wszystkie co bardziej atrakcyjne kobiety, z którymi ma styczność.

- Proszę mi powiedzieć - odezwał się - jak pani ocenia moją córkę. Czy bardzo jest opóźniona w nauce?

- Absolutnie nie. Jest bardzo inteligentna. Uważam tylko, że powinna być bardziej zdyscyplinowana.

- Jestem przekonany, że pani potrafi w niej wyrobić tę cechę.

- Będę się starać.

- To oczywiste. W tym celu właśnie została pani zaangażowana.

- Proszę mi powiedzieć, jak daleko mogę się posunąć w egzekwowaniu od niej należnego posłuchu?

- Ma pani na myśli karę cielesną?

- Jestem jak najdalej od tego zamiaru. Chodzi mi o to, czy pozwala mi pan na stosowanie moich własnych metod. Na przykład, założmy, na ograniczenie jej swobody, gdy według mnie swoim zachowaniem zasłuży na karę.

- Z wyjątkiem morderstwa, panno Leigh, pozwalam pani postępować według własnego uznania. Jeżeli będę miał jakieś zastrzeżenia, poinformuję panią o tym.

- Rozumiem.

- Jeżeli pani chce wprowadzić jakieś zmiany... w programie, myślę, że tak to się nazywa... ma pani wolną rękę.

- Dziękuję.

- Jestem zwolennikiem eksperymentów. Gdyby pani metody wychowawcze nie przyniosły oczekiwanych rezultatów, dajmy na to, w... ciągu sześciu miesięcy... wówczas dokonamy przeglądu sytuacji, zgoda?

Wzrok miał bezczelny. Zamierza się mnie wkrótce pozbyć - pomyślałam. Miał nadzieję, że jestem głupią, ładniutką istotą, nie mającą nic przeciwko małej miłosnej przygodzie ze swym chlebodawcą pod pozorem sprawowania opieki nad jego córką. Bardzo dobrze, najlepiej zrobię, jeśli sama dobrowolnie wyniosę się z tego domu.

- Sądzę - ciągnął dalej - że powinniśmy wybaczyć Alvean niedociągnięcia w dobrym wychowaniu. Rok temu straciła matkę.

Spojrzałam na niego w nadziei, że odkryję na jego twarzy jakiś ślad żalu.

Jego oblicze pozostało jednak nieprzeniknione.

- Słyszałam o tym - odrzekłam.

- Naturalnie, że musiała pani słyszeć. Dam głowę, że wielu tylko czekało na okazję, by pani o tym donieść. To niewątpliwie było dla dziecka ciężkim przeżyciem.

- Tak, istotnie to musiał być dla niej wielki wstrząs - zgodziłam się.

- To stało się tak nagle. - Milczał przez chwilę, po czym ciągnął dalej. - Biedne dziecko, nie ma matki. A jej ojciec...? - Wzruszył ramionami i nie dokończył zdania.

- Nawet jeżeli tak jest - powiedziałam - to na świecie żyje wiele jeszcze bardziej nieszczęśliwych dzieci niż ona. Dziewczynka wymaga jedynie silnej ręki.

Pochylił się niespodziewanie do przodu i popatrzył na mnie z ironią.

- Dziękuję, panie TreMellyn - odezwałam się. - Chodź, Alvean, siadamy do lekcji.

Oczy Alvean zmieniły wyraz, gdy spojrzała na mnie. Pełna rozmarzenia tęsknota ustąpiła miejsca uczuciu gniewu i niepohamowanej nienawiści.

- Connan - odezwała się łagodnie Celestine - przecież dopiero co przyjechałeś, a wiesz jak Alvean zawsze wyczekuje twego powrotu.

Uśmiechnął się, ale wyraz jego ust wcale nie złagodniał.

- Dyscyplina - odrzekł - to jest, Celeste, najważniejsza rzecz. Chodźmy, zostawmy teraz Alvean z jej guwernantką.

Pożegnał mnie skinieniem głowy. Alvean spojrzała na niego prosząco, on jednak pozostał nieczuły na jej nieme błaganie.

Drzwi się zatrzasnęły. Zostałam sam na sam ze swoją uczennicą.

Ten incydent powiedział mi wiele. Alvean uwielbiała swego ojca, ale on miał do niej stosunek obojętny. Moja niechęć do niego jeszcze się zwiększyła; wzrosło zaś moje współczucie dla dziewczynki. Nic dziwnego, że była trudnym dzieckiem. Czego można oczekiwać od takiego nieszczęśliwego stworzenia? Ujrzałam ją teraz w zupełnie innym świetle, ignorowaną przez ojca, którego kochała, psutą przez Celestine Nansellock. Każde z nich robiło wszystko, by doprowadzić to dziecko do zguby.

Connan TreMellyn z pewnością bardziej by mi się podobał, gdyby w dniu swego przyjazdu zwolnił dziewczynkę z tej jednej godziny lekcji, a w zamian poświęcił jej trochę swego czasu.

* * *

Alvean przez cały wieczór przyjmowała buntowniczą postawę. Mimo to udało mi się ją nakłonić, by poszła spać o zwykłej porze. Oświadczyła, że mnie nienawidzi; nawet nie musiała tego mówić, tak to było widoczne.

Byłam tak zdenerwowana, że skoro tylko dziewczynka znalazła się w łóżku, wymknęłam się z domu i poszłam do lasu na spacer. Usiadłam na kłodzie zwalonego drzewa i pograżyłam się w rozmyślaniach.

Dzień był gorący, a w lesie panowała głęboka cisza.

Zastanawiałam się, czy zdołam się utrzymać na tej posiadzie. W tej chwili trudno to było przewidzieć, a i sama dobrze nie wiedziałam, czy chcę stąd odejść, czy zostać.

Tyle rzeczy trzymało mnie na miejscu. Po pierwsze, moje zainteresowanie małą Gillyflower. Drugim moim pragnieniem było stłumić bunt w sercu Alvean. Teraz jednak, kiedy poznałam jej ojca, w pewnym stopniu straciłam ochotę na realizację tych marzeń.

Trochę się obawiałam pana domu, chociaż nie mogłam zdefiniować, jaka była tego przyczyna. Nie wątpiłam, że zostawi mnie w spokoju; była jednakże w tym człowieku jakaś magnetyczna siła, jakaś cecha, która nie pozwalała mi wyrzucić go z pamięci. Częściej niż zwykle myślałam też o zmarłej Alice. Pytanie, jakiego typu była kobietą, stale mnie intrygowało.

Bawiłam TreMellyna w jakiś sposób. Może dlatego, że uważał mnie za niepociągającą fizycznie, a może dlatego, że wiedział, iż jestem jedną z tej armii kobiet, które muszą na siebie zarabiać i zależą od kaprysu ludzi takich jak on. Czy sadyzm leżał w jego naturze? Byłam przekonana, że tak. Może biedna Alice nie mogła tego znieść. Może i ona, podobnie jak matka biednej Gillyflower, weszła w morze, by skończyć ze swoim życiem.

Gdy tak siedziałam pograżona w zadumie, usłyszałam, że ktoś nadchodzi z głębi lasu. Zawahałam się, czy zostać na miejscu, czy też zawrócić do domu.

Ujrzałam idącego w mym kierunku mężczyznę. Jego sylwetka wydała mi się nieobca. Serce zaczęło mi bić żywiej.

Zatrzymał się na mój widok. Uśmiechnął się i wtedy się zorientowałam, że mam przed sobą nieznanego z pociągu.

- Co za spotkanie! - wykrzyknął. - Byłem pewien, że wkrótce panią zobaczę. Ale dlaczego patrzy pani na mnie tak, jakby pani miała przed sobą ducha? Czy to pobyt w Mount Mellyn tak panią nastroił, że zaczyna pani wierzyć w duchy? Słyszałem od ludzi, że w tym domu panuje upiorna atmosfera.

- Kim pan jest? - zapytałam.

- Nazywam się Peter Nansellock. Muszę się pani przyznać do pewnego małego kłamstwa.

- Jest pan bratem panny Celestine? Skinął głową twierdząco.

- Wiedziałem, kim pani jest, kiedy wszedłem do pani przedziału. Poszukiwałem pani, ponieważ słyszałem, że w Mount Mellyn oczekują nowej guwernantki. Pani wygląd potwierdził moje przypuszczenia, a kiedy jeszcze zobaczyłem nazwisko na etykietkach przy bagażu „Martha Leigh”, ostatecznie utwierdziłem się w swych domysłach.

- Z przyjemnością się dowiaduję, że mój wygląd odpowiada roli, jaką jestem zmuszona odgrywać w życiu.

- Nie jest pani osobą prawdomówną. Przypominam sobie, że musiałem panią zganić z tego powodu podczas naszego pierwszego spotkania. W rzeczywistości bardzo się pani czuje zbita z tropu, gdy ktoś bierze panią za guwernantkę.

Czułam, że robię się purpurowa z oburzenia.

- To, że jestem guwernantką, nie daje powodu, bym musiała wysłuchiwać obelg od obcego mężczyzny.

Podniosłam się z kłody, ale on położył mi rękę na ramieniu i poprosił:

- Porozmawiajmy trochę, proszę. Jest tyle rzeczy, o których chcę pani powiedzieć. Są sprawy, o których powinna pani wiedzieć.

Moja ciekawość przemogła oburzenie. Usiadłam.

- Tak dobrze, panno Leigh. Widzi pani, pamiętam nawet pani nazwisko.

- Jest pan bardzo uprzejmy. Jakie to nadzwyczajne, że pan nie tylko zwrócił uwagę na nazwisko zwykłej guwernantki, ale również raczył je zapamiętać!

- Pani doprawdy przypomina zachowaniem jeża - odpalił. - Wystarczy, że ktoś powie słowo „guwernantka”, a pani już wystawia

kolce. Będzie pani musiała nauczyć się godzić z losem. Czyż nie uczono nas, że powinniśmy zadowalać się tą pozycją w życiu, jaką wyznaczyły nam niebiosy?

- Ponieważ przypominam jeża, mam przynajmniej kolce.

Roześmiał się, ale zaraz spoważniał.

- Ja nie jestem jasnowidzem, panno Leigh - wyjaśnił łagodnie. - Nie znam się na sztuce wróżenia z linii papilarnych. Okłamałem panią.

- Czy pan sądzi, że dałam się panu zwieść chociaż przez moment?

- Wielokrotnie. W istocie aż do chwili obecnej myślała pani o mnie z zaciekawieniem.

- Prawdę mówiąc, w ogóle o panu nie myślałam.

- Znowu mówi pani nieprawdę. Zastanawiam się, czy młoda dama, do tego stopnia lekceważąca prawdę jak pani, nadaje się na nauczycielkę małej Alvean.

- Ponieważ jest pan przyjacielem rodziny, najlepiej będzie, jeśli ich pan natychmiast przede mną ostrzeże.

- Jakież by to było smutne, gdyby Connan oddalił guwernantkę swojej córki! Błąkałbym się po tym lesie samotnie, bez nadziei na jej spotkanie.

- Widzę, że lubi pan żartować.

- To prawda. - Spoważniał. - Mój brat też lubił się wygłupiać. Jedyną odpowiedzialną osobą w naszej rodzinie jest moja siostra.

- Miałam okazję już ją poznać.

- Oczywiście. Ona jest stałym gościem w Mount Mellyn. Uwielbia małą Alvean.

- Mieszka w bliskim sąsiedztwie.

- I my również, panno Leigh, będziemy bliskimi sąsiadami. Jak się to pani podoba?

- Niespecjalnie.

- Panno Leigh, jest pani równie okrutna jak nieprawdomówna! Miałem nadzieję, że okaże mi pani trochę wdzięczności za moje zainteresowanie pani osobą. Chcę powiedzieć, że gdyby pani stwierdziła któregoś dnia, iż ma pani dość pobytu w Mount Mellyn, wystarczy, by się pani przespacerowała do Mount Widden. Z największą chęcią pani pomogę. Jestem przekonany, że wśród grona

moich znajomych zawsze znajdzie się ktoś, kto akurat będzie potrzebował guwernantki.

- Dlaczego miałabym mieć dość pobytu w Mount Mellyn?

- Ten dom to grobowiec. Connan to arogancki facet, Alvean każdemu daje w kość, a atmosfera tego miejsca od śmierci Alice jest odstręczająca.

Odwróciłam się nagle do niego i zapytałam:

- Kazał mi pan strzec się Alice. Co chciał pan przez to powiedzieć?

- A więc pani pamięta?

- To było dość niezwykle ostrzeżenie.

- Alice nie żyje - odparł - ale w jakiś sposób nadal jest w tym domu obecna. Takie zawsze odnoszę wrażenie, ilekroć przebywam w Mount Mellyn. Nic już nie jest tak, jak było, od dnia, w którym... odeszła.

- Na co umarła? Co jej się stało?

- Nie słyszała pani tej historii?

- Nie.

- Byłem pewien, że pani Polgrey lub jedna z tych służących już ją pani opowiedziały. Ale jak widać, jeszcze nie zdążyły. Pewnie powstrzymuje je strach przed guwernantką.

- Chętnie usłyszę tę historię.

- Jest to bardzo zwykła historia. Zdarza się w wielu małżeństwach. Żona stwierdza w pewnym momencie, że nie wytrzyma dłużej z mężem. Ucieka... z innym mężczyzną. Jak pani widzi, dość banalne wydarzenie. Z tą różnicą, że przygoda Alice miała inne zakończenie. - Spoglądał na czubki swoich butów, tak jak wtedy w pociągu, w drodze do Liskeard. - Tym drugim mężczyzną był nie kto inny, tylko mój brat - dokończył.

- Geoffry Nansellock! - wykrzyknęłam.

- A więc słyszała pani o nim.

Pomyślałam o Gillyflower, której urodzenie wpędziło jej matkę w taką depresję, że wybrała samobójczą śmierć w morskich falach.

- Tak - odparłam. - Słyszałam o Geoffrym Nansellocku. Był znanym bałamutem.

- To za ostre słowo w odniesieniu do biednego starego Geoffry'ego. On uosabiał urok... niektórzy mówią, że cały urok naszej rodziny. - Uśmiechnął się. - Inni natomiast twierdzą, że i tak za mało

mu się dostało. To nie był zły facet. Lubilem starego Geoffa. Miał wielką słabość do kobiet. Kochał kobiety, nie umiał im się oprzeć. A kobiety kochają mężczyzn, którzy darzą je uczuciem. Czy można oprzeć się miłości? To jest przecież wyraz uznania, czy nie mam racji? Jedna po drugiej padały ofiarą jego uroku.

- Nie zawahał się również przed tym, by wciągnąć w poczet swoich ofiar zamężną kobietę.

- Mówi pani jak prawdziwa guwernantka. Niestety, moja droga panno Leigh, jak się okazało, istotnie się nie zawahał, ponieważ Alice była jedną z nich. Jest prawdą, że nie wszystko się dobrze układało w Mount Mellyn. Czy pani zdaniem Connan jest człowiekiem łatwym we współżyciu?

- Nie przystoi guwernantce rozmawiać w ten sposób o swoim chlebodawcy.

- Cóż za przekorna z pani osoba, panno Leigh! Pani wykorzystuje swoją sytuację. Zasłania się pani pozycją guwernantki, kiedy to jest dla pani wygodne, po czym żąda, by fakt ten poszedł w zapomnienie, jeżeli pani sobie tego nie życzy. Moim zdaniem każdy, kto żyje w jakimś domu, powinien znać jego tajemnice.

- Cóż to za tajemnice? Nachylił się ku mnie bliżej.

- Alice bała się Connana. Zanim za niego wyszła, знаła już mego brata. Ona i Geoffry znajdowali się w tym pociągu... uciekali razem.

- Rozumiem. - Odsunęłam się od niego, ponieważ wydawało mi się niestosowne rozmawiać w ten sposób o minionych skandalach, tym bardziej że te afery w ogóle mnie nie dotyczyły.

- Zidentyfikowano Geoffry'ego, chociaż był zupełnie zmasakrowany. Obok niego znajdowały się zwłoki kobiety, ale tak zwęglone, że nie można było rozpoznać, kto to jest. Znaleziono tylko medalion, który miała na szyi. To umożliwiło jej zidentyfikowanie... do tego dochodził jeszcze fakt, że Alice zniknęła.

- Jakaż to straszna śmierć!

- Surowa guwernantka jest wstrząśnięta, ponieważ biedna Alice zginęła w momencie, gdy zamierzała zawrzeć grzeszny związek z moim czarującym, ale lekkomyślnym bratem.

- Czy była aż tak bardzo nieszczęśliwa w Mount Mellyn?

- Poznała pani Connana. Proszę nie zapominać, że kiedyś była zakochana w Geoffrym, a Geoffry mieszkał w bliskim sąsiedztwie.

Wyobrażam sobie, że dla Alice taka sytuacja musiała być nie do zniesienia.

- To bardzo tragiczna historia - stwierdziłam żywo. - Ale należy już do przeszłości. Dlaczego pan powiedział: „strzeż się Alice”, tak jakby ona jeszcze żyła?

- Jest pani osobą zdrową na umyśle, panno Leigh. Mam rację? Oczywiście, że pani jest. Jak na guwernantkę odznacza się pani również wyjątkowo dużym rozsądkiem. Niesamowite domysły nie wywrą na pani wrażenia.

- Jakie niesamowite domysły?

Uśmiechnął się do mnie, podchodząc jeszcze bliżej. Wiedziałam, że niedługo zapadnie zmrok, i chciałam jak najszybciej wrócić do domu. Zaczęłam się niecierpliwić.

- Rozpoznali jej medalion, ale nie jej ciało. Są tacy, którzy nie wierzą, że Alice zginęła w tym wypadku razem z Geoffrym.

- Jeżeli tak rzeczywiście było, to gdzie ona się teraz podziewa?

- W tym cały sęk. To właśnie pytanie zadają sobie niektórzy. Dlatego dom w Mount Mellyn jest nawiedzany przez duchy.

Podniosłam się z miejsca.

- Muszę wracać. Zaraz robi się ciemno.

Stał obok mnie, trochę ode mnie wyższy, i jego oczy spotkały się z moim wzrokiem.

- Sądziłem, że powinna pani wiedzieć o tych rzeczach - odezwał się prawie miękko. - Uczciwość wymaga, by została pani o tym poinformowana.

Zaczęłam iść w kierunku domu.

- Moim obowiązkiem jest opieka nad Alvean - odpowiedziałam cokolwiek szorstko. - Żaden inny cel nie wchodzi tu w rachubę.

- Ale skąd guwernantka, nawet tak niezwykle rozsądna jak pani, może wiedzieć, jaką los wyznaczył jej rolę?

- Wydaje mi się, że wiem, czego ode mnie oczekują. Byłam lekko zatrwożona, ponieważ wciąż mnie nie odstępował i szedł przy moim boku. Chciałam od niego uciec, by zostać sam na sam ze swymi myślami. Miałam wrażenie, że ten mężczyzna podrywa moją ceną godność, której czepiałam się z determinacją właściwą osobom żyjącym w stałej obawie przed utratą tej resztki, jaka im jeszcze została. Zazartował sobie ze mnie wtedy w pociągu. Czułam, że teraz tylko czeka na okazję, by powtórzyć tę sztuczkę.

- Jestem tego pewien.
- Nie musi mnie pan odprowadzać do domu.
- Mam odmienne zdanie. Są wszelkie powody.
- Sądzi pan, że nie potrafię się sobą zaopiekować?
- Myślę, że nikt od pani lepiej tego nie potrafi. Ale tak się składa, że udaję się z wizytą, a ta ścieżka wiedzie wprost do tego domu.

Milczałam przez całą drogę do Mount Mellyn. Connan TreMellyn wychodził ze stajni.

- Halo, cześć Con! - krzyknął Peter Nansellock.

Connan TreMellyn spojrział na nas z lekkim zdziwieniem. Jak przypuszczałam, zaskoczyło go, iż zobaczył nas razem.

Pośpiesznie podążyłam do tylnego wejścia.

* * *

Nie mogłam zasnąć tej nocy. Wydarzenia minionego dnia tłoczyły się w moim mózgu, a na obrane, który przesuwiał się przed moimi zamkniętymi powiekami, widziałam siebie i Connana TreMellyna, wizerunek Alvean i Celestine oraz scenę w lesie z Peterem Nansellockiem.

Wiatr tej nocy dał z dużą mocą, tak iż słyszałam fale rozbijające się na dole o brzeg w zatoce Mellyn.

W tym stanie ducha nic dziwnego, że wydawało mi się, iż słyszę dobiegające mnie stamtąd szepty, w których rozróżnić można było pytanie: „Alice, Alice! Gdzie jest Alice? Alice, gdzie jesteś?”

Rozdział 3

Z nastaniem ranka przywidzenia ostatniej nocy wydały mi się niemądrymi urojeniami. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego tak wielu ludzi - nie wyłączając mnie - dopatruje się tajemnicy w wydarzeniach, jakie miały miejsce w tym domu. To była przecież dość banalna historia.

Rozumiałam chyba, na czym to polega. Kiedy ludzie rozpamiętują dzieje takiej staroświeckiej siedziby jak Mount Mellyn, zaczyna im się wydawać, że gdyby miała zdolność mówienia, mogłaby ujawnić wiele niezwykłych tajemnic. Myślą o pokoleniach, które w tych murach żyły i cierpiały, i puszczają wodze fantazji. Kiedy więc pani tego domostwa ginie w tragicznym wypadku, zaczynają sobie wyobrażać, że jej duch błądzi po domu i że chociaż umarła, nadal w nim pozostaje. No cóż, jestem wrażliwą kobietą, jak z tego wynika. Alice zginęła w wypadku kolejowym i taki był jej koniec.

Uśmiełam się z własnej naiwności, która podsuwała mi takie bzdurne myśli. Czyż Daisy i Kitty nie powiedziały, że owe szepty, które słyszę nocą, to jedynie szum fal rozbijających się o brzeg zatoki, tam w dole?

Postanowiłam, że już nigdy odtąd nie pozwolę dać się tak rozhuścić swojej wyobraźni.

Pokój był zalany słońcem, a mój nastrój harmonizował z atmosferą jasnego poranka. Nigdy przedtem nie budziłam się z uczuciem takiego ożywienia. Przepęlniała mnie energia. Rozumiałam, dlaczego tak jest. Powodem mego radosnego samopoczucia był mężczyzna, Connan TreMellyn. Nie chodziło o to, że mi się podobał - wręcz przeciwnie - ale czułam się, jakby mnie wyzwał na pojedynek, który muszę stoczyć i wygrać. Okażę się dobrym pedagogiem. Zrobię z Alvean nie tylko wzorową uczennicę, ale również pełną uroku, naturalną, niezastraszoną dziewczynkę.

Było mi tak wesoło na duszy, że mimo woli zaczęłam nucić z cicha.

Come Into the Garden, Maud... Często śpiewał to mój ojciec, gdy Phillidzie akompaniował na pianinie. Moja siostra bowiem, oprócz innych zalet, miała także piękny głos. Następnie przyszła mi na pamięć Sweet and Love i na chwilę zapomniałam o Mount Mellyn.

Ujrzałam swój stary rodzinny dom i ojca przy fortepianie, w okularach, które stale zsuwały mu się z nosa, gdy stopami obutymi w ranne pantofle naciskał z całej siły pedały.

W pewnym momencie złapałam się na tym, że nucę piosenkę zasłyszaną od Gilly w lesie: Alice, where art thou....

- Och! nie, tylko nie to - nakazałam sobie surowo. Usłyszałam stukot końskich kopyt i podeszłam do okna, by wyrzeć na zewnątrz. Nie zobaczyłam nikogo. Trawniki pokryte poranną rosą wyglądały pięknie i świeżo. Cóż za uroczy widok! - pomyślałam. Palmowe drzewa przydawały mu jeszcze egzotycznego akcentu. Był to jeden z tych poranków, w których cała przyroda zapowiada piękny dzień.

- Mamy chyba ostatni piękny dzień tego lata - powiedziałam głośno. Otworzyłam szeroko okno i wychyliłam się za parapet. Grube miedziane warkocze, które do snu przewiązałam na końcach niebieską wstążką, kołysały się przy każdym moim ruchu.

Zaczęłam ponownie nucić Sweet and Love, kiedy zobaczyłam Connana TreMellyna. Wychodził ze stajni.

Dostrzegł mnie, zanim zdążyłam się cofnąć w głąb pokoju. Zażenowana, zaczerwieniłam się na myśl, że zobaczył mnie z rozpuszczonymi włosami i w nocnej koszuli.

- Dzień dobry, panno Leigh! - zawołał wesoło.

W tym momencie uświadomiłam sobie, że to musiał być jego koń, ten, którego stukot kopyt słyszałam. Był zatem w siodle od świtu, a niewykluczone, że spędził poza domem całą noc. Przypuszczałam, że składał wizytę którejś z wesołych panienek, jeżeli takowe znajdowały się w okolicy. Takie miałam o nim zdanie. Gniewało mnie, że nie robił wrażenia zakłopotanego, gdy ja tymczasem płonęłam ze wstydu na całym ciele.

- Dzień dobry - odparłam sucho.

Szedł szybkim krokiem przez trawnik, przypuszczalnie chcąc mnie bliżej obejrzeć w nocnej szacie i tym samym wprawić w jeszcze większe zakłopotanie.

- Piękny poranek! - wykrzyknął.

- Prześliczny! - odkrzyknęłam.

Cofnęłam się w głąb pokoju; usłyszałam jeszcze, jak woła:

- Dzień dobry, Alvean, ty też już wstałaś?

Stałam w tej chwili dalej od okna. Dobięły mnie słowa Alvean.

- Dzień dobry, tatusiu. - Powiedziała to miękko i łagodnie, z odcieniem tej rzewnej tęsknoty, która dźwięczała w jej głosie, gdy mówiła o ojcu poprzedniego dnia.

Wiedziała, iż się cieszy, że go widzi; obudziła się na dźwięk jego słów i natychmiast podbiegła do okna w nadziei, że on się zatrzyma i porozmawia z nią. Dla Alvean byłoby to największym szczęściem.

Nie zrobił jednak nic takiego. Zniknął w głębi domu. Stałam przed lustrem i przyjrzałam się swemu odbiciu. Stwierdziłam, że mam wygląd nieciekawy i pozbawiony jakiejkolwiek dystynkcji. Ale czyż mogłam wyglądać inaczej w tej różowej flanelowej koszuli, zapiętej wysoko pod szyją, z rozpuszczonymi włosami i policzkami jeszcze w tej chwili przypominającymi barwą mój nocny strój?

Włożyłam szlafrok i odruchowo skierowałam się przez salę lekcyjną do pokoju Alvean. Otworzyłam drzwi i stanęłam na progu. Dziewczynka siedziała okrakiem na krześle i przemawiała do siebie głośno:

- Naprawdę nie masz się czego obawiać. Musisz tylko trzymać się mocno i nie bać się... wtedy nic ci się nie stanie. Nie spadniesz.

Była tym tak pochłonięta, że nie usłyszała, jak otwieram drzwi. Stałam w progu i obserwowałam ją przez dłuższą chwilę. Nie widziała mnie, ponieważ była odwrócona tyłem.

Scena ta dała mi dużo do myślenia. TreMellyn był świetnym jeźdźcem i pragnął, by jego córka również wyrosła na znakomitą amazonkę; Alvean jednak, która tak rozpaczliwie łaknęła jego uznania, panicznie bała się koni.

Postąpiłam krok naprzód, chcąc się do niej odezwać i powiedzieć, że nauczę ją jeździć. Sama dobrze jeździłam konno. Na wsi zawsze były u nas konie. Phillida i ja, już jako pięcioletnie dziewczynki, brałyśmy udział w zawodach konnych.

Zawahałam się jednak, ponieważ zaczynałam rozumieć Alvean. To była nieszczęśliwa istota. Jej tragedia miała wieloraki wymiar. Przede wszystkim straciła matkę, co dla dziecka jest zawsze największym nieszczęściem. Ale dramat ten pogłębiała dodatkowo obojętność uwielbianego ojca, który lekceważył jej uczucie.

Cichutko zamknęłam drzwi i wróciłam do swego pokoju. Promienie słońca błędziły po dywanie, a w mej duszy ponownie zagościła stłumiona chwilowo radość. Muszę dopiąć swego. Muszę

wykazać się sukcesem w tej pracy. Będę walczyć z Connanem TreMellynem, jeżeli pragnie tej walki. Sprawię, że będzie dumny ze swojej córki. Zmuszę go do tego, by zaczął okazywać jej miłość, do której ma wszelkie prawo i której tylko człowiek bez serca może jej odmówić.

* * *

Lekcje szły nam opornie tego ranka. Alvean spóźniła się na zajęcia, ponieważ zgodnie z tradycją rodzinną jadła śniadanie z ojcem. Wyobraziłam ich sobie przy wielkim stole, w pokoju, który, jak się domyślałam, służył za jadalnię, kiedy nie było gości. Nazywano go małą jadalnią, ale była mała jedynie jak na standardy Mount Mellyn.

TreMellyn przypuszczalnie czytał gazety albo przeglądał korespondencję. Alvean siedziała przy drugim końcu stołu, z utęsknieniem wyczekując z ust ojca chociaż jednego słowa, ale on oczywiście skąpił jej go samolubnie.

Zmuszona byłam posłać po nią z żądaniem, by stawiała się na lekcje. Niechętnie zastosowała się do mego polecenia.

Starłam się prowadzić zajęcia w sposób możliwie jak najatrakcyjniejszy i chyba udało mi się osiągnąć cel. Pomimo bowiem swej urazy do mnie żywo interesowała się wykładem z historii i geografii, zaplanowanym na dzisiejszy dzień.

Obiad zjadła w towarzystwie ojca, gdy ja tymczasem spożyłam posiłek samotnie w sali lekcyjnej. Po obiedzie postanowiłam porozmawiać z Connanem TreMellynem.

Zastanawiałam się właśnie, gdzie go znaleźć, kiedy zobaczyłam, że wychodzi z domu i idzie w kierunku stajen. Natychmiast pospieszyłam za nim. Będąc już niedaleko, usłyszałam, jak wydaje polecenie Billy'emu Trehayowi, by przygotował mu Royal Russeta pod siodło.

Zdziwił się na mój widok, ale zaraz się uśmiechnął. Byłam pewna, że przypomniał sobie, jak wyglądałam rano w oknie w nocnej koszuli.

- Kogo ja widzę! - zawołał. - Panna Leigh.

- Chciałam zamienić z panem kilka słów - oznajmiłam sucho. - Ale może wybrałam niewłaściwy moment?

- To zależy - odrzekł - ile słów pragnie pani zamienić. - Wyciągnął zegarek i sprawdził godzinę. - Mogę poświęcić pani pięć minut.

Widziałam, że Billy Trehay przysłuchuje się naszej rozmowie, a wolałam, by w razie, gdyby Connan TreMellyn mnie ofuknął, żaden służący nie był tego świadkiem.

Dziedzic Mount Mellyn zaproponował:

- Przejdźmy się trochę, panno Leigh. Billy, masz być gotów za pięć minut.

- Tak jest, jaśnie panie - odparł Billy.

Connan TreMellyn odszedł od stajni; ja trzymałam się z tyłu za nim o krok.

- W dzieciństwie nie schodziłam prawie z siodła - zagałam. - Mam wrażenie, że Alvean pragnie nauczyć się jeździć konno. Chciałabym prosić, by mi pan pozwolił udzielać jej lekcji konnej jazdy.

- Pozwalam pani próbować, panno Leigh - zgodził się.

- Odnoszę wrażenie, że pan nie wierzy, iż moje starania odniosą pozytywny skutek.

- Obawiam się, że tak.

- Nie rozumiem, jak pan może wątpić w moje pedagogiczne umiejętności, skoro jeszcze nie miał pan okazji ich sprawdzić.

- Och, panno Leigh! - odparł z ironią. - Nie zrozumiała mnie pani. Ja nie podaję w wątpliwość pani umiejętności. Moje obiekcje dotyczą bystrości Alvean.

- Pragnie pan przez to powiedzieć, że inni też ją uczyli i że się im nie udało?

- Mnie się nie udało.

- Ale z pewnością...

- To dziwne - powiedział, unosząc dłoń - skąd taki lęk u tego dziecka. Większości dzieci ta umiejętność przychodzi prawie automatycznie. Jest dla nich tak naturalna jak oddychanie.

Mówił tonem ostrym, z wyrazem surowości na twarzy. Miałam ochotę wykrzyknąć mu w twarz: „Cóż z pana za ojciec!” Wyobraziłam sobie te lekcje, ten brak zrozumienia i te wygórowane oczekiwania. Nic dziwnego, że dziewczynka się bała.

Ciągnął dalej:

- Są osoby, które nigdy nie nauczą się jeździć konno. Zanim zdążyłam się ugryźć w język, wypaliłam:

- Są osoby, które nie potrafią nauczać.

Zatrzymał się i spojrzał na mnie zaskoczony. Wiedziałałam, że nikt nigdy w tym domu nie ośmielił się odezwać do niego w ten sposób.

Pomyślałam: Stało się. Powie mi teraz, że zwalnia mnie z posady. Mam pod koniec miesiąca pakować manatki i wyjeżdżać.

Był wyraźnie wściekły. Widać było, że z trudem stara się opanować gniew. Spoglądał na mnie nadal, ale nic nie mogłam odczytać z jego jasnych, zimnych oczu. Byłam przekonana, że kryją w sobie głęboką pogardę. Następnie spojrzał w kierunku stajni.

- Przepraszam panią, ale na mnie już czas - powiedział i odszedł.

* * *

Pośpieszyłam wprost do Alvean. Znalazłam ją w sali lekcyjnej. Spojrzenie miała harde i ponure. Domyślałam się, że widziała, jak rozmawiam z jej ojcem.

Przystąpiłam od razu do rzeczy:

- Twój ojciec zgodził się, bym uczyła cię jeździć konno. Co ty na to, Alvean?

Twarz jej stężała, a we mnie zamarło serce. Czy można nauczyć dziecko, które boi się do tego stopnia? Szybko ciągnęłam dalej, by nie zdążyła mi przerwać:

- Kiedy ja i moja siostra byłyśmy w twoim wieku, uwielbiałyśmy jeździć konno. Moja siostra jest o dwa lata młodsza ode mnie i wspólnie brałyśmy udział w konkursach hipicznych w naszej wsi. Było to dla nas zawsze pasjonujące przeżycie.

- Tutaj też odbywają się takie zawody - poinformowała mnie Alvean.

- To wielka przyjemność. A kiedy się już raz opanuje tę sztukę, to doprawdy nie ma łatwiejszego sportu.

Milczała przez chwilę, po czym rzekła:

- Wszystko na nic. Nie lubię koni.

- Nie lubisz koni?! - Byłam wstrząśnięta tym wyznaniem. - Dlaczego? Przecież konie są najłagodniejszymi stworzeniami na świecie!

- Nieprawda. One mnie nie lubią. Jeździłam na Grey Mare; ta nagle poniosła i w ogóle nie chciała się zatrzymać.

Gdyby Tapperty nie złapał jej za uzdę, byłaby mnie zabiła.

- Grey Mare to nie jest wierzchowiec dla ciebie. Powinnaś zaczynać od jazdy na kucyku.

- Potem dano mi Buttercup. Też była zła, ale w inny sposób. Wcale mnie nie słuchała. Stała w miejscu, skubała liście krzaków na poboczu i za nic nie chciała ruszyć z miejsca, mimo iż szarpałam ją i szarpałam. Ale kiedy Bill Trehay rozkazał: „Ruszaj, Buttercup!”, zostawiła krzaki i poszła. Tak jakby chciała pokazać, że nie ma zamiaru mnie słuchać.

Zaśmiałam się, a ona spojrzała na mnie z nienawiścią. Zapewniłam ją, że konie zachowują się w ten sposób tylko wtedy, kiedy nie rozumieją dobrze człowieka. Ale kiedy już nauczą się odgadywać myśli swego pana, wtedy nie ma od nich wierniejszego przyjaciela.

W oczach Alvean pojawił się wyraz tęsknoty. Ucieszyło mnie to spojrzenie, ponieważ utwierdziło w przekonaniu, że źródłem jej agresywności jest ogromne osamotnienie i pragnienie miłości.

- Posłuchaj, Alvean, chodźmy teraz do stajni i podejmijmy próbę - zaproponowałam. - Zobaczymy, jaki skutek przyniosą nasze wspólne wysiłki.

Potrząsnęła głową i spojrzała na mnie nieufnie. Wyraźnie wietrzyła jakiś podstęp z mojej strony. Podejrzewała, że chcę ją ukarać za niegrzeczne zachowanie, wystawiając umyślnie na pośmiewisko. Miałam ochotę ją objąć, ale wiedziałam, że to nie jest sposób na Alvean.

- Zanim zaczniesz jeździć, musisz nauczyć się jednego - ciągnęłam dalej, jakby nie zauważając jej gestu. - Musisz polubić swego konia. Wtedy przestaniesz się go bać. A z chwilą, gdy lęk przed zwierzęciem cię opuści, twój koń zacznie cię kochać. Zrozumie, że jesteś jego panem, a koń chce mieć pana. Ale ten pan musi być czuły i kochający.

Słuchała mnie teraz z większą uwagą.

- Kiedy taki koń jak Grey Mare zaczyna ponosić, znaczy to, że się przestraszył. On boi się nie mniej od ciebie i tym gwałtownym galopem wyraża swój strach. W żadnym wypadku nie wolno okazać koniowi, że się go boisz. Wystarczy szepnąć mu do ucha: „W porządku, Grey Mare... jestem przy tobie”. Co zaś do Buttercup, to jest z niej złośliwy stary kucyk. Jest leniwa i wie, że ma nad tobą przewagę, więc cię nie słucha. Ale kiedy już raz dasz jej poznać, że ty jesteś jej panem, będzie ci posłuszna. Widziałaś, jak zachowała się wobec Billy'ego Trehaya.

- Nie orientowałam się, że Grey Mare się mnie boi - zauważyła.
- Twój ojciec chce, byś nauczyła się jeździć konno - oświadczyłam.

Nie powinnam jej była tego powiedzieć. Przypomniało jej to dawne urazy, strach i upokorzenie. Zobaczyłam, jak zmienia się na twarzy, jak w jej oczach na nowo pojawia się wyraz lęku. Po raz kolejny ogarnął mnie gniew na tego aroganta, który tak lekceważył uczucia swego dziecka.

- Czy to nie byłoby zabawne - zasugerowałam - zrobić mu niespodziankę... Chodzi mi o to... że, przypuśćmy, nauczysz się jeździć i skakać przez przeszkody, i galopować, a wszystko w tajemnicy przed nim. To będzie sekret... do czasu, kiedy się przekona o tym na własne oczy.

Radość, jaka rozbłysła w jej oczach, sprawiła mi dotkliwy ból. Trudno mi było wprost uwierzyć, że ojciec może tak skąpić dowodów miłości własnemu dziecku.

- Alvean - powtórzyłam - spróbujmy.

- Dobrze - zgodziła się. - Spróbujemy. Pójdę i przebiorę się w kostium do konnej jazdy.

Wydałam okrzyk żałości. Nagle sobie uprzytomniłam, że przecież nie mam odpowiedniego stroju. Podczas pobytu u ciotki Adelajdy nigdy go nie wkładałam. Ciotka Adelajda nie jeździła konno, w związku z czym nie była zapraszana na wieś na polowania. Nie miałam więc okazji popisywać się swymi jeździeckimi umiejętnościami. Uprawianie zaś tego sportu w Rotten Row nie było na moją kieszeń. Kiedy ostatnio przeglądałam swój kostium, zobaczyłam, że dobrały się do niego mole. Dałam za wygraną. Sądziłam, że już mi nie będzie potrzebny.

Alvean czekała, co powiem, wyznałam więc zmieszana:

- Nie mam kostiumu.

Mina jej zrzędnęła, ale za chwilę oczy jej się rozjaśniły.

- Niech pani pójdzie ze mną - poleciła. Zachowywała się niemal jak spiskowiec, a ja cieszyłam się z naszej nowej zażyłości. Wierzyłam, że przyczyni się do zawarcia między nami trwalszej przyjaźni.

Przeszliśmy galerię i znalazłyśmy się w tej części domu, która, jak poinformowała mnie swego czasu pani Polgrey, była przeznaczona dla państwa. Alvean zatrzymała się na dłużej przed

jednym wejściem. Odniosłam wrażenie, jakby zabrakło jej odwagi, by otworzyć drzwi. W końcu rozwarła je szeroko, a sama stanęła z boku, by mnie przepuścić. Wyraźnie pragnęła, bym weszła pierwsza.

Był to mały pokój, którego wygląd wskazywał na ubieralnię. Znajdowało się w nim długie lustro, wysoka komoda, mniejsza komódka z szufladami oraz dębowa skrzynia. Jak w większości pokoi w Mount Mellyn i w tym także było dwoje drzwi, ponieważ pokoje w galerii, jak się okazało, miały układ amfiladowy. Drzwi do drugiego pomieszczenia były lekko uchylone. Alvean podeszła do nich i popatrzyła na sąsiedni pokój. Zrobiłam to samo.

Za ubieralnią znajdowała się sypialnia. Było to wielkie pomieszczenie, wspaniale umeblowane, z podłogą wyłożoną błękitnym dywanem i zasłonami z niebieskiego aksamitu. Łoże miało baldachim i chociaż było imponującej wielkości, wydawało się małe w tej ogromnej sypialni.

Alvean najwyraźniej nie podobało się moje zainteresowanie tym apartamentem. Podeszła do drzwi łączących oba pomieszczenia i zatrzasnęła je.

- W tych skrzyniach i komodach - oznajmiła - jest mnóstwo ubrań. Z pewnością znajdzie się tam również kostium do konnej jazdy. Na pewno wybierze pani coś dla siebie.

Uniosła wieko skrzyni. Nigdy przedtem nie widziałam jej tak ożywionej. Byłam tak zadowolona, iż znalazłam wreszcie klucz do jej uczuć, że pozwoliłam, by mną kierowała.

W skrzyni znajdowały się ubrania, spódnice, kapelusze i buty. Alvean pośpiesznie mówiła dalej:

- Na strychu jest mnóstwo ubrań. Wielkie kufry pełne różnych strojów. Należały do babci i prababci. Wkładały je, kiedy w domu odbywały się przyjęcia, i zabawiały się w różne gry.

Wzięłam czarny bobrowy kołpak - wyraźnie będący częścią stroju do konnej jazdy. Włożyłam go na głowę, a Alvean roześmiała się niepewnie. Od kiedy znalazłam się w Mount Mellyn, nic nie poruszyło mnie bardziej niż ten śmiech. Był to śmiech dziecka nieprzywykłego do wesołości, dziecka, które śmieje się tak, jakby poczuwało się z tego powodu do winy. Postanowiłam, że będę ją częściej prowokować do wesołości, do śmiechu spontanicznego i swobodnego, w którym nie będzie dźwięczał taki wstydlivy ton.

Nagle przestała się śmiać, jakby sobie uzmysłowiła, w jakim miejscu się znajduje.

- Wygląda pani w tym tak zabawnie - orzekła. Przyjrzałam się sobie w dużym lustrze. Rzeczywiście byłam niepodobna do siebie. Oczy mi błyszczały, a włosy w zestawieniu z czernią kapelusza wyglądały jak prawdziwa miedź. Doszłam do wniosku, że wyglądam nieco ciekawiej niż zazwyczaj i to zapewne Alvean miała na myśli, używając słowa „zabawnie”.

- Zupełnie nie jak guwernantka - wyjaśniła, wyciągając ze skrzyni suknię. Był to kostium do konnej jazdy z czarnej wełny, ozdobiony galonem i frędzelkami. Miał niebieski kołnierz i niebieskie mankiety i był doskonale skrojony.

Przyłożyłam kostium do siebie.

- Wydaje mi się - stwierdziłam - że powinien pasować.

- Niech go pani przymierzy - doradziła Alvean. - Po czym dodała: - Nie, nie tutaj. Niech go pani zabierze do swego pokoju i tam włoży.

Sprawiała wrażenie, jakby pragnęła co prędzej opuścić to miejsce. Pochwyciła kołpak i pobiegła do drzwi. Sądziłam, że chce, byśmy niezwłocznie przystąpiły do lekcji. Czasu nie było za wiele; o czwartej musiałyśmy wrócić na podwieczorek.

Podniosłam suknię, wzięłam od niej czapkę i udałam się do swego pokoju. Alvean poszła do siebie. Znalazłszy się w swej sypialni, natychmiast przymierzyłam kostium.

Nie leżał na mnie zbyt idealnie, ale ponieważ nie miałam kosztownych strojów, gotowa byłam przymknąć oczy na to, że był trochę przyciasny w talii i miał nieco za krótkie rękawy. Były to drobiazgi w porównaniu z wizerunkiem nowej kobiety, która teraz spoglądała na mnie ze zwierciadła. Kiedy jeszcze włożyłam na głowę bobrowy kołpak, byłam już zupełnie zadowolona ze swego wyglądu.

Pobiegłam do pokoju Alvean; czekała już na mnie przebrana w swój jeździecki kostium. Kiedy mnie zobaczyła, oczy jej rozblęły; przyglądała mi się z wyraźną ciekawością.

Udałyśmy się do stajen, gdzie poleciłam Billy'emu Trehayowi, by osiodłał dla Alvean Buttercup oraz jakiegoś konia dla mnie, ponieważ wybieramy się pojeździć konno.

Przyglądał mi się z pewnym zdziwieniem, ale go ponagliłam, oświadczając, że mamy mało czasu i musimy niezwłocznie wyruszyć.

Kiedy Alvean siedziała już na grzbiecie Buttercup, wzięłam jej konia za uzdę i pojechałyśmy na maneż.

Spędziłyśmy tam prawie godzinę. Gdy opuszczałyśmy ujeżdżalnię, wiedziałam, że między mną a Alvean nawiązała się już pierwsza nić przyjaźni. Jeszcze mnie całkowicie nie zaakceptowała - to byłoby zbyt wygórowane żądanie - ale wierzyłam, że zrozumiała tego popołudnia, iż nie jestem jej wrogiem.

Podczas pierwszej lekcji skoncentrowałam się głównie na tym, by wyrobić w niej poczucie pewności siebie. Osiągnęłam to, że przestała się już trzymać tak sztywno w siodle i nawiązała kontakt z koniem. Udało mi się ją nakłonić, by wyciągnęła się na wznak na grzbiecie Buttercup i w tej pozycji spojrzała w niebo, a potem zamknęła oczy. Uczyłam ją, jak należy wsiadać na wierzchowca i zsiadać z niego. Buttercup całą godzinę tylko chodziła w kółko po maneżu, ale pod koniec ćwiczeń miałam już pewność, że Alvean w dużej mierze pozbyła się lęku przed końmi. A to był główny cel pierwszej lekcji.

Byłam zaskoczona, gdy się okazało, że jest wpół do czwartej. Myślę, że Alvean również miała podobne uczucie.

- Musimy wracać do domu - oświadczyłam - jeżeli chcemy zdążyć przebrać się przed podwieczorkiem.

Gdy wracałyśmy z maneżu, jakaś postać podniosła się z trawy. Ku swemu ogromnemu zdziwieniu zobaczyłam Petera Nansellocka.

Kiedy podjechałyśmy bliżej, powitał nas oklaskami.

- Oto i koniec pierwszej lekcji - wykrzyknął - i to jakiej! Nie wiedziałem - ciągnął, zwracając się do mnie - że wśród swoich licznych talentów ma pani również umiejętność jazdy na koniu.

- Obserwowałeś nas, wujku Peterze? - dopytywała się Alvean.

- Przez ostatnie pół godziny. Trudno wyrazić słowami mój podziw dla ciebie i panny Leigh.

Alvean uśmiechnęła się lekko.

- Naprawdę nas podziwiałeś?

- Tak bardzo, że nie mogłem oprzeć się pokusie, by nie złożyć dwom pięknym damom wyrazów uznania - oświadczył, kładąc rękę na sercu i kłaniając się wytwornie. - Zawsze byłem prawdomówny.

- Tylko do tej chwili - zauważyłam cierpko. Alvean zrzędnęła mina, więc dodałam:

- Nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że ktoś uczy się jeździć. Tysiące osób codziennie uprawia ten sport.

- Ale nigdy nie widziałem, by uczono go z takim wdziękiem, ani nigdy nie widziałem równie cierpliwej uczennicy.

- Twój wujek, Alvean, to niezły żartowniś - zauważyłam.

- Tak - niemal ze smutkiem potwierdziła Alvean. - Wiem o tym.

- Alvean, musimy się pośpieszyć - ponagliłam ją. - Czekają na nas w domu z podwieczorkiem.

- A czy ja również mogę mieć nadzieję, że zostanę zaproszony na herbatkę do sali lekcyjnej?

- Czyżby pan zamierzał odwiedzić pana TreMellyna? - zapytałam.

- Zamierzam wypić herbatę w waszym towarzystwie, młode damy.

Alvean roześmiała się niespodziewanie. Zauważyłam, że nieuchwytny, jak to określiłam w myślach, urok tego człowieka i na nią wywierał wpływ.

- Pan TreMellyn wyjechał z Mount Mellyn zaraz po południu - poinformowałam go. - Nie jestem pewna, czy już wrócił.

- Myszy tańczą... - powiedział półgłosem, obrzucając zuchwałym, bo inaczej nie potrafiłam tego określić, spojrzeniem mój strój do konnej jazdy.

Powtórzyłam zimno:

- Ruszamy, Alvean, nie możemy dłużej się zatrzymywać, jeżeli chcemy być w domu na czas.

Wprawiłam konia w trucht i trzymając Buttercup za uzdę, ruszyłam w kierunku domu.

Peter Nansellock szedł w ślad za nami. Kiedy dojeżdżałyśmy do stajni, zobaczyłam, że idzie w stronę ganku.

Zsiadłyśmy z koni, oddałyśmy wierzchowce w ręce stajennych chłopców i pośpieszyłyśmy do swoich pokojów.

Zrzuciłam kostium do konnej jazdy i przebrałam się w swój codzienny strój. Kiedy przejrzałam się w lustrze, stwierdziłam, że w moich bawełnianych szarościach prezentuję się wyjątkowo bezbarwnie. Zniechęcona machnęłam ręką i podniosłam kostium z zamiarem powieszenia go w szafie. Postanowiłam, że przy pierwszej nadarzającej się okazji zapytam panią Polgrey, czy mam prawo go nosić. Obawiałam się, że postąpiłam dziś po południu zbyt pochopnie, wkładając go, ale postawa Connana TreMellyna sprowokowała mnie do natychmiastowego działania.

Gdy brałam kostium do ręki, zauważyłam imię wypisane na pasku w talii. Drgnęłam, ponieważ wszystko, co wiązało się z tym imieniem, budziło i, jak przypuszczałam, jeszcze przez dłuższy czas będzie we mnie budzić żywe zainteresowanie. „Alice TreMellyn” widniał wyraźny, małeńki napis na czarnych satynowych wyłogach.

Zrozumiałam. Tamten pokój stanowił jej ubieralnię, a sypialnia, którą przelotnie ujrzałam, należała do niej. Dziwiłam się, że Alvean zdobyła się na to, by mnie tam zaprowadzić, i dała ubranie swej matki.

Miałam uczucie, że serce podchodzi mi do gardła. To nonsens - powiedziałam do siebie. Nie było innej możliwości zdobycia nowoczesnego ubioru do konnej jazdy. Nie znalazłabym go przecież na strychu w kufrach, o których mówiła Alvean. Tam były tylko ubrania noszone w dawnych czasach, przy różnych towarzyskich okazjach.

Zaczynałam tracić zdrowy rozsądek. A dlaczego nie miałabym włożyć na siebie kostiumu Alice? Nie był już jej przecież potrzebny. Czyż nie przywykłam do noszenia używanych rzeczy?

Odważnie wzięłam kostium do ręki i powiesiłam go w szafie.

Coś mnie tknęło, by podejść do okna. Popatrzyłam na długi rząd okiennych otworów, próbując odnaleźć ten, który należał do jej sypialni. Wydawało mi się, że zdołałam go umiejscowić.

Mimo woli przeszedł mnie dreszcz. Szybko się jednak otrząsnęłam z nieprzyjemnego wrażenia. Staralam się siebie przekonać, że Alice byłaby na pewno zadowolona, iż noszę jej kostium. Czyż nie próbuję pomóc jej córce?

Zrozumiałam, że staram się rozproszyć drzemiące we mnie wątpliwości - uznałam to za dowód całkowitego braku rozsądku.

Gdzie podziała się moja zwykła logika? Cokolwiek bym w siebie wmawiała, trudno mi było ukryć zadowolenie z faktu, że ten strój należał właśnie do Alice.

* * *

Kiedy się przebrałam, usłyszałam pukanie do drzwi. Z ulgą stwierdziłam, że jest to pani Polgrey.

- Proszę, niechże pani wejdzie - zapraszałam. - Właśnie się wybierałam z panią pomówić.

Wpłynęła majestatycznie do pokoju, a ja w tym momencie poczułam do niej przyływ autentycznej sympatii. Emanował bowiem

z niej spokój, a jej realistyczne podejście do życia wypierało wszelkie fantazje.

- Uczyłam panienkę Alvean jeździć konno - pośpieszyłam z wyjaśnieniem, zanim zdążyła otworzyć usta. Chciałam jej powiedzieć o ubraniu, nim ona wyjawi, co ją do mnie sprowadza. - Nie miałam kostiumu do konnej jazdy i Alvean wyszukała dla mnie strój, o ile mi wiadomo, w rzeczach jej matki. - Podeszłam do szafy i wyjęłam ubranie.

Pani Polgrey skinęła głową.

- Miałam go na sobie tylko ten jeden raz. Może nie powinnam go była wkładać.

- Czy pan pozwolił pani uczyć ją jeździć konno?

- Naturalnie. Upewniłam się co do tego.

- Wobec tego nie ma się pani czym przejmować. Nie będzie miał nic przeciwko temu, by go pani nosiła. Może go pani trzymać u siebie w pokoju i wkładać, oczywiście tylko wtedy, kiedy będzie pani jeździła z panienką Alvean.

- Dziękuję - odrzekłam. - Uspokoila mnie pani.

Pani Polgrey skinęła głową z aprobatą. Była wyraźnie zadowolona, że zwracam się do niej ze swym małym problemem.

- Pan Nansellock jest na dole - poinformowała mnie.

- Wiem, widziałyśmy go, wchodząc do domu.

- Pan jest nieobecny. A pan Peter prosi, by pani zaprosiła go na herbatę - pani i panienka Alvean.

- Ale czy to wypada?... mam na myśli: czy mnie wypada?

- Sądzę, panno Leigh, że wszystko jest w najzupełniejszym porządku. Pan na pewno by sobie tego życzył, zwłaszcza że jest to prośba pana Petera. Panna Jansen, kiedy u nas była, często pomagała przyjmować gości. Przypominam sobie nawet okazję, kiedy zaproszono ją do stołu.

- Doprawdy? - Miałam nadzieję, że w mym głosie odbiło się należyte zdziwienie.

- Widzi pani, brak pani domu często stwarza trudne sytuacje. A kiedy dżentelmen otwarcie prosi o pani towarzystwo - no cóż, nie widzę w tym nic złego. Powiedziałam panu Nansellockowi, że herbatę podadzą w ponczowym saloniku i że nie wątpię, iż chętnie dotrzyma pani towarzystwa jemu i panience Alvean. Czy ma pani coś przeciwko temu?

- Nie, nie mam żadnych zastrzeżeń. Pani Polgrey uśmiechnęła się łaskawie.

- A zatem zejdzie pani na dół?

- Tak, zejść.

Wyszła z pokoju równie majestatycznie, jak weszła, a ja uśmiechnęłam się z zadowoleniem. Ten dzień układał się naprawdę miło.

* * *

Kiedy zeszłam do ponczowego saloniku, Alvean jeszcze nie było, ale Peter Nansellock siedział już rozparty na jednym z wyściełanych krzeseł.

Zerwał się z siedzenia na mój widok.

- Jak to dobrze!

- Pani Polgrey zakomunikowała mi, że mam czynić honory pod nieobecność pana TreMellyna.

- Jakże to w pani stylu przypominać mi, że jest pani tylko guwernantką!

- Muszę to panu przypominać - odparłam - ponieważ mogłoby się zdarzyć, że ten fakt uleciałby z pana pamięci.

- Jest pani czarującą gospodynią. Doprawdy, nigdy nie przypominała pani guwernantki mniej niż wtedy, kiedy uczyła pani Alvean jeździć na koniu.

- To tylko dlatego, że miałam na sobie strój do konnej jazdy. Pożyczone piórka. Bażant też będzie przypominał pawia, jeśli przyprawi mu się jego ogon.

- Moja droga panno bażancico, nie zgadzam się. „Zachowanie się czyni mężczyzną” - lub kobietę - nie piękne piórka. Ale zanim nasza mała droga Alvean tu się pojawi, chciałbym panią o coś zapytać. Co pani myśli o tym domu? Zostanie pani u nas?

- Należałoby raczej zadać pytanie, jak w tym domu mnie oceniają i czy jego władca zechce mnie zatrzymać.

- Ach, władca, który w tym przypadku jest trochę nieobliczalny, nieprawdaż? Co pani sądzi o starym Connanie?

- Przymiotnik użyty przez pana nie odpowiada rzeczywistości i nie do mnie należy wydawać opinię.

Roześmiał się szeroko, pokazując dwa rzędy pięknych białych zębów.

- Droga guwernantko - powiedział - umrę przez panią ze śmiechu.

- Przykro mi to słyszeć.

- Chociaż - dodał - często myślę, że śmierć ze śmiechu musi być bardzo przyjemna.

Nadejście Alvean przerwało naszą żartobliwą rozmowę.

- Och, mała dama we własnej osobie! - wykrzyknął Peter. - Droga Alvean, jak to ładnie ze strony twojej i panny Leigh, że zaprosiłyście mnie na herbatę.

- Zastanawiam się, dlaczego tak ci na tym zależy - odrzekła Alvean. - Nigdy przedtem nie objawiałaś takiej chęci... z wyjątkiem czasów, kiedy była u nas panna Jansen.

- Sza, sza. Zdradzasz mnie - rzekł półgłosem.

Do saloniku weszła pani Polgrey wraz z Kitty. Ta ostatnia postawiła tacę na stole, a pani Polgrey zapaliła spirytusową maszynkę. Na tacy była puszka z herbatą. Kitty zasłała obrusem mały stolik, po czym wniosła ciasteczka i kanapki z ogórkiem.

- Panno Leigh, czy może pani sama zaparzyć herbatę? - zapytała pani Polgrey.

Odparłam, że zrobię to z przyjemnością.

Pani Polgrey ruchem ręki odprawiła Kitty, spoglądając na Petera Nansellocka niemal z bałwochwalczym wyrazem w oczach. Kitty wyszła z ociąganiem. Uważałam, że takie odprawienie jest niezbyt uprzejme. Moim zdaniem na panią Polgrey również działał urok tego mężczyzny. Przyszło mi na myśl, że dzieje się tak dlatego, iż jest on zupełnym przeciwieństwem dziedzica Mellyn. Peter potrafił mówić pochlebstwa samym spojrzeniem i zauważyłam, że równie chętnie jak mnie obdarza nimi wszystkie kobiety: Kitty, panią Polgrey i Alvean.

A więc taka jest wartość twoich komplementów - pomyślałam nie bez pewnej urazy. Peter Nansellock miał bowiem ten niezwykły dar, który sprawiał, że każda kobieta w jego towarzystwie nabierała znaczenia we własnych oczach.

Zaparzyłam herbatę, a Alvean podała mu chleb i masło.

- Co za luksus! - wykrzyknął. - Czuję się jak sułtan, któremu służą dwie piękne damy.

- Znowu łziesz - zaprotestowała Alvean. - Żadna z nas nie jest damą. Ja nie jestem jeszcze dorosła, a panna Leigh jest guwernantką.

- Jakież to bluźnierstwo - powiedział cicho i ogarnął mnie ciepłym, prawie pieszczotliwym spojrzeniem. Jego wzrok wprawił mnie w dziwne zakłopotanie.

Szybko zmieniałam temat.

- Jestem przekonana, że Alvean będzie za jakiś czas bardzo dobrze jeździć konno - oświadczyłam. - A co pan o tym sądzi?

Widziałam, z jaką niecierpliwością dziewczynka czeka na jego odpowiedź.

- Będzie mistrzynią Kornwalii, zobaczy pani. Alvean nie tała zadowolenia.

- Ale - uniósł palec do góry i pogroził ostrzegawczo - tylko pamiętaj, wiesz, komu masz za to podziękować.

Alvean zerknęła nieśmiało w moją stronę, mnie zaś ogarnęło nagle uczucie szczęścia i radości, że tu jestem. Nigdy jeszcze nie czułam się tak zadowolona z życia. Przestałam zazdrościć swej uroczej siostrze. W tej chwili chciałam być tylko jedną osobą. Była nią Martha Leigh siedząca w ponczowym saloniku i pijąca herbatę z Peterem Nansellockiem i Alvean TreMellyn.

Alvean oznajmiła:

- Na razie jest to sekret.

- Tak, zamierzamy sprawić niespodziankę jej ojcu.

- Będę milczał jak grób.

- Dlaczego mówi się „milczeć jak grób”? - zapytała Alvean.

- Ponieważ - wyjaśnił Peter - zmarli nie mówią.

- Ale czasami występują jako duchy - rzekła Alvean, oglądając się przez ramię.

- Pan Nansellock chciał przez to powiedzieć - wtrąciłam szybko - że nie zdradzi naszego małego sekretu. Alvean, wydaje mi się, że pan Nansellock ma ochotę na jeszcze jedną kanapkę z ogórkiem.

Podskoczyła, by go poczęstować. Z przyjemnością obserwowałam zmianę w jej zachowaniu: była posłuszna i niemal serdeczna.

- Nie odwiedziła pani jeszcze Mount Widden, panno Leigh - zgłosił z pretensją Peter.

- Nie miałam okazji.

- Sąsiedzi tak się nie zachowują. Och! wiem dobrze, co pani chce powiedzieć. Nie przyjechała pani tutaj po to, by składać wizyty; jest pani guwernantką.

- To prawda - odcięłam się.

- Nasz dom nie jest aż tak wiekowy ani tak duży jak ten. Nie ma za sobą długiej historii, niemniej jest przyjemny. Zareczam, że moja siostra będzie bardzo rada, jeżeli któregoś dnia zdecyduje się pani zawitać do nas wraz z Alvean. Może wpadnie pani na herbatę?

- Nie jestem pewna... - zaczęłam.

- Czy to leży w zakresie pani obowiązków? Podsunę pani pomysł rozwiązania tego dylematu. Przywiezie pani Alvean do Mount Widden na podwieczorek. Przywiezienie jej i odebranie należy jak najbardziej do zajęć sumiennej guwernantki.

- Kiedy mamy przyjechać? - zapytała Alvean.

- Zaproszenie jest otwarte.

Uśmiechnęłam się. Wiedziałam, co to znaczy. Mówił tylko po to, by mówić. Nie miał najmniejszego zamiaru zaprosić mnie na herbatę. Wyobraziłam sobie jego wizyty w tym domu, wtedy kiedy przebywała tu panna Jansen, obiekt jego zalotów. Wszyscy twierdzili zgodnie, że była młodą atrakcyjną kobietą. Znam ten gatunek mężczyzn - powiedziała do siebie w duchu.

Drzwi otworzyły się niespodziewanie i ku memu zakłopotaniu - którego, miałam nadzieję, nie okazałam - do pokoju wszedł Connan TreMellyn.

Czułam się, jakby mnie schwytano na odgrywaniu roli pani domu pod nieobecność gospodarza.

Podniosłam się z krzesła, a on obdarzył mnie przelotnym uśmiechem.

- Panno Leigh - zapytał - czy znajdzie się dla mnie filiżanka herbaty?

- Alvean - poleciłam - zadzwoń, proszę, po jeszcze jedną filiżankę.

Natychmiast zerwała się z miejsca, ale straciła już poprzednią swobodę. Była teraz spięta, płonąca chęcią popisania się przed ojcem. Nie pozostało to bez wpływu na jej ruchy, które stały się cokolwiek niezręczne; w rezultacie, wstając z krzesła, straciła ze stołu swoją filiżankę z herbatą.

- Nic się nie stało - pocieszyłam ją. - Zadzwoń po Kitty, ona to sprzątnie.

Widziałam, że Connan TreMellyn obserwuje tę scenę z pewnym rozbawieniem. Gdybym wiedziała, że wróci tak wcześnie, nie

zgodziłabym się zabawić przy herbatce Petera Nansellocka. Na domiar wszystkiego siedzieliśmy w ponczowym saloniku, który mój chlebodawca bez wątpienia uważał za część domu, gdzie nie mam prawa przebywać.

Peter powiedział tonem wyjaśnienia:

- Panna Leigh była tak uprzejma, że zgodziła się pełnić rolę gospodyni. Prosiłem ją o to usilnie i ona łaskawie przychyliła się do mej prośby.

- Niewątpliwie to wielka uprzejmość ze strony panny Leigh - stwierdził od niechcienia Connan TreMellyn.

Weszła Kitty, a ja wskazałam rozlaną herbatę i szczątki porcelany:

- Proszę również przynieść dodatkową filiżankę dla pana TreMellyna - poleciłam.

Kitty lekko się uśmiechnęła, opuszczając pokój. Sytuacja wyraźnie ją bawiła. Mnie natomiast zupełnie nie odpowiadała. Nie byłam rodzajem kobiety, która potrafi prowadzić wdzięczną grę z filiżankami do herbaty, i z chwilą pojawienia się pana domu poczułam się niezręcznie, tak jak Alvean. Muszę uważać, by nie spowodować jakiejś katastrofy.

- Miałeś ciężki dzień, Connan? - zapytał Peter. Connan TreMellyn zaczął się rozwodzić na temat skomplikowanych spraw majątkowych, co odebrałam jako subtelną aluzję do mojej pozycji. Moje obowiązki mają się ograniczyć do rozlewania herbaty i niczego więcej. Nie powinnam sobie wyobrażać, że jestem prawdziwą gospodynią tego domu. W domowej hierarchii plasowałam się o oczko wyżej od służącej. To był mój pułap.

Niespodziewanie ogarnął mnie na niego gniew za to, że swoim przyjazdem zniszczył mój mały triumf. Zastanawiałam się, jaka będzie jego reakcja, kiedy przedstawię mu świetną małą amazonkę, którą zamierzałam zrobić z Alvean. Skwituje to prawdopodobnie jakąś lekceważącą uwagą i odwróci się obojętnie, wykazując daremność wszystkich naszych wysiłków.

Ty, biedne dziecko - pomyślałam - starasz się pozyskać uczucie człowieka, który nie wie, co to znaczy kochać. Biedna Alvean, biedna Alice.

Wydało mi się, że do ponczowego saloniku weszła teraz Alice. Wyobraziłam ją sobie w tym momencie wyraźniej niż kiedykolwiek

przedtem. Była kobietą mniej więcej mojego wzrostu, trochę szczuplejsza w talii - ale ja nigdy nie miałam zwyczaju tak mocno ścisnąć się gorsetem, zawsze sznurowałam go luźniej. Czarny jeździecki kostium z niebieskim kołnierzem i mankietami oraz czarnym bobrowym kołpakiem leżał na niej jak ulany. Jedyne twarz w tej postaci była mało wyrazista: zamglona i zagadkowa.

Przyniesiono dla Connana filiżankę ze spodeczkiem. Nalałam do niej herbaty. Obserwował moje ruchy, oczekując przypuszczalnie, że wstanę i mu ją wręcę.

- Alvean - poleciłam - proszę cię, podaj to swemu ojcu. Z ochotą spełniła polecenie.

Powiedział krótko: dziękuję, a Peter skorzystał z tej przerwy, by wciągnąć mnie w konwersację.

- Spotkałem pannę Leigh w pociągu, w dniu, w którym jechała do Mount Mellyn.

- Doprawdy?

- Tak jest. Chociaż, naturalnie, nie orientowała się, kim jestem. Ale skąd miałyby wiedzieć? Nigdy przedtem nie słyszała o słynnych Nansellockach. Nie wiedziała nawet, że istnieje Mount Widden. Ja natomiast wiedziałem, kim ona jest. Dziwnym zbiegiem okoliczności wsiadłem do tego samego przedziału co ona.

- To bardzo interesujące - stwierdził Connan. Jego mina mówiła wyraźnie, że wcale nie jest to dla niego ciekawe.

- Tak więc - ciągnął Peter - panna Leigh była szalenie zaskoczona, gdy się dowiedziała, że mieszkamy w bliskim sąsiedztwie.

- Mam nadzieję - rzekł Connan - iż nie była to dla niej przykra niespodzianka.

- W żadnym wypadku - pośpieszyłam z zapewnieniem.

- Dziękuję, panno Leigh, za uprzejme słowa - powiedział Peter.

Spojrzałam na zegarek i oświadczyłam:

- Proszę wybaczyć, ale musimy z Alvean już panów opuścić. Jest prawie piąta, a między piątą a szóstą mamy lekcje. Nam zaś w żadnym wypadku nie wolno naruszać ustalonego rozkładu.

- Jednakże - wykrzyknął Peter - przy takiej okazji jak ta można zezwolić na małe odstępstwo od tej zasady!

Wyraz twarzy Alvean świadczył, że miała na to wielką ochotę. Czowała się skrepowana w towarzystwie ojca, ale z drugiej strony gorąco pragnęła z nim być.

- Nie byłoby to chyba zbyt rozsądne - oświadczyłam, wstając. - Idziemy, Alvean.

Rzuciła mi spojrzenie, którym wyraźnie dawała do zrozumienia, że utraciłam wszystko, co udało mi się zyskać tego popołudnia.

- Proszę cię, tatusiu - zaczęła. Spojrzał na nią surowo.

- Moje drogie dziecko, słyszałaś, co powiedziała twoja guwernantka.

Alvean się zaczerwieniła. Minę miała bardzo nieszczęśliwą; pożegnałam Petera Nansellocka i skierowałam się w stronę wyjścia.

W sali lekcyjnej Alvean popatrzyła na mnie z nienawiścią.

- Dlaczego pani musi wszystko zepsuć? - wyrzuciła z siebie.

- Zepsuć? - powtórzyłam. - Wszystko?

- Mogłyśmy poczytać kiedy indziej... o innej porze.

- Ale my zawsze czytamy między piątą a szóstą, a nie o innej porze - odparowałam, przybierając umyślnie chłodny ton, ponieważ bałam się wzbierających we mnie emocji. Miałam ochotę jej powiedzieć: „Kochasz swego ojca, tęsknisz za jego pochwałą. Jednakże, moje drogie dziecko, nie umiesz znaleźć drogi do jego serca. Pozwól mi sobie pomóc". Ale oczywiście nic takiego nie powiedziałam. Nigdy nie byłam wylewna i trudno byłoby mi teraz zmieniać swą naturę.

- Chodź - zachęciłam ją. - Mamy tylko godzinę, nie marnujemy więc czasu.

Usiadła przy stole z posępną miną, spoglądając z nienawiścią na książkę, którą miała przed sobą. Był to Klub Pickwicka Dickensa, powieść, która jak mi się wydawało, powinna wnieść nieco wesołości w raczej smętną egzystencję mojej uczennicy.

Straciła swój zwykły entuzjizm do lektury; myśl jej krążyła w innych rejonach, bo w pewnym momencie podniosła wzrok nad książki i stwierdziła:

- Pani go nienawidzi. Jestem pewna, że nie może pani znieść jego obecności.

- Nie wiem, kogo masz na myśli, Alvean - odparłam.

- Dobrze pani wie - rzuciła oskarżycielsko. - Dobrze pani wie, że mówię o moim ojcu.

- Zupełna bzdura - odparłam cicho, pełna obawy, że zaczerwienie się jeszcze mocniej. - Czytamy dalej! - nakazałam. - Tracimy czas.

Skupiłam całą uwagę na książce; doszłam do wniosku, że historia o nocnej przygodzie starszej pani w papilotach nie nadaje się do wspólnego czytania. Dla dziecka w wieku Alvean jest to zupełnie nieodpowiednia lektura.

* * *

Tego popołudnia, kiedy Alvean udała się do swego pokoju, wybrałam się do lasu na przechadzkę. Zaczynałam traktować las jako swoisty azyl, miejsce, gdzie można znaleźć spokój i oddać się rozmyślaniom o tym, co przyniesie przyszłość.

Dzień był pełen wrażeń, przyjemnych wrażeń. Dopiero pojawienie się Connana zburzyło miły nastrój. Zastanawiałam się, czy w związku ze swymi interesami wyjeżdżał kiedyś na dłużej z domu - na dłuższy czas, nie tylko na kilka dni. Gdyby tak było - myślałam - łatwiej byłoby mi zrobić z Alvean szczęśliwszą małą dziewczynkę.

Przestań myśleć o tym człowieku - skarciłam siebie. Unikaj go w miarę możliwości. Nic innego ci nie pozostaje.

Wszelkie perswazje nie zdały się jednak na nic. Connan, nawet nieobecny, wdzierał się w moje myśli.

Spacerowałam po lesie prawie do zmierzchu. I wtedy zawróciłam do domu. Nie zabawiłam u siebie dłużej niż kilka minut, kiedy do pokoju zapukała Kitty.

- Słyszałam, jak panienka wraca - powiedziała. - Pan dziedzic panią prosi. Czeka na panią w bibliotece.

- Wobec tego musisz mnie tam zaprowadzić - oświadczyłam. - Jeszcze nigdy tam nie byłam.

Chciałam przyczesać włosy i doprowadzić się trochę do porządku, ale Kitty obserwowała mnie uważnie. Wiedziałam, że interesuje ją tylko jedna strona związku między mężczyzną a kobietą i że bezustannie węszy, by wpaść na tego rodzaju trop. Nie chciałam dawać jej powodu do przypuszczeń, że mizdrzę się do lustra przed spotkaniem z panem.

Zaprowadziła mnie do części budynku, której dotychczas nie znałam. Po raz kolejny zdałam sobie sprawę z wielkości tego domostwa. Apartamenty te - domyślałam się - służyły do wyłącznego użytku gospodarza, ponieważ przedstawiały się znacznie wytworniej niż skrzydła, które dotychczas miałam okazję oglądać.

Kitty otworzyła drzwi i z tym swoim głupkowskim uśmiechem oznajmiła:

- Przyprowaǳiłam panienkę, jaśnie panie.

- ǳiękuje, Kitty - odparł, do mnie zaś rzekł: - Proszę, niech się pani zbliży, panno Leigh.

Siedział przy stole, na którym leżały oprawne w skórę książki i papiery. Jedynym źródłem światła była stojąca na nim różowa, kwarcowa lampa.

- Proszę, niech pani spocznie, panno Leigh - odezwał się ponownie.

Pomyślałam w popłochu, że dowiedział się, iż miałam na sobie kostium Alice. Jest wstrząśnięty. Zaraz oznajmi, że zamierza zwolnić mnie z posady.

Siedziałam wyprostowana, z głową uniesioną wysoko, nawet wręcz wyniośle, czekając, aż wyjaśni, o co mu chodzi.

- Byłem zaskoczony, dowiadując się ǳis po południu - zaczął - że zna już pani pana Nansellocka.

- Doprawdy? - Nie tajone zdziwienie zabrzmiało w moim głosie.

- Oczywiście - ciągnął dalej - to było do przewidzenia, że prędzej czy później i tak go pani pozna. On i jego siostra są częstymi gośćmi w naszym domu, ale...

- Ale według pana niepotrzebnie zawiera on znajomość z guwernantką pańskiej córki - wtrąciłam pośpiesznie.

- To, czy potrzebnie, czy nie, panno Leigh - zganił mnie - jest wyłącznie sprawą jego lub pani.

Zmieszałam się lekko. Jąkając się, odparłam:

- Pana zdaniem, przypuszczam, nie wypada mnie, jako guwernantce, być... na równej stopie z przyjacielem pańskiej rodziny.

- Błagam, panno Leigh, niech mi pani nie wkłada w usta słów, których nie miałem zamiaru wypowiedzieć. To, z kim pani zawiera przyjaźnię, zapewniam panią, jest wyłącznie pani osobistą sprawą. Ale pani ciotka, wprowadzając panią pod mój dach, powierzyła panią, jak to się mówi, poniekąd mej opiece. Dlatego zaprosiłem panią tutaj na rozmowę, by udzielić rady w kwestii, która, obawiam się, jest dość delikatnej natury.

Splonęłam krwistym rumieńcem, a moje zakłopotanie powiększał dodatkowo fakt, że on wyraźnie bawił się tą sytuacją.

- Pan Nansellock uchodzi za mężczyznę, który... jak by to wyrazić... jest bardzo wrażliwy na wdzięki młodych dam.

- Och! - mimo woli wyrwało mi się z ust. Moje zażenowanie było tak ogromne, że nie byłam w stanie stłumić okrzyku.

- Panno Leigh - uśmiechnął się i na chwilę twarz jego przybrała prawie łagodny wyraz. - Mówię to tylko w celu ostrzeżenia.

- Panie TreMellyn! - wykrzyknęłam, z trudem hamując wzburzenie. - Nie sądzę, by takie ostrzeżenie było mi potrzebne.

- Pan Nansellock jest bardzo przystojny - mówił dalej i w jego głosie ponownie zadźwięczała nuta ironii. - Uchodzi powszechnie za wyjątkowo ujmującego mężczyznę. Przed panią była tu młoda osoba, panna Jansen. Często ją tu odwiedzał. Panno Leigh, błagam panią, proszę mnie źle nie zrozumieć. Jest jeszcze jedna rzecz, przed którą pragnę panią ostrzec; proszę nie brać zbyt dosłownie, co mówi pan Nansellock.

Usłyszałam swój głos: wysoki, ostry, niepodobny do mego zwykłego głosu.

- Bardzo to uprzejmie z pana strony, panie TreMellyn, że przejawia pan tyle troski o moją osobę.

- To naturalne, że tak jest. Opiekuje się pani przecież moją córką. Nic dziwnego, że przykładam do tego wagę.

Podniósł się z krzesła. Zrobiłam podobnie. Zrozumiałam, że rozmowa skończona.

Podszedł do mnie szybko i położył mi rękę na ramieniu.

- Proszę mi wybaczyć - rzekł. - Jestem człowiekiem, który nie ma zwyczaju owijać rzeczy w bawełnę. Nie mam towarzyskich zalet, w które tak hojnie wyposażony jest pan Nansellock. Pragnę jedynie służyć pani przyjacielską radą.

Przez krótką chwilę spoglądałam w te zimne, jasne oczy i wydało mi się, że spoza maski obojętności wyjrzała twarz człowieka. Raptownie wróciłam do równowagi. W momencie tego uczuciowego zamętu dotarła do mnie w całej pełni świadomość własnej samotności i tragedii tych wszystkich, którzy jak ja są sami na świecie i nie mają nikogo, kto by się o nich prawdziwie zatroszczył. Może to było rozczulanie się nad sobą. Nie wiem. Moje uczucia w tym momencie były tak złożone, że nawet obecnie nie potrafię ich określić.

- Dziękuję - powiedziałam i szybkim krokiem opuściłam bibliotekę, kierując się do swego pokoju.

* * *

Codziennie udawałyśmy się z Alvean na maneż, gdzie przez godzinę uczyłam ją jeździć konno. Dziewczynka dzielnie sobie poczyniała na grzbiecie Buttercup, a ja, patrząc na nią, doszłam do wniosku, że jej ojciec musi być szalenie niecierpliwym człowiekiem. Alvean nie jest może urodzoną amazonką, ale bez wątpienia za jakiś czas będzie jeździć już całkiem niezłe.

Dowiedziałam się, że co roku w listopadzie we wsi Mellyn odbywają się zawody konne. Oznajmiłam Alvean, że z pewnością będzie mogła wziąć udział w którejś konkurencji.

Przyjemne to były plany; Connan TreMellyn miał być jednym z jurorów tej imprezy i obydwie wyobrażałyśmy sobie jego zdziwienie na wieść, że zawodnik wracający do domu z pierwszą nagrodą jest jego córką. A przecież gotów był dać głowę, że ona nigdy nie nauczy się jeździć.

Marzenie, by odnieść triumf na tych zawodach, jednoczyło mnie z Alvean. Dziewczynką oczywiście kierowały bardziej szlachetne intencje. Pragnęła odnieść sukces w imię miłości, jaką żywiła do ojca. Ja natomiast chciałam dać jedynie małą nauczkę aroganckiemu pyszałkowi; chciałam mu przez to powiedzieć: „Widzisz, tobie się nie udało, ale mnie tak”.

Codziennie zatem po południu wkładałam kostium do konnej jazdy należący do Alice (przestało już mnie obchodzić, czyją był kiedyś własnością, ponieważ teraz należał do mnie) i jechałyśmy na maneż. Tam pod moim okiem Alvean ćwiczyła się w konnej jeździe.

W dniu, w którym po raz pierwszy zaczęła galopować, obydwie nie posiadałyśmy się z radości i dumy.

Kiedy potem wracałyśmy ze stajen, gdzie zostawiłyśmy konie, pobiegła przodem. Szłam za nią i patrzyłam, jak biegnie. Zdarzało jej się teraz czasem podskakiwać. Świadczyło to, moim zdaniem, o radości, jaką miała w duszy. Wiedziałam, że oczami wyobraźni widzi siebie na zawodach, ciesząc się z góry na ten uroczysty moment, kiedy jej zaskoczony ojciec popatrzy na nią i wykrzyknie: „Ty, Alvean... moje drogie dziecko, jestem z ciebie dumny!”

Uśmiechałam się do siebie, idąc za nią po trawniku. W domu zniknęła mi z oczu; przeskakiwała, przypuszczalnie, po kilka stopni naraz i była już na górze, w swoim pokoju.

Zachowywała się już coraz częściej jak normalne szczęśliwe dziecko, którym tak bardzo pragnęłam, by się stała.

Przeszłam już pierwszą kondygnację schodów i wychodziłam na ciemny podest, skąd jeden stopień prowadził na następną klatkę schodową, kiedy nagle usłyszałam ciężkie sapnięcie i głos, który powiedział: Alice.

Mróz ściał mi krew w żyłach. Niespodziewanie ujrzałam przed sobą Celestine Nansellock. Stała na schodach, trzymając się kurczowo poręczy. Była tak śmiertelnie blada, że wydawało się, iż lada moment zemdleje.

Zrozumiałam. To z jej ust wyszło słowo „Alice”. Zobaczyła mnie w jej kostiumie i miała wrażenie, że jestem Alice... lub jej duch.

- Panno Nansellock - odezwałam się szybko, by ją uspokoić - uczyłam Alvean jeździć konno.

Zachwiała się trochę. Twarz jej przybrała ziemisty odcień.

- Przepraszam, że panią tak przestraszyłam - mówiłam dalej.

Powiedziała cichym głosem:

- Przez chwilę myślałam...

- Powinna pani usiąść, panno Nansellock. Przeżyła pani wstrząs.

- Wstąpiłam na schody i ujęłam ją za ramię. - Może pójdzie pani ze mną do mego pokoju i tam chwilę odpocznie?

- Skinęła głową, że się zgadza. Zauważyłam, że drży na całym ciele.

- Przykro mi, że panią tak zdenerwowałam - powiedziałam przeproszającym tonem, otwierając drzwi do swej sypialni. Kiedy weszliśmy do środka, posadziłam ją delikatnie w fotelu.

- Może zadzwonić, by przynieśli pani kieliszek koniaku? - zaproponowałam.

Potrząsnęła głową przecząco.

- Już mi lepiej. Przestraszyła mnie pani, panno Leigh. Teraz widzę, że to przez to ubranie.

- Na podeście jest dość ciemno - zauważyłam. Powtórzyła raz jeszcze:

- Przez moment myślałam...

Spojrzała na mnie ponownie, z lękiem, a może z nadzieją. Byłam przekonana, że uważa mnie za widmo, które przybrało twarz Marthy Leigh, guwernantki, i które w każdej chwili może się przemienić.

- Tak, to przez to ubranie - potwierdziłam szybko, by rozproszyć jej niepokój.

- Pani TreMellyn miała taki sam kostium. Pamiętam dobrze ten kołnierz i mankiety. Jeździłyśmy razem... zaledwie na dzień czy dwa przedtem... Rozumie pani, bardzo się przyjaźniłyśmy, zawsze razem, a potem... - Odwróciła się i otarła oczy.

- Wydawało się pani, że to pani TreMellyn wróciła z zaświatów - domyśliłam się. - Teraz rozumiem.

- Byłam taka niemądra. Dziwne, że pani kostium do konnej jazdy... jest dokładnie taki sam, jaki miała Alice.

- Bo to jest jej kostium - wyjaśniłam.

Była zaskoczona. Wyciągnęła rękę i dotknęła spódnicy. Trzymała ją między kciukiem a wskazującym palcem. Jej zamglone niewidzące oczy sprawiały wrażenie, jakby odłoniła się przed nimi zasłona przeszłości.

Wyjaśniałam jej dalej z pośpiechem:

- Muszę Alvean uczyć jeździć konno, a nie miałam odpowiedniego stroju. Dziecko zaprowadziło mnie, jak mi teraz wiadomo, do pokojów swej matki i wyszukało ten strój. Pytałam panią Polgrey, czy wypada mi go nosić, a ona zapewniła, że jak najbardziej.

- Rozumiem - rzekła Celestine. - To wyjaśnia wszystko. Proszę tylko, niech pani nie wspomina nikomu o moim niemądrym zachowaniu, panno Leigh. Cieszę się, że nikt nie był tego świadkiem.

- Ale każdy mógł się przestraszyć, zwłaszcza że...

- Że co?

- Że odnosi się wrażenie, iż osoba Alice... zmarłej pani TreMellyn, otoczona jest jakąś tajemnicą.

- Jaką tajemnicą?

- Może to nawet nie jest odpowiednie słowo. Może to tylko moja imaginacja. Ale wydaje mi się, jakby w Mount Mellyn panowało przekonanie, że ona... żyje.

- Co za dziwaczne przekonanie! W jaki sposób miałyby zostać przy życiu? Kto to pani powiedział?

- Nie jestem... nie jestem pewna - tłumaczyłam się nieudolnie. - Być może jest to tylko moja fantazja. Być może nikt mi nic nie powiedział i tylko tak sobie wymyśliłam. Przepraszam, że panią zdenerwowałam.

- Nie musi mnie pani przepraszać, panno Leigh. Okazała mi pani tyle życzliwości. Czuję się już lepiej - podniosła się z krzesła. - Proszę nie mówić nikomu, że zachowałam się tak idiotycznie. A więc uczy pani Alvean jeździć konno. Bardzo się cieszę. Proszę mi powiedzieć, jak układają się teraz wasze wzajemne stosunki? Na początku wyczuwało się jakby pewną wrogość... z jej strony.

- Ona jest dzieckiem, które automatycznie reaguje buntem na wszelkie formy władzy. Myślę, że nawiązała się już między nami nic przyjaźni. Lekcje konnej jazdy bardzo się do tego przyczyniły. Ale skoro już o tym mowa, to ma być sekret przed jej ojcem.

Celestine Nansellock wyglądała na lekko zaskoczoną. Dodałam więc pośpiesznie:

- Pragniemy utrzymać w tajemnicy ewentualne postępy Alvean. Pan TreMellyn jest poinformowany o jej lekcjach. To oczywiste, że najpierw jego spytałam, czy pozwoli mi ją uczyć. Ale on się nie orientuje, jakie córka robi postępy w tym sporcie. To ma być niespodzianka.

- Rozumiem - odrzekła Celestine. - Panno Leigh, mam nadzieję, że te lekcje nie są nadmiernym przeciążeniem dla Alvean.

- Przeciążeniem? Dlaczego tak miałoby być? Jest normalnym, zdrowym dzieckiem.

- Ale jest bardzo nerwowa. Zastanawiam się, czy ma psychiczne predyspozycje do uprawiania jazdy konnej.

- Jest tak młoda, że mamy szansę uformować jej charakter; będzie to miało jednocześnie wpływ i na jej usposobienie. Dziewczynka cieszy się tymi lekcjami i nie może doczekać się chwili, kiedy sprawi niespodziankę swemu ojcu.

- A więc zaprzyjaźniła się z panią, panno Leigh. Miło mi to słyszeć. Muszę jednak już iść. Jeszcze raz dziękuję za pani uprzejmość. I proszę pamiętać... ani słowa nikomu.

- Naturalnie, skoro pani sobie tego życzy. Uśmiechnęła się i wyszła.

Podeszłam do lustra i przyjrzałam się swemu odbiciu - obawiam się, że weszło mi to w nawyk, odkąd tutaj przyjechałam - i rzekłam do siebie półgłosem: „W istocie, tak mogła wyglądać Alice... z wyjątkiem twarzy”. Następnie przymknęłam oczy, by nie widzieć własnego oblicza, i na jego miejsce podstawiałam inne rysy.

O tak, to musiał być rzeczywiście wstrząs dla Celestine.

Nie miałam zamiaru nikomu o tym wspominać. Z chęcią przystałam na jej prośbę. Ciekawe, co powiedziałby Connan TreMellyn, gdyby się dowiedział, że paradowałam w ubraniu jego żony. Na dodatek straszylam osoby tak pozbawione fantazji jak Celestine Nansellock, która omal nie zemdlala z wrażenia, kiedy niespodziewanie natknęła się na mnie na ciemnym podeście klatki schodowej.

Czułam, że nie życzyłby sobie, bym w dalszym ciągu tak się upodobniała do Alice.

Ponieważ jednak kostium Alice był mi nadal potrzebny do lekcji z Alvean i ponieważ uważałam ich kontynuowanie za konieczne, by w pewnej chwili móc powiedzieć jej ojcu: „A nie mówiłam panu?” - tak jak Celestine Nansellock nie chciałam, by ktoś się dowiedział o naszym spotkaniu na schodach.

* * *

Minął tydzień. Przywykłam już do codziennej rutyny. Zajęcia w sali lekcyjnej i na maneżu przynosiły coraz lepsze wyniki. Peter Nansellock dwukrotnie odwiedzał w tym czasie Mount Mellyn, ale udało mi się uniknąć spotkania z nim. Miałam głęboko w pamięci ostrzeżenie Connana TreMellyna i wiedziałam, że była to rozsądna rada. Trudno mi było ukryć przed sobą fakt, że Peter Nansellock działa na mnie podniecająco i że niewiele brakuje, bym zaczęła wyglądać jego wizyt. Za nic nie chciałam dopuścić do takiego rozwoju sytuacji; nie życzyłam sobie, by Connan TreMellyn zmuszony był powtórzyć mi, że Peter Nansellock jest kobieciarzem.

Często myślałam o jego bracie Geoffrym i doszłam do wniosku, że Peter musi być bardzo do niego podobny. A kiedy myślałam o Geoffrym, przychodziła mi również na myśl córka pani Polgrey - o której ta ostatnia nigdy nie wspominała - Jennifer, o „najcieńszej talii, jaką widziano kiedykolwiek”. Myślałam o jej nienagannym prowadzeniu się aż do momentu, gdy uległa pokusie, by pójść na siano czy też goździki z fascynującym Geoffrym. W wyniku tego kroku pewnego dnia weszła w morze i dała się zagarnąć falom.

Dygotałam na myśl o straszliwych pułapkach, jakie czyhały na nierozważne kobiety. Wśród nich były niepozorne, podobne do mnie istoty, których byt zależał od kaprysu ich chlebobawców, ale były też inne, jeszcze bardziej nieszczęsne. Ich uroda przyciągała wiecznie

nienasycony wzrok uwodzicieli. I oto odkrywały pewnego dnia, że jedyną realną perspektywą, jaką mają w życiu, jest położyć mu kres.

Pochłonięta lekcjami konnej jazdy z Alvean i zaintrygowana osobowością jej ojca, na jakiś czas odsunęłam od siebie myśl o małej Gillyflower. Dziewczynka była tak cicha, że nietrudno było zapomnieć o jej istnieniu. Od czasu do czasu dobiegał mnie jej cienki, wąty głosik, gdy śpiewała, lekko fałszując, w domu lub poza domem. Pomieszczenia Polgreyów znajdowały się piętro niżej, tuż pod moją sypialnią, a pokój Gilly przylegał do ich mieszkania. Kiedy śpiewała, a ja właśnie przebywałam u siebie, jej głos docierał także do mego pokoju.

Wysłuchiwałam się w jej śpiew i powtarzałam sobie: „Jeśli jest w stanie zapamiętać piosenki, może również nauczyć się innych rzeczy”.

Widocznie przywykłam już do oddawania się marzeniom, ponieważ obok obrazu Connana TreMellyna - wręczającego swej córce pierwszą nagrodę za skok z przeszkodami w listopadowych zawodach i jednocześnie patrzącego na mnie z wyrazem zarówno winy, jak i uznania - w mej wyobraźni zaczęła pojawiać się inna scena. Widziałam Gilly siedzącą w sali lekcyjnej przy stole obok Alvean i zewsząd słyszałam szept. „Tego dokonać mogła tylko Martha Leigh. Rozumiecie, ona potrafi dokonywać cudów z dziećmi. Spójrzcie tylko, co zrobiła z Alvean... a teraz znów z Gilly”.

Ale jak na razie Alvean była wciąż opornym dzieckiem, a Gillyflower nieuchwytną istotą, której - jak to określały siostry Tapperty - „brakowało piątej klepki”.

Jednakże po tych mniej więcej pogodnych dniach nastąpiły dwa wydarzenia, które zburzyły mój dotychczasowy spokój ducha.

Pierwsze z nich było pozornie mało istotne, ale myśl o nim tkwiła w mym umyśle i wciąż mnie prześladowała.

Sprawdzałam zeszyt do arytmetyki Alvean, gdy ona tymczasem trudziła się nad wypracowaniem. W trakcie przerzucania kartek z kajetu wypadł kawałek papieru.

Był pokryty rysunkami. Odkryłam już, że Alvean ma duży talent do rysunków. Któregoś dnia, przy odpowiedniej sposobności, zamierzałam nawet podejść do Connana TreMellyna i porozmawiać z nim na ten temat. Moim zdaniem należało zdolności rozwijać. Ja byłam w stanie nauczyć ją zaledwie podstawowych zasad z dziedziny

sztuki, a talent Alvean niewątpliwie zasługiwał na to, by zajął się nim wykwalifikowany nauczyciel.

Były to rysunki twarzy. Na jednym rozpoznałam siebie. Nie był zły. Czy w rzeczywistości wyglądam równie surowo jak na tej kartce? Nie zawsze - miałam nadzieję. Ale może ona mnie tak właśnie postrzegała. Był też rysunek twarzy jej ojca... kilka szkiców. Jego również łatwo było rozpoznać. Odwróciłam stronę, pokryta była podobiznami dziewczęcych twarzączek. Nie potrafiłam dociec, kogo przedstawiały. Ją samą? Nie... to z pewnością była Gilly. A mimo to przypominała rysy Alvean.

Z uwagą przyglądałam się rysunkom. Byłam nimi tak pochłonięta, że nie zauważyłam, jak Alvean przechyliła się przez stół i wyrwała mi kartkę z ręki.

- To moje! - oświadczyła.

- A to - odwzajemniłam się - jest bardzo brzydki zwyczaj.

- Nie ma pani prawa podpatrywać.

- Moje drogie dziecko, kartka była w twoim zeszycie do arytmetyki.

- Nie powinna tam być.

- Wobec tego miej pretensje do kartki - powiedziałam swobodnym tonem, po czym dodałam już poważniej: - Na przyszłość, proszę cię, nie wyrywaj rzeczy z ręki w tak niegrzeczny sposób.

- Przepraszam - powiedziała cicho, ale wciąż jeszcze w buntowniczym nastroju.

Powróciłam do rachunków. Większość zadań była błędnie rozwiązana. Arytmetyka nie była jej mocną stroną. Być może dlatego wolała rysować niż rozwiązywać słupki. Dlaczego się tak zirytowała? Dlaczego rysowała twarze, które częściowo przypominały Gilly, a częściowo ją samą?

- Alvean - upomniałam - musisz trochę bardziej przyłożyć się do rachunków.

W odpowiedzi mruknęła coś posepnie.

- Wydaje się, że nie zdołałaś jeszcze opanować zasad reguły trzech ani nawet prostego mnożenia. Gdyby twoja arytmetyka była w połowie tak dobra jak twoje rysunki, byłabym bardzo zadowolona.

Nic nie odpowiedziała.

- Dlaczego nie chcesz, bym zobaczyła narysowane przez ciebie twarze? Niektóre z nich, moim zdaniem, są całkiem niezłe.

Nadal nie uzyskałam odpowiedzi.

- Zwłaszcza - dodałam - rysunki twarzy twojego ojca. Nawet w takim momencie jak ten na wzmiankę o nim wargi jej wygięły się w łagodny łuk.

- A te twarze dziewcząt. Powiedz mi, czyje to mają być twarze: twoje czy Gilly?

Uśmiech zamarł jej na ustach. Szepnęła prawie niedosłyszalnie:

- A za co je pani wzięła?
- Za kogo - poprawiłam ją łagodnie.
- A więc za kogo je pani wzięła?
- Przyjrzyjmy się im jeszcze raz.

Zawahała się przez moment, ale podała mi kartkę. W jej oczach malowało się pełne napięcia oczekiwanie. Przyjrzałam się uważnie podobiznom, po czym orzekłam:

- Ten rysunek przedstawia albo ciebie, albo Gilly.
- Uważa pani, że jesteśmy do siebie podobne?
- N... nie. Nie uważałam tak aż do tej pory.
- A teraz tak pani uważa? - dopytywała się.
- Jesteś jeszcze młoda, a u osób w twoim wieku często występuje podobieństwo rysów.

- Nie jestem do niej podobna! - wykrzyknęła gwałtownie. - Nie jestem podobna do tej debilki.

- Alvean, nie wolno ci używać takich słów. Czy nie rozumiesz, że zachowujesz się bardzo niegrzecznie?

- To prawda. Ale ja nie jestem do niej podobna. Nie życzę sobie, by pani tak mówiła. Jeśli to pani powtórzy jeszcze raz, poproszę ojca, by panią odprawił. On to zrobi... jeżeli go poproszę. Wystarczy, bym go poprosiła, i już pani tu nie ma.

Mówiła podniesionym głosem, najwyraźniej starając się przekonać siebie o dwóch rzeczach: po pierwsze, że nie istnieje żadne podobieństwo między nią a Gilly, a po drugie, że wystarczy, by poprosiła ojca o cokolwiek, a jej prośba natychmiast zostanie spełniona.

Dlaczego? Zadawałam sobie pytanie. Co było przyczyną tego gwałtownego wybuchu?

Jej twarz miała w tej chwili wyraz zaszczutego zwierzątka.

Spojrzałam na zegarek przypięty do stanika mej szarej bawełnianej sukni i stwierdziłam spokojnie:

- Masz dziesięć minut na dokończenie wypracowania. Przysunęłam sobie bliżej podręcznik do arytmetyki i udawałam, że zaprzęta całkowicie moją uwagę.

* * *

Drugi incydent był jeszcze bardziej denerwujący.

Dzień minął dość spokojnie; oznaczało to, że lekcje przebiegały gładko i bez zakłóceń. Pod wieczór udałam się jak zwykle do lasu na przechadzkę, a kiedy wróciłam, zobaczyłam, że przed domem stoją dwa powozy. W jednym rozpoznałam powóz z Mount Widden; widocznie Peter lub Celestine przyjechali z wizytą. Drugiego powozu nie znałam, ale zauważyłam na nim herb. Pojazd był bardzo elegancki. Ciekawa byłam, do kogo należał, ale w końcu powiedziałam sobie, że przecież nie powinno mnie to obchodzić.

Szybko tylnym wejściem udałam się do swego pokoju.

Noc była ciepła i gdy usiadłam przy oknie, usłyszałam dźwięki muzyki. Tony dochodziły przez otwarte okno jednego z pokoiów. Domyśliłam się, że Connan TreMellyn ma u siebie gości.

Wyobraziłam ich sobie w jednym z tych apartamentów, do których nie miałam prawa wstępu. Skąd ta pretensja? - zapytałam siebie. Jesteś tylko guwernantką. Connan TreMellyn, szczupły i elegancko ubrany, przewodniczy karcianemu stolikowi lub siedzi wraz z gośćmi, słuchając muzyki.

Rozpoznałam fragment Snu nocy letniej Mendelssohna. Ogarnęło mnie raptowne pragnienie, by znaleźć się między nimi. Zdziwiła mnie ta przemożna chęć; nigdy tak bardzo nie zależało mi na tym, by uczestniczyć w wieczorkach ciotki Adelajdy lub kolacjach wydawanych przez Phillidę. Przepęlniała mnie ciekawość i nie mogłam oprzeć się pokusie, by nie zadzwonić na Kitty lub Daisy, które zawsze wiedziały, co się dzieje, i aż się paliły, by podzielić się swą wiedzą z każdym, kto je chciał wysłuchać.

Dzwonek sprowadził Daisy. Była wyraźnie ożywiona.

Zwróciłam się do niej:

- Potrzebuję ciepłej wody, Daisy. Możesz mi ją przynieść?
- Oczywiście, panienko - odparła.
- Zdaje się, że macie gości dziś wieczór.

- O, tak. Chociaż to nic w porównaniu ze spotkaniami, jakie się dawniej odbywały. Liczę, że teraz, kiedy już minął rok, pan będzie częściej wydawał przyjęcia. Tak przynajmniej twierdzi pani Polgrey.

- W ubiegłym roku musiało być tutaj bardzo cicho.
- Ale inaczej być nie mogło... W okresie żałoby w rodzinie państwa.

- Naturalnie. Kim są dzisiejsi goście?

- Och! jak zwykle panna Celestine i pan Peter.

- Widziałam ich powóz. - Wstydziałam się ciekawości, jaką zdradzał mój głos. Nie różniłam się niczym od pierwszej lepszej rozplotkowanej służącej.

- Tak, i powiem pani, kto jeszcze.

- Kto?

- Sir Thomas i lady Treslyn.

Przybrała konspiracyjną minę, jakby z tą ostatnią parą wiązało się coś szczególnego.

- No i? - zachęcałam ją.

- Chociaż - ciągnęła Daisy - pani Polgrey twierdzi, że sir Thomas nie nadaje się już do zabawy i towarzyskich spotkań i raczej powinien przebywać w łóżku.

- Dlaczego, czy jest chory?

- On ma już przeszło siedemdziesiąt lat i choruje na serce. Pani Polgrey mówi, że z takim sercem może kipnąć lada chwila, wystarczy ruszyć go palcem. Nie żeby...

Przerwała i mrugnęła do mnie okiem. Miałam ogromną ochotę skłonić ją, by mówiła dalej, ale wiedziałam, że byłoby to poniżej mojej godności. Rozczarowana brakiem zachęty z mej strony, sama zdecydowała się kontynuować temat.

- Ona to zupełnie inna historia.

- Kto?

- Jasne, że lady Treslyn. Powinna pani ją zobaczyć. Suknię ma wyciętą aż dotąd i przepiękne kwiaty przy staniku. Jest to prawdziwa piękność i widać, że tylko czeka...

- Z tego wynika, że jest młodsza od męża. Daisy zachichotała.

- Mówią, że jest między nimi czterdzieści lat różnicy, ale ona lubi dawać do zrozumienia, że nawet pięćdziesiąt.

- Mówisz tak, jakbyś jej nie lubiła.

- Ja? Ja nie muszę jej lubić; są inni, którzy ją lubią. - Powiedziawszy to, Daisy ponownie wybuchnęła histerycznym śmiechem.

Słuchając jej świszczącego rechotu i spoglądając na jej pulchne kształty, wtłoczone w przyciasną sukienkę, nie posiadałam się ze wstydu, że wdaję się w plotki ze służącą. By położyć temu kres, powiedziałam z naciskiem:

- Potrzebuję ciepłej wody, Daisy.

Daisy uciszyła się i wyszła spełnić polecenie. Dzięki niej miałam teraz wyraźny obraz tego, co się dzieje w salonie.

Nadal o nich myślałam, myjąc ręce i rozplatając włosy przed udaniem się na nocny spoczynek.

Muzycy grali walca Szopena. Jego rozlewne tony porywały mnie i unosiły na swych skrzydłach do miejsca nieosiągalnego dla osób mego pokroju - do salonu takiego jak ten, usytuowanego gdzieś w głębi domu, torturując niedostępnymi rozkoszami: wykwintnym pięknem, dowcipem, urokiem i mocą wzbudzania miłości w sercu wybranego przeze mnie mężczyzny.

Przestraszyłam się tych myśli. Co one miały wspólnego z guwernantką taką jak ja?

Podeszłam do okna. Ciepła i piękna pogoda trwała już od tak dawna, że wątpiłam, by mogła utrzymać się dłużej. Wkrótce pojawią się jesienne mgły, a słyszałam, że mgły i sztormy ciągnące od południowego zachodu były, jak mówił Tapperty, „czymś specjalnym w tych stronach”.

Czułam dochodzący aż tutaj zapach morza i słyszałam łagodny rytm fal. „Głosy” w zatoce Mellyn zaczynały się już budzić.

Nagle ujrzałam światło w nie oświetlonej części domu. Poczułam, jak ciało pokrywa mi się gęsią skórą. Wiedziałam, że okno z jasną plamą światła należy do pokoju, w którym Alvean wybierała dla mnie kostium do konnej jazdy. Była to ubieralnia Alice.

Rolety były spuszczone. Nie zauważyłam tego przedtem. A jeszcze wczesnym wieczorem byłam przekonana, że są podniesione. Wiedząc, iż jest to pokój Alice, nabrałam zwyczaju, którego żałowałam i którego nie mogłam się pozbyć, spozierania w jego stronę, ilekroć wyglądałam przez okno swej sypialni.

Rolety były na tyle cienkie, że wyraźnie widać było przez nie światło. Blask był dość nikły, niemniej w pokoju się świeciło. Zdziwiona, śledziłam wzrokiem jasny punkt przesuwający się z miejsca na miejsce.

Stałam tak w oknie, wytrzeszczając oczy, kiedy nagle zobaczyłam rysujący się na roletcie cień kobiety.

Usłyszałam obok siebie głos mówiący: „To Alice”. Uświadomiłam sobie, że sama wypowiedziałam na głos to imię.

Śnię - stwierdziłam. To tylko przywidzenie.

I wtedy po raz drugi na tle rolety zamajaczyła kobieca sylwetka.

Ręce, którymi trzymałam się okiennego parapetu, drżały mi jak w febrze, gdy obserwowałam migoczące światełko. W pierwszym odruchu chciałam wezwać Daisy lub Kitty bądź też iść do pani Polgrey.

Pohamowałam się jednak, uświadomiwszy sobie, jak głupio by to wyglądało. Nie ruszyłam się więc z miejsca i w dalszym ciągu spoglądałam w kierunku sypialni Alice.

Po chwili zrobiło się w niej ciemno.

Stałam jeszcze przez dłuższy czas przy oknie, obserwując jej pokój, ale nic już nie zobaczyłam.

W salonie grano kolejnego walca Fryderyka Szopena. Stałam i słuchałam, dopóki nie zrobiło mi się chłodno, chociaż wrześnie noc była wyjątkowo ciepła. Wtedy dopiero położyłam się do łóżka. Długo jednak nie mogłam zmrużyć oczu.

W końcu, kiedy zapadłam w sen, przyśniło mi się, że do mego pokoju weszła jakaś kobieta. Miała na sobie kostium do konnej jazdy z niebieskim kołnierzem i mankietami, ozdobiony galonem i frędzelkami. Kobieta zwróciła się do mnie ze słowami: „Nie było mnie w tym pociągu, panno Leigh. Ciekawi panią, gdzie się w tej chwili znajduję? To pani ma zadanie mnie odnaleźć”.

Poprzez zasłonę snu słyszałam szept fal rozbijających się o skały w przybrzeżnych grotach. Zaraz po przebudzeniu - a obudziłam się, gdy tylko świt rozjaśnił niebo - podeszłam do okna i spojrzałam w odległe okno pokoju, który nieco ponad rok temu należał do Alice.

Rolety były uniesione do góry. Wyraźnie widziałam bogate zasłony z niebieskiego aksamitu.

Rozdział 4

Mniej więcej w tydzień później po raz pierwszy ujrzałam Lindę Treslyn.

Było kilka minut po szóstej. Obie z Alvean odłożyłyśmy książki i udałyśmy się do stajen, by odwiedzić Buttercup, która, jak podejrzewałyśmy, naciągnęła sobie ścięgno podczas dzisiejszej jazdy.

Weterynarz był już u niej i zrobił okład. Alvean autentycznie się zmartwiła stanem konia. Bardzo mnie to ucieszyło; z satysfakcją przyjmowałam każdy sygnał wskazujący na łagodniejszą cechę jej charakteru.

- Proszę się nie martwić, panienko Alvean - pocieszał ją Joe Tapperty. - Nie minie tydzień, a Buttercup będzie zdrowa jak rydz. Przekona się panienka. Jim Bond to najlepszy weterynarz w całej okolicy, zapewniam panienkę.

Poweselała; oznajmiłam jej, że zamiast Buttercup może wziąć jutro Black Prince'a.

Myśl o tym wprawiła ją w niezwykle ożywienie. Wiedziała, że Black Prince będzie dla niej sprawdzianem odwagi. Z zadowoleniem stwierdziłam, że obawa przed próbą nieznacznie tylko mąciła jej radość. Po wyjściu ze stajni spojrzałam na zegarek.

- Może masz ochotę przespacerować się po ogrodzie? - spytałam ją. - Mamy jeszcze pół godziny.

Ku memu zdziwieniu zgodziła się chętnie. Bez zwłoki wyruszyłyśmy na przechadzkę.

Płaskowyż, na którym wznosił się Mount Mellyn, miał około dwóch kilometrów szerokości. Zbocze schodzące ku morzu było strome, ale kilka zygzakowato biegnących ścieżek ułatwiało zejście. Ogrodnicy starannie pielęgnowali ten naprawdę piękny ogród. Rosły w nim okryte bujnym kwieciami krzewy, charakterystyczne dla tych stron. W różnych częściach ogrodu poustawiano przewiewne altanki, oplecione pędami pnących róż. Nawet teraz, mimo stosunkowo późnej pory, były obsypane kwiatami wydzielającymi upajającą woń. Ich zapach unosił się w powietrzu.

Można było usiąść w jednej z tych altanek i spoglądać na morze. Dom z tego oddalenia prezentował się szczególnie majestatycznie, a jego szare, kamienne mury przywodziły na myśl potężną fortecę

wznoszącą się nad rozległą wyżyną. Uosabiał potęgę i wielkość, która wydawała się rzucać wyzwanie nie tylko morzu, ale i całemu światu.

Podążaliśmy w dół słodko pachnącymi ścieżkami i kiedy zrównaliśmy się z altaną, spostrzegliśmy, że znajdują się w niej dwie osoby.

Alvean wydała cichy okrzyk, a ja, idąc za jej spojrzeniem, zobaczyłam tę parę. Siedzieli obok siebie, bardzo blisko. Ona, ciemna brunetka o wydatnych rysach, była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie widziałam w życiu. Na głowie miała przejrzysty szal przetykany błyszczącymi cekinami. Przywodziła mi na myśl postać ze *Snu nocy letniej* - może Tytanię, chociaż tę bohaterkę szekspirowskiego dramatu wyobrażałam sobie zawsze jako blondynkę. Reprezentowała typ urody, który przyciąga oko niczym magnes żelazne opiłki. Musisz patrzeć, chcesz czy nie chcesz; musisz podziwiać. Ubrana była w bladofiołkoworóżową suknię z szyfonu, ściśle przylegającą do ciała, spiętą pod szyją wielką diamentową broszą.

Connan odezwał się pierwszy:

- No proszę, oto moja córka ze swoją guwernantką. Jak widzę, panno Leigh, wybrała się pani z Alvean na spacer.

- Jest taki piękny wieczór - odparłam, chcąc wziąć Alvean za rękę, ale ta uchyliła się przede mną tak niegrzecznie, jak to tylko ona potrafiła.

- Czy mogę posiedzieć z tobą i lady Treslyn, tatusiu? - zapytała prosząco.

- Wyszłaś na spacer z panną Leigh - odparł. - Czy nie uważasz, że powinnaś jej dotrzymywać towarzystwa?

- Oczywiście - odpowiedziałam za nią. - Chodź, Alvean. Connan zwrócił się do swej towarzyszki:

- Mieliśmy dużo szczęścia, trafiając na pannę Leigh. Ona jest... cudowna.

- Przez wzgląd na ciebie, Connan, mam nadzieję, że tym razem będzie to rzeczywiście doskonała guwernantka - wtrąciła lady Treslyn.

Zrobiło mi się głupio. Poczulałam się tak jak ten koń, któremu zagładają w zęby i roztrzaskają jego zalety i wady. Byłam pewna, że Connan TreMellyn zauważył moje zmieszanie i chyba to go bawiło. Chwilami wydawał mi się wręcz antypatycznym człowiekiem.

Przybierając lodowaty ton, rzekłam:

- Myślę, że na nas już czas. Wyszliśmy tylko na krótko, by odetchnąć świeżym powietrzem, nim Alvean położy się spać. Chodź, Alvean - dodałam i mocno uchwyciłam ją za ramię, odciągając z tego miejsca.

- Ale ja chcę tu zostać - zaprotestowała Alvean. - Chcę porozmawiać z tobą, tatusiu.

- Widzisz przecież, że jestem zajęty. Innym razem, moje dziecko.

- Nie - upierała się dalej - to jest ważne... teraz.

- To nie może być aż tak ważne. Porozmawiamy o tym jutro.

- Nie... nie... teraz. - W głosie Alvean zabrzmiała histeryczna nuta. Nigdy przedtem nie widziałam, by odważyła się przeciwstawić ojcu tak bezwzględnie.

- Widzę, że Alvean jest bardzo zdecydowaną osobką - zauważyła półgłosem lady Treslyn.

- Panna Leigh już to załatwi - powiedział zimno Connan TreMellyn.

- Naturalnie. Doskonała guwernantka... - Ironia ukryta w głosie lady Treslyn dotknęła mnie do tego stopnia, że zdecydowanym ruchem złapałam Alvean za ramię i prawie siłą powlokłam do domu.

Była bliska płaczu, ale nie odezwała się słowem aż do chwili, kiedy znalazłyśmy się wewnątrz budynku. Wtedy dopiero wybuchnęła:

- Nienawidzę jej. Pani wie, panno Leigh, że ona chce być moją nową mamą?

Nie zareagowałam na jej słowa. Uważałam, że lepiej nie wdawać się w dyskusję w tym miejscu, gdzie z łatwością ktoś mógłby nas podsłuchać. Dopiero kiedy znalazłyśmy się w jej pokoju i kiedy zamknęłam drzwi od środka, powiedziałam do niej:

- Zrobiłaś dość dziwną uwagę, Alvean. Jak ona może być twoją mamą, skoro ma męża?

- On wkrótce umrze.

- Skąd o tym wiesz?

- Wszyscy mówią, że oni tylko czekają.

Słowa Alvean wstrząsnęły mną. Musiała widocznie gdzieś usłyszeć taką plotkę. Powinnam pomówić o tym z panią Polgrey - pomyślałam. Muszą bardziej uważać na to, co mówią w obecności Alvean. Czy to te dziewczęta, Daisy i Kitty... czy może Joe Tapperty i

jego żona? - Ona stale tu przyjeżdża - żaliła się Alvean. - Nie pozwolę, by zajęła miejsce mej matki. Nikomu na to nie pozwolę!

- Wpadasz w histerię z powodu wydumanego problemu; stanowczo proszę, byś nigdy więcej nie powtarzała takich bzdurnych plotek. One ubliżają twemu ojcu.

Zastanowiła się. Jak ona go kocha! - pomyślałam. Biedna, mała Alvean, biedne, samotne dziecko.

Nie dalej niż kilka minut temu bolałam nad sobą, gdy w tym wspaniałym ogrodzie musiałam znosić kpiny pięknej kobiety siedzącej w altanie. To nie w porządku - myślałam. Dlaczego jeden otrzymuje od losu tak wiele, drugi natomiast nie dostaje nic? Czy ja nie byłabym piękna w szzyfonach i diamentach? Może nie tak piękna jak lady Treslyn, ale z pewnością byłoby mi w tym stroju bardziej do twarzy niż w sukniach z bawełny i merynosu, i turkusowej broszce, którą odziedziczyłam po babce.

Zapomniałam już o żalu nad sobą i serce moje przepełniało teraz jedynie uczucie ogromnej litości dla Alvean.

* * *

Dopilnowałam, by Alvean położyła się do łóżka, i wróciłam do swego pokoju dosyć przygnębiona. Ciągłe myślałam o Connanie TreMellynie, którego spotkałam w altance z lady Treslyn. Zastanawiałam się, czy oni tam jeszcze są i o czym rozmawiają. O sobie nawzajem - przypuszczałam. Nie ulegało wątpliwości, że z Alvean przerwałyśmy im intymne sam na sam. Wstrząsnęło mną, że dał się wciągnąć w tak niegodziwą intrygę. Według mnie tego rodzaju postępowanie było podłością, ponieważ dama miała męża, któremu zobowiązana była wierność.

Podeszłam do okna, zadowolona, że nie wychodzi na południowe partie ogrodu i morze. Oparłam się łokciami o parapet i wdychałam wieczorne powietrze mocno przesycone zapachami. Było jeszcze dość jasno, ale słońce schowało się już za horyzontem i powoli zaczynała zapadać ciemność. Zwróciłam oczy w stronę okna, w którym wczoraj na tle rolety zobaczyłam zarys kobiecej sylwetki.

Rolety były podniesione i wyraźnie widać było niebieskie zasłony po bokach. Nie spuszczałam z nich wzroku. Nie wiem, czego oczekiwałam. Czy spodziewałam się ujrzeć w oknie twarz, czy też zachęcająco wyciągniętą dłoń? Chwilami śmiać mi się chciało z

moich urojeń, ale nigdy nie zdarzyło mi się fantazjować o szarej godzinie.

Nagle zobaczyłam, że rolety się poruszyły; domyśliłam się, że ktoś tam jest.

Byłam tego wieczoru w dziwnym nastroju. Miało to pewien związek ze spotkaniem Connana TreMellyna w altanie z lady Treslyn. Nie dość wnikliwie przeanalizowałam swe uczucia w tym dniu, by je dobrze zrozumieć. Zetknięcie się z nimi było dla mnie upokarzające, w tej chwili jednak byłam gotowa zaryzykować wyczyn, który mógł zakończyć się bardziej nieprzyjemnym spotkaniem. Pokój Alice był usytuowany w niedostępnej dla mnie części domu. Gdyby mnie ktoś przyłapał w tej zakazanej strefie budynku, wyglądałabym dość głupio. Zuchwałość jednak pchała mnie do przodu. Nie zważałam na nic. Alice stała się moją obsesją. Chwilami ogarniało mnie takie palące pragnienie uchylenia rąbka tajemnicy jej śmierci, że zdecydowana byłam na wszystko.

Cichutko wymknęłam się z pokoju. Opuściłam „swoje” skrzydło domu i pośpiesznie wzdłuż galerii podążyłam do ubieralni Alice. Zapukałam lekko i z sercem bijącym jak młot kowalski szybko otworzyłam drzwi.

Przez chwilę nie widziałam nic. Potem zauważyłam, że zasłony się poruszają. Ktoś się za nimi ukrywał.

- Kto tam? - zapytałam głośno. Byłam cała rozdygotana, ale w moim głosie nie było to wyczuwalne.

Nie usłyszałam odpowiedzi. Ten, kto czał się za kotarami, nie miał ochoty się ujawnić.

Przeszłam przez pokój i odsunęłam zasłony. Za nimi, ukryta w ich sutych fałdach, kuliła się mała Gilly.

Powieki jej pustych niebieskich oczu zatrzepotały z przerażenia. Wyciągnęłam rękę, by ją pochwycić, ale ona, kurcząc się, przywarła całym ciałem do okiennej ściany.

- Nie bój się, Gilly - powiedziałam łagodnym głosem. - Nie zrobię ci krzywdy. - Wciąż na mnie patrzyła, a ja pytałam dalej: - Powiedz mi, co tu robisz.

I tym razem nie uzyskałam odpowiedzi. Zaczęła rozglądać się po pokoju, jakby szukając czyjejs pomocy, i przez sekundę doznałam niesamowitego uczucia, że ona zobaczyła coś lub kogoś, czego ja nie mogłam widzieć.

- Gilly - rzekłam - wiesz o tym, że nie powinnaś wchodzić do tego pokoju, prawda?

Odsunęła się ode mnie jeszcze bardziej. Raz jeszcze powtórzyłam to, co powiedziałam przed chwilą.

Skinęła głową, ale zaraz potem potrząsnęła nią przecząco.

- Chcę, żebyś poszła ze mną do mego pokoju, Gilly. Tam sobie trochę porozmawiamy.

Objęłam ją ramieniem; drżała na całym ciele. Pociągnęłam ją w stronę drzwi; szła, ociągając się. Stojąc już w progu, odwróciła głowę, spojrzała za siebie i raptownie wykrzyknęła:

- Jaśnie pani!... niech pani wróci, jaśnie pani. Wróci... zaraz.

Trzymając dziewczynkę mocno, wyprowadziłam ją z pokoju i zamknęłam drzwi. Prawie siłą zaciągnęłam ją do swej sypialni.

Kiedy znalazłyśmy się w środku, zatrzasnęłam drzwi i oparłam się o nie plecami. Wargi dziewczynki drżały.

- Gilly - powiedziałam - chcę, byś zrozumiała, że nie mam zamiaru zrobić ci nic złego. Chcę być twoją przyjaciółką. - Nadal spoglądała na mnie pustym wzrokiem. Nie namyślając się, rzuciłam w ciemno: - Chcę, byś miała we mnie taką samą przyjaciółkę, jaką miałaś w pani TreMellyn.

Zaskoczyło ją to; jej oczy na moment nabrały myślącego wyrazu. Dokonałam nowego odkrycia. Alice była dobra dla tego biednego dziecka.

- Przychodzisz tu, by odszukać panią TreMellyn, prawda?

Skinęła głową twierdząco.

Wyglądała tak żałośnie, że, przejęta do głębi, dałam wyraz swemu wzruszeniu w sposób zupełnie do mnie niepodobny. Uklękłam i objęłam ją ramionami; nasze twarze znajdowały się teraz na jednym poziomie.

- Nie odnajdziesz jej, Gilly. Ona nie żyje. Nie ma sensu szukać jej w tym domu.

Gilly skinęła głową, ale nie miałam pewności, co chciała przez to wyrazić: czy zgadza się ze mną, że jest to bezsensowne, czy też ciągle wierzy, że spotka w tym miejscu panią TreMellyn.

- A więc - perswadowałam jej dalej - musimy o niej zapomnieć, rozumiesz, Gilly?

Blade powieki opadły na oczy, skrywając przede mną ich wyraz.

- Będziemy przyjaciółkami - oświadczyłam. - Pragnę, byśmy zostały przyjaciółkami. Jeżeli tak się stanie, nie będziesz samotna, prawda, że nie będziesz?

Potrząsnęła głową, a mnie się wydało, że wpatrzone we mnie niebieskie źrenice straciły coś ze swej pustki. Przestała drzeć i byłam pewna, że już się mnie nie boi.

Naraz wyslizgnęła się z moich objęć i pobiegła do wyjścia. Nie usiłowałam jej zatrzymać, a ona, otwierając drzwi, odwróciła głowę w moją stronę. Błady uśmiech błąkał się po jej wargach. Za chwilę już jej nie było.

Miałam nadzieję, że udało mi się nawiązać z nią nikły, ale jednak przyjazny kontakt. Miałam nadzieję, że przestanie mnie już unikać.

Następnie pomyślałam o Alice, która była dobra dla tego dziecka. Obraz pani TreMellyn w moim umyśle zaczynał rysować się coraz wyraźniej.

Podeszłam do okna i poprzez budynek w kształcie litery L skierowałam wzrok w stronę jej sypialni. Przypomniała mi się noc, kiedy zobaczyłam mglisty cień na roletcie.

Odkrycie Gilly w tym pokoju nie rozwiązywało zagadki. To nie sylwetka dziecka rysowała się wtedy na tle rolety. To była sylwetka kobiety.

Gilly mogła ukrywać się w pokoju Alice, ale cień, który widziałam owej nocy przez rolety, z pewnością nie był jej cieniem.

Następnego dnia bawiłam na herbatce u pani Polgrey, w jej pokoju. Była wyraźnie ucieszona moją wizytą.

- Pani Polgrey - powiedziałam do niej - mam sprawę, która, moim zdaniem, jest dość ważna i którą koniecznie chciałabym z panią przedyskutować.

Nie posiadała się z zadowolenia. Jak zdążyłam się zorientować, idealną guwernantką w jej oczach jest wychowawczyni, która szuka u niej rady.

- Z przyjemnością ofiaruję pani godzinę oraz filiżankę mojej najlepszej herbaty Earl Grey - oświadczyła.

Siedziała nad filiżankami z herbatą i spoglądała na mnie niemal z czułością.

- A teraz, panno Leigh, błagam, proszę mi powiedzieć, co takiego panią do mnie sprowadza.

- Jestem trochę zaniepokojona - odrzekłam, mieszając w zamyśleniu herbatę. - Chodzi o uwagę, jaką zrobiła Alvean. Podejrzewam, że słucha plotek, co moim zdaniem jest wysoce niepożądane dla dziecka w jej wieku.

- Jak i dla każdego z nas; sądzę, że i pani, jako osoba odznaczająca się zdrowym rozsądkiem, jest również tego zdania - odparła pani Polgrey.

Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że w jej słowach kryje się pewna hipokryzja. Opowiedziałam jej o naszym spacerze po ogrodzie na skałach oraz o tym, jak natknęłyśmy się na pana TreMellyna siedzącego w altance w towarzystwie lady Treslyn.

- I potem to Alvean - opowiadałam dalej - zrobiła tę obraźliwą uwagę. Powiedziała, że lady Treslyn chce zostać jej matką.

Pani Polgrey potrząsnęła głową i rzekła:

- Co by pani powiedziała na łyżkę whisky do herbaty, panno Leigh? Nie ma nic lepszego dla podtrzymania w człowieku dobrego nastroju.

Nie miałam ochoty na whisky, ale wiedziałam, że pani Polgrey miała i byłaby zawiedziona, gdybym odmówiła uczestnictwa w sączeniu zaprawionej alkoholem herbaty. Powiedziałam zatem:

- Bardzo proszę, ale tylko małą łyżeczkę, pani Polgrey. Otworzyła kredens, wyjęła butelkę i odmierzyła whisky jeszcze bardziej skrupulatnie niż herbaciany proszek. Złapałam się na tym, że zadaję sobie pytanie, jakie to jeszcze inne zapasy pani Polgrey trzyma w kredensie.

Zachowywałyśmy się w tej chwili jak dwaj spiskowcy, co najwyraźniej bardzo cieszyło panią Polgrey.

- Obawiam się, że to, co powiem, zaskoczy panią cokolwiek - zaczęła.

- Jestem na to przygotowana - zapewniłam ją.

- No cóż, sir Thomas Treslyn jest już w podeszłym wieku, a poślubił tę młodą damę zaledwie kilka lat temu. Sir Thomas przywiózł ją sobie z Londynu; była tam podobno aktorką teatralną. Jej pojawienie się w naszych stronach miało taki skutek jak wsadzenie kija w mrowisko, zapewniam panią.

- Nietrudno mi w to uwierzyć.

- Niektórzy mówią, że ona jest jedną z najpiękniejszych kobiet w kraju.

- W to również mogę uwierzyć.

- Piękne jest to, co pięknie postępuje.

- Ale zostaje pięknym na zewnątrz - zauważyłam.

- Mężczyźni bywają lekkomyślni. A pan dziedzic ma swoje słabości - przyznała pani Polgrey.

- Jeśli krążą jakieś plotki, to niezmiernie mi zależy na tym, by one nie dochodziły do uszu Alvean.

- Rozumiem, że pani na tym zależy, panno Leigh. Ale plotki się roznoszą, a to dziecko ma uszy jak zajac.

- Czy myśli pani, że Daisy i Kitty paplają?

Pani Polgrey nachyliła się do mnie. W jej oddechu czuć było wypitą whisky. Zaskoczona, zastanawiałam się, czy mój oddech jest również mocno przesiąknięty alkoholem jak

- Wszyscy paplają, panienko.

- Rozumiem.

- Niektórzy twierdzą, że oni nie należą do takich, którzy będą czekać, aż ich książdz pobłogosławi.

- No cóż, może i takimi nie są.

Ogarnęło mnie obrzydzenie. Nienawidzę takich rzeczy - pomyślałam. To jest nikczemne i straszne dla wrażliwej dziewczynki, takiej jak Alvean.

- Pan ma popędliwą naturę i na swój sposób lubi kobiety.

- A więc pani myśli... Skinęła głową z powagą.

- Kiedy sir Thomas umrze, w tym domu pojawi się nowa pani. Muszą tylko czekać, ponieważ teraz na niego kolej. Pani TreMellyn, ona... już odeszła.

Nie chciałam zadać pytania, które cisnęło mi się na usta, ale jakaś wewnętrzna siła zmusiła mnie do tego.

- Czy to działa się już... za życia pani TreMellyn?

Pani Polgrey przytaknęła.

- Często ją odwiedzał. To zaczęło się niemal zaraz po jej przyjeździe. Czasami wyjeżdża na koniu w nocy i wraca dopiero nad ranem. No cóż, jest panem i może robić, co mu się podoba. My jesteśmy po to, by gotować, sprzątać, prowadzić dom i uczyć dziecko... w zależności od tego, jakie zajęcie przypadło nam w udziale. Tak to wygląda.

- A więc pani sądzi, że Alvean jedynie powtarza to, co inni wiedzą? Kiedy sir Thomas umrze, lady Treslyn będzie jej nową mamą?

- Niektórzy z nas uważają, że jest to więcej niż prawdopodobne, a są nawet tacy, którzy chętnie by widzieli taką sytuację. Jaśnie pani nie jest z tych, które będą się wtrącać do prowadzenia domu, a lepiej, gdy te sprawy znajdują się we właściwych rękach, takie jest moje zdanie. - I dodała pobożnie: - Nasz pan na pewno zwiąże się węzłem małżeńskim, nie odważy się żyć w grzechu. Wszyscy tak myślimy.

- Czy nie ma sposobu, by powstrzymać dziewczęta przed paplaniem o tych sprawach w obecności Alvean?

- Równie dobrze można by zakazać kukułce, by wiosną nie kukała. Mogę je prać aż do utraty tchu, a one i tak będą nadal plotkować. To jest silniejsze od nich. One to mają we krwi. A nie bardzo jest w kim wybierać, jeśli chodzi o służbę. W obecnych czasach...

Kiwnęłam głową ze zrozumieniem. Myślałam o Alice, świadomej związku swego męża z lady Treslyn. Nic dziwnego, że próbowała uciec z Geoffrym Nansellockiem. Biedna Alice, ile musiała wycierpieć, będąc żoną takiego człowieka!

Pani Polgrey była taka rozmowna, że postanowiłam zapytać ją przy okazji o inne intrygujące mnie sprawy.

- Czy pomyślała pani kiedykolwiek o tym, by uczyć Gilly pisać i czytać? - zagadnęłam.

- Gilly? Ależ to nie miałoby żadnego sensu! Musi pani wiedzieć, panno Leigh, że Gilly nie jest całkiem normalnym dzieckiem. - Pani Polgrey popukała się w czoło.

- Ona chętnie śpiewa. Gdzieś musiała nauczyć się tych piosenek. Jeśli potrafiła zapamiętać ich słowa, może również nauczyć się i innych rzeczy.

- To dziwne dziecko. Sądzę, że z powodu okoliczności, w jakich przyszła na świat. Nie rozmawiam często na ten temat, ale daję głowę, że musiała pani słyszeć o mojej Jennifer. - Głos pani Polgrey załamał się lekko. Wyczuwało się w nim wzruszenie. Zastanawiałam się, w jakim stopniu jest to skutek wypitej whisky i ile łyżek tego trunku zafundowała sobie w dniu dzisiejszym. - Czasami myślę, że Gillyflower jest dzieckiem, nad którym ciąży przekleństwo. Nie chciano, by się urodziła. Była niemowlęciem w kołysce... miała

zaledwie dwa miesiące... kiedy Jennifer odeszła. Przyływ wyrzucił jej ciało w dwa dni później. Znalaziono ją w zatoce Mellyn.

- Przepraszam - powiedziałam cicho. Pani Polgrey ocknęła się z zadumy.

- Jennifer nie żyła, ale Gilly pozostała. I od najmłodszych lat była niepodobna do innych dzieci.

- Może wyczuwała tragedię - powiedziałam na chybił trafił.

Pani Polgrey spojrzała na mnie wyniośle.

- Robiliśmy dla niej wszystko, co było w naszej mocy: ja i pan Polgrey. On świata poza nią nie widział.

- Kiedy zauważyliście, że różni się od innych dzieci?

- O ile mnie pamięć nie myli, musiała mieć wtedy około czterech lat.

- To było ile lat temu?

- Jakieś cztery lata.

- Musi być zatem w wieku Alvean, ale wygląda na znacznie młodszą.

- Urodziła się w kilka miesięcy po Alvean. Bawiły się razem od czasu do czasu... rozumie pani, w tym samym domu i w tym samym wieku. Uległa wypadkowi, kiedy miała, niech no sobie przypomnę... obchodzić swoje czwarte urodziny.

- Co to był za wypadek?

- Bawiła się na drodze w pobliżu stróżówki, przy bramie. Jaśnie pani wracała z konnej przejażdżki. Nasza pani była wspaniałą amazonką. Gilly wybiegła nagle zza krzaków i dostała się wprost pod końskie kopyta. Upadła na głowę. Łaska boska, że koń jej wtedy nie zabił.

- Biedna Gilly! - wykrzyknęłam ze współczuciem.

- Pani bardzo się tym przejęła. Obciążała siebie winą za wypadek, mimo iż to nie ona go spowodowała. Gilly wiedziała, że na drodze trzeba uważać. Stale jej powtarzaliśmy, by była ostrożna. Założę się, że goniła za jakimś motylem. Gilly zawsze ciągnęło do ptaków, motyli, owadów i podobnych stworzeń. Pani zdobyła sobie jej serce po tym wypadku. Gilly nie odstępowała jej na krok i bała się, kiedy jaśnie pani wyjeżdżała z domu.

- Rozumiem - rzekłam.

Pani Polgrey ponownie nalala sobie herbaty i spytała, czy również mam ochotę na następną filiżankę. Odmówiłam. Zobaczyłam, że do napoju znowu dolewa whisky.

- Gilly - ciągnęła dalej - jest dzieckiem grzechu. Nie powinna była przychodzić na świat. Wydaje się, jakby to Bóg mścił się na niej za winy dorosłych. Mówi się, że dzieci płacą za grzechy swoich ojców.

Czułam, że nagle ogarnia mnie gniew. Taka postawa budziła we mnie głęboki sprzeciw. Miałam ochotę wymierzyć policzek tej kobiecie; siedziała sobie tutaj spokojnie, sącząc whisky, i nie przejmowała się losem swej małej wnuczki, której odmiennosc traktowała jako dopust boży.

Dziwiłam się również ciemnocie ludzi, którzy nie wiązali stanu Gilly z wypadkiem, jakiemu uległa, ale uważali, że jest to kara za grzech jej rodziców, wymierzona przez mściwego Boga.

Nie zdradziłam się jednak ze swymi myślami. Nabrałam przekonania, że toczą walkę z dziwnymi siłami w tym domu; jeżeli mam odnieść w niej zwycięstwo, muszę pozyskać wszystkich możliwych sprzymierzeńców.

Chciałam zrozumieć, co się dzieje w umyśle Gilly. Pragnęłam ukoić duszę Alvean. Niespodziewanie odkryłam w sobie miłość do dzieci, o którą przed przyjazdem do Mount Mellyn nigdy siebie nie podejrzewałam. Prawdę mówiąc, w czasie pobytu tutaj dowiedziałam się bardzo wiele o sobie samej.

Była też inna przyczyna, dla której usilnie starałam się skupić swe zainteresowanie na sprawach tych dwojga dzieci.

Powstrzymywało mnie to od rozmyślań o Connanie TreMellynie i lady Treslyn. Myśl o tej parze wyprowadzała mnie z równowagi. Gniew, jaki odczuwałam, określałam wówczas jako „niesmak”.

Siedziałam więc w pokoju pani Polgrey, słuchając jej wywodów i nie zdradzając się z myślami, jakie kłębiły się w mojej głowie.

* * *

Cały dom tętnił radosnym ożywieniem. Dziedzic wydawał bal - pierwszy bal od śmierci Alice - i przez tydzień niemal o niczym innym nie rozmawiano. Z trudnością udawało mi się zmusić Alvean, by uważała podczas lekcji. Daisy i Kitty opanowały prawie histeryczną radość. Stale się na nie natykałam, gdy, objęte ramionami, próbowały różnych figur walca.

Ogrodnicy mieli pełne ręce roboty, ponieważ do nich należało udekorowanie sali balowej roślinami z oranżerii. Płonęli chęcią popisania się owocami swojej pracy: pięknymi, wypielęgnowanymi kwiatami. Zaproszenia na bal zostały rozwieszone po całej okolicy.

- Nie mogę zrozumieć - powiedziałam do Alvean - dlaczego tak się tym podniecasz. Ani ty, ani ja nie weźmiemy przecież udziału w balu.

Alvean odparła z rozmarzeniem:

- Kiedy żyła moja mama, odbywało się u nas mnóstwo balów. Ona uwielbiała bale. Ślicznie tańczyła. Przed balem przychodziła do mnie, by mi się pokazać, jak wygląda. Była piękna. Potem prowadziła mnie do solarium, a ja siadałam w niszy przy oknie za zasłoną i przez wziernik spoglądałam z góry, jak się bawią na dole.

- Przez wziernik? - spytałam.

- Och! to pani nic nie wie. - Spojrzała na mnie triumfalnie. Moja ignorancja sprawiła jej widoczną radość; oto guwernantka, która stale wytyka jej niewiedzę, nie ma pojęcia o czymś takim jak wziernik.

- Wiele jest rzeczy w tym domu, o których nie wiem - odparłam ostro. - Nie widziałam trzeciej jego części.

- To prawda, że nie widziała pani solarium - przyznała. - W naszym domu znajduje się kilka takich otworów. Pani nie wie, co to jest, ale takie otwory znajdują się w wielu domach. Nawet w Mount Widden jest jeden. Moja mama mówiła, że robiono je za dawnych czasów w pomieszczeniach, gdzie przesiadywały damy. Panowie ucztowali na dole, ale dla pań nie było wśród nich miejsca. A więc tam przez wziernik u góry podpatrywały biesiadujących mężczyzn. Jedno z takich pomieszczeń - dość szczególne - znajduje się przy kaplicy. Nazywamy je zezem trędowatych. Nie wolno im było do niej wchodzić, ponieważ byli trędowaci; mogli tylko patrzeć przez otwór. Ale ja pójdę do solarium i będę obserwować przez wziernik u góry, jak się bawią. Pani także powinna ze mną pójść. Proszę, niech pani pójdzie.

- Zobaczymy - odparłam.

W dzień balu jak zwykle odbyłyśmy z Alvean lekcję jazdy konnej, ale zamiast Buttercup Alvean dosiadła tym razem Black Prince'a.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam dziewczynkę na tym wierzchowcu, ogarnął mnie lekki niepokój. Szybko go jednak w sobie

stłumiłam. Jeżeli Alvean ma zostać prawdziwą amazonką, musi wyjść poza etap Buttercup - przekonywałam siebie. Kiedy raz dosiędzie Prince'a, nabierze większej odwagi i bardzo prawdopodobne, że już nigdy nie zechce wrócić do Buttercup.

Przez pierwsze dni szło nam całkiem nieźle. Prince zachowywał się nadzwyczajnie i Alvean nabierała pewności siebie. Żadna z nas nie miała teraz wątpliwości, że będzie przygotowana na tyle dobrze, by wziąć udział przynajmniej w jednej konkurencji w listopadowych zawodach.

Dzisiejszy dzień był jednak pechowy. Podejrzywałam, że myśli Alvean zaprzątnięte były raczej wieczornym bale niż jazdą konną. Nadal odnosiła się do mnie z rezerwą, z wyjątkiem może owej godziny po południu, przeznaczonej na trening, kiedy to, rzecz zastanawiająca, byłyśmy jak dwie najlepsze przyjaciółki. Z chwilą gdy zdjęłyśmy swoje kostiumy, automatycznie powracał dawny sposób bycia. Próbowałam to zmienić, ale jak na razie bez powodzenia.

Minęła już prawie połowa lekcji, kiedy Prince niespodziewanie spłoszył się i poniósł. Dotychczas zezwalałam Alvean na galop tylko wtedy, kiedy trzymałam jej konia za uzdę. Zresztą na manezu nie było wiele miejsca do tego rodzaju wyczynów. Poza tym pragnęłam mieć absolutną pewność, że Alvean jest już dostatecznie obyta z wierzchowcem, nim zezwolę jej na więcej swobody.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby Alvean trzymała głowę prosto i pamiętała o moich wskazówkach. Kiedy jednak Prince zaczął ponosić, krzyknęła z przerażenia, a jej strach natychmiast udzielił się spłoszonemu zwierzęciu.

Prince się oddalił. Stukot jego kopyt na torfowej nawierzchni ściał mi krew w żyłach z przerażenia. Zobaczyłam, że Alvean, niepompna mych wskazówek, przechyla się na bok w siodle.

Trwało to ułamek sekundy, bo gdy Prince zaczął cwałować, natychmiast ruszyłam za nim. Musiałam za wszelką cenę uchwycić go za uzdę, nim dotrze do żywopłotu; wiedziałam, że będzie go chciał przeskoczyć, a to dla mojej uczennicy skończyłoby się niechybnie paskudnym upadkiem. Strach dodał mi siły, złapałam go za uzdę i zatrzymałam właśnie w momencie, gdy dobiegał do przeszkody. Osadziłam go w miejscu, a pobladła i roztrzęsiona Alvean zsunęła się na ziemię cała i zdrowa.

- Już wszystko dobrze - uspokajałam ją. - Nie byłaś dzisiaj należycie skoncentrowana. Nie masz jeszcze na tyle doświadczenia, by pozwolić sobie na moment nieuwagi.

Wiedziałam, że był to jedyny sposób na postępowanie z nią. Chociaż dygotała jeszcze z wrażenia, pomogłam jej ponownie wsiąść na Prince'a. Wiedziałam, że kiedyś taki właśnie incydent jak ten zrodził w niej lęk przed końmi. Doprowadziłam do tego, że go przewyciężyła, i nie mogłam teraz pozwolić, by strach znów wziął u niej górę.

Posłuchała mnie z pewnym wahaniem. Pod koniec treningu była już zupełnie spokojna i nie wątpiłam, że jutro wsiądzie na konia. Tego dnia nabrałam jeszcze większej pewności, że w końcu uda mi się zrobić z Alvean prawdziwą amazonkę.

Kiedy opuszczałyśmy maneż, Alvean wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Co się stało? - zapytałam, odwracając głowę, ponieważ jechałam przed nią.

- Och! - wykrzyknęła. - Rozdarło się pani.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Kostium pękł pani pod pachą. Rozdziera się coraz bardziej.

Sięgnęłam ręką do pleców i zrozumiałam, co się stało.

Kostium Alice był dla mnie trochę za ciasny, a gdy z całej siły ściągałam konia za uzdę, starając się osadzić go w miejscu, by nie dopuścić do upadku Alvean, szew rękawa nie wytrzymał napięcia i pękł.

Musiałam mieć widocznie dość skonsternowaną minę, ponieważ Alvean mnie pocieszyła:

- Niech się pani nie martwi. Znajdę dla pani inny kostium. Jest ich tam kilka, wiem o tym.

Gdy wracałyśmy do domu, Alvean miała minę zdradzającą wyraźną satysfakcję. Dziwne, ale nigdy nie widziałam jej w tak dobrym nastroju. Niemniej świadomość, że przykrość, jaka mnie spotkała, ubawiła ją do tego stopnia, iż zapomniała nawet o niebezpieczeństwie, jakie jej groziło, była cokolwiek niepokojąca.

Goście zaczęli się powoli zjeżdżać. Nie mogłam się powstrzymać, by ukradkiem nie popatrzeć na nich z okna. Podjazd wypełnił się powozami, a widok strojów wyrwał mi z piersi westchnienie zazdrości.

Bal miał się odbyć w wielkim holu, który rano miałam okazję obejrzeć. Nie byłam w nim od chwili mego przyjazdu, ponieważ zawsze wchodziłam do siebie tylnymi schodami. To Kitty namówiła mnie, bym zajrzała do środka.

- Hol wygląda przepięknie, panienko - mówiła. - Pan Polgrey kręci się jak pies z dwoma ogonami. Zamorduje nas, jeśli coś się stanie z jego roślinami.

Rzadko zdarzało mi się oglądać równie pięknie przystrojoną salę balową. Belki udekorowano liśćmi.

- To stary kornwalijski zwyczaj - wyjaśniła Kitty - zwłaszcza wiosną, w maju. Ale to nie ma znaczenia, że teraz jest wrzesień. Myślę, że obecnie, po okresie żałoby, będzie więcej takich balów. Tak powinno być. Żałoba nie może przecież trwać całe życie, prawda? Można powiedzieć, że mamy maj, nie widzi pani? Kończy się jeden rok, a zaczyna nowy.

Spoglądając na doniczki z kwitnącymi roślinami, które przyniesiono z oranżerii, i woskowe świece osadzone w wielkich lichtarzach, musiałam przyznać, że pan Polgrey i jego ogrodnicy mają słuszny powód do dumy. Sala przedstawiała się rzeczywiście wspaniale. Wyobraziłam sobie, jak będzie wyglądać, kiedy wszystkie świece zapłoną, a wystrojeni goście w barwnych ubiorach, perłach i diamentach ruszą w tany.

Pragnęłam znaleźć się pośród zaproszonych osób, och, jakże gorąco tego pragnęłam! Kitty okręciła się kilka razy po sali w tanecznym pas, uśmiechając się i kłaniając wyimaginowanemu partnerowi. Uśmiechnęłam się. Była taka spontaniczna, tyle w niej było radości życia!

Uprzytomniłam sobie, że nie powinnam tu zaglądać. To było niestosowne. Niewiele się różniłam od Kitty.

Odwróciłam się i odeszłam. Poczułam głupie dławienie w gardle.

Kolację spożyłam razem z Alvean. Dzisiaj nie jadła posiłku jak zwykle w małej jadalni z ojcem, ponieważ był zajęty gośćmi.

- Mam dla pani nowy kostium do konnej jazdy - poinformowała mnie. - Powiesiłam go w szafie w pani pokoju.

- Dziękuję - odparłam. - To bardzo ładnie z twojej strony, że o tym pomyślałaś.

- Przecież nie może pani jeździć w tym! - wykrzyknęła drwiąco Alvean, wskazując na moją suknię w kolorze lawendy.

A więc dlatego tylko zadała sobie taki trud! Zależało jej, bym z powodu braku kostiumu nie przerwała naszych treningów. Powinnam była o tym pamiętać.

Zadałam sobie w duchu pytanie, czy nie jestem zbyt naiwna. Czy nie oczekuję od ludzi więcej, niż oni są w stanie dać? Dla Alvean nie znaczyłam nic; liczyłam się tylko wtedy, kiedy chciała coś osiągnąć i potrzebowała mojej pomocy.

Spojrzałam z niechęcią na swoją lawendową suknię. Była to moja ulubiona sukienka, jedna z dwóch, które krawcowa ciotki Adelajdy uszyła specjalnie na wyjazd do Mount Mellyn. Jedna była szara - kolor szczególnie dla mnie niekorzystny. Zdawało mi się, że w tej drugiej, w odcieniu lawendy, jest mi nieco bardziej do twarzy i mniej przypominam sztywną guwernantkę. Ale jakże nieciekawa wydała mi się teraz, ze stanikiem zapiętym wysoko pod szyję, przybrana kołnierzykiem i mankietami z kremowej koronki! Złapałam się na tym, że porównuję swój ubiór do wspaniałych strojów dam zaproszonych przez Connana TreMellyna na dzisiejszy bal.

Alvean przerwała moje rozmyślenia.

- Pośpieszmy się z kolacją, proszę pani. Niech pani nie zapomina, że idziemy do solarium.

- Spodziewam się, że ojciec pozwolił ci... - zaczęłam.

- Ja zawsze wyglądam przez wziernik w solarium. Wszyscy o tym wiedzą. Mama miała zwyczaj spoglądać do góry i machać mi ręką. - Twarz Alvean się skurczyła. - A jednak dziś wieczór - ciągnęła dalej, jakby rozmawiając ze sobą - będę sobie wyobrażać, że ona jest tam na dole... że tańczy. Jak pani myśli, panno Leigh, czy ludzie wracają po śmierci?

- Co za dziwne pytanie! Oczywiście, że nie.

- A więc pani nie wierzy w duchy. Są ludzie, którzy wierzą. Mówią, że je widzieli. Czy pani myśli, że oni kłamią, gdy powiadają, że ukazały im się duchy?

- Myślę, że ludzie, którzy opowiadają takie historie, są ofiarami własnej wyobraźni.

- A jednak - marzyła - będę sobie wyobrażać, że ona tam jest... wśród tańczących. Może, jeżeli bardzo tego zapragnę, ujrzę ją. Może się stanę ofiarą własnej wyobraźni.

Nic na to nie odrzekłam. Zrobiło mi się nieswojo.

- Gdyby miała się zjawić - mówiła dalej z zadumą - przyszłaby na bal; przecież taniec był czymś, co lubiła najbardziej. Uwielbiała tańczyć. - Naraz przypomniała sobie o mojej obecności. - Jeżeli nie chce pani pójść ze mną do solarium, to pójdę sama - rzekła. - Mnie to obojętne.

- Pójdę - odparłam.

- To chodźmy już teraz.

- Najpierw dokończmy kolację! - nakazałam.

* * *

Po raz wtóry zdumiał mnie ogrom tego domu, gdy podążając za Alvean, szłam galerią przez kilka sypialni po kamiennych schodach na górę do miejsca nazwanego przez nią solarium. Dach tego pomieszczenia był ze szkła i dlatego - jak się domyśliłam - tak je nazwała. Latem musiał tu panować upał nie do zniesienia.

Ściany solarium zawieszono były pięknymi arrasami, obrazującymi historię wojny domowej i okresu restauracji. Na jednej tkaninie przedstawiono ścięcie Karola I, na innej - Karola II, o charakterystycznym ciemnym obliczu, siedzącego na dębie i przyglądającego się z góry żołnierzom Cromwella. Była też scena pokazująca przybycie do Anglii Karola II, jego koronację i wizytę w stocznich.

- Niech pani nie zwraca teraz na nie uwagi - radziła mi Alvean. - Moja mama ogromnie lubiła tutaj przesiadywać. Mówiła, że stąd widać wszystko, co się dzieje. Tam wyżej są dwa wzierniki. Chce je pani zobaczyć?

Spojrzałam na sekretarzyk, na sofę i krzesła ze złożonymi oparciami. Oczami wyobraźni widziałam ją, gdy siedzi tutaj i rozmawia ze swoją córką; zmarła Alice w miarę upływającego czasu wydawała mi się coraz bardziej żywa.

Po obu końcach tego długiego pokoju znajdowały się okna, wysokie, przesłonięte zasłonami z ciężkiego brokatu. Takie same brokatowe zasłony wisały jeszcze w dwóch innych miejscach. Początkowo sądziłam, iż są to drzwi. Wydawało się, że w pomieszczeniu są cztery wejścia: to, przez które weszliśmy, drugie - w najdalszym końcu solarium oraz dwa dodatkowe, po tych samych stronach. Jeśli chodzi o dwa ostatnie, to się myliłam.

Alvean zniknęła za jedną z zasłon, przywołując mnie do siebie stłumionym głosem. Poszłam za nią. Okazało się, że za kotarą jest

alkowa. W ścianie znajdował się otwór w kształcie gwiazdy, ale tak zręcznie zamaskowany, że tylko wtajemniczeni mogli go zobaczyć bez dłuższego szukania.

Wyjrzałam przez otwór i stwierdziłam, że mam z niego widok na dół, na kaplicę. Widziałam wyraźnie tylko jedną jej stronę: mały ołtarz z tryptykiem i ławkami.

- Mama mi opowiadała, że za dawnych czasów, kiedy ktoś z powodu choroby nie mógł zejść na dół, przychodził do solarium i stąd słuchał mszy. Kiedyś w domu zawsze był ksiądz. Moja mama mi tego nie mówiła; nie znała dobrze historii domu. To panna Jansen mi o tym opowiedziała. Ona znała mnóstwo szczegółów dotyczących tego budynku. Uwielbiała tu przychodzić i spoglądać przez otwór. Podobała jej się zwłaszcza kaplica.

- Wydaje mi się, Alvean, że musiało ci być smutno, kiedy odjechała, prawda?

- Tak, było mi smutno. Drugi otwór znajduje się po przeciwnej stronie. Przez niego można spoglądać na salę balową.

Przeszła przez pokój i rozsunęła zasłony. W ścianie widniał podobny gwiaździsty otwór.

Spojrzałam w dół, na salę balową, i zapało mi oddech z wrażenia. Widok był imponujący. Muzycy na podium stroili instrumenty, a goście skupili się w małe grupki tu i tam i rozmawiali z ożywieniem.

Na sali było bardzo wiele osób; gwar ich rozmów docierał aż do nas, na górę. Alvean stała przy mnie, wstrzymując oddech w piersiach. Jej oczy penetrowały tłum... w sposób, który przyprawił mnie o lekki dreszcz. Czy rzeczywiście wierzyła, że Alice wstanie z grobu, ponieważ uwielbiała tańczyć?

Ogarnęła mnie przemożna chęć, by objąć ją ramieniem i przyciągnąć do siebie. Biedna sierota - pomyślałam wzruszona do głębi. Biedne, zagubione stworzenie.

Ale oczywiście stłumiłam w sobie to pragnienie. Alvean nie życzyła sobie mego współczucia, bardzo dobrze o tym wiedziałam.

Zobaczyłam Connana TreMellyna zajętego rozmową z Celestine Nansellock. Peter znajdował się tam również. O ile Petera uważałam za jednego z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich spotkałam w życiu, o tyle Connan był, moim zdaniem, z pewnością najbardziej elegancki. W tym świetnym tłumie znałam mało osób, ale jedną

pamiętałam dobrze: lady Treslyn. Wyróżniała się nawet spośród tego olśniewającego otoczenia. Jej suknia składała się z niezliczonych zwojów jaskrawoczerwonego szyfonu. Niewiele kobiet - pomyślałam - odważyłoby się włożyć na siebie strój w tak ryzykownym kolorze. Jeżeli jednak celem lady Treslyn było zwrócenie na siebie uwagi, nie mogła wymyślić nic bardziej odpowiedniego. Jej ciemne włosy wydawały się prawie krucze w zestawieniu z płomienną barwą tkaniny oraz olśniewającą bielą wspaniałego biustu i ramion. Na głowie miała przepaskę z diamentów w kształcie tiary; cała jej postać, w blasku kryształowych ogni, skrzyła się i migotała.

Na lady Treslyn zwróciła również uwagę Alvean. Dziewczynka gniewnie zmarszczyła brwi.

- A więc i ona tu jest - szepnęła.

- Czy jej mąż też przyjechał? - spytałam z ciekawością.

- Tak, to ten niski staruszek, który rozmawia z pułkownikiem Penlandsem.

- Który to jest pułkownik Penlands?

Wskazała pułkownika. Stał w towarzystwie pochylonego starca o białych włosach i pomarszczonej twarzy. Wprost trudno mi było uwierzyć, że jest to mąż tego urzekającego zjawiska.

- Proszę spojrzeć - szepnęła Alvean. - Ojciec zaraz zacznie bal. Zawsze robił to z ciotką Celestine, a moja mama ustawiała się w parze z wujkiem Geoffrym. Ciekawa jestem, kim go teraz otworzy?

- Z kim go otworzy - poprawiłam ją z roztargnieniem, ponieważ, podobnie jak Alvean, byłam całkowicie pochłonięta obserwowaniem sceny na dole.

- Muzycy zaraz złączą grać - wyjaśniła. - Oni zawsze na początku grają tę samą melodię. Wie pani, co to jest za melodia? To Furry Dance. Pochodzi z okolic Helston, skąd wywodzi się część naszych przodków. Przywieźli ją ze sobą tutaj, do Mellyn, i od tej pory zawsze się ją u nas gra. Niech pani patrzy!... Tatuś i mama tańczyli pierwsze takty ze swymi partnerami, a inni ustawiali się za nimi.

Muzycy zaczęli grać. Zobaczyłam, że Connan bierze Celestine za rękę i prowadzi ją na środek sali. Za nim podążył Peter Nansellock, który wybrał lady Treslyn na partnerkę.

Patrzyłam na tę czwórkę wykonującą pierwsze figury tradycyjnego tańca i myślałam o biednej Celestine. Suknia z

niebieskiej satyny niewiele jej dodawała pewności siebie. Wyraźnie było widać, że czuje się skępowana w tym kwartecie. Brakowało jej elegancji i swobody Connana, urody lady Treslyn oraz werwy brata.

Moim zdaniem Connan niepotrzebnie wybrał Celestine do pary na otwarcie balu. Ale taka już była tradycja. Ten dom był przesiąknięty tradycją. Postępuje się w określony sposób, ponieważ tak robili przodkowie, i często jest to jedyny powód. No cóż, taki obyczaj panował w znakomitych rodach.

Obydwie z Alvean zachłannie przypatrywałyśmy się tańczącym. Obserwowałyśmy ich ponad godzinę i wciąż jeszcze nie miałyśmy dość. Wydawało mi się, że Connan raz i drugi spojrzął w górę. Czyżby wiedział, że córka ma zwyczaj podglądania z solarium? Uświadomiłam sobie, że Alvean powinna iść już spać, ale z drugiej strony pomyślałam, że przy takiej okazji jak ta można rozluźnić nieco dyscyplinę.

Fascynował mnie sposób, w jaki dziewczynka obserwowała tańczących - gorączkowy - jakby miała pewność, że jeżeli będzie wpatrywać się dostatecznie długo i intensywnie, zobaczy twarz, za którą tęskni.

Zrobiło się ciemno; na niebie pojawił się księżyc. Oderwałam wzrok od tańczących i przez szklany dach solarium spojrzałam na jego garbaty kształt. Wydawało mi się, że mruga do nas, jakby chciał powiedzieć: „Nie dla ciebie świece balowej sali. Nie dla ciebie wesołość i blask, ale zastąpię ci je, użyczając swego delikatnego i łagodnego światła”.

Pokój zalany księżycową poświatą sprawiał niesamowite wrażenie. Przyszło mi na myśl, że w takim otoczeniu wszystko może się zdarzyć.

Ponownie zwróciłam uwagę na tańczących. Tańczono walca i jego rozlewne tony podziały również na mnie. Mimo woli zaczęłam kołysać się w takt muzyki.

Tańczę dobrze. Dzięki tej umiejętności zyskiwałam partnerów na różnych potańcówkach, na które prowadziła mnie ciotka Adelajda. Było to w czasach, kiedy miała nadzieję, że uda jej się znaleźć dla mnie męża. Niestety, tańczące wieczorki nie przyniosły efektów, jakich oczekiwała ciotka Adelajda; zaproszenia do tańca nigdy nie przerodziły się w propozycje innego typu.

Kiedy tak zasłuchana kołysałam się w rytm muzyki, poczułam nagle, że czyjaś ręka dotyka mej dłoni. Zaskoczona, krzyknęłam.

Spojrzałam w dół. Obok mnie stała mała figurka; z ulgą rozpoznałam w niej Gillyflower.

- Przyszłaś, by popatrzeć na tańczących? - zapytałam. Skinęła głową twierdząco.

Ponieważ nie była tak wysoka jak Alvean i nie mogła dosięgnąć do wziernika, podniosłam ją i przytrzymałam przez chwilę. W świetle księżyca nie widziałam dobrze, ale odniosłam wrażenie, że jej oczy nabrały bardziej świadomego wyrazu.

- Przynieś stołek dla Gillyflower, to sobie na nim stanie - zwróciłam się do Alvean. - Będzie jej łatwiej się przyglądać.

- Niech go sobie sama przyniesie - odparła szorstko Alvean.

Gilly skinęła głową, a ja postawiłam ją na podłodze. Posłusznie pobiegła i przyniosła taboret. Zastanowiło mnie, że skoro rozumie, co się do niej mówi, dlaczego z nami nie rozmawia?

Odkąd zjawiała się Gillyflower, Alvean jakby przestała się interesować tym, co się dzieje w sali balowej. Odeszła od otworu, a gdy rozległy się pierwsze dźwięki mego ulubionego walca Nad pięknym modrym Dunajem - zaczęła poruszać się w jego rytmie na środku solarium.

Muzyka wywarła magiczny wpływ na moje stopy. Nie wiem, co mnie naszło owej nocy. Czułam się tak, jakby wstąpiła we mnie jakaś nieznana siła; nie byłam w stanie opierać się dłużej czarowi tej melodii. Zaczęłam również tańczyć. Wirując, posuwałam się w kierunku Alvean. Tańczyłam walca tak jak kiedyś na balach, na które chodziłam z ciotką Adelajdą. Podświadomie jednak czułam, że nigdy nie tańczyłam tak pięknie jak wtedy w solarium.

Alvean wykrzyknęła radośnie. Usłyszałam również śmiech Gilly.

- Niech pani tańczy dalej, niech pani nie przestaje. Pani tak pięknie tańczy!

Tańczyłam więc w dalszym ciągu z wyimaginowanym partnerem, w solarium zalanym światłem księżyca, a garbus uśmiechał się do mnie z góry. Wirując nieprzerwanie, dotarłam do drugiego końca sali. Naprzeciw mnie wyszła wówczas jakaś postać. I oto miałam już partnera obok siebie.

- Pani jest niezrównana - odezwał się jakiś głos.

Był to Peter Nansellock w eleganckim wieczorowym stroju. Trzymał mnie tak, jak się trzyma partnerkę w czasie walca.

Przez moment się zawahałam.

- Nie... nie... - zaprotestował. - Proszę, dzieci się domagają. Musi pani tańczyć ze mną, panno Leigh, musi pani, ponieważ pani przeznaczeniem jest tańczyć ze mną.

Tańczyliśmy dalej. Miałam uczucie, że moje stopy, raz puszczone w ruch, nie potrafią się już zatrzymać. Mimo to powiedziałam:

- To jest wysoce niewłaściwe.
- To jest wysoce przyjemne - odparł.
- Pana miejsce jest wśród gości.
- Wolę przebywać z panią.
- Pan zapomina...

- Że pani jest guwernantką? Zapomniałbym, gdyby mi pani na to pozwoliła.

- Nie widzę najmniejszego powodu, dla którego miałby pan o tym nie pamiętać.

- Choćby dlatego, że moim zdaniem byłaby pani znacznie szczęśliwsza, gdybyśmy wszyscy zapomnieli o tym fakcie. Jak pani wspaniale tańczy!

- To moja jedyna salonowa umiejętność.

- Jestem przekonany, że jest to jeden z wielu talentów, które marnuje pani w tym pustym pokoju.

- Panie Nansellock, czy nie sądzi pan, że jest to dość ograny dowcip?

- To nie dowcip.

- Pozwoli pan, że wrócę do dzieci.

Podeszliśmy do dziewczynek. Ujrzałam wniebowziętą twarz Gilly i podziw na obliczu Alvean. Gdybym przestała tańczyć, wróciłabym do pozycji guwernantki. Kiedy tańczyłam, byłam kimś lepszym.

Pomyślałam, że śmieszne są moje myśli. Dziś wieczór jednak chciałam być zabawna, chciałam być wesoła.

- A więc tutaj go mamy!

Ku swemu przerażeniu ujrzałam, że do solarium wchodzi grupa gości. Moja konsternacja jeszcze się zwiększyła, kiedy między nimi zobaczyłam czerwoną suknię lady Treslyn. Wiedziałam, że nieodmiennie w ślad za tą płomienną toaletą pojawi się również Connan TreMellyn.

Ktoś zaczął klaskać. Inni poszli w jego ślady. Zabrzmiały ostatnie tony walca Nad pięknym modrym Dunajem.

Zakłopotana do najwyższego stopnia, podniosłam rękę, by poprawić fryzurę. Podczas tańca szpilki wysunęły mi się z włosów i sploty się rozluźniły.

Przez głowę przemknęła mi myśl: Jutro zostanę zwolniona za frywolne zachowanie i może zasłużyłam na to.

- Co za wspaniały pomysł! - odezwał się któryś z gości. - Taniec w świetle księżyca. Czy może być coś bardziej fascynującego? A muzykę słyhać tutaj nie gorzej niż na dole.

Ktoś dodał:

- To jest piękna sala balowa, Connan.

- Wykorzystajmy ją zatem do tego celu - rzekł. Podszedł do gwiazdzistego otworu i rozkazał:

- Jeszcze raz Nad pięknym modrym Dunajem. Muzycy zaczęli grać.

Zwróciłam się do Alvean i pochwyciłam Gilly za rękę. Goście zaczynali już tańczyć. Dzielili się swoimi uwagami, nie zadając sobie nawet trudu, by zniżyć głos. Po cóż mieliby to robić? Byłam przecież tylko guwernantką.

Usłyszałam, jak ktoś mówi:

- To guwernantka Alvean, rozumiesz.

- Bezczelne stworzenie. Wydaje się, że to jeszcze jedna ze swobodnych pańienek Petera.

- Żal mi tych biednych istot, ich życie musi być niezbyt wesołe.

- Ale przy księżycu, w pełnym świetle? Takie zachowanie przechodzi wszelkie granice przyzwoitości!

- Ostatnią musieli odprawić, o ile mi wiadomo.

- Na tę też przyjdzie kolej.

Gorący rumieniec wystąpił mi na policzki. Miałam ochotę stanąć naprzeciw i wykrzyknąć im w twarz, że moje zachowanie z pewnością było przyzwoitsze niż maniery niektórych spośród ich grona.

Byłam wściekła i trochę przerażona. W świetle księżyca widziałam twarz Connana. Stał dość blisko i spoglądał na mnie, jak mi się wydawało, z wyrazem największego niezadowolenia. Byłam pewna, że nie mógł czuć nic innego.

- Alvean - odezwał się - idź do siebie i zabierz ze sobą Gilly.

Nie odważyła się mu przeciwstawić, gdy mówił takim tonem jak w tej chwili. Poparłam go najbardziej lodowatym głosem:

- Tak, chodźmy.

Ale kiedy zamierzałam pójść w ślad za nimi, Connan przybliżył się i chwycił mnie za ramię.

- Pani świetnie tańczy, panno Leigh - powiedział. - Nigdy nie byłem w stanie oprzeć się dobrej partnerce.

Może dlatego, iż nie jest to dziedzina, w której szczególnie celuję.

- Dziękuję - odrzekłam.

Connan nie puszczał mego ramienia.

- Jestem przekonany - ciągnął dalej - że Nad pięknym modrym Dunajem jest pani ulubioną melodią. Wyglądała pani... na taką wniebowziętą. - Mówiąc to, otoczył mnie ramieniem i wprowadził w krąg tańczących gości. I oto tańczyłam między nimi, tańczyłam razem z nim... ja w swej lawendowej sukni i turkusowej broszce, oni w szyfonach i aksamitach, w szmaragdach i diamentach.

Byłam rada, że świeci księżyc. Czułam się zażenowana. Wydawało mi się, że jest na mnie zły i że chce mnie wprawić w jeszcze większe zakłopotanie.

Moje stopy ponownie podchwyciły rytm. Pomyślałam sobie: Kiedyś, w przyszłości, walc Nad pięknym modrym Dunajem będzie mi się kojarzył z czarodziejskim tańcem w solarium i z Connanem TreMellynem - moim partnerem.

- Przepraszam, panno Leigh - odezwał się - za niegodne zachowanie się moich gości.

- Powinam się była tego spodziewać i z pewnością na to zasługuję.

- Co za bzdura! - zaprzeczył.

Wydawało mi się, że śnię, ponieważ w głosie, który zabrzmiał tuż przy moim uchu, dźwięczała czuła nuta.

Wirując w rytmie walca, znaleźliśmy się na końcu sali. Jednakże, ku memu zaskoczeniu, Connan prowadził mnie dalej, w stronę wyjścia, przez rozsuniętą kotarę, poza obręb solarium. Znajdowaliśmy się teraz na małym podeście, w nie znanej mi części domu, między dwiema kondygnacjami schodów.

Przestaliśmy tańczyć, a on nadal nie wypuszczał mnie z objęć. Na owej ścianie paliła się parafinowa lampa z zielonego nefrytu. W jej

skąpym świetle widziałam tylko twarz Connana, która w owej chwili wydawała mi się nieco brutalna.

- Panno Leigh - odezwał się - jest pani czarująca, kiedy traci pani swoją sztywność.

Z trudem łapałam powietrze, skonsternowana, ponieważ przycisnął mnie do ściany i zaczął całować.

Przeraziły mnie nie tylko moje uczucia, ale i wymowa tej sceny. Wiedziałam, co znaczy ten pocałunek: Pozwalasz sobie na mały flircik z Peterem Nansellokiem, więc równie dobrze możesz robić to ze mną.

Byłam tak rozgniewana, że nie panowałam nad sobą. Z całej siły odepchnęłam go od siebie. Zaskoczony, zatoczył się w tył. Uniosłam spódnicę i biegiem puściłam się po schodach w dół.

Nie wiedziałam, gdzie się znajduję, lecz biegłam dalej na oślep. Wreszcie trafiłam na galerię, skąd już z łatwością znalazłam drogę do mego pokoju. Rzuciłam się na łóżko i leżałam dopóty, dopóki nie odzyskałam równowagi.

Tylko jedno pozostaje mi do zrobienia - powiedziałam sobie - opuścić ten dom jak najszybciej. Zamiary Connana były teraz dla mnie zupełnie wyraźne. Nie miałam już wątpliwości, że panna Jansen została zwolniona dlatego, iż odważyła się odrzucić jego zaloty. Ten człowiek jest potworem. Sądzi, że każdy, kto u niego pracuje, jest jego własnością. Czy sobie wyobraża, że jest tureckim baszą? Jak śmiał potraktować mnie w ten sposób?

Czułam dławienie w gardle. Bałam się, że się za chwilę uduszę. Nigdy w życiu nie czułam się tak nieszczęśliwa. I to przez niego. Nie chciałam się do tego przyznać, ale największą przykrość sprawiło mi to, że odniósł się do mnie z takim lekceważeniem.

Były to niebezpieczne sygnały.

Muszę przywołać na pomoc cały swój rozsądek.

Podniosłam się z łóżka i zamknęłam drzwi. Chciałam mieć pewność, że w ostatnią noc w tym domu nikt się do mego pokoju nie dostanie. Drugie wejście wiodło przez sypialnię Alvean i salę lekcyjną, ale wiedziałam, że nie będzie próbował dostać się tą drogą.

Mimo to nadal nie czułam się bezpieczna.

Bzdura - perswadowałam sobie - jesteś w stanie się obronić. Jeżeli odważy się tutaj wejść, możesz natychmiast pociągnąć za dzwonek.

Przede wszystkim powinnam napisać do Phillidy. Usiadłam i próbowałam skreślić kilka słów, lecz ręce tak mi się trzęsły, a litery były takie nierówne, że pismo wyglądało okropnie.

Mogłam się tylko zacząć pakować.

Podeszłam do szafy i szeroko otworzyłam drzwi. Krzyknęłam, bo mi się wydawało, że ktoś za nimi stoi. Świadczyło to dobitnie o stanie moich nerwów. Zaraz się jednak zorientowałam, że przyczyną mojego przestachu był kostium do konnej jazdy, który przyniosła mi Alvean. Musiała sama powiesić go w szafie. Zupełnie zapomniałam o małej przygodzie, jaka mi się przytrafiła dziś po południu. To, co nastąpiło wieczorem w solarium i jeszcze później, chwilowo wyparło z mej pamięci wszystkie inne wydarzenia.

Szybko spakowałam swój kuferek; nie miałam zbyt wielu rzeczy. Kiedy się już trochę uspokoiłam, usiadłam i napisałam list do Phillidy.

Kiedy skończyłam pisanie, usłyszałam na dole gwar. Podeszłam do okna. Część gości wyszła z sali balowej i zaczęła tańczyć na trawniku. Reszta poszła w ślad za nimi.

Doszedł do mnie czyjś głos:

- Prawdziwie niebiańska noc. Księżyc jest tak piękny, że grzechem byłoby opuścić taką okazję.

Skryłam się w cieniu i obserwowałam tańczących. Wreszcie zobaczyłam to, na co czekałam - Connana. Tańczył z lady Treslyn; głowę miał blisko jej głowy. Wyobrażałam sobie, co jej szeptał do ucha.

Odwróciłam się gniewnie od okna, starając się przekonać siebie, że ból, jaki odczułam w sercu na ten widok, był tylko niesmakiem.

Rozebrałam się i położyłam do łóżka. Długi czas leżałam z otwartymi oczami, a kiedy zasnęłam, w urywanych marzeniach sennych widziałam Connana, siebie i lady Treslyn. I zawsze gdzieś w tle majaczyła niewyraźna postać, która od chwili przyjazdu do Mount Mellyn stała się moją obsesją.

Obudziłam się nagle i podskoczyłam na łóżku. Księżyc jeszcze świecił na niebie i w stanie półsnu, w jakim się znajdowałam, wydawało mi się, że dostrzegam w pokoju ciemną kobiecą postać.

Wiedziałam, że to Alice. Nie odzywała się, ale mimo to słyszałam jej głos: „Nie wolno ci stąd odejść. Musisz zostać. Nie mam spokoju po śmierci. Ty możesz mi pomóc. Możesz pomóc nam wszystkim”.

Drżałam na całym ciele. Usiadłam na posłaniu. Teraz dopiero sobie uświadomiłam, co mną tak wstrząsnęło. Kiedy pakowałam rzeczy, drzwi od szafy zostawiłam otwarte, a to, co mi się wydawało duchem Alice, było jedynie jej kostiumem do konnej jazdy.

* * *

Na drugi dzień rano wstałam późno. Bo kiedy wreszcie zapadłam w sen, zasnęłam tak twardo, że dopiero mocne walenie w drzwi zdołało mnie obudzić. To pukała Kitty, która przyniosła ciepłą wodę do mycia. Zastała zamknięty pokój i chciała wiedzieć, czy nie stało się coś złego.

Wyskoczyłam z łóżka i otworzyłam drzwi.

- Wszystko w porządku, panienko? - zapytała.

- Tak! - odparłam ostro.

Stała, czekając, aż wyjaśnię powód zamknięcia drzwi. Oczywiście nie zamierzałam jej się tłumaczyć. Kitty zaś tak jeszcze była przejęta wczorajszym balem, że nie wykazała zainteresowania, co innego bowiem absorbowowało jej uwagę.

- Och, panienko, jaki to był piękny bal! Widziałam wszystko z mego pokoju. Tańczyli na trawie w świetle księżyca. Wielki Boże, nigdy nie widziałam czegoś podobnego! Zupełnie jak za życia jaśnie pani. Ale panienka wygląda na zmęczoną. Nie dali pani spać, co?

- Rzeczywiście - przyznałam - nie dali.

- Ale już po wszystkim. Pan Polgrey przenosi swoje kwiaty do szklarni. On się tak nad nimi trzęsie jak kwoka nad kurczętami. Hol wygląda dziś jak po bitwie, tyle tylko mogę powiedzieć. Sprzątanie bałaganu zajmie nam z Daisy cały dzień, przekona się pani.

Ziewnęłam. Kitty postawiła ciepłą wodę przy szafliku i wyszła. Za pięć minut zjawiała się ponownie.

Nie byłam jeszcze całkowicie ubrana, okręciłam się więc ręcznikiem, bo denerwowało mnie zawsze jej zbyt natrętne spojrzenie.

- Pan dziedzic panią prosi - zakomunikowała. - Chce się z panią zaraz widzieć. Czeka na panią w ponczowym saloniku. Powiedział do mnie: „Powiedz panie Leigh, że to bardzo pilne”.

- Ach tak! - rzekłam.

- To bardzo pilne, panienko - powtórzyła Kitty. Skinęłam głową na znak, że przyjmuję to do wiadomości.

Szybko się umyłam i ubrałam. Domyślałam się, co znaczy to wezwanie. Wystąpi przypuszczalnie z jakąś pretensją. Zmyje mi

głowę, ponieważ okazałam się w jakiś sposób niekompetentna. Pomyślałam o pannie Jansen, zastanawiając się, czy i ona przeżyła podobną przygodę... „Ma pani czas do jutra, by się stąd wynieść”. Ktoś przeciwko niej uknuł intrygę. A jeżeli i na mnie również wymyśli coś podobnego?

Ten człowiek jest pozbawiony wszelkich skrupułów - pomyślałam. Dobrze. Ja go uprzedzę. Oświadczę mu, że wyjeżdżam, zanim powie, że mnie zwalnia.

Zeszłam na dół do ponczowego saloniku gotowa stawić czoło ewentualnemu atakowi.

Connan ubrany był w niebieski surdut do konnej jazdy. Na jego twarzy nie widać było żadnych śladów nie przespanej nocy.

- Dzień dobry, panno Leigh - przywitał mnie grzecznie. Ku memu zaskoczeniu jego słowom towarzyszył ciepły uśmiech. Nie odwzajemniłam uśmiechu.

- Dzień dobry - odparłam. - Spakowałam już swoje rzeczy i chciałabym możliwie jak najszybciej stąd wyjechać.

- Panno Leigh! - wykrzyknął z wyrzutem.

Ogarnęło mnie uczucie absurdalnej radości. Mówiłam sobie: „On nie chce, byś wyjechała. Nie każe ci wyjeżdżać. W istocie ma zamiar cię przeprosić”.

Usłyszałam swój głos - wysoki, afektowany. U kogoś innego jego ton wzbudziłby na pewno moją niechęć, tak był obłudny i zarozumiały.

- Uważam, że jedynym wyjściem dla mnie po tym... Przerwał mi w pół zdania:

- Po tym moim oburzającym zachowaniu ubiegłej nocy, panno Leigh, zwracam się z gorącą prośbą, by puściła pani w niepamięć to nieszczęsne wydarzenie. Obawiam się, że podniecająca atmosfera balu cokolwiek zawróciła mi w głowie. Zapomniałem, z kim tańczyłem. Proszę, by mi pani wybaczyła obrazę i oświadczyła wielkodusznie - a jestem pewien, że jest pani osobą wielkoduszną, panno Leigh - „zaciągnijmy kurtynę nad tym nieprzyjemnym zajściem i niech wszystko zostanie po staremu”.

Miałam wrażenie, iż żartuje, ale było mi tak radośnie na duszy, że zupełnie mnie to nie obchodziło.

Nie musiałam wyjeżdżać. List do Phillidy nie zostanie wysłany. Nie muszę opuszczać tego domu ze wstydem.

Skinęłam głową i rzekłam:

- Przyjmuję pańskie przeprosiny, panie TreMellyn. Zapomnijmy o tym nieprzyjemnym i niefortunnym incydencie.

Następnie odwróciłam się i wyszłam z pokoju.

Złapałam się na tym, że przeskakuję po trzy stopnie naraz. Poruszałam się prawie jak w tańcu; moje stopy zachowywały się tak jak ubiegłej nocy w solarium, kiedy to nie mogły ustać w miejscu, gdy rozległy się dźwięki muzyki.

Sprawa zakończona. Zostaję. Cały dom wydawał się przytulać mnie do swego serca. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że gdybym musiała opuścić to miejsce, byłoby mi bardzo ciężko na duszy.

Zawsze przejawiałam skłonność do samoanalizy i teraz też zadawałam sobie pytania: Jaka jest przyczyna tego radosnego nastroju? Dlaczego czułabyś się nieszczęśliwa, gdybyś musiała opuścić Mount Mellyn?

Miałam już w zanadrzu gotową odpowiedź: Ponieważ tutaj kryje się jakaś tajemnica. Ponieważ pragnę ją rozwikłać. Ponieważ pragnę pomóc tym dwojgu zagubionym dzieciom, bo przecież Alvean jest równie zagubiona jak biedna mała Gillyflower.

Ale może to nie była jedyna przyczyna. Może pan tego domu interesował mnie więcej, niż powinien.

Może gdybym była mądrzejsza, wyczułabym sygnał niebezpieczeństwa. Ale nie byłam mądra. Kobiety w moim położeniu rzadko odznaczają się mądrością.

* * *

Tego dnia, jak zwykle, po południu jeździłam z Alvean konno. Lekcja przebiegła sprawnie; jedyną różnicą w stosunku do poprzednich był mój nowy kostium do konnej jazdy. Miał trochę inny fason niż pierwszy, ponieważ składał się ze ściśle dopasowanej sukni z lekkiego materiału oraz zakietu skrojonego na wzór męskiego surdutu.

Cieszyło mnie, że wczorajsza przygoda nie pozostawiła u Alvean żadnego psychicznego urazu. Oświadczyłam jej zatem, że za kilka dni spróbujemy biegu z przeszkodami.

Po powrocie do domu udałam się do siebie, by się przebrać do podwieczorku.

Kiedy zdejmowałam zakiet, przypominałam sobie, jakiego strachu napędził mi ubiegłej nocy. Roześmiałam się ze swoich przywidzeń, ponieważ byłam dziś w wyjątkowo dobrym humorze. Z pewną trudnością zdjęłam kostium (Alice była nieco szczuplejsza ode mnie), a następnie włożyłam swoją szarą bawełnianą sukienkę; idąc za radą ciotki Adelajdy, starałam się nie chodzić w tej samej sukni dwa dni z rzędu. Zamierzałam właśnie powiesić strój do szafy, kiedy w kieszeni zakietu poczułam jakiś twardy przedmiot.

Zdziwiona, wsadziłam rękę do środka. Już przedtem sprawdziłam kieszenie i nic w nich nie znalazłam. Kieszenie i tym razem były puste, ale pod jedwabną podszewką wyraźnie coś wyczułam. Położyłam zakiet na łóżku i po starannym zbadaniu spodu odkryłam w nim kieszonkę. Wystarczyło jedynie rozpiąć haftki, by się do niej dostać. W kieszonce znajdowała się książeczka, niewielki notatnik.

Serce zabiło mi mocniej, gdy wzięłam go do ręki; wiedziałam, że był własnością Alice.

Zawahałam się przez chwilę, ale nie mogłam powstrzymać odruchu, by nie zajrzeć do środka. Prawdę powiedziawszy, miałam nawet przekonanie, że jest moim obowiązkiem sprawdzić jego zawartość.

Na pierwszej stronie widniały skreślone dość dziecinnym charakterem pisma słowa: „Alice TreMellyn”. Spojrzałam na datę. Był to ubiegły rok. Jak z tego wynikało, zapiski pochodziły z ostatniego roku jej życia.

Odwróciłam kartki. Jeżeli oczekiwałam jakichś rewelacji, to się szybko rozczarowałam. Alice w swym dzienniku zapisywała jedynie daty i terminy spotkań. Nic nie było w tym notatniku, co pozwoliłoby mi ją lepiej zrozumieć.

Spojrzałam na zapiski. „Herbatka w Mount Widden”. „Kolacja u Trelanderów”. „C do Penzance”. „C wraca”.

Zapiski te poczyniła jednak ręka Alice i już ten fakt sprawiał, iż miały dla mnie wielką wartość.

Przerzuciłam kartki, by znaleźć ostatni zapis. Pochodził z dwudziestego sierpnia. Wróciłam do notatek z poprzedniego miesiąca. Pod datą czternastego lipca przeczytałam: „Treslynowie i Trelanderowie na kolacji w M.M.” „Wizyta u krawcowej w sprawie niebieskiej satyny”. „Nie zapomnieć porozmawiać z Polgreyem w sprawie kwiatów”. „Wysłać Gilly do krawcowej”. „Zabrać Alvean do

przymiarki". „Jeżeli jubiler nie odeśle broszki do szesnastego, pojechać do niego". A pod datą szesnastego: „Broszki nie odesłano, muszę ją osobiście odebrać jutro rano. Potrzebna mi na osiemnastego, na przyjęcie u Trelanderów".

Były to bardzo prozaiczne notatki. To, co jak przypuszczałam, miało stanowić wielkie odkrycie, okazało się praktycznie bez znaczenia. Schowałam notatnik z powrotem do kieszeni i udałam się do sali lekcyjnej.

Nagle podczas wspólnej lektury z Alvean przyszła mi do głowy pewna myśl. Nie znałam dokładnej daty śmierci Alice, ale musiała ona nastąpić już po wpisaniu do dzienniczka tych błahych uwag. To dosyć dziwne - pomyślałam - że zadawała sobie trud robienia zapisków, planując jednocześnie porzucenie męża i dziecka oraz ucieczkę z innym mężczyzną.

Ogarnęła mnie przemożna chęć poznania dokładnej daty śmierci Alice.

Alvean tego popołudnia jadła podwieczorek w towarzystwie ojca, ponieważ kilku wczorajszych gości przyjechało osobiście podziękować Connanowi za wspianą bal.

Byłam więc wolna i mogłam spokojnie wyjść z domu. Postanowiłam pójść do wsi Mellyn, gdzie - jak przypuszczałam - na lokalnym cmentarzu musiały być pochowane szczątki Alice.

Nie miałam dotychczas sposobności, by dokładniej zwiedzić wieś, gdyż rzadko zapuszczałam się tak daleko. Wyjątkiem były niedzielne jazdy do kościoła w Mellyn na mszę. Zapowiadała się więc interesująca krajoznawcza wycieczka.

Drogę w dół do wsi przebyłam prawie biegiem, tak że w krótkim czasie znalazłam się na miejscu. Uzmysłowiłam sobie, że powrót pod górę będzie wymagał większego wysiłku.

Położona w dolinie wieś skupiała się wokół starego kościółka, którego szarą wieżę do połowy zarastał bluszcz. Na obrzeżach niewielkich, ale przyjemnych błoni wznosiło się kilka domów z szarego kamienia, wśród których był szereg bardzo starych chat. Ich wygląd sugerował, że pochodziły z tego samego okresu co kościół. Obiecałam sobie, że kiedyś postaram się dokładniej zwiedzić wioskę. Na razie pałam niecierpliwością, by odnaleźć grób Alice.

Przeszłam przez zadaszoną cmentarną bramę i znalazłam się na kościelnym dziedzińcu. O tej porze dnia panowała tutaj zupełna cisza.

Całe to miejsce przenikał spokój śmierci. Pożałowałam w pewnym momencie, że nie zabrałam ze sobą Alvean. Ona wskazałaby mi grób swojej matki.

Jak go tu odnaleźć między rzędami szarych krzyży i nagrobków? - zastanawiałam się, rozglądając się wokół bezradnie. Wpadło mi jednak do głowy, że TreMellynowie muszą mieć rodzinny grobowiec, i to na pewno wspaniały. Powinnam rozejrzeć się za takim grobem, który niewątpliwie naprowadzi mnie na właściwy trop.

W niedużej odległości dostrzegłam ogromny pomnik z czarnego marmuru ze złoceniami. Podeszłam do niego i odkryłam, że jest to grób Nansellocków.

W tym momencie uświadomiłam sobie, że w grobowcu z pewnością spoczywa Geoffry Nansellock, wszak umarł tej samej nocy co Alice. Przecież razem znaleziono ich ciała.

W marmurze wygrawerowano napisy. W grobowcu składano wszystkie doczesne szczątki zmarłych Nansellocków, poczynając od połowy siedemnastego wieku. Przypomniałam sobie, że ta rodzina osiedliła się w Mount Widden znacznie później niż TreMellynowie w Mount Mellyn.

Bez trudu odnalazłam imię Geoffry'ego, ponieważ, rzecz jasna, na tablicy nieżyjących figurował ostatni.

Jako datę jego śmierci podano siedemnasty lipca ubiegłego roku. Postanowiłam co prędzej wrócić do domu i sprawdzić ten dzień w notatniku Alice.

Zawróciłam od grobu i w tej chwili spostrzegłam idącą w moim kierunku Celestine Nansellock.

- Panna Leigh! - wykrzyknęła. - Myślałam, że to pani. Zaczerwieniłam się; przypomniałam sobie, że Celestine

była również wśród gości w solarium, i zastanawiałam się, co ona o mnie teraz myśli.

- Wybrałam się na przechadzkę do wsi - odparłam - i zawędrowałam aż tutaj.

- Widzę, że ogląda pani grobowiec mojej rodziny.

- Rzeczywiście. Jest bardzo piękny.

- Jeśli coś takiego może być piękne. Często tu przychodzę - mówiła nie pytana. - Zanoszę Alice kwiatki.

- Ach, tak... - wyjąkałam.

- Spodziewam się, że widziała pani grobowiec naszych sąsiadów TreMellynów?

- Nie.

- On jest tam. Chodźmy do niego.

Brodząc i potykając się w wysokiej trawie, podeszłam do grobowca, który nie ustępował wspaniałością mauzoleum Nansellocków.

Na czarnej płycie stał wazon z bukietem michałków - dużych, pięknych kwiatów, których kształt przypominał fiołkoworóżowe gwiazdy.

- Dopiero co je tutaj położyłam - oświadczyła. - To były jej ulubione kwiatki.

Wargi jej drżały i wyglądała tak, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem.

Spojrzałam na datę śmierci Alice; była taka sama jak Geoffry'ego Nansellocka.

- Niestety, muszę już wracać - stwierdziłam.

Skinęła głową. Wydawała się zbyt wzruszona, by coś z siebie wykrztusić. Pomyślałam, że kochała Alice. Chyba kochała ją bardziej niż kogokolwiek innego.

Już miałam na końcu języka, by powiedzieć jej o znalezionym dzienniczku Alice, ale się zawahałam. Wspomnienie wstydu doznanego ostatniej nocy było jeszcze zbyt świeże. Mogę się narazić na to, że mi wypomni, iż jestem tylko guwernantką. A jakie miałam prawo mieszać się w ich sprawy?

Zostawiłam ją przy grobie. Odchodząc, ujrzałam, że pada na kolana. Później jeszcze raz odwróciłam głowę; Celestine klęczała z twarzą ukrytą w dłoniach. Jej ramiona trzęsły się od płaczu.

Pośpiesznie wróciłam do domu i wyjęłam dzienniczek Alice. Pod datą szesnastego lipca ubiegłego roku, w przeddzień swej rzekomej ucieczki z Geoffrym Nansellockiem, pani TreMellyn zapisała, że jeśli nie odeślą jej broszki do następnego dnia, to osobiście pojedzie po nią do jubilera, ponieważ musi ją mieć na przyjęcie mające się odbyć osiemnastego lipca.

Taki zapisek nie mógł zostać zrobiony przez kobietę, która planowała ucieczkę z kochankiem.

Czułam, że mam w swych rękach prawie pewny dowód, iż ciało, które zostało znalezione obok Geoffry'ego Nansellocka w wykolejonym pociągu, nie było ciałem Alice.

Ponownie zadawałam sobie pytania: Co przydarzyło się Alice? Jeśli nie spoczywa w czarnym marmurowym grobowcu, to gdzie się obecnie podziewa?

Rozdział 5

Czułam podświadomie, że wpadłam na ważny trop, ale jak na razie nie posuwałam się w swych odkryciach ani o krok dalej.

Codziennie budziłam się pełna nadziei, lecz każdy kolejny dzień był podobny do poprzedniego. Czasami się zastanawiałam, jakie działania powinnam przedsięwziąć. Czy mam pójść do Connana TreMellyna i powiedzieć mu, że znalazłam dziennik jego żony, z którego wyraźnie wynika, iż nie planowała żadnej ucieczki?

Z drugiej jednak strony nie darzyłam go całkowitym zaufaniem. Nawiedzała mnie nawet myśl, której nie chciałam analizować zbyt dokładnie: Przypuśćmy, że Alice nie było w tym pociągu i że przytrafiło jej się coś innego. Kto może wiedzieć najlepiej, co się naprawdę z nią stało? Oczywiście Connan TreMellyn.

Był też Peter Nansellock. Z nim również mogłam o tym porozmawiać, ale on z kolei był zbyt wielkim lekkoduchem, by potraktować tę sprawę z należytą powagą. Niezależnie od tego, co się powiedziało, u niego i tak wszystko kończyło się na zalotach.

Pozostała jeszcze jego siostra - osoba z nich wszystkich niewątpliwie najbardziej odpowiedzialna. Wiedziałam, że lubiła Alice. Łączyła je serdeczna przyjaźń. Celestine była z pewnością jedynym człowiekiem, któremu mogłam zaufać. Mimo to wahałam się. Celestine należała do innego świata, do którego, jak mi to wykazano dobitnie przy kilku okazjach, nie miałam prawa wstępu. Nie wypadało mnie, zwykłej guwernantce, bawić się w rolę śledczego.

Pani Polgrey również należała do kręgu ludzi, którym mogłam się zwierzyć. Ale i w tym wypadku coś mnie powstrzymywało. Miałam ciągle w pamięci herbatę zaprawioną whisky i jej stosunek do Gilly.

Postanowiłam więc na razie zatrzymać swe podejrzenia dla siebie. Mieliśmy już październik. W tych stronach przejście od lata do jesieni odbywało się w sposób łagodny i prawie niezauważalny. Wiejący z południowego zachodu ciepły, wilgotny wiatr wydawał się przynosić do nas egzotyczne zapachy Hiszpanii. Nigdy w życiu nie widziałam tylu pajęczyn jak podczas tego jesiennego miesiąca. Rozpięte na żywopłotach wyglądały jak cieniuteńka tkanina przetykana brylantami. Kiedy zza chmur wyzierało słońce, robiło się prawie tak ciepło jak w czerwcu. „Lato w Kornwalii trwa bardzo długo” - poinformował mnie Tapperty.

Znad morza nadciągały mgły. Tak szczelnie otulały swym mokrym płaszczem szare kamienne mury, że chwilami od południowej strony ogrodu nie było widać domu. Mewy w takie dni skrzeczały melancholijnie, jakby chciały nam obwieścić, że życie nie jest sielanką. Przesycony wilgocią klimat sprzyjał wegetacji roślin. Hortensje wciąż obsypane były kwiatami: niebieskimi, różowymi i żółtymi; równie piękne okazy można było spotkać jedynie w oranżerii. Nadal też kwitły róże oraz fuksje.

Kiedy pewnego dnia zesłam w dół, do wsi, zobaczyłam przed kościołem ogłoszenie o terminie zawodów. Wyznaczono je na pierwszy listopada.

Wróciłam i powiedziałam o tym Alvean. Z radością stwierdziłam, że nadal odnosi się do tego pomysłu z wielkim entuzjazmem. Obawiałam się, że w miarę zbliżania się terminu konkursu jej dawny strach może się powtórzyć.

- Mamy jeszcze trzy tygodnie - oświadczyłam. - Musimy poświęcić więcej czasu na treningi.

Przyznała mi słusność.

Zaproponowałam, by zmienić nieco nasz codzienny rozkład zajęć. Na naukę jazdy trzeba przeznaczyć teraz przynajmniej dwie godziny dziennie - po godzinie rano i po południu.

Chętnie się zgodziła.

- Zobaczę, co się da zrobić - obiecałam.

Connan TreMellyn wyjechał do Penzance. Dowiedziałam się o tym zupełnie przypadkowo od Kitty, kiedy zjawiała się z wieczorną wodą do mycia.

- Pan dziedzic wyjechał dziś po południu - oznajmiła. - Nie będzie go tydzień lub dłużej.

- Spodziewam się, że wróci na zawody - wyraziłam nadzieję.

- O, na pewno. Jest jednym z sędziów. Nie zdarzyło się jeszcze, by je opuścił.

Ten człowiek mnie irytował. Nie oczekiwałam, że powiadomi mnie o wyjeździe. Uważałam jednak, że powinien okazać na tyle przyzwoitości, by przynajmniej pożegnać się ze swoją córeczką.

Myślałam o nim dość często. Złapałam się nawet na tym, że się zastanawiam, czy rzeczywiście udał się do Penzance. Ciekawa też byłam, czy lady Treslyn przebywa w swej rezydencji. Może uważała za stosowne złożyć wizytę któremuś z krewnych.

Doprawdy! Przywołałam siebie do porządku. Co ciebie napadło? Dlaczego zaprzątasz sobie głowę takimi myślami? Tak jakbyś nie miała dość wystarczających dowodów.

Dałam sobie słowo, że dopóki Connan TreMellyn będzie nieobecny, nie będę o nim myśleć. Zrobiło mi się lżej, kiedy podjęłam to postanowienie.

Nie byłam zupełną hipokrytką. Myśl, że nie ma go w domu, rzeczywiście działała na mnie uspokajająco. Chociaż nie widziałam już potrzeby zamykania na noc drzwi mego pokoju, robiłam to w dalszym ciągu, głównie z powodu sióstr Tapperty. Nie chciałam, by się domyśliły, że zamykam je z obawy przed ich panem. Mimo że były to zupełnie prymitywne dziewczyny, w takich sprawach wykazywały zadziwiająco dużo sprytu.

- Teraz - oświadczyłam Alvean - musimy skoncentrować się przede wszystkim na przygotowaniach do konkursu.

Postarałam się o listę konkurencji. Dla dzieci w wieku Alvean były dwa konkursy skoków. Postanowiłam, że Alvean weźmie udział w podstawowej konkurencji, w której, moim zdaniem, miała największe szanse na zdobycie nagrody. A przecież jej głównym celem było zwyciężyć, by sprawić niespodziankę ojcu.

- Niech pani spojrzy - zwróciła moją uwagę Alvean - tu jest konkurencja w sam raz dla pani. Powinna pani wziąć udział w zawodach.

- W żadnym wypadku tego nie zrobię.

- Dlaczego nie?

- Moje drogie dziecko, jestem tu po to, by uczyć ciebie, a nie myśleć o własnych rozrywkach.

Oczy jej rozbłysły figlarnie.

- W takim razie ja panią zgłoszę - powiedziała. - Na pewno pani wygra konkurs, panno Leigh. Nikt nie jeździ lepiej od pani. Och, koniecznie musi pani wziąć udział w zawodach!

Patrzyła na mnie wzrokiem, w którym malowało się coś na kształt nieśmiałej dumy. Zrobiło mi się ciepło na sercu pod jej spojrzeniem. Cieszyło mnie, że jest ze mnie dumna. Chciała, bym wygrała.

No cóż, a dlaczegóż by nie? Nie było przecież żadnego przepisu określającego społeczny status uczestników tych konkursów - tak czy nie?

Uciekłam się do tradycyjnego zwrotu, którym zazwyczaj kończyłam kłopotliwą dyskusję.

- Zobaczymy - odparłam wymijająco.

* * *

Pewnego popołudnia, kiedy trenowałyśmy w pobliżu Mount Widden, natknęłyśmy się na Petera Nansellocka.

Jechał na pięknej gniadej klaczy, na widok której zazdrość zapłonęła w moich oczach.

Podjechał do nas galopem i ściągnął lejce. Następnie teatralnym gestem uniósł kapelusz, zginając się przy tym w pas.

Alvean roześmiała się z widocznym zadowoleniem.

- Co za spotkanie, drogie panie! - wykrzyknął. - Czyżbyście wybierały się do nas z wizytą?

- Nie - zaprzeczyłam.

- Ach, jak to nieładnie! Skoro jednak znalazłyście się, panie, w tych stronach, koniecznie musicie do nas wstąpić, by się trochę pokrzepić.

Miałam już odmówić, ale Alvean mnie uprzedziła, wykrzykując:

- Och, wstąpmy, panno Leigh! Tak, proszę, wujku Peterze, wstąpimy.

- Spodziewałem się, że panie odwiedzą nas już wcześniej - powiedział z wyrzutem.

- Nie miałyśmy konkretnego zaproszenia - przypomniałam mu.

- Panie są zawsze mile widzianymi gośćmi w Mount Widden. Czyż nie wyraziłem się dość jasno?

Zawrócił swoją klacz i wszyscy troje ruszyliśmy stępą. Zauważył moje spojrzenie utkwione w jego wierzchowca.

- Podoba się pani? - zapytał.

- Muszę przyznać, że tak. Piękne zwierzę.

- Jest prawdziwą pięknnością, prawda, Jacinth, moja pieszczoszko?

- Jacinth, a więc tak się nazywa?

- Ładnie, chce pani powiedzieć. Piękne imię dla pięknego stworzenia. Jest szybka jak wiatr. I warta czterech takich starych, ociężałych, pociągowych koni jak ten, na którym teraz pani jedzie, panno Leigh.

- Ociężały, pociągowy koń? Co za bzdura! Dion to świetny wierzchowiec.

- Był, panno Leigh, był. Czy nie uważa pani, że to zwierzę ma już za sobą najlepsze lata? Doprawdy, sędzę, że Connan powinien dać pani coś lepszego ze swej stajni niż biednego starego Diona.

- To nie ojciec decydował, jakiego konia jej dać - Alvean wystąpiła z gorącą obroną ojca. - On nie wie, na jakich koniach jeździmy, prawda, panno Leigh? To Tapperty wybrał dla nas konie.

- Biedna panna Leigh. Powinna mieć godnego siebie wierzchowca. Panno Leigh, zanim pani odjedzie, chciałbym, by pani przejechała się na Jacinth. Ona szybko pani pokaże, co to znaczy mieć znowu pod sobą dobrego konia.

- Och - odparłam niedbale - jesteśmy zupełnie zadowolone z tego, co mamy. Nasze konie są zupełnie odpowiednie do wykonania zadania, jakie sobie postawiłyśmy: zrobić z Alvean dobrą amazonkę.

- Przygotowujemy się do zawodów - poinformowała go Alvean. - Ja biorę udział w jednej z konkurencji, ale nie mów o tym tatusiowi. To ma być dla niego niespodzianka.

Peter położył palec na ustach.

- Możesz mi zaufać. Dotrzymam tajemnicy.

- Panna Leigh także startuje w zawodach. Dzięki mnie.

- Wygra! - wykrzyknął Peter. - Idę o zakład.

- Wcale nie jestem tego pewna - ucięłam krótko. - To tylko pomysł Alvean.

- Musi pani - upierała się Alvean. - Nie ustąpię.

- Obydwoje tego chcemy - poparł ją Peter. Dojechaliśmy do Mount Widden. Brama stała otworem.

Nie było przy niej stróżówki jak w Mount Mellyn. Jechaliśmy aleją, wzdłuż której rosły te same rodzaje obficie kwitnących kwiatów: hortensje, fuksje, a także jodły charakterystyczne dla tych okolic.

Dom, który się przed nami ukazał, był zbudowany z takiego samego szarego kamienia jak Mount Mellyn. Nie dorównywał mu jednak wielkością i nie miał tylu przybudówek. Na pierwszy rzut oka stwierdziłam również, że nie jest tak zadbane jak „nasz” dom - jak w myśli zarozumiale określiłam Mount Mellyn. Fakt, że tak korzystnie różnił się od Mount Widden, sprawił mi absurdalną przyjemność.

Peter polecił chłopcu stajennemu, by zaopiekował się naszymi końmi. Parobek odebrał od nas wierzchowce, a my weszliśmy do domu.

Peter klasnął w dłonie i wykrzyknął:

- Dick! Gdzie jesteś, Dick?

Na wezwanie stawiał się znany mi lokajczyk; często przychodził do Mount Mellyn jako posłaniec. Peter rozkazał:

- Herbata, Dick, szybko! W bibliotece. Mamy gości.

- Słucham, jaśnie panie - odparł Dick i pośpiesznie wyszedł.

Znajdowaliśmy się w westybulu, który w porównaniu z holem naszego domu wydał mi się bardzo nowoczesny. Mozaika podłogowa miała kształt szachownicy. Klatka schodowa, równie szeroka jak w Mount Mellyn, prowadziła na galerię zawieszoną portretami. Jak należało przypuszczać, przedstawiały antenatów rodziny Nansellocków.

Rozbawił mnie mój lekceważący stosunek do domu w Mount Widden. Był on przecież znacznie większy i świetniejszy od skromnej plebanii, na której się wychowałam. Ale siedziba Nansellocków zdradzała zaniedbanie, a nawet, rzecz można, upadek.

Peter zaprowadził nas do biblioteki - ogromnego pokoju, w którym trzy ściany zajmowały półki z książkami. Zauważyłam, że na meblach leżał kurz, a ciężkie zasłony w oknach były wyraźnie brudne. Zdecydowanie brakowało tutaj kogoś takiego jak pani Polgrey, używającego wosku i terpentyny.

- Bardzo proszę, usiądźcie, drogie panie - zapraszał Peter. - Mam nadzieję, że nie będziecie długo czekały na herbatę, chociaż muszę was ostrzec, że posiłków nie podaje się tutaj tak punktualnie jak u naszego rywala po drugiej stronie zatoki.

- Rywala? - powtórzyłam za nim zdziwiona.

- Trudno uniknąć małej rywalizacji. Nasze siedziby położone są bardzo blisko siebie. Ale sąsiad góruje nad nami pod każdym względem. Ma większy dom i więcej służby. Twój ojciec, droga Alvean, jest posiadaczem. My, Nansellockowie, jesteśmy jedynie jego ubogimi krewnymi.

- Nie jesteście naszymi krewnymi - zaprotestowała Alvean.

- I czyż to nie jest dziwne? Byłoby wszak rzeczą naturalną, gdyby dwie, od pokoleń żyjące obok siebie rodziny związały się węzłami krwi. Rodzina TreMellynów słynie z pięknych dziewcząt, a Nansellockowie z urodziwych mężczyzn. Mimo to jednak nie weszły ze sobą w żadne rodzinne koligacje. Mam wrażenie, że potężni TreMellynowie zawsze traktowali z góry biednych Nansellocków i w

innych stronach szukali partnerów do małżeństwa. Ale teraz mamy piękną Alvean. Jaka szkoda, że nie ma w naszej rodzinie chłopca w stosownym dla niej wieku! Nie ma innej rady, tylko ta, że to ja będę musiał poczekać na ciebie, Alvean.

Dziewczynka roześmiała się z zadowoleniem. Widziałam, że jest całkowicie pod jego urokiem. Przyszło mi na myśl, że może w żartach Petera jest trochę prawdy. Może już zaczął subtelnie ubiegać się o jej względy.

Alvean zaczęła mówić o zawodach, a on przysłuchiwał się z uwagą jej słowom. Wtrącałam się od czasu do czasu do rozmowy i na takiej leniwej pogawędce zszedł nam czas do chwili, gdy wniesiono zastawę do herbaty.

- Panno Leigh, czy zrobi nam pani zaszczyt i zaparzy herbatę? - spytał Peter.

- Będzie to dla mnie wielka przyjemność - odparłam i zasiadłam na głównym miejscu za herbacianym stolikiem.

Peter obserwował mnie z uwagą. Peszyło mnie to trochę, ponieważ w jego wzroku malował się nie tylko podziw, ale i wyraźne zadowolenie.

- Jak to dobrze, że panie spotkałem - odezwał się półgłosem, kiedy Alvean wręczyła mu filiżankę z herbatą. - Pomyśleć tylko, że gdybym nadjechał pięć minut później lub pięć minut wcześniej, minęlibyśmy się! Jaką ważną rolę w naszym życiu odgrywa przypadek!

- Być może spotkalibyśmy się kiedy indziej.

- Nie mamy już zbyt wiele czasu przed sobą.

- Pańskie słowa brzmią dość złowroźnie. Przeczuwa pan, że kogoś z naszej trójki spotka coś złego?

Spojrzał na mnie z powagą.

- Panno Leigh - oświadczył - wyjeżdżam stąd.

- Dokąd, wujku Peterze? - spytała Alvean.

- Daleko, moje dziecko, na drugi koniec świata.

- Kiedy? - zapytałam.

- Przypuszczalnie koło Nowego Roku.

- Ale dokąd jedziesz? - dopytywała się skonsternowana Alvean.

- Moje najdroższe dziecko, odnoszę wrażenie, że wiadomość o moim wyjeździe bardzo cię poruszyła.

- Dokąd, wujku? - władczo domagała się odpowiedzi.

- Szukać szczęścia.

- Drażnisz się ze mną. Zawsze się drażnisz.

- Nie tym razem. Dostałem list od przyjaciela, który studiował razem ze mną w Cambridge. Jest w Australii, gdzie dorobił się dużego majątku. Złoto. Pomyśl tylko, Alvean. I pani także, panno Leigh. Rozkoszne złoto... które może zapewnić mężczyźnie... lub kobiecie... bogactwo. Wystarczy tylko wydrzeć je z ziemi.

- Wielu ludzi udaje się w świat w nadziei, że zdobędą fortunę - zauważyłam. - Czy jednak wszystkim dopisuje szczęście?

- Przemawia przez panią praktyczna kobieta. Nie, panno Leigh, nie wszystkim dopisuje szczęście. Ale jest coś, co nazywamy nadzieją. A to uczucie, jak wierzę, wiecznie tli się w ludzkiej piersi. Nie wszyscy zdobędą złoto, choć każdy ma nadzieję.

- Cóż po nadziei, jeżeli okaże się fałszywa?

- Dopóki nie okaże się płonna, może dać człowiekowi dużo radości, panno Leigh.

- Życzę panu, by pańskie nadzieje nie okazały się złudne.

- Dziękuję.

- Ale ja nie chcę, byś stąd wyjeżdżał, wujku Peterze.

- Dziękuję ci, moja droga. Za to powrócę jako bogaty człowiek. Wyobraźcie sobie tylko. Rozbuduję dom w Mount Widden - dobuduję do niego nowe skrzydło. Zrobię z niego siedzibę równie wspaniałą - nie, nawet wspanialszą niż Mount Mellyn. Kiedyś po latach ludzie będą wspominać, że to Peter Nansellock rodzinny majątek ocalił od zguby. Ponieważ, moje drogie panie, ktoś go musi ocalić... i to szybko.

Zaczął opowiadać o swym przyjacielu, który wyjechał do Australii jako młody człowiek, bez grosza przy duszy, i który teraz, miał tego pewność, był milionerem lub prawie milionerem.

Roztaczał przed nami wizje odbudowy domu, a my przyłączyłyśmy się do tych planów. To była przyjemna zabawa - budowanie domu w wyobraźni pod dyktando czyichś marzeń.

Towarzystwo Petera działało na mnie ożywczo. On przynajmniej - myślałam - nigdy nie dał odczuć mej niższej społecznej pozycji. Sam fakt jego ubóstwa - lub tego, co on uważał za ubóstwo - jeszcze bardziej przybliżał mnie do niego.

To był uroczy podwieczorek.

Później Peter zabrał nas do stajen, gdzie zarówno on, jak i Alvean zaczęli na mnie nalegać, bym przejechała się na Jacinth i pokazała, co potrafię. Włożono na klacz moje siodło. Na jej grzbiecie pędziłam, galopowałam, skakałam przez przeszkody, a klacz bezbłędnie reagowała na każdy mój ruch. Była przepysznym wierzchowcem i zazdrościłam Peterowi, że jest właścicielem tak pięknego zwierzęcia.

- To dziwne - zauważył - ona panią polubiła, panno Leigh. Żadnego odruchu buntu z jej strony, że ma na grzbiecie nowego jeźdźca.

Poklepałam ją czule i odparłam:

- Ona jest piękna.

Wrażliwe zwierzę wydawało się rozumieć, że o nim mówię.

Dosiadłyśmy naszych koni, a Peter na swojej Jacinth odprowadził nas aż do bram Mount Mellyn.

Kiedy szłyśmy na górę, pomyślałam sobie, że było to doprawdy bardzo przyjemne popołudnie.

Alvean weszła za mną do mego pokoju i chwilę stała z głową przechyloną na bok.

- Myślę, że wujek Peter panią lubi, panno Leigh - wyrzekła w końcu.

- Jest tylko dla mnie grzeczny - odparłam.

- Nie, ja myślę, że on panią lubi w specjalny sposób... w taki, w jaki lubił pannę Jansen.

- Czy panna Jansen jeździła na podwieczorki do Mount Widden?

- O tak! Nie trenowałam z nią konnej jazdy, ale chodziłyśmy na spacer w tamtą stronę. A kiedyś jadłyśmy tam podwieczorek, tak jak dzisiaj. Pokazał nam wtedy Jacinth, którą właśnie kupił. Powiedział, że pragnie jej nadać nowe imię; chciał mieć poczucie, że należy wyłącznie do niego. Potem oświadczył, że nazwie ją Jacinth. To było imię panny Jansen.

Mój radosny nastrój zniknął nedorzecznie. Po chwili milczenia odezwałam się:

- Pewnie mu było przykro, kiedy tak nagle musiała stąd wyjechać.

Alvean się zamyśliła:

- Tak, myślę, że mu było przykro. Ale szybko o niej zapomniał. Przecież...

Dokończyłam za nią:

- Ona była tylko guwernantką, rzecz jasna.

* * *

Później tego samego dnia do mego pokoju zapukała Kitty. Przyszła mi oznajmić, że jest do mnie list z Mount Widden.

- A także jeszcze coś, panienko - oświadczyła wyraźnie tym czymś podekscytowana. Postanowiłam jednakże nie zadawać jej pytań, ponieważ i tak zaraz się dowiem, co to takiego.

- Ach tak - rzekłam. - Gdzie jest ten list?

- W stajniach, panienko. - Zachichotała. - Niech pani idzie i zobaczy.

Udałam się do stajen. Kitty szła za mną w pewnej odległości.

Na miejscu ujrzałam Dicka, lokajczyka z Mount Widden. Ku memu zdziwieniu miał ze sobą Jacinth, klacz Petera.

Dick wręczył mi liścik.

Zobaczyłam, że Daisy, jej ojciec i Billy Trehay przypatrują mi się z domyślnym uśmiechem.

Otworzyłam list i przeczytałam: „Droga panno Leigh. Nie zdołała pani ukryć przede mną swego zachwyty dla

Jacinth. Wydaje się, że ona odwzajemnia pani uczucia.

Dlatego też pragnę ofiarować pani tego konia. Nie mogę znieść widoku takiej świetnej i wdzięcznej amazonki jak pani na grzbiecie biednego starego Diona. Proszę więc panią usilnie o przyjęcie tego daru.

Podziwiający panią sąsiad Peter Nansellock".

Mimo wysiłku, by zapanować nad sobą, poczułam, jak gorący rumieniec oblewa mi twarz i szyję. Wiedziałam, że Tapperty z trudnością powstrzymuje się od śmiechu.

Jak Peter mógł tak głupio postąpić? Co on sobie wyobraża? Czy ze mnie drwi? Nawet gdybym chciała, nie mogłabym przyjąć takiego prezentu. Konia trzeba żywić, zapewnić mu miejsce w stajni. Chyba zapomniał, że to nie jest mój dom.

- Czy będzie odpowiedź, panienko? - zapytał Dick.

- Tak jest - odparłam. - Zaraz pójde ją napisać. Zabierzesz ją ze sobą z powrotem.

Odeszłam z godnością, na jaką tylko mogłam się zdobyć, przed frontem takich widzów. W pokoju skreśliłam krótki liścik.

„Drogi panie Nansellock.

Dziękuję za wspaniały podarunek, którego oczywiście nie mogę przyjąć. Nie mam żadnych możliwości trzymania tutaj konia. Przymuszczałnie umknęło pańskiej uwagi, że przebywam w tym domu tylko w charakterze guwernantki. Nie stać mnie na utrzymanie Jacinth. Dziękuję za pańskie dobre chęci.

Z poważaniem Martha Leigh".

Z listem wróciłam do stajen. Podchodząc bliżej, usłyszałam śmiech i ożywioną rozmowę.

- Proszę, Dick, oto odpowiedź - zwróciłam się do lokajczyka. - Doręcz list swemu panu i zabierz Jacinth.

- Ale... - zaczął jąkać się Dick. - Kazano mi ją tutaj zostawić.

Spojrzałam prosto w sprośną gębę Tapperty'ego.

- Pan Nansellock - oświadczyłam - lubi żartować.

Po tych słowach odwróciłam się na pięcie i skierowałam w stronę domu.

* * *

Nazajutrz była sobota - dzień częściowo wolny od zajęć. Alvean zaproponowała, by darować sobie przedpołudniowe lekcje i udać się na wrzosowiska, gdzie jej cioteczna babka Clara miała dom. Alvean była przekonana, że nasza wizyta sprawi babce wielką przyjemność.

Zastanawiałam się nad tą propozycją. Szczerze mówiąc, chciałam wyjechać z Mount Mellyn na kilka godzin. Wiedziałam, że cały dom aż się trzęsie od plotek na temat mój i Petera.

Domyślałam się, że jego zachowanie wobec panny Jansen było podobne jak w stosunku do mnie i że bawiło ich przyglądanie się tej samej grze z inną guwernantką.

Ciekawiła mnie postać panny Jansen. Może była zbyt lekkomyślna? Myślałam o kradzieży, której miała rzekomo dokonać, by sprawić sobie za to ładne stroje i wydać się jeszcze piękniejszą w oczach swego wielbiciela.

Ale on wcale się nie przejął, kiedy ją wydalono. Ładny z niego przyjaciel!

Wyruszyliśmy zaraz po śniadaniu. Dzień był wprost wymarzony na wycieczkę. Październikowe słońce przyjemnie przygrzewało, a łagodny, południowo - zachodni wiatr owiewał nam twarze. Alvean była w wyśmienitym humorze. Pomyślałam, że ta wyprawa będzie doskonałym sprawdzianem jej wytrzymałości. Jeśli długa jazda do

domu babki i z powrotem nie zmęczy jej zbyt, będę miała powód do dużej satysfakcji.

Z radością uciekałam od wścibskich spojrzeń służby i z rozkoszą zanurzałam się teraz w głąb nieznaną, a fascynującą krainę. Bezmiar wrzosowisk odpowiadał memu nastrojowi. Z zachwytem spoglądałam na niskie kamienne murki, szare głązy i wesołe strumyczki, wartko toczące po nich swe kryształowe wody.

Ostrzegłam Alvean, by uważała na głązy, ale ona trzymała się już w siodle pewnie i czujnie, tak że nie miałam zbyt wielu powodów do obawy.

W drodze kierowałyśmy się mapą; to ona miała nas zaprowadzić do domu babki Clary - położonego kilka mil na południe od Bodmin. Alvean była już u niej kilkakrotnie, zawsze powozem, i twierdziła, że dobrze zna drogę. Ale na wrzosowiskach łatwo można pobrać. Nadarzyła się więc okazja, by nauczyć Alvean czytać mapę.

Pozbyłam się jednak w czasie tej drogi sporej części mej nauczycielskiej powagi i śmiałam się pospołu z Alvean, kiedy się okazało, że jedziemy w niewłaściwym kierunku i musimy zawrócić.

W końcu dotarłyśmy do Domu na Wrzosowiskach, jak poetycko nazwano posiadłość babki Clary.

Dom, istotnie uroczy, znajdował się na obrzeżach wioski typowej dla tych okolic. Oprócz Domu na Wrzosowiskach, który wyglądem przypominał mały dworek, był tam jeszcze kościół, niewielka gospoda i kilka chat.

Jedynymi mieszkańcami domu była babka Clara oraz troje jej służby. Nasz przyjazd wielce ich zaskoczył, ponieważ nikt się nas nie spodziewał.

- Klnę się na mą duszę, jeśli to nie jest pani Alvean! - wykrzyknęła starsza kobieta zarządzająca domem babki Clary. - A kim jest ta osoba, która z tobą przyjechała, moje dziecko?

- To jest panna Leigh, moja guwernantka - wyjaśniła Alvean.

- Świetnie. Jesteście tylko we dwie? Czy przyjechałaś razem z tatusiem?

- Nie, tatuś jest w Penzance.

Zastanowiłam się, czy nie uczyniłam źle, ulegając prośbom Alvean. Zapomniałam o swej pozycji i narzuciłam swą obecność babce Clarze, nie pytając najpierw o zgodę.

Dopuszczałam ewentualność, że zostanę odesłana do kuchni, gdzie zjem posiłek w towarzystwie służby. Nie zmartwiłoby mnie to zbyt; wolałam nawet tę możliwość niż siedzenie z wyniosłą, nieprzychylną starszą panią.

Jednakże moje wątpliwości wkrótce się rozwiały. Zaprowadzono nas do salonu, gdzie w głębokim fotelu siedziała babka Clara. Była to urocza staruszka o białych włosach, różowych policzkach i życzliwie spoglądających jasnych oczach. W zasięgu jej ręki znajdowała się hebanowa laska - widoczne świadectwo, że ma trudności z chodzeniem.

Alvean pobiegła do babki, a ta uściśnęła ją gorąco. Następnie żywe niebieskie oczy staruszki zwróciły się w moją stronę.

- A więc pani jest guwernantką Alvean - zaczęła. - Jak to miło, że zadała sobie pani trud, by ją tu do mnie przywieźć! Tak się szczęśliwie składa, że właśnie bawi u mnie mój wnuk, któremu, podejrzewam, zaczyna już być nudno bez towarzystwa rówieśników. Kiedy się dowie, że przyjechała Alvean, z pewnością bardzo się ucieszy.

Nie wydawało mi się prawdopodobne, że wnuczek bardziej ucieszy się z naszej wizyty niż babka Clara. Do mnie odnosiła się niezwykle sympatycznie, dzięki czemu szybko pozbyłam się nieśmiałości. Poczułam się bardziej jak przyjaciółka, która przyjechała w odwiedziny do kogoś bliskiego, niż jak guwernantka towarzysząca swej podopiecznej podczas wizyty u krewnej.

Przyniesiono wino z mlecza i zmuszono nas, byśmy wypły po kieliszku. Podano też ciasteczka. Muszę przyznać, że wino było wyśmienite. Pozwoliłam Alvean wypić kilka łyków, ale kiedy wychyliłam swój kieliszek, ogarnęła mnie wątpliwość, czy postąpiłam mądrze, wino bowiem było dość mocne.

Babka Clara łaknęła wiadomości z Mount Mellyn. Była osobą bardzo gadatliwą, a fakt, że mieszkała samotnie, na odludziu, wśród wrzosowisk, niewątpliwie potęgował w niej potrzebę rozmowy z innymi.

Pojawił się wnuczek - ładny chłopiec, trochę młodszy od Alvean. Dzieci poszły się bawić. Przedtem zapowiedziałam swojej wychowance, by się zbyt nie oddalała, ponieważ musimy zdążyć do domu przed zmrokiem.

Gdy Alvean wyszła, zorientowałam się, że babka Clara tylko na to czekała, by usłyszeć jakieś plotki z Mount Mellyn. I czy to skutek mocnego domowego wina, czy też przeświadczenie, że jest ona łącznikiem z Alice, dokładnie nie wiem, dość że rozmowa była dla mnie fascynująca.

Mówiła o Alice tak, jak nikt dotąd jeszcze o niej nie mówił - z całą otwartością. Zdałam sobie sprawę, że od tej gadatliwej damy dowiem się znacznie więcej niż od kogokolwiek innego.

Zaraz po wyjściu dzieci babka Clara zwróciła się do mnie:

- A teraz niech mi pani powie, moja droga, jak naprawdę przedstawia się sytuacja w Mount Mellyn.

Uniosłam brwi, nie bardzo rozumiejąc, o co jej właściwie chodzi.

Babka Clara mówiła dalej:

- Śmierć biednej Alice była wielkim szokiem. To się stało tak nagle. Tragiczny los spotkał taką młodą dziewczynę. Przecież ona praktycznie wciąż jeszcze była młodą dziewczyną.

- Naprawdę?

- Niech mi pani nie mówi, że pani nic nie wie.

- Wiem bardzo niewiele.

- Alice i Geoffry Nansellock, wie pani. Wyjechali razem... uciekali. A potem ten straszliwy wypadek.

- Słyszałam, że był wypadek.

- Często o nich rozmyślałam - o tych dwojgu młodych ludziach - podczas bezsennych nocy. I odczuwam wówczas wyrzuty sumienia.

Słuchałam zaskoczona. Nie bardzo rozumiałam, dlaczego ta łagodna, rozmowna pani obarcza siebie winą za małżeńską niewierność Alice.

- Nie należy się wtrącać do życia innych ludzi. A może właśnie trzeba? Jak pani myśli, moja droga? Jeżeli można pomóc...

- Sądzę - odparłam stanowczo - że jeżeli to może komuś pomóc, ingerencja w cudze życie jest wybaczalna.

- Skąd można wiedzieć, czy się jest pomocnym, a nie odwrotnie?

- Należy czynić to, co się uważa za słuszne.

- Czy można czynić słusznie, a jednak nie pomóc?

- Przypuszczam, że tak.

- Często o niej myślę... o mojej biednej małej siostrzenicy. Takie z niej było słodkie stworzenie. Ale muszę wyznać to otwarcie - nie była przygotowana do tego, by stawić czoło przeciwnościom losu.

- Ach, tak?

- Zauważyłam, panno Leigh, że pani jest bardzo dobra dla tego biednego dziecka. Alice byłaby bardzo uradowana, gdyby mogła zobaczyć, co pani robi dla jej córeczki. Ostatnio Alvean była u mnie ze swym... Connanem. Mało wtedy przypominała dzisiejszą szczęśliwą i wesołą dziewczynkę.

- Ogromnie się z tego cieszę. Staram się ją zachęcać do konnej jazdy. Myślę, że to dobrze na nią wpływa. - Niechętnie przerwałam ten potok słów, który mógłby mi dostarczyć jakichś nowych informacji o Alice. Obawiałam się, że Alvean i wnuk powrócą lada moment, a wiedziałam, że w ich obecności nie może być mowy o żadnych zwierzeniach. - Wspominała pani o matce Alvean. Jestem przekonana, że nie ma pani niczego na sumieniu, co mogłaby pani sobie wyrzucać.

- Chciałabym w to wierzyć. Ale czasami martwię się tym. Może nie powinnam pani nudzić, ale pani jest taka sympatyczna, a poza tym mieszka pani w Mount Mellyn. Opiekuje się pani małą Alvean jak... jak matka. Jestem pani za to wdzięczna, moja droga.

- Wszak mi za to płacą. - Nie mogłam powstrzymać się od zrobienia tej uwagi. Wyobraziłam sobie uśmiech, jaki te słowa wywołałyby na ustach Petera Nansellocka.

- Są rzeczy na tym świecie, których nie kupi się za pieniądze. Miłość... oddanie... do takich właśnie należą. Alice mieszkała u mnie przed swoim ślubem. Tutaj... w tym domu. Rozumie pani, to było bardzo dogodne miejsce. Z mojego domu do Mount Mellyn jest zaledwie kilka godzin jazdy konno. Stwarzało to młodym ludziom łatwą okazję do lepszego poznania się.

- Młodym ludziom?

- Narzeczonym.

- Czy to znaczy, że nie znali się przedtem?

- Ich małżeństwo zostało skojarzone, kiedy obydwójce znajdowali się jeszcze w kołysce. Alice wniosła mu wielki posag. Byli dobrani. Obydwójce bogaci, obydwójce z dobrych rodzin. Ojciec Connana żył jeszcze wtedy. Connan jako chłopiec był nieokielznany i szalenie uparty. Obie strony uważały, że należy ich jak najszybciej pożenić.

- A więc zgodził się na to, by rodzice wybrali mu małżonkę?

- Obydwójce przyjęli to za rzecz naturalną. Ona kilka miesięcy mieszkała u mnie przed ślubem. Bardzo ją kochałam.

Pomyślałam o małej Gilly i rzekłam:

- Sądzę, że wiele osób bardzo ją kochało.

Babka Clara skinęła głową twierdząco. W tym momencie do pokoju weszły dzieci.

- Chciałbym pokazać Alvean swoje rysunki - oświadczył chłopiec.

- A więc idź i przynieś je tutaj - poleciła babka. - Niech je sobie obejrzy tu, przy nas.

Odniosłam wrażenie, że uświadomiła sobie własne gadulstwo i że boi się teraz jego ewentualnych skutków. Nie miałam wątpliwości, że babka Clara jest rodzajem kobiety, która nie potrafi dochować sekretu. Czy gdyby było inaczej, odkryłaby tak chętnie przede mną, osobą zupełnie obcą, rodzinną tajemnicę?

Wnuczek powrócił z teczką swoich rysunków i usiadł obok Alvean przy stole. Podeszłam do nich i zaczęłam się przyglądać jego pracom. Rysunkowe zdolności Alvean wbiły mnie w taką dumę, że postanowiłam pomówić o tym z jej ojcem przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

W pewnym momencie poczułam coś na kształt zawodu. Byłam pewna, że babka Clara w ferworze gadulstwa doszła do momentu, w którym była gotowa zdradzić mi coś niezwykle ważnego.

Babka Clara poczęstowała nas lunchem, po którym zaraz wyruszyliśmy w powrotną drogę. Tym razem już bez żadnej trudności odnalazłyśmy właściwy szlak, a ja, oddalając się od gościnnego domu staruszki, przyrzekłam sobie, że ponownie odwiedzę uroczy dom na wrzosowisku, i to w niedługim czasie.

* * *

Pewnego dnia, spacerując po wsi, napotkałam sklep jubilerski. Biżuteria, którą oferował, z pewnością nie uprawniała go do tej szumnej nazwy. Na wystawie widniało jedynie kilka srebrnych broszek i prostych złotych obrączek. Niektóre miały wygrawerowane słowo Mizpah (na szczęście), inne wysadzone były półszlachetnymi kamieniami, takimi jak turkusy, topazy i granaty. Domyśliłam się, że to właśnie w tym sklepie wieśniacy kupowali zaręczynowe pierścionki i ślubne obrączki i że jubiler żył z naprawiania tych skromnych klejnotów.

Na wystawie ujrzałam srebrną broszkę w kształcie pejcza. Wydawała mi się dość gustowna, a przy tym jej cena na pewno nie była wygórowana.

Postanowiłam kupić ten mały klejnocik i ofiarować go Alvean wieczorem, w przeddzień zawodów, jako talizman, który przyniesie jej szczęście.

Otworzyłam drzwi i zesłam do sklepu po trzech stopniach w dół.

Za ladą siedział starszy człowiek w okularach w drucianej oprawie. Szkła opadły mu na czubek nosa, kiedy podniósł wzrok.

- Chciałabym obejrzeć tę broszkę na wystawie - oznajmiłam. - Chodzi mi o srebrną zapinkę w kształcie pejcza.

- Dobrze, panienko - odrzekł. - Miło mi będzie pokazać ją pani.

Wziął broszkę z wystawy i położył przede mną, na ladzie.

- Oto ta broszka - rzekł - niech ją pani sobie przypnie do sukni i dobrze się jej przyjrzy. - Wskazał mi małe lusterko na kontuarze.

Poszłam za jego radą. Broszka wydała mi się niezwykle gustowna, dyskretnie elegancka. Gdy się jej przyglądałam, zauważyłam tacę z klejnocikami, do których przypięte były małe bileciki. Najwyraźniej ozdoby te oddano do naprawy. Zastanawiałam się, czy to przypadkiem nie jest ten sam jubiler, do którego Alice przyniosła swoją broszkę w lipcu ubiegłego roku.

- Panienska jest z Mount Mellyn, prawda? - zapytał jubiler.

- Tak - odparłam i uśmiechnęłam się zachęcająco. Wykazywałam coraz większą ochotę do rozmowy z każdym, kto mógł mi udzielić jakichś informacji na temat, który powoli zaczynał stawać się moją obsesją. - Prawdę mówiąc, chcę dać tę broszkę w prezencie mojej uczennicy.

Jak większość mieszkańców małych wiosek obchodziło go żywo wszystko, co dotyczy ludzi mieszkających w bliskim sąsiedztwie.

- Ach - powiedział współczująco - biedna sierota bez matki. Miło pomyśleć, że opiekuje się nią taka sympatyczna osoba jak pani.

- Kupuję tę broszkę - oświadczyłam.

- Zaraz ją zapakuję. Małe zgrabne pudełeczko to ładna oprawa dla prezentu, zgodzi się pani?

- Oczywiście.

Schylił się i wyciągnął spod lady mały kartonik, który zaczął wyściełać watą.

- Robię dla niej małe gniazdko - wyjaśnił z uśmiechem.

Odniosłam wrażenie, że chętnie by ze mną dłużej porozmawiał.

- Rzadko widuję teraz ludzi z Mount Mellyn. Pani TreMellyn, o, ona często do mnie zaglądała!

- Wyobrażam sobie.

- Zobaczyła małą błyskotkę na wystawie i zaraz ją kupowała... czasami dla siebie, czasami dla kogoś. Była u mnie nawet tego dnia, w którym zginęła.

Zniżył głos do szeptu. Poczułam dreszcz podniecenia. Pomyślałam o dzienniczku Alice, który nadal znajdował się w ukrytej kieszeni jej kostiumu do konnej jazdy.

- Naprawdę? - W mym głosie zabrzmiała zachęta. Położył broszkę i spojrzał na mnie.

- Pomyślałem wówczas, że to wszystko wygląda trochę dziwnie. Pamiętam ten dzień bardzo dobrze. Weszła do sklepu i spytała: „Czy moja broszka jest naprawiona, panie Pastern? Zależy mi, by była gotowa na jutro. Jest przyjęcie u państwa Trelanderów, a ja tę broszkę dostałam w prezencie od pani Trelander na Boże Narodzenie. Chcę ją włożyć, by zobaczyła, że bardzo mi się jej prezent podoba”. - Spoglądał na mnie z pytaniem w oczach. - To była pani, która miała zwyczaj rozmawiać w ten sposób. Opowiadała, gdzie się wybiera, dlaczego chce mieć daną rzecz itd. Nie wierzyłem własnym uszom, kiedy usłyszałem, że uciekła z domu jeszcze tego samego wieczora. Po co w takim razie opowiadała mi o przyjęciu, na które się wybierała nazajutrz, rozumie pani?

- W istocie - potwierdziłam - to bardzo dziwne.

- Nie musiała w ogóle mówić mi takich rzeczy. Gdyby powiedziała to komuś innemu, można by podejrzewać, że robiła to celowo, by go zwieść. Ale dlaczego wybrała akurat mnie? To właśnie mnie zastanawia. Czasami myślę o tym... i nie przestaję się dziwić.

- Wydaje mi się, że odpowiedź jest prosta - rzekłam. - Musiał ją pan źle zrozumieć.

Potrząsnął głową. Był przekonany, że zrozumiał ją dobrze. Ja również byłam tego zdania. Widziałam zapisek w dzienniczku i jego treść potwierdzała to, o czym mówił jubiler.

* * *

Następnego dnia zjawiała się na koniu Celestine Nansellock. Przyjechała, by zobaczyć Alvean. Ponieważ wybierałyśmy się na trening, wyraziła chęć towarzyszenia nam.

- Teraz, Alvean - oświadczyłam - czas, byś pokazała, co potrafisz. Zobaczymy, czy zadziwisz pannę Nansellock w równym stopniu, jak spodziewasz się zadziwić swego ojca.

Zamierzałyśmy poćwiczyć skoki i w tym celu zjechałyśmy w dół do wsi, za którą znajdował się odpowiedni teren. Celestine była wyraźnie zaskoczona postępami Alvean.

- Dokonała pani istnego cudu, panno Leigh. Obserwowałyśmy, jak Alvean objeżdża pole skróconym galopem.

- Mam nadzieję, że jej ojciec będzie zadowolony - powiedziałam.
- Bierze udział w jednej z konkurencji.

- Jestem przekonana, że bardzo się ucieszy.

- Proszę tylko nic mu wcześniej nie mówić. To ma być dla niego niespodzianka.

Celestine uśmiechnęła się do mnie ciepło.

- Będzie pani z pewnością bardzo wdzięczny, nie wątpię w to.

- Sądzę, że będzie dość zadowolony.

Czułam na sobie jej wzrok, gdy się tak uśmiechała do mnie dobrotliwie. W pewnym momencie odezwała się:

- Och, panno Leigh, a teraz chciałabym porozmawiać o moim bracie, a właściwie o tej sprawie z Jacinth.

Zaczerwieniłam się i poczułam do siebie gniew za taką reakcję.

- Wiem, że chciał ofiarować pani tego konia, ale pani go nie przyjęła, twierdząc, że jest to zbyt kosztowny prezent.

- Zbyt kosztowny, bym mogła go przyjąć, a potem utrzymać - odparłam.

- To oczywiste. Sądzę, że mój brat postąpił bezmyślnie. Ale Peter to najbardziej hojny człowiek na świecie. Obawia się, że panią dotknął.

- Proszę odpowiedzieć bratu, że nie czuję się obrażona. A jeżeli się dobrze zastanowi, zrozumie, dlaczego nie mogłam przyjąć takiego prezentu.

- Już mu to wyjaśniłam. On jest pani wielkim wielbicielem, panno Leigh. Robiąc ten gest, Peter kierował się jeszcze innymi względami. Szuka dobrego domu dla Jacinth. Wie pani, że nosi się z zamiarem opuszczenia Anglii?

- Wspominał o tym.

- Przypuszczam, że sprzeda niektóre konie. Zatrzymam dla siebie dwa, ale nie ma potrzeby utrzymywać kosztownej stajni tylko dla jednej osoby w domu.

- Wydaje się, że rzeczywiście nie ma potrzeby.

- Brat widział panią na Jacinth i uważa, że ten wierzchowiec jest godny pani. Dlatego chciał ją pani dać. On jest bardzo przywiązany do tej klaczy.

- Rozumiem.

- Panno Leigh, czy chciałaby pani mieć takiego konia jak Jacinth?

- A któż by nie chciał?

- To może poproszę Connana, by wziął ją do swej stajni i trzymał ją tam dla pani. Co pani na to?

Odpowiedziałam z całą stanowczością:

- Bardzo to uprzejmie z pani strony, panno Nansellock, i doceniam dobre intencje zarówno pani, jak i pani brata, i chęć, by sprawić mi przyjemność. Ale nie życzę sobie tutaj żadnych specjalnych przywilejów. Pan TreMellyn ma dobrze wyposażoną stajnię, która jest w stanie zaspokoić potrzeby nas wszystkich. Jestem zdecydowanie przeciwna temu, by występowano dla mnie tutaj o jakieś szczególne względy.

- Widzę - odparła Celestine - że jest pani stanowczą i bardzo dumną osobą.

Nachyliła się i dotknęła przyjaźnie mojej ręki. Oczy jej lekko się zamgliły. Była wzruszona moją postawą i tym, jak desperacko czepiałam się swojej dumy, ponieważ było to jedyne, co posiadałam.

Wydała mi się miła i delikatna i zrozumiałam, dlaczego Alice się z nią przyjaźniła. Pomyślałam, że i ja również mogłabym bez trudu zostać jej przyjaciółką, Celestine bowiem nigdy, w najmniejszy sposób, nie dała mi odczuć, jaka jest moja społeczna pozycja w Mount Mellyn.

Któregoś dnia powiem jej, czego się dowiedziałam o Alice. Ale jeszcze nie teraz. Byłam - jak to określił jej brat - tak kolczasta jak jeź. Ani przez chwilę nie podejrzewałam, że Celestine Nansellock odtrąciłaby moją przyjaźń, ale w tej chwili nie chciałam narażać się jeszcze na takie ryzyko.

Alvean podjechała do nas; Celestine pochwaliła jej postępy w jeździe. Następnie wróciłyśmy do domu na podwieczorek, który

podano w ponczowym saloniku. Siedząc na głównym miejscu za stołem, serwowałam herbatę.

To popołudnie - pomyślałam - było naprawdę bardzo udane.

* * *

Connan TreMellyn wrócił do domu na dzień przed zawodami. Byłam zadowolona, że nie zrobił tego wcześniej, ponieważ się obawiałam, iż niezwykle podniecenie Alvean wzbudzi jego podejrzenie.

Ja miałam startować w jednej z wcześniejszych konkurencji, punktowanych zwłaszcza za skoki. Była to tak zwana konkurencja mieszana, ponieważ uczestniczyli w niej zarówno mężczyźni, jak i kobiety.

Tapperty, który wiedział, że mam wziąć udział w konkursie, ani słyszeć nie chciał, bym jechała na Dionie.

- Proszę posłuchać, panienko - powiedział mi w przeddzień zawodów - gdyby pani przyjęła Jacinth, wtedy gdy ją pani dawano, zdobyłaby pani pierwszą nagrodę. Ta klacz to pewniak i pani na jej grzbiecie też by wygrała. Stary Dion jest dobrym druhem, ale on nie zdobywa nagród. Radzę pani wziąć Royal Rovera.

- A jeśli pan TreMellyn się nie zgodzi? Tapperty zmrużył oczy.

- Pan dziedzic nic nie będzie miał przeciwko temu. On weźmie na zawody May Morning, więc stary Royal będzie wolny. Ale przypuścimy, że pan rozkaże: „Osiodłaj mi Royal Rovera, Tapperty!” Dobrze, to wtedy osiodłam dla niego Rovera, a pani weźmie May Morning. Dla pana nie ma większej przyjemności, niż kiedy jego koń zwycięża.

Pragnęłam usilnie popisać się przed Connanem TreMellynem i dlatego zgodziłam się na propozycję Tapperty'ego. Bądź co bądź uczyłam jego córkę jeździć konno, a to dawało mi ten przywilej, że mogłam, za aprobatą jego głównego stajennego, wybrać sobie konia z jego stajni.

Wieczorem, przed zawodami, wręczyłam Alvean broszkę, którą dla niej kupiłam.

Była zachwycona.

- To pejcz! - wykrzyknęła.

- Przypniesz ją sobie do krawata - poradziłam. - Mam nadzieję, że przyniesie ci szczęście.

- Na pewno, panno Leigh. Wiem, że przyniesie.

- Nie licz na to zbyt mocno. Pamiętaj, szczęście dopisuje tym, którzy na nie zasługują. - Dla lepszego zilustrowania tych słów przytoczyłam wierszyk, który mój ojciec zwykł powtarzać mnie i Phyllidzie:

Noś wysoko głowę i serce, A nisko brodę i pięty.

Potem dodałam: - A przy skoku pamiętaj... podążaj ciałem za ruchem Prince'a.

- Będę pamiętać.

- Jesteś podekscytowana? Nie możesz się doczekać?

- To czekanie tak się dłuży.

- Czas szybko zleci.

Tego wieczora, życząc Alvean dobrej nocy, przysiadłam na jej łóżku. Zaczęłyśmy rozmawiać o zawodach.

Trochę się o nią niepokoiłam, ponieważ była nadmiernie pobudzona. Staralam się ją uspokoić i namawiałam, by starała się zasnąć, w przeciwnym bowiem razie rano będzie zmęczona.

- Ale jak tu zasnąć - spytała - skoro sen nie chce przyjść? Zrozumiałam wówczas ogrom dokonanej przez siebie pracy. Kilka miesięcy temu, kiedy przybyłam do tego domu, Alvean bała się podejść do konia; teraz nie mogła doczekać się chwili, kiedy weźmie udział w zawodach.

Cieszyło mnie to. Chciałam jeszcze do tego doprowadzić, by jej zainteresowania nie koncentrowały się wyłącznie na ojcu; jego aprobata za bardzo się dla niej liczyła.

Alvean nie tylko rwała się do zawodów. Ona się również bała - tak rozpaczliwie pragnęła zdobyć jego uznanie.

Udałam się do swego pokoju i wróciłam z książką zawierającą poematy Longfellowa.

Usiadłam przy łóżku Alvean i zaczęłam czytać; nic moim zdaniem nie uspokajało bardziej umysłu i serca niż jego poemat Hiawatha.

Sama często powtarzałam go sobie, kiedy nie mogłam zasnąć. I niezmiennie odrywał moje myśli od świata, który mnie otaczał, i jego wydarzeń. W wyobraźni przemierzałam dziewicze lasy o ogromnych, wartkich rzekach... wibrujących dzikim wtórem*.

Słowa sfuwały mi z ust. Wiedziałam, że maluję przed oczami Alvean błogi i sielski obraz. Zapomniała o zawodach... o swych

obawach i nadziejach. Znalazła się obok małego Hiawathy, siedzącego u stóp dobrej Nakomis, i zapadła w sen.

* * *

Nazajutrz rano, w dniu zawodów, obudziłam się w pokoju przesiąkniętym szarą mgłą. Wstałam z łóżka i podeszłam do okna. Smużki mgły spowijały palmowe drzewa, a na pierzastych liściach wiecznie zielonych sosen, niby małe brylanty, widniały krople wilgoci.

Spodziewam się, że mgła zniknie do południa - pomyślałam z nadzieją.

Mgła jednak utrzymywała się przez cały ranek. Wszyscy domownicy, którzy żyli zawodami, z niepokojem obserwowali pogodę i szeptem wymieniali uwagi. Większość służących brała udział w imprezie. Zawsze brali - poinformowała mnie Kitty; dziedzic TreMellyn, będący jednym z sędziów, przejawiał bowiem tym konkursem szczególne zainteresowanie. W zawodach uczestniczyli Billy Trehay oraz kilku stajennych chłopców.

- Pana zawsze wprawia w dobry humor, gdy jego konie wygrywają - dowodziła Kitty - ale mówią, że on surowiej ocenia swoje wierzchowce niż inne.

Wyruszyliśmy z Alvean zaraz po obiedzie. Ona miała pod sobą Black Prince'a, a ja Royal Rovera. To była wielka radość jechać na dobrym koniu i czułam się nie mniej podekscytowana od Alvean. Obawiam się, że równie gorąco pragnęłam popisać się przed Connanem TreMellynem jak jego córka.

Zawody odbywały się na wielkich błoniach niedaleko wiejskiego kościółka. Ludzie się już schodzili, kiedy przybyliśmy na miejsce.

Na polu rozdzieliłyśmy się z Alvean. Dowiedziałam się, że konkurencja, w której startuję, będzie jedną z pierwszych.

Jak przewidywał program, zawody miały się rozpocząć piętnaście po drugiej, ale jak to zwykle bywa w takich razach, spóźniano się z otwarciem. O drugiej dwadzieścia wciąż jeszcze trwaliśmy w oczekiwaniu na sygnał rozpoczęcia.

Mgła trochę się podniosła, lecz dzień był chmurny i posepny. Niebo przypominało szary koc, a wszystko ociekało wilgocią. Morze wydzielało silną woń, ale fale były dzisiaj łagodnie o brzeg; natomiast krzyk mew brzmiał jeszcze bardziej melancholijnie niż zazwyczaj.

Nadjechał Connan w gronie sędziów. Było ich trzech; wszyscy reprezentowali wybitne miejscowe rody. Zobaczyłam, że TreMellyn jedzie na May Morning, tak jak przypuszczałam, ponieważ dla mnie osiodłano Royal Rovera.

Wiejska kapela zagrała tradycyjną kornwalijską melodię. Tłum stanął na baczność. Wszyscy zaczęli śpiewać.

Pieśń, wykonywana z takim zapałem na zamglonych wiejskich błoniach, sprawiła na mnie wielkie wrażenie. A gdy okryją infamią Tre Pola i Pena I skazą na śmierć Trelawneya, Wówczas kornwalijskiego ludu syny Poznają walki przyczynę.

Co za dumna pieśń wśród takiego prostego ludu! - pomyślałam. Śpiewali, stojąc na baczność. W tłumie dostrzegłam także Gillyflower. Śpiewała razem z innymi.

Nie spodziewałam się, że ją tutaj zobaczę. Była wraz z Daisy, która, miałam nadzieję, będzie jej pilnowała.

Gilly mnie dostrzegła, a ja pomachałam jej ręką. Natychmiast opuściła wzrok, ale jej rozradowana twarz nie uszła mojej uwagi. Bardzo mnie ten jej uśmiech ucieszył.

Podjechał do mnie jakiś jeździec i usłyszałam głos:

- Czy mnie oczy nie mylą, panna Leigh? Odwróciłam się i zobaczyłam Petera Nansellocka. Siedział na Jacinth.

- Dzień dobry - odparłam, z przyjemnością patrząc na bezbłędne proporcje Jacinth.

Na plecach miałam tabliczkę z numerem startowym, przytwierdzoną przez organizatorów imprezy.

- Nie do wiary - powiedział Peter Nansellock - że ja i pani startujemy razem w tym samym konkursie.

- Pan także startuje w tym biegu? Odwrócił się plecami, by pokazać swój numer.

- To nie mam żadnej szansy wygrania - stwierdziłam.

- Ze mną?

- Z Jacinth - przyznałam.

- Panno Leigh, przecież miała pani możliwość jechać na niej.

- Chyba pan stracił rozum, występując z takim pomysłem. Cała stajnia nie mówi o niczym innym.

- Kto by zwracał uwagę na stajennych chłopców!

- Ja zwracam.

- To znaczy, że straciła pani swój zwykły rozsądek.

- Guwernantka musi dbać o opinię u wszystkich bez wyjątku.
- Pani nie jest zwykłą guwernantką.
- Panie Nansellock - odparłam niechętnie - mam wrażenie, że wszystkie guwernantki, które pan znał, były wyjątkowe. Inaczej nie znalazłyby miejsca w pańskim życiu.

Spięłam lekko ostrogami boki Royal Rovera. Koń zareagował natychmiast.

Petera zobaczyłam dopiero w momencie startu. Występował przede mną. Obserwowałam go, jak objeżdża pole. On i Jacinth wydawali się zrosnięci z sobą. Przypominają centaura - pomyślałam - mitologiczne zwierzę o głowie i ramionach człowieka, a tułowiu konia.

- Wspaniale! - wykrzyknęłam głośno, widząc, jak bierze przeszkody i z wdziękiem objeżdża błonia skróconym galopem. Każdy by to potrafił - zauważyłam złośliwie - na takiej klaczy jak Jacinth.

Zakończył popis przy akompaniamencie gromkich oklasków.

Na mnie przyszła kolej nieco później.

Na trybunie sędziowskiej dostrzegłam Connana TreMellyna. Wszeptałam w ucho swego wierzchowca: „Royal Rover, pomóż mi. Musisz pokonać Jacinth. Muszę zdobyć nagrodę. Muszę pokazać Connanowi TreMellynowi, że jest dziedziną, w której jestem dobra. Pomóż mi, Royal Rover”.

Zwierzę zastrzygło uszami i Royal Rover z gracją ruszył do przodu. Byłam przekonana, że mnie zrozumiał i że zastosuje się do prośby, jaką wyczuł w moim głosie.

- Dalej, Rover - wszeptałam. - Musimy wygrać! Miałam nadzieję, że wykonałam przepisowy program

równie bezbłędnie jak Peter na Jacinth. Kończąc mój popis, usłyszałam, że zrywa się burza oklasków. Mój koń odniósł zwycięstwo.

Czekaliśmy, aż inni zawodnicy zakończą swe popisy. Dopiero wówczas poznaliśmy rezultaty. Byłam zadowolona, że wyniki podaje się do wiadomości bezpośrednio po zakończeniu poszczególnych konkurencji. Reakcja widzów była wtedy najżywsza. Wymienianie wszystkich zwycięzców zbiorowo na końcu imprezy moim zdaniem zawsze osłabiało wrażenie.

- Ten konkurs kończy się remisem - powiedział Connan.

- Najwyższa nota przypada ex aequo dwóm zawodnikom. To się rzadko zdarza. Mam przyjemność ogłosić, że zwycięzcami są pani i pan: panna Martha Leigh na Royal Roverze i pan Peter Nansellock na Jacinth.

Podjechaliśmy truchtem po odbiór naszych nagród.

- Wygraną jest srebrna waza na róże - oznajmił Connan.

- Niestety, nie da się jej podzielić. Wobec powyższego uchwaliliśmy, by wazę przyznać pani.

- To oczywiste - zgodził się Peter.

- Ale dla ciebie jest srebrna łyżka - dodał Connan. - To na pocieszenie, że zremisowałaś z panią.

Odebraliśmy nasze trofea. Wręczając mi nagrodę, Connan się uśmiechnął, wyraźnie zadowolony.

- Dobry pokaz, panno Leigh. Nie znam nikogo, kto by tyle dokonał na Royal Roverze.

Poklepałam wierzchowca i powiedziałam bardziej do jego niż do jakichkolwiek innych uszu:

- Nie mogłam mieć lepszego partnera. Odjechaliśmy z Peterem, unosząc nasze nagrody: ja wazę na róże, on łyżkę.

Peter ponownie nawiązał do wątku Jacinth:

- Gdyby pani jechała na mojej klaczy, odniosłaby pani niekwestionowane zwycięstwo.

- Ale i tak musiałabym konkurować z panem lub jakimś innym zawodnikiem.

- Jacinth wygra każdy wyścig... proszę się tylko jej przyjrzeć. Czyż nie jest doskonała? Ale nieważne, wygrała pani wazę.

- Zawsze będę miała uczucie, że nie jestem jej jedyną właścicielką.

- Kiedy w przyszłości będzie pani układała w niej róże, pomyśli sobie: Część tej wazy należy do człowieka... jak on się nazywał? Był dla mnie miły, ale ja odnosiłam się do niego trochę zbyt ostro. Teraz tego żałuję.

- Rzadko zapominam nazwiska i nie sędzę, bym miała sobie coś do wyrzucenia, jeśli chodzi o postępowanie wobec pana.

- Widzę rozwiązanie tego dylematu. Załóżmy, że zakładamy wspólny dom. Waza znalazłaby się w nim na poczesnym miejscu. Mówilibyśmy wtedy o niej „nasza” i obydwójgu nam byłoby bardzo miło z tego powodu.

Zgniewała mnie ta nonszalancja, więc nie namyślając się długo, odparowałam:

- Obawiam się, że cała reszta nie sprawiłaby już nam takiej radości.

I odjechałam.

* * *

Pragnęłam być blisko stanowiska sędziów, kiedy pojawi się Alvean. Chciałam widzieć wyraz twarzy Connana, kiedy jego córka będzie występowała, i być w pobliżu, gdy będzie odbierać z jego rąk nagrodę, którą - byłam pewna - zdobędzie; przecież gorąco pragnęła wygrać i ciężko pracowała na swoje zwycięstwo. Skoki nie powinny sprawiać jej trudności.

Podstawowy konkurs dla ośmiolatek już się zaczął; z gorączkową niecierpliwością czekałam na występ Alvean, obserwując tymczasem popisy kilkuletnich dziewczynek i chłopców. Ale Alvean nie było między nimi. Konkurs się skończył i ogłoszono wyniki.

Byłam tak rozczarowana, że zrobiło mi się wręcz niedobrze. Stchórzyła w ostatniej chwili. Cała moja praca poszła na marne. Kiedy nadszedł decydujący moment, strach ponownie wziął w niej górę.

Podczas rozdawania nagród udałam się na poszukiwanie Alvean. Nigdzie jej jednak nie mogłam znaleźć. Za chwilę miał się rozpocząć konkurs dla bardziej zaawansowanych ośmiolatek; przyszło mi wtedy na myśl, że może ona wróciła do domu. Wyobraziłam sobie jej skrajną rozpacz, że oto po tych wszystkich naszych rozmowach, po tych niezliczonych godzinach treningów, w krytycznym momencie opuściła ją odwaga.

Chciałam jak najprędzej opuścić teren zawodów, ponieważ teraz mój mały triumf nie przedstawiał już dla mnie żadnej wartości. Pragnęłam jak najszybciej odnaleźć Alvean, aby ją pocieszyć, a nie miałam wątpliwości, że ona bardzo tej pociechy potrzebuje.

Wróciłam do Mount Mellyn. W stajni odwiesiłam siodło i uzdę, po czym szybko roztarłam i napoilałam konia. Następnie zostawiłam go w przegrodzie nad pełną wiązką siana, a sama skierowałam się do domu.

Tylne wejście stało otworem. W domu panowała cisza. Domyśliłam się, że wszyscy domownicy, poza panią Polgrey, udali się na miejsce zawodów. Pani Polgrey przypuszczalnie znajdowała się w swoim pokoju, gdzie uciniała sobie popołudniową drzemkę.

Udałam się na górę do swej sypialni, bezustannie nawołując Alvean.

Ponieważ nikt nie odpowiadał, pośpieszyłam przez salę lekcyjną do pokoju dziewczynki. Był pusty. Może nie wróciła jeszcze do domu. Przypomniałam sobie wówczas, że w stajni nie widziałam Prince'a. Zapomniałam jednak sprawdzić, czy koń znajduje się w swoim boksie.

Poszłam do swego pokoju i stanęłam przy oknie, zastanawiając się, co robić dalej. Postanowiłam wrócić na miejsce zawodów. Alvean prawdopodobnie tam została.

Gdy tak stałam przy oknie, odniosłam wrażenie, że ktoś znajduje się w apartamentach Alice. Nie wiedziałam, skąd wzięło się u mnie to przekonanie. Może dojrzałam cień na szybie okiennej. Ale byłam pewna, że ktoś jest wewnątrz.

Nie zastanawiając się, co zrobię, jeśli tam kogoś odkryję, wybiegłam z pokoju i przez galerię pośpieszyłam do pomieszczeń Alice. Ciężkimi butami do konnej jazdy stukałam głośno o posadzkę. Otworzyłam szeroko drzwi do jej mieszkania i wykrzyknęłam:

- Kto tam? Kto tu jest?

W pokoju nie było nikogo, ale przez ułamek sekundy dostrzegłam, że ktoś zamyka drzwi stanowiące łącznik między dwoma pokojami.

Sądziłam, iż to może być Alvean, a byłam głęboko przekonana, że dziewczynka mnie w tej chwili bardzo potrzebuje. Musiałam ją odnaleźć i dlatego całkowicie pozbyłam się strachu. Szybko przeszłam przez ubieralnię i otworzyłam drzwi do sypialni Alice. Rozejrzałam się wokół. Podbiegłam do zasłon i pomacałam je ręką. Nikt się za nimi nie ukrywał. Pośpieszyłam do następnych drzwi i otworzyłam je szeroko. Znalazłam się w innej ubieralni. Drzwi przejściowe - takie same jak w pokoju Alice - były otwarte. Przeszłam przez próg i zorientowałam się, że wkroczyłam do sypialni Connana. Na toaletce wisiał fular, który miał na szyi dziś rano. Zobaczyłam jego szlafrok i ranne pantofle.

Widok tych intymnych drobiazgów przyprawił mnie o rumieniec zażenowania. Zrozumiałam, że przekroczyłam strefę, do której nie miałam prawa wchodzić.

Ale przede mną, oprócz Connana, był tu ktoś jeszcze. Kto to mógł być?

Przeszłam przez sypialnię, otworzyłam drzwi wejściowe i znalazłam się na galerii.

Nigdzie nie napotkałam niczyjego śladu. Wolnym krokiem wróciłam do swego pokoju.

Kto był w pomieszczeniach Alice? Kto nawiedzał to miejsce?

- Alice - powiedziałam głośno. - Czy to ty, Alice? Zeszłam na dół do stajen. Postanowiłam wrócić do wsi i odszukać Alvean.

* * *

Osiadłam Royal Rovera i właśnie opuszczałam stajenne zabudowania, kiedy ujrzałam biegnącego w kierunku domu Billy'ego Trehaya.

- Och, panienko - powiedział zdyszczanym głosem - zdarzył się wypadek. Straszny wypadek.

- Co się stało? - wyjąkałam.

- Panienka Alvean. Spadła z konia podczas skoku.

- Ależ ona nie miała startować w skokach! - wykrzyknęłam.

- Ale skakała. W kategorii dla ośmiolatków. W konkursie dla zaawansowanych. To był konkurs na wysokość. Prince potknął się i upadł. Koziołkowali bez końca.

Na chwilę straciłam zupełnie głowę. Ukryłam twarz w dłoniach i zaczęłam płakać.

- Szukali panienki - dodał.

- Gdzie ona teraz jest?

- Na polu wyścigowym. Boją się ją ruszyć. Ciepło ją okryli i czekają na doktora Pengelly'ego. Podejrzewają, że sobie coś złamała. Jej ojciec jest przy niej. Ciągłe pyta: Gdzie jest panna Leigh? Widziałem, jak pani odjeżdżała, więc przybiegłem tu za panią. Uważam, że powinna pani zaraz tam jechać... ponieważ pan dziedzic, że tak powiem, dopytuje o panią.

Odwróciłam się i pocwałowałam w dół do wsi tak szybko, jak się tylko dało; po drodze robiłam sobie gorzkie wyrzuty i modliłam się na głos.

- O Boże, spraw, by jej nic nie było! Och, Alvean, ty mały głuptasie. Wystarczyłoby, gdybyś wystartowała w zwykłych skokach. I tak byłby zadowolony. Mogłabyś spróbować skoków na wysokość w przyszłym roku. Alvean, moje biedne, biedne dziecko. - Po czym powtarzałam: - To jego wina. Tylko jego wina. Gdyby był właściwym ojcem, nigdy by do tego nie doszło.

Wreszcie dojechałam na miejsce. Nigdy nie zapomnę tego, co ujrzałam. Alvean leżała na ziemi bez przytomności, otoczona grupką ludzi. Inni stali nieopodal. Zawody zostały przerwane.

Przez chwilę pomyślałam z przerażeniem, że dziewczynka nie żyje.

Connan spojrział na mnie posepnym wzrokiem.

- Panno Leigh - odezwał się - dobrze, że pani przyszła. Zdarzył się wypadek. Alvean...

Nie zwracałam na niego uwagi. Uklęłam przy niej.

- Alvean, moja droga... - szepnęłam cicho. Otworzyła oczy. W niczym nie przypominała teraz mej

małej aroganckiej wychowanicy. Była w tej chwili jedynie zagubionym, oszołomionym dzieckiem. Mimo to uśmiechnęła się do mnie.

- Nie odchodź... - poprosiła.

- Nie odejdę, zostanę przy tobie.

- Odeszłaś... przedtem... - wyszeptała tak cicho, że musiałam nachylić się nad nią, by usłyszeć, co mówi.

Wtedy zrozumiałam. Nie zwracała się do Marthy Leigh, swej guwernantki. Zwracała się do Alice.

Rozdział 6

Na miejsce wypadku przybył dr Pengelly. Stwierdził złamanie kości piszczelowej. Nie był jednak na razie w stanie powiedzieć, czy oprócz tego Alvean odniosła również jakieś inne obrażenia. Nastawił złamaną kość i swoim powozem odwiózł ją do Mount Mellyn. Ja z Connanem jechaliśmy za nim w milczeniu.

Dziewczynkę zaniecono do sypialni, gdzie doktor zaaplikował jej środek uspokajający.

- Na razie - zawyrokował - nie możemy zrobić nic więcej. Zajrzę tu znowu za kilka godzin. Niewykluczone, że dziecko znajduje się w stanie silnego szoku. Przede wszystkim należy ją ciepło otulić i zapewnić dobry sen. Powinna spać co najmniej kilka godzin. Dopiero potem będę mógł orzec, na ile jej obrażenia są poważne.

Po wyjściu lekarza Connan zwrócił się do mnie:

- Panno Leigh, muszę z panią porozmawiać. Przejdźmy do ponczowego saloniku... teraz, zaraz, bardzo proszę.

Poszłam za nim, a on mówił dalej:

- Obecnie nie zostaje nam nic innego jak czekać, panno Leigh. Musimy starać się zachować spokój.

W tym momencie uzmysłowiłam sobie, że nigdy nie oglądał mnie w stanie takiego wzburzenia. Przypuszczalnie w ogóle mnie nie podejrzewał, że zdolna jestem do jakichkolwiek głębszych uczuć.

Odparłam gwałtownie:

- W przeciwieństwie do pana, panie TreMellyn, trudno mi zachować spokój, gdy w grę wchodzi zdrowie mojej podopiecznej; a ona jest przecież pańską córką.

Byłam tak przerażona i zmartwiona, że koniecznie musiałam kogoś obwinić za ten wypadek. On najbardziej się do tego nadawał.

- Kto odpowiada za to, że dziecko podjęło tak ryzykowną próbę?
- zapytał ostro.

- Pan - odcięłam się. - Pan!

- Ja! Ależ ja przecież nie miałem pojęcia, że ona już tak dobrze jeździ konno.

Rozpamiętując tę rozmowę w jakiś czas później, zdałam sobie sprawę, że znajdowałam się wówczas na pograniczu hysterii. Byłam przekonana, iż Alvean doznała ciężkich obrażeń, i obawiałam się, że dziecko, o usposobieniu takim jak jej, nigdy już nie zechce wsiąść na

konia. Zarzucałam sobie, że zastosowałam niewłaściwą taktykę. Nie powinnam zwalczać w niej obawy przed końmi. Chciałam jedynie trafić do jej uczuć przez wskazanie drogi do serca ojca.

Nie mogłam, mimo rozpaczliwych wysiłków, pozbyć się uczucia straszliwej winy. Wmawiałam w siebie, że ten dom jest naznaczony tragicznym piętnem, i zadawałam sobie pytania: Co cię upoważnia do tego, by wtrącać się w życie tych ludzi? Co chcesz przez to osiągnąć? Zmienić Alvean? Zmienić jej ojca? Odkryć prawdę o Alice? Jak ci się wydaje, kim ty jesteś? Bogiem?

Ale nie mogłam winić wyłącznie siebie. Szukałam kozła ofiarnego. Mówiłam sobie: to on jest winien. Gdyby był inny, podobny wypadek nigdy by się nie zdarzył. Byłam o tym przekonana.

Straciłam panowanie nad swymi uczuciami. Ludziom mego pokroju przytrafia się to rzadko, ale kiedy już raz dadzą upust emocjom, ich reakcja jest o wiele gwałtowniejsza niż ludzi o historycznych skłonnościach.

- Nie! - wykrzyknęłam. - Oczywiście, że pan nic o tym nie wiedział. Skąd mógł pan wiedzieć, skoro nigdy się pan nią nie interesował? Nie mogła znieść pańskiej obojętności. Raniła jej serce. To dlatego podjęła się zadania, które przerosło jej możliwości.

- Moja droga panno Leigh - wyrzekł cicho. - Moja droga panno Leigh. - Spoglądał na mnie osłupiałym wzrokiem.

Gwizdzę na wszystko - pomyślałam. Mogą mnie odprawić. Jest mi to obojętne. Tak czy inaczej poniosłam porażkę. Miałam nadzieję, że uda mi się dokonać rzeczy niemożliwej - przebić skorupę samolubstwa tego człowieka i spowodować, by zaczął bardziej interesować się losem swej osamotnionej córeczki. A co ja zrobiłam? Doprowadziłam tylko do zamieszania i być może nawet przyczyniłam się do tego, że dziecko do końca życia będzie kaleką. A na dobitkę zrzucam winę na innych, zamiast brać ją na siebie. Mimo to nadal czyniłam mu gorzkie wyrzuty, niepomna na to, co mówię.

- Kiedy tu przybyłam - ciągnęłam w uniesieniu - niewiele potrzebowałam czasu, by się zorientować, jak sprawy wyglądają. Biedne dziecko, pozbawione matki, było głodne... Och, nie mam na myśli regularnych i pożywnych posiłków. Tych jej oczywiście nie brakowało. Ale istnieje także inny rodzaj głodu. Głód miłości. Alvean była spragniona uczucia ojca, do którego miała prawo, i jak pan widzi, gotowa była nawet ryzykować życie, by je zdobyć.

- Panno Leigh, proszę, błagam panią, niech się pani uspokoi, niech pani będzie rozsądna. Mówi mi pani, że Alvean zrobiła to...

Nie pozwoliłam mu dokończyć.

- Ona zrobiła to dla pana. Myślała, że się pan ucieszy. Uczyła się jeździć konno od tygodni.

- Rozumiem - powiedział. Wyciągnął chustkę z kieszeni i wytarł mi oczy. - Pani nie zdaje sobie sprawy - dodał prawie miękko - że po pani policzkach płyną łzy.

Wzięłam od niego chusteczkę i gniewnie osuszyłam oczy.

- To są łzy gniewu - stwierdziłam.

- I żalu. Droga panno Leigh, widzę, że pani bardzo się troszczy o Alvean.

- Ona jest dzieckiem - odparłam - i mam obowiązek troszczyć się o nią. Bóg świadkiem, że niewielu jest takich, którym jej dobro leży na sercu.

- Rozumiem - powtórzył - zachowywałem się w sposób nieodpowiedzialny.

- Jak pan mógł... jeżeli ma pan chociaż odrobinę serca? Pańska własna córka. Osierocona przez matkę. Czy pan nie zdaje sobie sprawy, że właśnie dlatego powinien ją pan darzyć szczególnym uczuciem?

Odpowiedź, jaką usłyszałam, była dla mnie zupełnym zaskoczeniem.

- Panno Leigh, przyjechała pani tutaj, by zająć się edukacją Alvean, ale myślę, że i mnie przy tej okazji również sporo pani nauczyła.

Spojrzałam na niego zdumiona. W uniesionej ręce przy zapłakanej twarzy trzymałam jego chustkę. W tym momencie do pokoju weszła Celestine Nansellock.

Zdziwiła się nieco na nasz widok, ale natychmiast się opanowała. Powiedziała z przejęciem:

- Słyszałam, że wydarzyło się coś strasznego.

- Zdarzył się wypadek, Celeste - odparł Connan. - Alvean spadła z konia.

- Och,... nie! - wykrzyknęła żałośnie Celestine. - I co... i gdzie...?

- Ona jest w swym pokoju - wyjaśnił Connan. - Pengelly nastawił jej nogę. Biedne dziecko. W tej chwili śpi. Dał jej coś na sen. Za kilka godzin przyjedzie znowu.

- Czy stan groźny...?

- Doktor nie postawił jeszcze diagnozy. Ale ja widziałem już podobne wypadki. Myślę, że nic jej nie będzie.

Nie byłam pewna, czy rzeczywiście tak myśli, czy też tylko pragnie uspokoić Celestine, która wyglądała na bardzo zdenerwowaną. Poczułam do niej przyływ sympatii. Była to jedyna, moim zdaniem, osoba, która rzeczywiście troszczyła się o Alvean.

- Biedna panna Leigh jest szalenie strapiona - mówił Connan. - Sądzi, że to się stało z jej winy. Pragnę ją zapewnić, że wcale tak nie myślę.

Przeze mnie? Ale jakżeż można obwiniać mnie za to, że uczyłam dziewczynkę jeździć konno? A gdy już posiadała tę umiejętność, siłą rzeczy chciała wziąć udział w zawodach. Czy było w tym coś niewłaściwego? Nie, to pański błąd! - miałam ochotę wykrzyknąć. Alvean chętnie poprzestałaby na popisaniu się tym, co potrafi, ale chodziło jej o ojca.

Odparłam wyzywająco:

- Alvean tak gorąco pragnęła zrobić niespodziankę swemu ojcu, że podjęła się zadania, które przerosło jej siły. Jestem przekonana, że gdyby miała pewność, iż jej ewentualny sukces w podstawowej konkurencji usatysfakcjonuje pana TreMellyna, nie próbowałaby występować w grupie dla zaawansowanych.

Celestine usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Przemknęła mi przez głowę scena na cmentarzu, gdy widziałam ją klęczącą przy grobie Alice. Biedna Celestine - pomyślałam ze współczuciem - kocha Alvean jak swoje dziecko; nie ma własnych dzieci i pewno myśli, że ich nigdy nie będzie miała.

- Teraz zostaje nam tylko czekać - stwierdził Connan. Podniosłam się z miejsca i oświadczyłam:

- Nie widzę potrzeby zostawać tutaj dłużej. Nie jestem tu konieczna. Pójdę do siebie.

Ale Connan wyciągnął rękę i powiedział prawie rozkazująco:

- Nie, proszę zostać, panno Leigh. Proszę z nami zostać. Wiem, że Alvean żywo panią obchodzi.

Spojrzałam na swój strój do konnej jazdy - własność Alice - i rzekłam:

- Powinnam się przebrać.

Odniosłam wrażenie, że nagle spojrzął na mnie innymi oczami - a być może i Celestine Nansellock również. Jeżeli nie patrzyli w moją twarz, to sama postać musiała im bardzo przypominać Alice.

Wiedziałam, że zmiana ubrania ma dla mnie istotne znaczenie. W szarej bawełnianej sukni, z surowym stanikiem, byłabym znowu tylko guwernantką. Ta metamorfoza niewątpliwie pomoże mi zapanować nad emocjami.

Connan skinął głową przyzwalająco.

- Ale proszę do nas zaraz wrócić, gdy się pani przebierze, panno Leigh - rzekł. - Musimy podtrzymywać się nawzajem na duchu. Poza tym chcę, by pani tu była, kiedy powróci doktor.

Znalazłszy się u siebie w pokoju, zdjęłam kostium Alice i włożyłam szarą bawełnianą sukienkę.

Miałam rację: odzyskałam równowagę. Zapinając stanik, zaczęłam rozpatrywać w pamięci słowa, które w przyływie żalu i gniewu rzuciłam w twarz Connanowi TreMellynowi.

W lustrze zobaczyłam swe oblicze zmienione żalem i obawą, oczy płonące oburzeniem i urazą oraz drżące z niepokoju usta.

Zadzwoiłam po ciepłą wodę. Daisy przejawiała wielką ochotę do rozmowy, ale zorientowawszy się, że nie mam nastroju do pogawędki, wyszła.

Po umyciu twarzy zesłam do ponczowego saloniku, do Connana i Celestine, gdzie już wspólnie zaczęliśmy oczekiwać na przybycie doktora Pengelly'ego.

* * *

Czas do powrotu lekarza dłużył się niepomiernie. Pani Polgrey zaparzyła nam czajnik mocnej herbaty. Raczyłam się nią razem z Connanem i Celestine. Nie dziwiło mnie, że w tym momencie obydwójce jakby zapomnieli, że jestem jedynie guwernantką. Byli przecież pod wrażeniem wypadku. Kiedy jednak później zastanawiałam się nad tą sceną, byłam nieco zaskoczona. Niewykluczone jednak, że miałam na myśli jedynie Connana. Celestine nigdy nie traktowała mnie z protekcyjną wyniosłością, jaką wyczuwałam u innych.

Connan również jakby puścił w niepamięć mój niedawny wybuch i odnosił się do mnie z kurtuazyjnym szacunkiem i wyszukaną grzecznością. Podejrzewałam, że zależało mu na tym, bym przestała się obwiniać o wypadek Alvean. Domyślał się prawdopodobnie, że u

podłoża mych gwałtownych oskarżeń leżały niepokój i obawa, czy to nieszczęście nie wynikło przypadkiem z mojej winy.

- Ona z tego wyjdzie - dowodził. - I założę się, że znowu będzie chciała wsiąść na konia. Kiedy byłem niewiele starszy od niej, też miałem podobną przygodę, i to znacznie groźniejszą. Złamałem obojczyk; przez wiele tygodni byłem całkowicie unieruchomiony, ale mimo to nie mogłem doczekać się chwili, kiedy znowu wskoczę na siodło.

Celestine zadrżała.

- Nie zaznam chwili spokoju, jeśli ona wróci do tego sportu!

- Och, Celestine, ty chciałabyś trzymać ją pod kloszem. I jaki będzie tego skutek? Kiedy spod niego wyjdzie, zaziębi się śmiertelnie. Nie można dzieci za bardzo rozpieszczać. Bądź co bądź muszą stawić czoło przeciwnościom losu. Powinny być do tego w jakiś sposób przygotowane. A co nasz ekspert ma do powiedzenia w tej sprawie?

Spoglądał na mnie niespokojnie. Wiedziałałam, że usiłuje podtrzymać nas na duchu. Widział, jak bardzo obie z Celestine jesteśmy zdenerwowane, i starał się być dla nas miły.

- Podzielałam pańskie zdanie, że nie należy dzieci zbyt rozpieszczać - poparłam go. - Ale jeżeli rzeczywiście nie mają do czegoś zamiłowania, uważam, że nie wolno ich do tego przymuszać.

- Ależ nikt jej nie zmuszał, by jeździła konno!

- Faktycznie robiła to z własnej i nieprzymuszonej woli - przyznałam. - Nie jestem jednak w stanie powiedzieć, czy jeździła dlatego, że lubiła jeździć, czy też powodowało ją pragnienie przypodobania się panu.

- No cóż - odparł niedbałym tonem - czy to nie wspaniałe, że dziecko stara się sprawić przyjemność swemu rodzicielowi?

- Ale niekoniecznie musi ryzykować życie, by wywołać uśmiech na jego twarzy.

Czułam, że znowu wzbiera we mnie gniew. Mięłam w palcach bawełnianą tkaninę sukienki, jak bym chciała się upewnić, że nie mam już na sobie kostiumu Alice. Byłam guwernantką w szarej sukni i nie miałam prawa forsować swej opinii.

Zarówno Celestine, jak i Connan byli zaskoczeni moją uwagą.

Dodałam jeszcze:

- Alvean, na przykład, przejawia inne zdolności, wyraźnie artystyczne. Bardzo ładnie rysuje. Panie TreMellyn, już od dłuższego

czasu noszę się z zamiarem, by zechciał pan rozważyć możliwość kształcenia jej w tym kierunku.

Nastąpiła pełna napięcia cisza. Zastanowiło mnie, dlaczego to, co powiedziałam, tak bardzo nimi wstrząsnęło. Brnęłam dalej:

- Jestem przekonana, że Alvean ma wielki talent. Nie wolno go zmarnować.

Connan odpowiedział wolno:

- Panno Leigh, przecież pani jest tutaj po to, by uczyć moją córkę. Po cóż więc zatrudniać innych nauczycieli?

- Dlatego, że moim zdaniem Alvean jest bardzo utalentowana - odparłam śmiało. - Lekcje rysunku nadałyby nowego sensu jej życiu; wzbogaciłyby je w dodatkowe treści i rozwinęły jej zainteresowania. Takich lekcji może udzielać tylko wykwalifikowany nauczyciel, który zna się na sztuce. Alvean na to zasługuje. Jestem tylko guwernantką, panie TreMellyn, i nie mam artystycznych zdolności. Odpowiedział dość gburowato:

- Dobrze, wrócimy jeszcze do tej sprawy w przyszłości. Zmienił temat rozmowy. Wkrótce przyjechał lekarz. Czekałam na zewnątrz w korytarzu, gdy tymczasem

Connan i Celestine udali się z lekarzem do pokoju Alvean.

Setki katastroficznych obrazów kłębiło się w moim mózgu. Wyobraziłam sobie, że dziewczynka umarła w wyniku odniesionych obrażeń. Widziałam siebie opuszczającą ten dom, by nigdy już doń nie powrócić. Gdyby do tego doszło, miałabym uczucie, że moje życie w jakiś sposób zostałoby nie spełnione. Uświadomiłam sobie, że gdybym musiała odjechać, byłabym bardzo nieszczęśliwa. Następnie nasunął mi się obraz Alvean kalekiej i trudniejszej niż kiedykolwiek. Postanowiłam, że swoje życie poświęcę tej małej biednej dziewczynce. Był to ponury obraz.

Zjawiała się Celestine.

- Niepewność jest okropna - stwierdziła. - Zastanawiam się, czy nie należałoby wezwać innego lekarza. Doktor Pengelly ma już sześćdziesiąt lat. Obawiam się, że...

- Robi wrażenie doświadczonego medyka - odrzekłam.

- Chcę, by miała najlepszego. Gdyby coś się z nią stało... Zagryzła wargi ze zdenerwowania. Wydało mi się dziwne, że ona, która w każdej sytuacji potrafiła zachować spokój, była tak wrażliwa na punkcie Alice i jej dziecka.

Miałam ochotę objąć ją i pocieszyć, ale, rzecz jasna, nie uczyniłam żadnego gestu, pomna swej pozycji w Mount Mellyn.

Doktor Pengelly wyszedł z Connanem z pokoju Alvean. Twarz lekarza promieniała zadowoleniem.

- Skaleczenia - oświadczył - i złamana piszczel. Poza tym nie widzę nic specjalnie groźnego.

- Och, dzięki Bogu! - wykrzyknęła Celestine.

Jak echo powtórzyłam jej słowa.

- Za dzień lub dwa zaczniesz się czuć lepiej. To głównie kwestia zrośnięcia się kości. U dziecka kości zrastają się szybko. Niech się panie przestaną niepokoić.

- Czy możemy ją teraz zobaczyć? - spytała gorączkowo Celestine.

- Oczywiście, że tak. Obudziła się już i zapytała o pannę Leigh. Za pół godziny dam jej następną dawkę środka uspokajającego, po którym prześpi całą noc. Rano zobaczycie ją na pewno w lepszej formie.

Weszliśmy do pokoju. Alvean leżała na wznak. Na jej twarzy malowało się cierpienie. Biedne dziecko. Jednakże, kiedy nas zobaczyła, uśmiechnęła się blado.

- Cześć, panno Leigh - rzekła. - Cześć, ciociu Celestine.

Celestine uklękła przy łóżku, ujęła rękę Alvean i zaczęła okrywać ją pocałunkami. Stałam po drugiej stronie łóżka. Oczy dziecka skierowały się na mnie.

- Nie udało mi się - powiedziała z żalem.

- To była dobra próba. Connan stał w nogach łóżka.

- Twój ojciec jest z ciebie dumny - dodałam.

- On na pewno myśli, że jestem głupia - rzekła.

- Nie, wcale tak nie myśli - zaprotestowałam gwałtownie. - Jest tutaj przy tobie, by ci to powiedzieć.

Connan obszedł łóżko i stanął obok mnie.

- Jest z ciebie dumny - mówiłam dalej. - Powiedział mi to. Powiedział, iż to nieważne, że spadłaś. Powiedział, iż liczy się tylko to, że próbowałaś, i że następnym razem na pewno ci się uda.

- Naprawdę? Tak powiedział?

- Tak jest, to były jego słowa - mówiłam z uniesieniem. W głosie moim narastał coraz większy gniew; on nadal milczał, a dziecko czekało na potwierdzenie moich słów.

Na koniec zdecydował się przemówić:

- Wypadłaś świetnie, Alvean. Jestem z ciebie dumny! Nikły uśmiech pojawił się na bladych wargach dziewczynki.

- Och, proszę pani... - wyszeptała. - Och, proszę pani. - Następnie poprosiła: - Niech pani nie odjeżdża, dobrze? Nie odjedzie pani, prawda?

Padłam na kolana przy łóżku. Ujęłam jej małą rączkę i pocałowałam. Łzy znowu trysnęły mi z oczu. Wykrzyknęłam:

- Zostanę, Alvean. Zawsze z tobą zostanę!...

Uniosłam wzrok i napotkałam spojrzenie Celestine, stojącej po drugiej stronie łóżka. Byłam też świadoma obecności Connana. Poprawiłam się szybko; przemówiła we mnie guwernantka.

- Zostanę dopóty, dopóki będę potrzebna - dodałam.

* * *

W bibliotece wszyscy razem zaczęliśmy rozważać, jak zapewnić chorej możliwie najlepszą opiekę.

- Będę codziennie przyjeżdżała - oświadczyła Celestine. - Prawdę mówiąc, Connan, zastanawiam się, czy nie powinnam przenieść się tutaj na czas rekonwalescencji Alvean. Mielibyśmy ułatwione zadanie.

- To już panie uzgodnią między sobą - odparł doktor Pengelly. - Starajcie się tylko podtrzymywać w niej dobry nastrój. Nie może poddać się przygnębieniu, bo ono źle wpływa na zrastanie się kości.

- Będziemy starały się ją zabawiać - obiecałam. - Czy wskazana jest jakaś specjalna dieta, doktorze?

- Przez dzień lub dwa powinna dostawać potrawy łatwo strawne: ryby na parze, mleczne puddingi, krem jajeczny i inne tego typu posiłki. Ale po kilku dniach może jeść wszystko, na co będzie miała ochotę.

Zrobiło mi się lekko na duszy, ale to gwałtowne przejście od przygnębienia i niepokoju do radości sprawiło, że poczułam się trochę oszołomiona.

Słuchałam wskazówek lekarza i argumentów Connana. Dowodził, że nie ma potrzeby, by Celestine sprowadzała się do Mount Mellyn. Był przekonany, że panna Leigh świetnie da sobie radę. Niemniej świadomość, że w razie nagłej potrzeby może zwrócić się do Celestine o pomoc, jest dla niego z pewnością bardzo krzepiąca.

- Dobrze, Connan - zgodziła się Celestine. - Może masz rację. Ludzie gadają. A gdybym tu zamieszkała... Och, ludzie są tacy śmieszni. Tylko czyhają na okazję do plotek.

Odgadłam jej rozumowanie. Gdyby Celestine przeniosła się do Mount Mellyn, natychmiast zaczęto by ją łączyć z Connanem. Natomiast fakt, że ja, równie młoda jak ona, ale opłacana guwernantka, zamieszkuję w tym samym domu, nie wywołuje niczyich komentarzy. Nie należałam po prostu do tej samej klasy.

Connan roześmiał się i zapytał:

- W jaki sposób dostałaś się tutaj, Celeste?

- Przyjechałam na Spellerze.

- Doskonale. Odprowadzę cię.

- Och, dziękuję, Connan. To bardzo ładnie z twojej strony. Ale mogę wrócić sama, jeżeli...

- Nonsens, jadę! - Zwrócił się do mnie: - Wygląda pani na zmęczoną, panno Leigh. Radzę udać się do łóżka i dobrze się wyspać.

Byłam pewna, że nie zasnę, i widocznie to przekonanie odbiło się na mojej twarzy, ponieważ doktor Pengelly zaproponował:

- Dam pani miksturę, panno Leigh. Proszę zażyć ją na pięć minut przed pójściem do łóżka. Gwarantuję pani dobry sen w nocy.

- Dziękuję - odparłam z wdzięcznością, gdyż nagle poczułam się bardzo zmęczona.

Nie wątpiłam, że jutro obudzę się spokojna i opanowana jak zwykle, gotowa stawić czoło każdej sytuacji, jaką może przynieść nowy dzień.

* * *

Udałam się do swego pokoju, gdzie czekała już na mnie taca z kolacją. Znajdowało się na niej zimne skrzydełko kurczęcia. Na widok tego smakołyku kiedy indziej ślinka napłynęłaby mi do ust, dziś wieczór jednak zupełnie nie miałam apetytu.

Dziobałam mięso widelcem i nawet udało mi się przełknąć kilka kęsów, ale gardło miałam zbyć ściśnięte z przejęcia, by jeść.

Pomyślałam, że najlepiej zrobię, jeśli zażyję miksturę doktora Pengelly'ego i położę się do łóżka.

Już miałam zamiar to wykonać, gdy usłyszałam pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołałam.

W drzwiach stała pani Polgrey. Sprawiała wrażenie głęboko zmartwionej. Nic dziwnego - pomyślałam. Kto w tym domu nie jest dzisiaj przejęty?

- To straszne... - zaczęła. Nie pozwoliłam jej dokończyć:

- Ona wyzdrowieje, pani Polgrey. Doktor nas o tym zapewnił.

- Och, tak, wiem już o tym. Ale tu chodzi o Gilly, panienko.

Martwię się o nią.

- Gilly?

- Nie wróciła do domu z zawodów. Nie widziałam jej od południa.

- Moim zdaniem gdzieś się tutaj błąka. Ciekawa jestem, czy widziała...

- Nie mogę tego zrozumieć, panienko. Nie mogę zrozumieć, dlaczego się tam wybrała. Ona przecież boi się koni. Osłupiałam, gdy się o tym dowiedziałam. A teraz... nie wróciła do domu.

- O ile wiem, przyzwyczajona jest chodzić sama?

- Tak, ale nigdy nie opuszcza podwieczorku. Nie mam pojęcia, co się z nią mogło stać.

- Przeszukaliście dom?

- Tak, panienko. Zajrzałam w każdy kąt. Kitty i Daisy szukały razem ze mną. Pan Polgrey również. Dziecka w domu nie ma.

- Pójdę i pomogę jej szukać.

Zamiast więc położyć się do łóżka wyruszyłam na poszukiwanie Gilly. Ogarnął mnie niepokój, ponieważ w tym tragicznym dniu mogłam oczekiwać, że wszystko może się zdarzyć. Co mogło się stać z małą Gilly? Wyobrażałam sobie tysiące rzeczy. Przyszło mi na myśl, że może zawędrowała na plażę i tam zagarnęła ją fala przyływu. Oczami wyobraźni już widziałam jej martwe ciało wyrzucone na brzeg zatoki Mellyn, tak jak ciało jej matki osiem lat temu.

To były chorobliwe rojenia. Nie, Gilly musiała gdzieś zawędrować i, zmorzona, usnęła. Przypomniałam sobie, że często ją widywałam w lesie. Ale ona nigdy by w nim nie zabłądziła, znała las na wylot.

Mimo to, kierowana intuicją, poszłam w stronę lasu, wykrzykując po drodze jej imię. Mgła, która z nadejściem wieczoru podnosiła się z ziemi, przechwytywała moje wołanie i tłumiała je tak, iż dochodziło jakby przez watę.

Przeszukiwałam las dokładnie, będąc wewnętrznie przekonana, że ona tu gdzieś jest, że nie zablądziła, tylko się ukrywa.

Miałam rację. Leżała na polance pośród niewielkiego zagajnika.

Widziałam ją w tym miejscu raz czy dwa i domyśliłam się, że stanowiło ono dla niej rodzaj azylu.

- Gilly! - zawołałam. - Gilly!

Na dźwięk swego imienia zerwała się na nogi. Już się szykowała do ucieczki, ale zatrzymały ją moje słowa.

- Gilly, wszystko w porządku - zapewniałam. - Jestem sama, a wiesz przecież, że ja nie zrobię ci krzywdy.

Wyglądała jak mała dzikuska z bajki, z białymi jak len włosami zwisającymi w mokrych strąkach na ramiona.

- Ależ, Gilly - powiedziałam - zaziębisz się, leżąc na mokrej trawie. Dlaczego się ukrywasz, Gilly?

Spoglądała na mnie rozszerzonymi oczami; doszłam do wniosku, że to strach przed czymś, mnie nie znanym, przywiódł ją do tej leśnej kryjówki.

Gdyby tylko zechciała się do mnie odezwać! - myślałam z żalem. Gdyby zechciała wyjaśnić, dlaczego tak postąpiła!

- Gilly - ciągnęłam. - Jesteśmy przyjaciółkami, prawda? Wiesz o tym. Jestem twoją przyjaciółką - podobnie jak jaśnie pani.

Przytaknęła i przerażenie zniknęło z jej twarzy. Domyśliłam się, że kiedy zobaczyła mnie w kostiumie Alice, w swej małej chorej głowie skojarzyła nas ze sobą.

Objęłam ją ramionami. Była zupełnie przemoczona, a jej jasne włosy i rzęsy zwilgotniały od rosy.

- Ależ, Gilly, jesteś zimna niczym sople lodu. Nie wzbraniała się, gdy ją przytuliłam.

- Chodź, Gilly - nalegałam. - Wracajmy do domu. Twoja babcia bardzo się o ciebie niepokoi. Nie wie, co się z tobą stało.

Pozwoliła mi wyprowadzić się z polanki, ale czułam, że niechętnie odrywa stopy od ziemi.

Obejmowałam ją mocno ramieniem, przemawiając jednocześnie łagodnym głosem:

- Widziałam cię dziś po południu na zawodach - powiedziałam.

Odwróciła się ku mnie i ukryła twarz w fałdach mej sukni. Jej małe rączki uchwyciły się kurczowo materiału. Czułam, jak drży na całym ciele.

W tej chwili odkryłam całą prawdę. To dziecko, podobnie jak Alvean, bało się koni. Naturalnie, że się bało. Czyż koń nie zatratował jej prawie na śmierć?

Zrozumiałam, że Gilly, tak jak i Alvean, również przeżyła szok. Ale uraz u niej był silniejszy i trwalszy, a nie znalazł się nikt, kto pomógłby rozproszyć ciemności, w jakich pogrążył się jej umysł.

W tym zasnutym jesienną mgłą lesie poczułam się jak ktoś, kto ma do spełnienia ważną misję. Nie odwrócę się tyłem do biednego dziecka, które potrzebuje pomocy.

W Gilly odżyło uczucie dawnego przerażenia. Dziś po południu zobaczyła Alvean pod kopytami konia; ona także była w takiej sytuacji, i to nie tak dawno - zaledwie cztery lata temu.

W tym momencie usłyszałam w lesie tętent końskich kopyt. Wykrzyknęłam głośno:

- Tu jestem, znalazłam ją!

- Idę, panno Leigh!

Ogromnie się ucieszyłam; poznałam głos Connana.

Domyśliłam się, że wróciwszy z Mount Widden, dowiedział się o zaginięciu Gilly i postanowił przyłączyć się do poszukujących. Może się domyślił, że jestem w lesie, i poszedł za mną.

Gilly na jego widok skurczyła się ze strachu i jeszcze mocniej przywarła do mnie całym ciałem. Nie odrywała twarzy od fałd mej sukni.

- Ona jest tutaj! - zawołałam. Podszedł bliżej, a ja wyjaśniłam mu sytuację: - Biedne dziecko, jest zupełnie wyczerpane. Proszę ją wziąć na konia.

Pochylił się, by ją podnieść, ale ona wykrzyknęła: Nie, nie!

Zaskoczyło go, że potrafi mówić, lecz ja nie byłam zdziwiona. Już dawno odkryłam, że w momentach napięcia potrafiła wydobyć z siebie głos.

- Gilly - odezwała się prosząco. - Jedź z panem. Będę szła obok i trzymała cię za rękę.

Potrząsnęła głową. Nalegałam dalej:

- Spójrz, to jest May Morning. Ona chce cię ponieść na swym grzbiecie; ona wie, że jesteś zmęczona.

Oczy Gilly zwróciły się na wierzchowca i strach, jaki odmalował się na jej twarzy, dał mi rozwiązanie zagadki.

- Proszę ją wziąć! - poleciłam Connanowi.

Ten się zatrzymał, podniósł dziecko i posadził przed sobą na siodle.

Usiłowała stawiać opór, ale ja przez cały czas przekonywałam ją łagodnie:

- Jesteś tu bezpieczna. Prędzej znajdziesz się w domu. Dostaniesz duży kubek mleka z chlebem, a potem położysz się do ciepłego i przytulnego łóżeczka. Będę cię przez cały czas trzymać za rączkę i będę iść obok ciebie.

Nie opierała się dłużej, wciąż jednak trzymała rękę w mojej dłoni.

I tak oto, ja i Connan, odwieźliśmy do domu zagubione dziecko. Odnalezienie Gilly optymistycznym akcentem zakończyło ten dziwny dzień.

Kiedy zdejmowano ją z siodła i wręczano babce, Connan uśmiechnął się do mnie zniewalająco. Jego uśmiech dlatego wydał mi się sympatyczny, ponieważ nie było w nim śladu owej drwiny, jaka go zwykle cechowała.

Udałam się na górę, uniesiona radością, która niczym mgłą, wciskająca się do wnętrza domu, przesączała się do mego serca. Była w tym nuta melancholii, ale uczucie szczęścia zbyt silnie mną owładnęło, bym mogła roztrząsać swoje emocje.

Rzecz jasna, zdawałam sobie sprawę ze stanu swojej duszy. Dzisiejszy dzień uświadomił mi to wyraźnie. Popełniłam głupstwo - przypuszczalnie największe, jakie mogłam zrobić w życiu.

Zakochałam się po raz pierwszy, i to w kimś, kto nie należał do mojej sfery. Zakochałam się w panu na Mount Mellyn i odnosiłam nieprzyjemne wrażenie, że on się tego domyśla.

Na stoliku przy łóżku stała butelka z miksturą, którą dostałam od doktora Pengelly'ego.

Zamknęłam drzwi na klucz, zdjęłam suknię, zażyłam lekarstwo i wsunęłam się pod kołdrę.

Ale zanim to uczyniłam, przyjrzałam się sobie przebranej do snu w różową flanelową koszulę, pedantycznie zapiętą pod szyję. Roześmiałam się z absurdalności swoich marzeń i przybierając wypróbowany mentorski ton, powiedziałam do siebie na głos: „Rankiem, po nocy dobrze przespanej dzięki doktorowi Pengelly'emu, wrócisz do rzeczywistości”.

* * *

Następne tygodnie były najszcześniejsze z przeżytych dotychczas w Mount Mellyn. Wkrótce się okazało, że Alvean nie doznała większego uszczerbku na zdrowiu. Z radością stwierdziłam też, że wypadek nie wpłynął negatywnie na jej stosunek do koni. Niecierpliwie dopytywała się o lekkie obrażenia Black Prince'a, przyjmując za rzecz naturalną, że w niedługim czasie znowu go dosiądzie.

Po kilku dniach wznowiłyśmy przerwane lekcje. Z radością wzięła się do nauki. Nauczyłam ją także grać w szachy. Alvean zadziwiająco szybko opanowała grę. A jeśli zdarzyło mi się stracić królową, potrafiła dać mi mata.

Nie tylko jej postępy wpływały na mój radosny nastrój. Przyczyniła się do tego również obecność w domu Connana. Zastanowiło mnie, że chociaż nie wspomniał słowem o moim wybuchu w dniu wypadku, wyraźnie wziął go sobie do serca. Odwiedzał Alvean, przynosił jej książki i układanki, które jego zdaniem mogły ją zainteresować.

Zaraz na początku rekonwalescencji Alvean oświadczyła mi:

- Znacznie większą przyjemność niż te wszystkie prezenty sprawi jej pańska obecność.

W odpowiedzi usłyszałam:

- Dziwne z niej dziecko, przedkłada moją osobę nad książkę czy zabawkę.

Uśmiechnęłam się do niego, a on odpowiedział mi tym samym. Już po raz wtóry uświadomiłam sobie, że jego uśmiech jest teraz zupełnie inny.

Czasami siadał przy nas i przyglądał się, jak gramy w szachy. Zdarzało się, że przyłączał się do gry i razem z Alvean był przeciwko mnie. Protestowałam wtedy i domagałam się zwrotu królowej.

Alvean siedziała, uśmiechając się, a on mówił:

- Popatrz, Alvean. Damy tutaj naszego gońca. Nasza droga panna Leigh dobrze się będzie musiała nagłowić, jak wybrnąć z sytuacji.

Alvean chichotała radośnie i rzucała triumfujące spojrzenia w moim kierunku. Ja natomiast, przebywając z nimi, czułam się do tego stopnia szczęśliwa, że przestawałam się koncentrować. Odbijało się to na mojej grze. Ale nie tak zupełnie. Przez cały czas miałam świadomość tego, że między mną a Connanem toczy się pewnego rodzaju walka, w której usilnie pragnęłam dotrzymać mu kroku.

Chociaż była to tylko gra w szachy, chciałam mu udowodnić, że ma we mnie godnego siebie przeciwnika.

Pewnego dnia zaproponował:

- Kiedy Alvean będzie mogła się już poruszać, pojedziemy do Fowey i tam urządzimy sobie piknik.

- Dlaczego do Fowey? - zapytałam. - Przecież tutejsza plaża doskonale nadaje się na piknik.

- Moja droga panno Leigh - odparł. Ostatnio nabrał zwyczaju zwracania się do mnie w ten sposób. - Czy nie wie pani, że cudze plaże są zawsze ciekawsze niż nasze własne?

- Och, tak, tatusiu! - wykrzyknęła radośnie Alvean. - To świetny pomysł, urządzimy piknik!

Tak pragnęła szybko wyzdrowieć, że zjadła wszystko, co jej przyniesiono, a potem bezustannie powracała do tego tematu. Z przebiegu rekonwalescencji bardzo zadowolony był doktor Pengelly, nie mówiąc już o nas wszystkich.

Pewnego dnia powiedziałam Connanowi:

- To pan jest tym skutecznym lekiem. Uszczęśliwił ją pan. Wie już teraz, że ma pan dla niej trochę uczucia.

Uczył wówczas rzecz zaskakującą. Ujął moją rękę i lekko pocałował mnie w policzek. Pocałunek różnił się od tego, którym zaskoczył mnie owej pamiętnej balowej nocy w solarium. Był to krótki, przyjacielski, nie zmysłowy, ale czuły pocałunek.

- Nie - zaprzeczył. - To pani jest tym lekiem, moja droga panno Leigh.

Myślałam, że doda coś jeszcze. Ale nie zrobił tego. Oddalił się raptownie.

* * *

Nie zapomniałam o Gilly. Podjęłam mocne postanowienie walczyć o nią tak jak o Alvean i wydało mi się, że najlepiej zrobię, jeśli porozmawiam o tym z Connanem. Był teraz w takim nastroju, że mogłam mieć nadzieję, iż spełni każdą moją prośbę. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby po powrocie Alvean do zdrowia zachowywał się jak dawniej: ją ignorował, a ze mnie kpił. Postanowiłam więc iść za ciosem, dla dobra Gilly, teraz, kiedy istniała szansa na powodzenie.

Pewnego ranka zesłam śmiało do ponczowego saloniku, wiedząc, że on tam przebywa, i zapytałam, czy mogę zamienić z nim kilka słów.

- Ależ oczywiście, panno Leigh - odrzekł. - Rozmowa z panią to dla mnie zawsze wielka przyjemność.

Bezzwłocznie przystąpiłam do rzeczy.

- Chciałabym zrobić coś dla Gilly.

- Tak?

- Nie uważam, by była niedorozwinięta. Moim zdaniem nikt nigdy nie próbował jej pomóc. Słyszałam o jej wypadku. O ile mi wiadomo, przed katastrofą była zupełnie zdrową dziewczynką. Czy nie sądzi pan, że można zrobić z niej na powrót normalne dziecko?

W oczach Connana ponownie pojawił się błysk ironii. Niedbałym tonem odparł:

- Mam wrażenie, że podobnie jak dla Pana Boga tak i dla panny Leigh nie ma rzeczy niemożliwych.

Nie zwróciłam uwagi na jego nonszalanckie zachowanie.

- Proszę, by mi pan pozwolił ją uczyć.

- Moja droga panno Leigh, czy uczennica, dla której pani tu się znajduje, nie wypełnia dostatecznie pani czasu?

- Zostaje mi kilka wolnych chwil dla siebie, panie TreMellyn. Nawet guwernantki je mają. Będę uczyć Gilly w czasie wolnym od zajęć z Alvean, oczywiście, jeśli mi pan tego nie zabroni.

- Jeżeli nawet pani zabronię, jestem pewien, że znajdzie pani inny sposób, by postawić na swoim. Uważam więc, że prościej będzie powiedzieć: Proszę robić tak, jak pani uważa. Życzę sukcesów.

- Dziękuję - odparłam i odwróciłam się, by odejść.

- Panno Leigh! - zawołał za mną. Zatrzymałam się wyczekująco.

- Proponuję, by ten piknik urządzić już niedługo. Jeśli będzie trzeba, sam przeniosę Alvean do powozu.

- Wspaniale, panie TreMellyn. Zaraz jej o tym powiem. Wiem, że się bardzo ucieszy.

- A pani, panno Leigh, czy pani się cieszy?

Przez chwilę myślałam, że zamierza do mnie podejść, i zrobiłam ruch do tyłu. Przeraziłam się, że położy mi ręce na ramionach i że pod ich dotknięciem mogę zdradzić swoje uczucia.

Odparłam chłodno:

- Wszystko, co jest dobre dla Alvean, i mnie sprawia radość, panie TreMellyn.

* * *

I tak mijały tygodnie: przyjemne, cudowne tygodnie, i tylko czasami przez głowę przebiegała mi myśl, że kiedyś przecież skończą się bezpowrotnie.

Zacząłam naukę z Gilly. Odbywała się w sali lekcyjnej. Zdołałam nauczyć ją już kilku liter. Szczególnie zainteresowała się obrazkami; była nimi zupełnie pochłonięta. Nie miałam wątpliwości, że polubiła nasze zajęcia, zawsze bowiem stawiała się na nie punktualnie.

Wymawiała już od czasu do czasu jakieś słowa. Wiedziałam dobrze, że cała służba śledzi ten eksperyment z rozbawieniem i uwagą.

Oczekiwałam oporu ze strony Alvean, kiedy będzie na tyle zdrowa, by odbywać lekcje w szkolnej sali. Niechęć Alvean do Gilly była wyraźna. Gdy pewnego razu przyprowadziłam Gilly do jej pokoju - sposepniała. Przyrzekłam sobie, że kiedy wyzdrowieje, postaram się pogodzić ją z Gilly. Ale jak na razie była to sprawa przyszłości. Dobrze wiedziałam, że gdy życie wróci do normalnego trybu, te radosne dni staną się już tylko wspomnieniem.

Wiele osób przychodziło odwiedzać Alvean. Celestine przyjeżdżała codziennie. Przywoziła jej owoce i różne prezenty. Odwiedzał ją też Peter, którego zawsze witała radośnie.

Pewnego razu zapytał ją:

- Czy nie uważasz, Alvean, że ze mnie to bardzo oddany wujek? Tak często cię odwiedzam.

Odcięła się ostro:

- Ale nie przychodzisz tu tylko dla mnie, wujku Peterze. Przychodzisz głównie dla panny Leigh.

Odpowiedział zgodnie ze swoim zwyczajem:

- Przychodzę dla was obu. Wielki ze mnie szczęściarz, że mam takie dwie czarujące przyjaciółki, które często mogę odwiedzać.

Lady Treslyn przyjechała do Alvean z kosztownymi książkami i kwiatami. Ta jednakże przyjęła ją nachmurzona i prawie się do niej nie odzywała.

Starłam się wytłumaczyć zachowanie Alvean:

- Ona nie jest jeszcze całkiem zdrowa, lady Treslyn.

W odpowiedzi otrzymałam uśmiech tak promienny, że aż dech mi zaparło z wrażenia.

- Naturalnie, że rozumiem - odparła lady Treslyn. - Biedne dziecko. Pan TreMellyn opowiadał mi, jaka była dzielna. Nie miał

również słów uznania dla pani. Powtarzam mu, że powinien być wdzięczny losowi za to, iż udało mu się znaleźć taki skarb. Nie tak łatwo go znaleźć - przestrzegłam go. Przypomniałam mu historię z moją ostatnią kucharką, która opuściła mnie w trakcie przyjęcia. Ona też była takim drugim skarbem.

Kiwnęłam głową. W sercu poczułam ukłucie nienawiści - nie dlatego, że postawiła mnie na równi ze swoją kucharką, ale że była taka piękna. Wiedziałam, że ona i Connan są przedmiotem plotek całej okolicy, i bałam się, że mogą być prawdziwe.

Connan zmieniał się zupełnie, kiedy ta kobieta znajdowała się w pobliżu. Miałam wrażenie, że prawie mnie nie dostrzega. Słyszałam ich śmiech i smętnie się zastanawiałam, o czym ze sobą rozmawiają. Widziałam ich w ogrodzie, a sposób, w jaki spacerowali, aż nadto wyraźnie wskazywał na poufałe stosunki.

Zrozumiałam wówczas, jaka byłam niemądra, hołubiąc myśli, których nie odważyłam się wyrazić nawet wobec siebie samej. Staralam się udawać, że one nie istnieją. Ale istniały i, mimo mego realizmu, nachodziły mnie bezustannie.

Nie miałam odwagi patrzeć w przyszłość.

Pewnego dnia Celestine zaproponowała, że zabierze Alvean do Mount Widden na cały dzień i tam się nią będzie opiekować.

- To będzie pewna rozmaitość - oświadczyła. - A ty, Connan - dodała - przyjedziesz na kolację i zabierzesz ją z powrotem.

Zgodził się. Poczułam się zawiedziona, że zaproszenie mnie nie objęło. Uzmysłowiło mi to wyraźnie, że fałszywy obraz stworzyłam sobie na podstawie sytuacji zaistniałej po tym pamiętnym wypadku. Coś takiego! Wyobrażać sobie, że ja, guwernantka, zostanę zaproszona na kolację do Mount Widden!

Roześmiałam się z własnej naiwności, ale ten śmiech zabarwiony był goryczą i smutkiem. Czułam się tak, jakbym się zbudziła zimnym rankiem po wielu tygodniach wspaniałej, słonecznej pogody, która miała trwać wiecznie. To tak, jakby na pogodnym letnim niebie zaczęły zbierać się groźne burzowe chmury.

* * *

Connan odwiózł Alvean powozem do Mount Widden, a ja, po raz pierwszy, odkąd tutaj przybyłam, zostałam bez żadnego określonego zajęcia.

Miałam z Gilly lekcję, ale nie trwała długo, ponieważ byłam zdania, że większy umysłowy wysiłek nie jest dla dziewczynki wskazany. Kiedy więc odesłałam ją do babki, zaczęłam się zastanawiać, co począć z wolnym czasem.

I wtedy przyszedł mi do głowy pomysł, by udać się na dłuższą konną przejażdżkę, na przykład na wrzosowiska.

Przypomniał mi się dzień, w którym pojechałyśmy z Alvean w odwiedziny do babki Clary. Pomysł wydał mi się dość interesujący. W mej pamięci na nowo odżyła tajemnicza sprawa Alice, o której podczas tych błogich dni rekonwalescencji Alvean zupełnie zapomniałam. Analizowałam swoje myśli, starając się dociec, dlaczego zajęłam się historią Alice. Może dlatego, że chciałam znaleźć temat, który by mi pozwolił przestać rozpamiętywać własne położenie.

Pomyślałam, że babka Clara z pewnością ciekawa jest wieści o stanie zdrowia Alvean. W każdym razie dała mi jednoznacznie do zrozumienia, że zawsze będę u niej mile widzianym gościem. Oczywiście odwiedziny bez Alvean będą miały zupełnie inny charakter, ale z drugiej strony byłam pewna, że staruszkę bardziej interesuje rozmowa ze mną niż z dzieckiem.

Postanowiłam pojechać.

Pani Polgrey zakomunikowałam:

- Alvean przyjedzie dopiero wieczorem. Chciałabym skorzystać z tej okazji i wziąć sobie dzień urlopu.

Pani Polgrey bardzo mnie polubiła, odkąd zaczęłam okazywać zainteresowanie losem Gilly. Ona szczerze kochała to dziecko, tylko rzeczywiście wierzyła, że odmienność Gilly jest karą za grzechy jej rodziców. Dlatego pogodziła się z faktem, że dziewczynka jest niezbyt zdrowa na umyśle.

- Nikt bardziej od pani nie zasłużył na urlop - stwierdziła. - Dokąd się pani wybiera?

- Pojadę na wrzosowiska. Zjem lunch w gospodzie.

- Jedzie pani tam sama? Uśmiechnęłam się do niej.

- Potrafię uważać na siebie, pani Polgrey.

- Ale na wrzosowiskach są bagna i mgły i jak mówią niektórzy, Mali Ludkowie.

- Mali Ludkowie, co też pani mówi!

- Niech się pani nie śmieje, panno Leigh. One nie lubią, jak się z nich śmiać. Są ludzie, którzy mówią, że ich widzieli. Małych, podobnych do gnomów, ludzików w stożkowatych kapeluszach. Jeśli im się ktoś nie spodoba, to za pomocą swych magicznych latarek wywiodą go daleko na bagna, gdzie zabłądzi i zginie. Bagno wciągnie człowieka i już nie wypuści, choćby ten nie wiem jak usiłował się z niego wydostać.

Udałam, że wstrząsa mną dreszcz strachu.

- Będę ostrożna i ani mi się śni obrażać Małych Ludków. Jeśli ich spotkam, będę dla nich bardzo uprzejma.

- Coś mi się wydaje, panno Leigh, że pani sobie stroi żarty.

- Nic mi się nie stanie, pani Polgrey. Niech się pani o mnie nie lęka.

Udałam się do stajni i zapytałam Tapperty'ego, jakiego konia mogę dostać pod wierzch.

- Może pani wziąć May Morning. Jest wolna. Poinformowałam go, że wybieram się na wrzosowiska.

- Dobra okazja, by poznać okolice - dodałam.

- Wierzę, panienko. Ale nie ma wiele do oglądania. -

I zaśmiał się sam do siebie, jakby go ubawiła jakaś sekretna myśl.

- Ktoś pani towarzyszy? - zapytał chytrze.

Odparłam, że jadę sama, ale wiedziałam, że mi nie wierzy.

Rozgniewało mnie jego zachowanie, ponieważ domyślałam się, że miał na myśli Petera Nansellocka. Wiedziałam, iż jego imię łączono z moim od chwili, kiedy popełnił tę nieostrożność, że przysłał mi Jacinth w prezencie.

Zastanawiałam się również, czy służba zwróciła uwagę na moją rosnącą zażyłość z Connanem. Taka ewentualność przerażała mnie. Rzecz dziwna: nie denerwowała mnie świadomość, że poza moimi plecami wymieniają na mój i Petera temat uszczypliwe uwagi. Ale plotkowanie w ten sam sposób o mnie i Connanie było już czymś zupełnie innym.

* * *

Jakie to śmieszne - mówiłam do siebie, wyprowadzając May Morning ze stajni i zjeżdżając potem w dół, do wsi.

Nie ma przecież żadnego powodu do plotek na temat mój i Connana. Nieprawda - odpowiedziałam sobie - i zaczęłam rozpamiętywać te dwie sceny, kiedy mnie pocałował.

Spojrzałam przez zatokę na Mount Widden. Miałam tęskną nadzieję, że może spotkam wracającego Connana. Ale oczywiście nie spotkałam; został tam z Alvean i swymi przyjaciółmi. Skąd ta myśl, że chciałby wrócić, aby być ze mną? Niemądry zwyczaj snucia nierealnych marzeń zaczynał brać we mnie górę nad rozsądkiem.

Mimo to wciąż łudziłam się nadzieją dopóty, dopóki wieś nie została za mną daleko w tyle i nie napotkałam pierwszego szarego murku i głazów na wrzosowiskach.

Był świetlisty grudniowy poranek i wielkie rude cętki janowca złościły się pośród niezmiernych pól.

Wciągałam w nozdrza zapach torfowej ziemi i wiatru, który teraz, świeży i ożywczy, wiał w kierunku północy.

Ogarnęła mnie raptowna chęć, by puścić się galopem przez te pola i poddać twarz pieszczocie wietrznych podmuchów. Dałam folgę temu pragnieniu i kiedy tak pędziłam, wyobraziłam sobie, że obok mnie jedzie Connan. W pewnym momencie każe mi się zatrzymać, bo pragnie wyznać, że zmieniłam życie jego i Alvean i że, chociaż to brzmi nieprawdopodobnie, jest we mnie zakochany.

Na wrzosowiskach można było puścić wodze najdzikszym fantazjom. Skoro niektórzy wierzyli, że tę krainę zamieszkują Mali Ludkowie, to i ja mogłam w siebie wmawiać, że jest rzeczą całkiem możliwą, iż Connan TreMellyn mnie pokocha.

Zbliżało się południe, kiedy dotarłam do Domu na Wrzosowiskach. Przywitanie było podobne do poprzedniego. Na progu przyjęła mnie stara gospodyni, która zaprowadziła mnie do salonu babki Clary.

- Dzień dobry, panno Leigh. Cóż to, jest pani sama?

A więc nikt jej nie poinformował o wypadku Alvean. Zdziwiłam się. Byłam przekonana, że Connan wysłał kogoś do niej z wieścią. Wiedział przecież, że starsza pani bardzo interesuje się losem córeczki swojej siostrzenicy.

Opowiedziałam jej o wypadku, którym bardzo się przejęła. Pośpiesznie dodałam, że Alvean czuje się już lepiej i że wkrótce całkowicie wróci do zdrowia.

- Ale pani na pewno potrzebuje pokrzepienia, panno Leigh - oświadczyła staruszka. - Wypijemy szklaneczkę wina z czarnego bzu. Mam nadzieję, że zostanie pani na lunchu?

Odparłam, że jest to bardzo uprzejma propozycja i jeśli nie sprawię kłopotu, z przyjemnością skorzystam z zaproszenia.

Sączyłyśmy wino z czarnego bzu i tak jak za pierwszym razem, po winie z mlecza, poczułam w głowie jego skutki. Było bardzo mocne. Lunch składał się z baraniny w kaparowym sosie, niezwykle dobrze przyrządzonej i podanej. Po obiedzie powróciłyśmy do salonu - jak określiła babka Clara - na małą pogawędkę.

Na tę chwilę właśnie czekałam i nie zawiodłam się.

- A teraz niech mi pani powie - zaczęła babka Clara - jak się czuje moja mała, droga Alvean? Czy ma już lepszy nastrój? Czy jest weselsza?

- No cóż... tak, myślę, że obecnie niewiele jej brakuje do szczęścia. Tak naprawdę do poprawy jej samopoczucia, rzecz paradoksalna, przyczynił się właśnie ten wypadek. Jej ojciec bardzo się o nią teraz troszczy, a ona go ogromnie kocha.

- Ach, tak - rzekła babka Clara - jej ojciec! Spojrzała na mnie. W jej jasnych niebieskich oczach malowało się wyraźne podniecenie. Wiedziałam, że należy do osób, które nie potrafią utrzymać języka za zębami. A ponieważ żyła na odludziu, jedynie w towarzystwie służby, przybycie gościa takiego jak ja stanowiło dla niej nieodpartą pokusę.

Postanowiłam zarzucić haczyk z jeszcze większą przynętą. Powiedziałam tytułem próby:

- Mam wrażenie, że stosunki między nimi nie są normalne.

Starsza pani milczała przez chwilę, po czym stwierdziła szybko:

- Nie, wydaje się, że to było nie do uniknięcia. Milczałam. Czekałam bez tchu, z obawą, że może

zmienić zdanie. Walczyła z chęcią do zwierzeń, a czułam, że jej wyznania mogą dać mi klucz do sytuacji w Mount Mellyn, do historii TreMellynów, która, jak z oporem zaczynałam przyznawać, miała szansę stać się moją własną historią.

- Czasami uważam, że to wszystko z mojej winy - mówiła niby do siebie. I rzeczywiście jej niebieskie oczy patrzyły gdzieś w przód, ponad moją głowę, jakby widziały tam obraz minionych lat. Wydawała się zupełnie nieświadoma mojej obecności. - Zadaję sobie pytanie - ciągnęła dalej - do jakiego stopnia można się wtrącać w życie innych ludzi.

Było to pytanie, nad którym i ja często się zastanawiałam. Niewątpliwie zaczynałam ingerować w cudze życie, od kiedy zamieszkałam w Mount Mellyn.

- Alice mieszkała u mnie po zaręczynach - ciągnęła dalej. - Wszystko mogło się wtedy potoczyć innym torem. Ale ja ją przekonałam. Rozumie pani, według mnie on był lepszą partią.

Mówiła trochę bez związku, bałam się jednak prosić, by wyrażała się jaśniej, nie chcąc popsuć intymnego nastroju. Mogła sobie uświadomić, że zwierza się młodej kobiecie, która zdradza nadmierną ciekawość.

- Zastanawiam się, co by się stało, gdyby postąpiła wówczas inaczej. Czy pani się też w to bawi, panno Leigh? Czy pani kiedykolwiek powtarza sobie, powiedzmy, że gdybym ja w pewnym momencie... lub ktoś inny... uczyniła tak i tak... to życie drugiej osoby potoczyłoby się zgoła odwrotnie?

- Tak - odparłam - każdy to robi. A więc pani uważa, że sprawy przybrałyby odmienny obrót dla pani siostrzenicy i dla Alvean?

- O, tak... dla niej, dla Alice, w szczególności. Znalazła się naprawdę w zwrotnym punkcie swego życia. Można powiedzieć, że na rozstajnych drogach. Idziesz jedną drogą i masz taki, a nie inny los. Pójdiesz drugą i wszystko układa się inaczej. Czasami ogarnia mnie przerażenie, ponieważ gdyby skręciła na prawo zamiast na lewo... tak jak to miało miejsce... dzisiaj byłaby tutaj. Przecież gdyby wyszła za Geoffry'ego, nie musiałaby z nim uciekać, tak czy nie?

- Rozumiem, że zwierzała się pani.

- To prawda. Rzeczywiście tak było. Obawiam się, że w dużym stopniu przyczyniłam się do tych wypadków. To właśnie spędza mi sen z powiek. Czy miałam rację? Czy postąpiłam słusznie?

- Jestem pewna, że zrobiła pani to, co pani zdaniem było dla niej najlepsze. Nie można uczynić więcej. Pani bardzo kochała swoją siostrzenicę, prawda?

- Bardzo. Miałam samych synów, rozumie pani, a zawsze chciałam mieć córeczkę. Alice odwiedzała mnie i bawiła się z moimi dziećmi... trzech chłopców i ani jednej dziewczynki. Miałam nadzieję, że poślubi jednego z nich. Mimo iż byli kuzynami. Może to nie byłoby wskazane. Nie mieszkałam wtedy w tym domu. Mieszkaliśmy w Penzance. Rodzice Alice mieli dużą posiadłość kilka mil dalej w głąb lądu. Jej mąż oczywiście odziedziczył cały majątek. Wniosła

mężowi w posagu dużą fortunę. Ale kuzynowie nie powinni zawierać między sobą związków małżeńskich. Koniec końców postanowiono, że wejdzie w rodzinę TreMellynów.

- Było to więc małżeństwo z rozsądku?

- Tak! Ojciec Alice nie żył, a jej matka - moja siostra - bardzo lubiła Connana TreMellyna... mam oczywiście na myśli starszego. Imię Connan powtarza się w tej rodzinie od stuleci. Najstarszy syn tradycyjnie otrzymywał imię Connan. Myślę, że moja siostra miała ochotę poślubić ojca obecnego dziedzica TreMellyn, ale wybrano im innych małżonków. Chcieli więc, by przynajmniej ich dzieci się pobrały. Wyprawiono zaręczyny, gdy Connan miał lat dwadzieścia, a Alice osiemnaście. Ślub miał się odbyć w rok później.

- A zatem małżeństwo było zaplanowane z góry?

- Jakie to dziwne! Małżeństwa z rozsądku często bywają niedobre. Uważano, że dobrze będzie, jeśli Alice zamieszka u mnie. Rozumie pani, mój dom znajdował się w odległości kilku godzin jazdy konno od Mount Mellyn. Młodzi ludzie mogli się często widywać... a Alice nie musiała mieszkać u nich. Ciekawi zapewne panią, dlaczego jej matka nie zamieszkała z nią razem w Mount Mellyn. Moja siostra w tym czasie bardzo chorowała i nie była w stanie odbywać dłuższej podróży. W każdym razie postanowiono, że Alice zamieszka u mnie.

- Wyobrażam sobie, że pan TreMellyn często wtedy gościł w tym domu.

- Owszem, ale nie tak często, jak tego należało oczekiwać. Zaczęłam podejrzewać, że nie pasują do siebie tak dobrze jak ich fortuny.

- Proszę mi opowiedzieć o Alice - poprosiłam gorąco. - Jaka była?

- Jak by ją pani określić? Nasuwa mi się na usta słowo: płocho. Jest chyba najbardziej odpowiednie. Była niefrasobliwa, lekkomyślna. Nie mówię, że była beztroska pod względem moralnym - w sensie, w jakim niektórzy ludzie używają teraz tego słowa. Chociaż, oczywiście, po tym, co się wydarzyło... Ale nie nam to sądzić. Rozumie pani, on przyjechał tu malować. Namalował kilka pięknych pejzaży naszych wrzosowisk.

- Kto? Connan TreMellyn?

- Ależ nie, moja droga. Geoffry. Geoffry Nansellock. Był znanym artystą malarzem. Nie wiedziała pani o tym?

- Nie - odparłam. - Nie wiem nic, z wyjątkiem tego, że zginął wraz z Alice w lipcu ubiegłego roku.

- Często tutaj przyjeżdżał, kiedy ona u mnie mieszkała. W rzeczywistości bywał tu znacznie częściej niż Connan. Zaczęłam się domyślać, co w trawie piszczy. Coś między nimi było. Wychodzili razem na wrzosowiska; on zawsze miał ze sobą przybory do malowania. Alice mówiła, że pragnie się przypatrywać, jak maluje, że sama również zamierza w przyszłości zostać malarką. Ale oczywiście to, co razem uprawiali, nie miało nic wspólnego z malarstwem.

- Czy byli... w sobie zakochani? - zapytałam.

- Byłam dość przerażona, kiedy mi o tym powiedziała. Rozumie pani, zanosilo się na dziecko.

Z wrażenia zatkało mi oddech w piersi. Alvean - pomyślałam. Nic dziwnego, że nie miał do niej serca. Nic też dziwnego, że moja uwaga, iż dziewczynka ma zdolności do rysunków, jego i Celestine wyprowadziła z równowagi.

- Poinformowała mnie o tym na dwa tygodnie przed swoim ślubem. Była prawie pewna, że jest w ciąży. Nie przypuszczała, że się myli. Zapytała mnie: „Co mam zrobić, ciociu Claro? Czy mam poślubić Geoffry'ego?” Zadałam jej wówczas pytanie: „A czy Geoffry chce cię poślubić, moja droga?” Wówczas usłyszałam: „Musiałby, oczywiście, gdybym mu wyznała prawdę”.

- Teraz wiem, że mu powiedziała. Postąpiła słusznie. Ale jej małżeństwo już było postanowione. Alice dziedziczyła dużą fortunę i zastanawiałam się, czy Geoffry nie kierował się wyrachowaniem. Rozumie pani, Nansellockowie nie byli bogaci i majątek Alice byłby dla nich darem niebios. Zastanawiałam się... tak jak każdy by to zrobił w takiej sytuacji. On miał określoną reputację. Były inne, które znalazły się w podobnym położeniu z jego przyczyny. Nie wierzyłam, by mogła być z nim długo szczęśliwa.

Zapanowało milczenie. Pomyślałam, że istotne elementy łamigłówek pasują już do siebie i zaczynają się układać w przejrzysty obraz.

- Pamiętam ją... tego dnia - w zamyśleniu kontynuowała swe wspomnienia babka Clara. - Działo się to w tym samym pokoju. To wspomnienie często mnie nawiedza. Zaczęła mi się zwierzać,

zrzucając z siebie gniotący ją ciężar, tak jak ja w tej chwili zrzucam go przed panią. Ta scena nie schodzi mi z pamięci od roku... odkąd umarła. Rozumie pani, zwróciła się do mnie z pytaniem: „Jak mam postąpić, ciociu Claro? Pomóż mi... Powiedz, co mam robić?” Odparłam jej na to: „Możesz zrobić tylko jedną rzecz, moja droga, poślubić Connana TreMellyna. Jesteś jego narzeczoną. Musisz zapomnieć o Geoffrym Nansellocku”. Odpowiedziała: „Ciotko Claro, jak mogę zapomnieć? Zostanie przecież żywa pamiątka, czy ty tego nie rozumiesz?” Uczyniłam wówczas rzecz straszną. Rozkazałam jej: „Masz wyjść za mąż. Twoje dziecko będzie wcześniakiem”. Odrzuciła głowę do tyłu i śmiała się, śmiała bez końca. To był histeryczny śmiech. Biedna Alice była na krawędzi nerwowego załamania.

Babka Clara przechyliła się na oparcie fotela. Wyglądała, jakby dopiero co wyszła z transu. Byłam przekonana, że widziała naprzeciwko siebie nie mnie, lecz swoją siostrzenicę Alice.

Sprawiała wrażenie nieco skonsternowanej, ponieważ ogarnęły ją wątpliwości, czy dobrze zrobiła, ujawniając przede mną taką straszną rodzinną tajemnicę.

Milczałam. Wyobraziłam sobie to wszystko: wspaniały, ceremonialny ślub, a potem, w niedługim czasie śmierć matki Alice. Ojciec Connana zmarł w rok później. Zaaranżowali to małżeństwo dla własnej samolubnej przyjemności, ale żadne z nich nie zdążyło się nim nacieszyć. A Alice została z Connanem - moim Connanem - i z Alvean, dzieckiem innego mężczyzny, które przed światem miało uchodzić za jego. Nie udało się jej to. Tyle już wiedziałam.

On stwarzał pozory, że Alvean jest jego córką, ale wewnętrznie nie potrafił jej zaakceptować. Alvean, która go uwielbiała, wiedziała o tym. Podejrzewała, że coś jest nie w porządku, i czuła się niepewnie. Może zresztą Connan nigdy naprawdę się nie dowiedział, czy ona jest jego dzieckiem, czy nie.

Sytuacja była brzemienna w dramatyczne skutki. Czy jednak jest sens roztrząsać teraz tę sprawę? - myślałam. Alice leży w grobie, Alvean i Connan żyją. Niech zapomną o minionych wypadkach. Jeżeli okażą dostatecznie dużo rozsądku, będą w stanie dać sobie nawzajem wiele szczęścia w przyszłości.

- Och, moja droga - westchnęła babka Clara. - Jaka ze mnie straszna gaduła! Mówienie o tym to dla mnie przeżywanie wszystkiego od początku. Zmęczyłam panią. - W głosie jej zabrzmiał

lekki niepokój. - Za bardzo się rozgadałam, a pani, panno Leigh, nie miała przecież nic z tym wspólnego. Ufam, że zatrzyma pani moje informacje dla siebie.

- Może być pani spokojna - zapewniłam ją.

- Wiem. Inaczej bym się pani nie zwierzała. Ale przecież wydarzyło się to już tak dawno. Przyjemnie mi się z panią rozmawiało. Czasami nocą rozważam wszystko. Może byłoby lepiej, gdyby wyszła za Geoffry'ego? Może tak sądziła i dlatego chciała z nim uciec. Pomyśleć tylko, że oboje znaleźli się w pociągu. Nie uważa pani, że jest w tym palec boży?

- Nie - odparłam ostro. - W pociągu było wielu innych pasażerów, którzy także zginęli. Nie wszyscy wsiedli do niego z zamiarem ucieczki od swych małżeńskich partnerów.

Roześmiała się hałaśliwie.

- Ma pani świętą rację. Wiedziałam, że jest pani rozsądną kobietą. A więc, zdaniem pani, nie postąpiłam źle? Widzi pani, czasami wyrzucam sobie, że gdybym nie kazała jej wyjść za Connana, nie zostałaby jego żoną. To mnie przeraża. Przyczyniłam się do jej zguby.

- Niepotrzebnie się pani obwinia - pocieszyłam ją. - Cokolwiek pani zrobiła, miała pani na względzie jej dobro. A bądź co bądź do pewnego stopnia jesteśmy kowalami własnego losu. Jestem o tym przekonana.

- Podniosła mnie pani na duchu, panno Leigh. Zje pani ze mną podwieczorek, dobrze?

- Bardzo to uprzejmie z pani strony, ale chciałabym wrócić do domu przed zmrokiem.

- Rzeczywiście musi pani wrócić, zanim się ściemni.

- O tej porze roku wcześniej zapada noc.

- Nie mogę być samolubną i zatrzymywać panią. Panno Leigh, kiedy Alvean już wydobrzeje, przyjedzie pani z nią do mnie, dobrze?

- Przyrzekam.

- A gdyby pani przyszła ochota odwiedzić mnie jeszcze przedtem...

- Może pani być pewna, że przyjadę. Bardzo przyjemnie i interesująco mi się z panią gawędziło.

W jej oczach znowu pojawił się lęk.

- Tylko proszę pamiętać, że mówiłam pani to wszystko w zaufaniu - nalegała.

Upewniłam ją gorąco, że dochowam tajemnicy. Wiedziałam, że największą słabością tej czarującej starszej damy była skłonność do małej niedyskrecji, do zwierzania się z różnych sekretów. No cóż - pomyślałam - wszyscy mamy jakieś drobne wady.

Odprowadziła mnie do drzwi i pomachała ręką na pożegnanie.

- Było mi bardzo miło - powtarzała. - I proszę pamiętać. - Przyłożyła palec do ust; oczy jej rozblęły.

Odpowiedziałam tym samym gestem i odjechałam.

Miałam o czym dumać podczas drogi powrotnej. Tego dnia dużo się dowiedziałam.

Dojeżdżałam już do Mount Mellyn, kiedy w pewnej chwili uzmysłowiłam sobie, że przecież Gilly jest przyrodnią siostrą Alvean. Przypomniłam sobie rysunki przedstawiające ni to Alvean, ni to Gilly.

A więc Alvean wiedziała. A może jedynie obawiała się tego. Czy chciała siebie przekonać, że jej ojcem nie był Geoffry Nansellock, ponieważ w takim wypadku Gilly byłaby jej przyrodnią siostrą? Czy też jej ogromne pragnienie zdobycia miłości Connana oznaczało jedynie tęsknotę za tym, by uznał ją za swoją córkę?

Ogarnęła mnie przemożna chęć, by pomóc im wszystkim wyjść z tego grzęzawiska tragedii, do którego zepchnął ich nierozważny czyn Alice.

Ja to zrobię - przyrzekłam sobie. Ja tego dokonam!

Następnie pomyślałam o Connanie i lady Treslyn i opanował mnie niepokój. Zaiste, oddawałam się zupełnie absurdalnym i nierealnym marzeniom. Jakie szanse miałam ja - guwernantka - pokazania Connanowi drogi do szczęścia?

* * *

Boże Narodzenie zbliżało się szybkimi krokami. Niosło ze sobą tę charakterystyczną radość niecierpliwego oczekiwania, podniecającą atmosferę, którą tak dobrze pamiętałam z czasów dzieciństwa na ojcowskiej plebanii.

Kitty i Daisy bezustannie szeptały między sobą po kątach. Pani Polgrey twierdziła, że doprowadzają ją niemal do szaleństwa i że pracują jeszcze gorzej niż zwykle, chociaż trzeba się było przekonać o tym naocznie. Chodziła po domu, wzdychając: „w dzisiejszych

czasach..." i potrząsając głową ze smutkiem. Ale nawet i ona była wyraźnie ożywiona.

Pogoda była wyjątkowo ciepła jak na tę porę roku. Przypominała raczej przedwiośnie. Spacerując po lesie, zauważyłam, że zaczynają rozkwitać pierwiosnki.

- Miła panienko - powiedział Tapperty - pierwiosnki w grudniu to u nas żadna nowina. Wiosna w Kornwalii nadchodzi wcześniej.

Zaczynałam się zastanawiać nad prezentami pod choinkę. W tym celu sporządziłam krótką listę zakupów. Koniecznie muszę kupić coś dla Phillidy i jej rodziny, a także dla ciotki Adelajdy. Głównie obchodzili mnie jednak domownicy w Mount Mellyn. Nie miałam wiele pieniędzy, przeznaczyłam na upominki dość skromną sumę, bo większość swoich zarobków starałam się odkładać.

Któregoś dnia udałam się do Plymouth, gdzie dokonałam świątecznych sprawunków. Dla Phillidy i jej rodziny kupiłam książki, a dla ciotki Adelajdy wybrałam apaszkę; upominki te zaraz wysłałam. Dużo czasu spędziłam na wybieraniu podarunków dla domowników w Mount Mellyn. Dla Kitty i Daisy ostatecznie postanowiłam kupić szaliczki. Wybrałam je w kolorach, w jakich im było do twarzy: w czerwonym i zielonym. Dla Gilly nabyłam apaszkę niebieską, jak jej oczy. Pani Polgrey postanowiłam ofiarować butelkę whisky; byłam pewna, że taki prezent ucieszy ją bardziej niż cokolwiek innego. Alvean miała otrzymać ode mnie kilka różnobarwnych chusteczek z wyhaftowaną literą A.

Byłam zadowolona z zakupów. Zaczynałam teraz z równą niecierpliwością wyglądać Bożego Narodzenia jak Daisy i Kitty.

Dobra pogoda nadal się utrzymywała. W Wigilię pomagałam pani Polgrey i dziewczętom w przyozdabianiu westybulu i innych pomieszczeń.

Na dzień przed świętami mężczyźni wyruszyli po zieleni do dekoracji domu: bluszcz, ostrokrzew i wawrzyn. Pokazano mi, jak ozdabiać zielenią kolumny w wielkim holu, a Daisy i Kitty nauczyły mnie jeszcze, jak robić świąteczne krzaczki. Dziwiły się radośnie mojej ignorancji. Jak można było nie słyszeć o podobnym zwyczaju? Wsadziłyśmy jedną w drugą dwie drewniane obręcze, tak że utworzyły coś na kształt kuli, i taki szkielet przybrałyśmy gałązkami z wiecznie zielonych drzew oraz janowca. Następnie zawiesiłyśmy na

niej jabłka i pomarańcze. Muszę przyznać, że bardzo ładnie to wyglądało. Takimi zielonymi kulami przystroiliśmy niektóre okna.

Przytaczono ogromne kłody drewna do kominka. Cały dom rozbrzmiewał śmiechem. Hol dla służby udekorowano podobnie jak westybul.

- Państwo będą się bawić w wielkim holu, a my tutaj, u siebie - wyjaśniła Daisy.

Zastanawiałam się, na który bal pójdę. Może na żaden. Moim zdaniem pozycja guwernantki znajdowała się gdzieś pośrodku.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Daisy. - Nie mogę doczekać się świąt. Ostatnie Boże Narodzenie było takie ciche... z powodu żałoby. Ale my, w naszej sali, bawiliśmy się całkiem nieźle. Do picia był dżin i meteglin. Pani Polgrey zrobiła tarniówkę, coś wspaniałego. Pamiętam, że była baranina i wołowina oraz biała kiszka. Proszę spytać ojca.

W Wigilię kuchnię i wszystkie przyległe pomieszczenia wypełniła smakowita woń wszelkiego rodzaju wypieków. Tapperty z Billym Trehayem i kilkoma stajennymi chłopcami podchodzili pod kuchenne drzwi tylko po to, by delektować się rozkosznymi zapachami. Panią Tapperty zawezwano do pomocy w kuchni na cały dzień. Nie poznałam pani Polgrey, zazwyczaj zrównoważonej i dostojnej. Krzątała się wokół z wypiekami na twarzy, pomrukując coś pod nosem i mieszając w garnkach. Z ekstazą mówiła o pasztetach, które miały osobliwe nazwy; był więc pasztet gołębiowy, barani, podróbkowy i ziołowy.

Ja również zostałam poproszona do pomocy. „Niech pani popilnuje tego rondla i jak tylko zacznie się gotować, niech mi pani da znać”. - W miarę rosnącego napięcia pani Polgrey coraz częściej używała lokalnej gwary. Inne osoby też się nią posługiwały. W rezultacie częściowo tylko rozumiałam, co się mówiło w kuchni w to Boże Narodzenie.

Uśmiechałam się niemądrze, oglądając dopiero co wyjęte z pieca złotobrazowe pasztety, pachnące smakowitymi mięsami i cebulą, kiedy do kuchni wpadła Kitty, wołając: „Proszę pani, kolędnicy już są!”

- Przyrowadź ich tutaj, przyrowadź czym prędzej, ty głupia! - wykrzyknęła pani Polgrey, zapominając w podnieceniu o swej zwykłej powadze i ocierając pot z czoła. - Na co czekasz? Czy nie

wiesz, że to zła wróżba dla domu, gdy się kolędników trzyma pod drzwiami?

Poszłam za nią do westybulu, gdzie zebrała się grupa młodych wiejskich chłopców i dziewcząt. Już śpiewali. Wykonali kolejno: Siedem radości Marii, Bluszcz i ostrokrzew, Dwanaście dni Bożego Narodzenia oraz Pierwszy okrzyk radości. Dołączyłyśmy swe głosy do ich chóru.

Główny kolędnik zaintonował:

Chodźmy uraczyć się piwem, Najlepszym, jakie znam. Niech piosnka i wesele Wciąż towarzyszą nam.

Wówczas pani Polgrey kiwnęła w stronę Daisy i Kitty, które już stały w gotowości. Domyśliłam się, że chodzi o poczęstunek dla gości.

Śpiewaków poczęstowano meteglinem oraz winem z jeżyn i czarnego bzu. Każdemu kolędnikowi dano również do ręki spory pasztecik z mięsem lub rybą. Byli wyraźnie zadowoleni.

Kiedy skończyli jeść i pić, podali pani Polgrey misę przewiazaną czerwonymi wstążkami i przystrojoną janowcem; ta majestatycznie wpuściła do niej kilka monet.

Po ich wyjściu Daisy głośno się zastanawiała:

- Ciekawe, do kogo teraz udadzą się po kolędzie.

Gdy ją spytałam, co to dokładnie znaczy, ponownie się ucieszyła, że ma okazję wytknąć mi moją niewiedzę.

- Rany boskie, nie wie pani, co to znaczy „chodzić po kolędzie”! Oznacza to chodzenie po domach i zbieranie pieniędzy na świąteczne ciasto i wino.

Pomyślałam, że powinnam postarać się lepiej poznać zwyczaje kornwalijskiego ludu. Jak na razie niewielkie miałam o nich wyobrażenie, ale lokalna tradycja obchodzenia świąt Bożego Narodzenia bardzo mi się podobała.

- Och, panienko, zapomniałam pani powiedzieć! - wykrzyknęła Daisy. - Jest dla pani przesyłka. Zniosłam ją do pani pokoju tuż przed przybyciem kolędników i dopiero teraz mi się przypomniało. - Była zdziwiona, że ociągam się z pójściem na górę. - Paczka, panienko. Nie jest pani ciekawa, co w niej jest? Duża. Takie wielkie pudło.

Miałam uczucie, że śnię. Zamarzyłam nagle, by zostać tu już na zawsze i poznać wszystkie zwyczaje tego regionu. Pragnęłam, by ten skrawek ziemi stał się moim światem.

Otrząsnęłam się z tych rojeń. Co ci się wyobraża - zganiłam siebie - marzysz, by twoja historia skończyła się jak w bajce. Chcesz zostać panią na Mellyn. Dlaczego nie masz odwagi przyznać się do tego?

Skierowałam się do swego pokoju. Czekala tam na mnie paczka od Phillidy. Znajdował się w niej szal z czarnego jedwabiu oraz bursztynowy hiszpański grzebień. Haft na szalu miał odcień zielony i bursztynowy. Wetknęłam grzebień we włosy i okręciłam się szalem. Tak przystrojona stanęłam przed lustrem. Zaskoczyło mnie moje odbicie. Wyglądałam bardzo egzotycznie i przypominałam bardziej hiszpańską tancerkę niż angielską guwernantkę.

W paczce znajdowało się coś jeszcze. Szybko rozwiązałam sznurek. Była to wizytowa suknia: jedna z kreacji Phillidy, którą szczególnie lubiłam. Zielony jedwabny materiał miał ten sam odcień co haft na szalu. Z paczki wypadł list.

„Droga Marty.

Jak ci idzie nauczanie? Z twego ostatniego listu wynika, że jest to dość intrygujące zajęcie. Odnoszę wrażenie, że twoja mała Alvean to istna diablica. Dam głowę, że jest z niej rozpuszczone jak dziadowski bicz, zepsute dziecko. Czy traktują cię dobrze? Z listu wynika, że nie najgorzej. A tak przy okazji. Co się z tobą dzieje? Kiedyś pisałaś zabawne listy. Odkąd znalazłaś się w Mount Mellyn, zrobiłaś się mało wylewna. Podejrzewam, że albo bardzo lubisz to miejsce, albo go nie cierpisz. Napisz, jak jest naprawdę.

Szal i grzebień to prezenty ode mnie. Mam nadzieję, że ci się spodobały, ponieważ zadałam sobie sporo trudu, by je wyszukać. Czy nie są zbyt wyzywające? A może wolałabyś komplet wełnianej bielizny bądź jakąś pouczającą książkę? Ale słyszałam od ciotki Adelajdy, że właśnie zamierza ci wysłać coś z tych rzeczy. Z twoich listów przebija wyraźny mentorski ton. Wszystko logiczne i jędrzowate, moja droga Marty, i nie świadczące właściwie o niczym. Ciekawa jestem, czy w to Boże Narodzenie zasiądziesz do wieczerzy razem z państwem, czy też będziesz królowała za stołem w pomieszczeniach dla służby. Jestem przekonana, że raczej to pierwsze. Nie mogą inaczej postąpić! Bądź co bądź to jest Boże Narodzenie. Będziesz jadła świąteczną wieczerzę z państwem, nawet jeżeli zostaną do tego przymuszeni sytuacją; niespodziewany gość nie zjawi się i

będą musieli powiedzieć: «Poślijcie po guwernantkę. Nie może nas być przy stole trzynaścioro».

A więc nasza Marty zasiądzie do świątecznej wieczerzy w mojej zielonej sukni, nowym szalu i grzebieniu. Zwróci na siebie uwagę milionera i będzie odtąd żyła długo i szczęśliwie.

Poważnie, Marty, pomyślałam sobie, że będzie ci potrzebna jakaś kreacja na uroczystsze okazje. Daję ci w tym celu moją zieloną suknię. Nie myśl, że pozbywam się używanego ciucha. Lubię tę suknię, lecz ofiaruję ją tobie nie dlatego, że mam jej dość, ale że było ci w niej do twarzy bardziej niż mnie.

Chcę mieć dokładną relację z przebiegu świąt w Mount Mellyn. I, droga siostrzo, kiedy już zasiądziesz jako czternasta do stołu, nie posyłaj mrożącego spojrzenia ewentualnym konkurentom i nie rewanżuj się im ciętym dowcipem, jak to masz w zwyczaju. Postaraj się być miłą, łagodną dziewczyną oraz uprzejmą damą. Karty mi mówią, że przed tobą miłość i szczęście.

Wesołego Bożego Narodzenia, droga Marty. Napisz mi, co u ciebie naprawdę słychać. Szybko. Dzieci i William przesyłają ci serdeczne uściski. Przyłączam się do nich.

Phillida".

Poczułam się wzruszona. To była więź z domem. Droga Phillida, a więc często myślała o mnie. Jej szal i grzebień były piękne, nawet jeśli trochę niestosowne dla kogoś zajmującego tak skromną pozycję jak ja. Dobrze też, że pomyślała o sukni dla mnie.

Drgnęłam, słysząc nagły okrzyk. Obróciłam się i zobaczyłam Alvean stojącą w drzwiach do sali lekcyjnej.

- To pani! - wykrzyknęła zaskoczona.

- Oczywiście, a któż inny mógłby to być, twoim zdaniem? Nie odpowiedziała. Wiedziałam jednak, kogo ma na myśli.

- Nigdy nie widziałam, by pani tak wyglądała.

- Nigdy nie widziałam mnie w szalu i grzebieniu.

- Wygląda pani ślicznie.

- Dziękuję, Alvean.

Była trochę wstrząśnięta. Wiedziałam, czyją sylwetkę miała przed oczami, gdy weszła do mego pokoju; kogo widziała zamiast mnie.

Byłam tego samego wzrostu co Alice i gdybym miała nieco szczuplejszą figurę, wówczas w tym jedwabnym szalu, zarzuconym na ramiona, łatwo można by mnie było z nią pomylić.

* * *

Pierwszy dzień Bożego Narodzenia miałam zapamiętać na całe życie.

Rano obudziły mnie ożywione głosy. To służba zebrana pod moim oknem śmiała się i żartowała.

Otworzyłam oczy i pomyślałam: Boże Narodzenie. I następnie: Moje pierwsze Boże Narodzenie w Mount Mellyn.

Ale równie dobrze - powiedziałam do siebie, starając się ostudzić nieco radość, która przeraziła mnie swym ogromem - może to być twoje ostatnie święto w tym domu. To Boże Narodzenie od następnego dzieli dwanaście długich miesięcy. Któż wie, co może się wydarzyć w ciągu tego roku?

Wstałam już z łóżka, kiedy przyniesiono mi wodę. Tym razem Daisy nie zatrzymywała się u mnie dłużej; była niezwykle ożywiona i podniecona.

- Spóźniłam się, panienko, ale tyle jest jeszcze rzeczy do zrobienia. Niech się pani pośpieszy, inaczej nie zdąży pani zobaczyć świątecznych śpiewaków. Zjawią się wcześniej, jak amen w pacierzu. Wiedzą, że państwo jadą do kościoła, i nie mogą się spóźnić.

Nie było czasu na zadawanie pytań. Umyłam się, ubrałam i wyjęłam swoje prezenty. Podarunek dla Alvean położyłam przy jej łóżku ubiegłej nocy.

Podeszłam do okna. Powietrze przesycone silną wonią korzennych przypraw pachniało jak balsam. Odetchnęłam głęboko kilka razy i wsłuchałam się w łagodny rytm fal. Morze było spokojne tego ranka, jedynie fale szemrały cicho jakby z ukontentowaniem. To było Boże Narodzenie, ów wyjątkowy dzień, w którym odsuwa się na bok wszelkie różnice stanowe i kłopoty.

Do pokoju weszła Alvean. W ręku dość nieśmiało trzymała wyhaftowane chusteczki.

- Dziękuję, panno Leigh - rzekła. - Szczęśliwego Bożego Narodzenia!

Objęłam ją i ucałowałam. Wydawała się trochę zażenowana moją wylewnością, niemniej oddała mi pocałunek.

Podarowała mi broszkę, tak podobną do srebrnego pejcza, który dostała ode mnie, iż przez chwilę miałam wrażenie, że zwraca mi mój prezent.

- Kupiłam ją u pana Pasterna - wyjaśniła. - Chciałam, by była podobna do mojej, ale niecałkowicie, tak by można je było odróżnić. Pani broszka ma małe wygrawerowanie na zapince. Będziemy je sobie przypinać, kiedy znowu zaczniemy jeździć.

Ucieszyłam się. Nie wsiadała na konia od swego wypadku i nie mogła mi wyraźniej dać do zrozumienia, iż jest gotowa znowu zacząć trenować.

- Niczym nie mogłaś mi sprawić większej radości, Alvean, niż tą broszką.

Była wyraźnie zadowolona, chociaż wymruczała dość szorstko:

- Bardzo się cieszę, że broszka się pani podoba. - Po tych słowach raptownie wyszła z pokoju.

Ten dzień - pomyślałam - zapowiada się wspaniale. To Boże Narodzenie!

Moje prezenty okazały się doskonale trafione. Oczy pani Polgrey rozblęły na widok whisky, a Gilly promieniała szczęściem z powodu niebieskiej apaszki. Biedne dziecko, chyba nigdy przedtem nie dostało czegoś równie ładnego. Wciąż ją gładziła i spoglądała na nią zachwyconym wzrokiem. Daisy i Kitty również bardzo się ucieszyły z kolorowych szaliczków. Widziałam, że mój wybór był udany.

Od pani Polgrey dostałam komplet ozdobnych serwetek pod kieliszki i filiżanki. Wręczając mi je, szepnęła nieśmiało:

- Do szuflady, na przyszłość, moja droga.

Odparłam, że nie zamierzam czekać i zaraz zrobię z jednej użytek. Wprowadziło to nas obie w dobry humor. Pani Polgrey zapowiedziała, że robi herbatkę i spróbujemy whisky, ale na razie nie było na to czasu.

- Och, mój Boże, jak pomyślę, ile mam jeszcze dzisiaj rzeczy do zrobienia! Świąteczni śpiewacy zjawili się rano. Usłyszałam ich głosy w drzwiach westybulu. Pan i pani naszą zabawę zaczynają. Upraszamy, wrota nam otwórzcie i do środka wpuśćcie. Z naszym życzeniem, pozdrowieniem i toastem, A radość niechaj zagości na naszej miłej uroczystości.

Weszli do środka. Do ich misy posypały się pieniądze. Cała służba stłoczyła się w westybulu, a gdy pojawił się Connan, śpiew przybyszów zabrzmiał ze zdwojoną siłą.

Strofkę zaczęto od nowa.

- Pan i pani...

Pomyślałam sobie, że dwa lata temu Alice stała w tym miejscu obok swego męża. Czy on o tym pamięta? Nie pokazywał tego po sobie. Śpiewał wraz z nimi. Następnie rozkazał przynieść kubek i dzin, a także szafranowy placek, pasztety i piernik specjalnie upieczony na tę okazję.

Podszedł do mnie.

- Co pani myśli, panno Leigh - zapytał - o naszych kornwalijskich zwyczajach związanych ze świętem Bożego Narodzenia? - Jego słowa zagłuszały świąteczne śpiewy.

- Uważam, że są bardzo interesujące.

- Poznała pani tylko niektóre.

- Mam nadzieję, że zobaczę także pozostałe. Dzień dopiero się zaczął.

- Powinna pani odpocząć po południu.

- Dlaczego?

- Ze względu na wieczorną zabawę.

- Aleja...

- Naturalnie, że będzie pani świętować razem z nami. Z kim spędziłaby pani Boże Narodzenie? Z Polgreyami, z Tappertymi?

- Nie wiem. Myślałam, że będę krążyć między wielkim holem a pomieszczeniami dla służby.

- Nie wydaje się pani zbyt uradowana tą propozycją.

- Nie mam pewności...

- Dajmy temu spokój. Jest Boże Narodzenie. Niech pani przestanie się zastanawiać. Niech pani po prostu przyjdzie. Ale nie zdążyłem pani jeszcze złożyć życzeń z okazji świąt. Mam tu coś... mały prezencik. Wyraz mojej wdzięczności, jeśli pani woli. Okazuje pani tyle serca Alvean od jej wypadku. Och, oczywiście i przedtem też, wiem o tym. Uprzytomniłem to sobie jednak w całej pełni od...

- Ależ ja spełniam jedynie swój obowiązek...

- Pani zawsze będzie w ten sposób postępować. Wiem o tym. Przyjmijmy, że jest to tylko dodatek do moich najlepszych świątecznych życzeń.

Wcisnął mi do ręki mały przedmiocik; poczułam taką radość w sercu, że wydawało mi się niemożliwe, by nie znalazła ona odzwierciedlenia w mym spojrzeniu i nie zdradziła skrytych uczuć dla niego.

- Jest pan dla mnie bardzo dobry - stwierdziłam. - Nie myślałam...

Uśmiechnął się i odszedł do śpiewaków. Zauważyłam, że Tapperty nas obserwuje. Zastanawiałam się, czy widział, jak Connan wręcza mi prezent.

Zaprzagnęłam zostać sama, ponieważ w głowie miałam całkowity zamęt. Malutka paczuszka, którą wciśnięto mi w dłoń, domagała się otwarcia. Nie mogłam tego zrobić na oczach wszystkich. Wymknęłam się z holu i pobiegłam do swego pokoju.

W paczuszce znajdowało się małe pluszowe pudełeczko, takie, w jakie zazwyczaj pakuje się biżuterię.

Otworzyłam pudełeczko. Na bladuróżowej satynie leżała broszka w kształcie końskiej podkowy, wysadzana czymś, co mogło być tylko brylantami. Spoglądałam na nią skonsternowana do najwyższego stopnia. Nie mogłam przyjąć tak cennego prezentu. Muszę go oczywiście zwrócić.

Podniosłam klejnot do światła. Brylanty błysnęły czerwono - zielonym ogniem. Broszka musi być bardzo kosztowna. Nie miałam nigdy cennej biżuterii, ale nie trzeba się było znać na klejnotach, by stwierdzić, że te kamienie są naprawdę piękne.

Dlaczego on to zrobił? Wystarczyłyby mi zwykły mały prezencik. I tak byłabym szczęśliwa. Miałam ochotę rzucić się na łóżko i wybuchnąć płaczem.

Usłyszałam wołanie Alvean.

- Czas do kościoła, panno Leigh. Musimy się pośpieszyć. Powóz już czeka!

Szybko włożyłam broszkę z powrotem do pudełeczka. Kiedy Alvean weszła do pokoju, kończyłam już wkładać na siebie kapelusz i pelerynę.

* * *

Connana zobaczyłam po kościele, kiedy udawał się do stajen. Zawołałam go.

Przystanął, odwrócił głowę i uśmiechnął się do mnie ciepło.

- Panie TreMellyn! To bardzo uprzejmie z pana strony - zaczęłam, podbiegając do niego - ale prezent jest zbyt kosztowny, bym mogła go przyjąć.

Przekrzywił na bok głowę i spojrzał na mnie jak dawniej, z odrobiną ironii.

- Moja droga panno Leigh - odparł niedbale. - Obawiam się, że niezbyt obyty ze mnie człowiek. Nie mam pojęcia, jakiej wartości ma być prezent, by osoba obdarowywana przyjęła go bez skrupułów.

Spłonęłam krwistym rumieńcem i wyjąkałam:

- To jest niezwykle kosztowna ozdoba.

- Wydawała mi się bardzo odpowiednia. Podkova końska oznacza szczęście, jak pani wiadomo. A przecież pani zna się dobrze na końskiej tematyce, prawda?

- Ja... nie mam okazji do noszenia takich cennych ozdób.

- Myślałam, że włoży ją pani na dzisiejszy bal.

Przez chwilę wyobraziłam sobie, że z nim tańczę. Włożę zieloną jedwabną suknię od Phillidy, która z pewnością przyćmi toalety innych dam, ponieważ moja siostra odznaczała się dobrym gustem i wiedziała, jak się ubierać. Włożę swój szal i przypnę brylantową broszkę, która będzie błyskać kolorowymi ogniami na zielonym jedwabnym tle.

Broszka będzie moim skarbem, ponieważ dostałam ją od niego.

- Sądzę, że nie powinnam.

- Och - wyrzekł półgłosem - zaczynam rozumieć! Pani jest przekonana, że ja daję pani tę broszkę z taką samą myślą, z jaką pan Nansellock chciał darować pani Jacinth.

- A więc - zająknęłam się - pan o tym wie?

- Wiem o wszystkim, co się dzieje w tym domu, panno Leigh. Zwróciła pani konia. Bardzo słusznie pani postąpiła; tego się po pani spodziewałem. Ale ja, ofiarując pani broszkę, kieruję się zupełnie czymś innym. Pani jest dobra dla Alvean. Nie tylko jako guwernantka, ale jako kobieta. Czy pani rozumie, co mam na myśli? Nie wystarczy tylko uczyć dziecko zasad arytmetyki i gramatyki. Trzeba starać się dać mu coś więcej. Pani jej to daje. Broszka należała do matki Alvean. Niech pani spojrzy na to z tego punktu widzenia, panno Leigh. Ten prezent jest dowodem wdzięczności od nas obojga. Czy to załatwia sprawę?

Milczałam przez chwilę. Następnie odpowiedziałam:

- Tak... naturalnie, to zmienia postać rzeczy. Przyjmuję broszkę. Dziękuję panu, panie TreMellyn.

Uśmiechnął się do mnie zagadkowo. Nie pojęłam znaczenia tego uśmiechu, był bowiem bardzo tajemniczy. Nie starałam się próbować go rozumieć. Bałam się.

- Dziękuję - powtórzyłam cichym głosem. Następnie odwróciłam się i śpiesznie powróciłam do domu.

Kiedy znalazłam się u siebie, wyjęłam broszkę i raz jeszcze przyjrzałam się jej dokładnie. Przypięłam ją do stanika i natychmiast moja bawełniana lawendowa suknia nabrała innego wyglądu.

Włożę na siebie te brylanty dziś wieczór - postanowiłam. - Pójdę na bal w sukni Phillidy, w grzebieniu i szalu, a do stanika przypnę brylantową podkowę Alice.

Tak więc w to dziwne święto Bożego Narodzenia otrzymałam również prezent od zmarłej matki Alvean.

* * *

Obiad zjadłam w małej jadalni w towarzystwie Connana i Alvean. Był to pierwszy posiłek, jaki spożywałam tylko w towarzystwie ich dwojga. Składał się z indyka i świątecznego puddingu ze śliwkami. Obsługiwały nas Kitty i Daisy. Intuicyjnie czułam na sobie ich porozumiewawcze spojrzenia.

- W dzień Bożego Narodzenia - oświadczył Connan - nie powinna pani samotnie zasiadać do stołu. Mam uczucie, panno Leigh, że nie jesteśmy wobec pani w porządku. Powinienem pani dać urlop na okres świąt. Spędziłaby je pani w gronie swojej rodziny. Należało mi o tym przypomnieć.

- Wydawało mi się, że za wcześnie prosić o urlop - odparłam. - Poza tym...

- Rozumiem. Nie chciała pani jechać ze względu na Alvean, która jest po wypadku. Uznała pani za konieczne być przy niej w tym okresie - wyrzekł półgłosem. - To bardzo ładnie z pani strony.

W trakcie obiadu dyskutowaliśmy z ożywieniem. Wszyscy troje omawialiśmy zwyczaje związane z Bożym Narodzeniem. Connan opowiadał o różnych zabawnych wydarzeniach, jakie miały miejsce z tej okazji w minionych latach. Pewnego razu, na przykład, świąteczni śpiewacy spóźnili się z życzeniami i przybyli już po wyjeździe państwa do kościoła. Musieli czekać na zewnątrz i śpiewać przez cały czas aż do ich powrotu.

Wyobraziłam sobie wtedy Alice u jego boku. Oczami wyobraźni zobaczyłam ją siedzącą na tym samym krześle, które ja teraz zajmuję. O czym wtedy ze sobą rozmawiali? Zastanawiałam się, czy Connan myślał o niej również, widząc mnie na jej miejscu.

Cały czas powtarzałam sobie w duchu, iż jestem tutaj tylko dlatego, że to Boże Narodzenie; kiedy święta i zabawy się skończą, powrócę do swojej dawnej roli.

W tej chwili nie chciałam jednak myśleć o przykrych rzeczach. Dziś wieczór wybieram się na bal. Cudownym zrządzeniem losu dostałam suknię wprost wymarzoną na taką okazję. Mam bursztynowy grzebień i brylantową broszkę. Dzisiejszej nocy w tłumie wystrojonych gości nie będę się czuła guwernantką, będę miała poczucie, że jestem jedną z zaproszonych dam. Będzie to wieczór zupełnie inny niż tamten, w solarium, kiedy tańczyłam sama ze sobą w świetle księżyca.

Poszłam za radą Connana i starałam się trochę wypocząć po południu, by przetrwać w dobrej formie aż do świtu. O dziwo, udało mi się zasnąć. Musiała to być tylko lekka drzemka, ponieważ jak mi się to często zdarzało w tym domu, przyśniła mi się Alice. Pojawiła się na balu jako powstałe z grobu widmo, które jedynie ja widziałam. Ta nieziemska postać szeptała mi, kiedy tańczyłam z Connanem: „Tego właśnie życzę sobie, Marty. Cieszę się, gdy to widzę. Cieszę się, że siedzisz na moim miejscu przy obiedzie. Cieszę się, gdy widzę twą rękę w dłoni Connana. Twoją... Marty... twoją... nie inną”.

Przebudziłam się z zaniem. To był przyjemny sen. Chciałam znowu pograć się w sennych marzeniach, pragnęłam powrócić do tego nierealnego świata, w którym duchy wstają z grobu i szepczą, że życzą ci, by twe najgorętsze pragnienia stały się rzeczywistością.

O piątej zjawiała się Daisy z herbatą. Pani Polgrey ją przysłała - wyjaśniła.

- Przyniosłam pani do herbaty świąteczne ciasto wypieku pani Polgrey - powiedziała, wskazując na kawałek rodzynkowego tortu. - Jeżeli będzie pani za mało, przyniosę więcej.

- Dziękuję, zupełnie mi to wystarczy - odparłam.

- Potem panienka zacznie się pewnie szykować na bal, prawda?

- Jest jeszcze dużo czasu - odparłam.

- Przyniosę pani ciepłą wodę o szóstej. Bez pośpiechu zdąży się pani ubrać. Pan zaprosił gości na ósmą. Tak jest u nas w zwyczaju. I proszę pamiętać - dzisiaj zamiast kolacji jest zimny bufet - o dziewiątej. Do tej pory dobrze pani zgłodnieje. Naprawdę nie chce pani więcej ciasta?

Czułam, że nie zdołam przełknąć nawet kęsa z tego, co mi przyniosła, więc ją zapewniłam:

- Ten kawałek to dla mnie aż nadto, Daisy.
- Jak pani uważa.

Stała przez chwilę w drzwiach z głową przechyloną na bok, przypatrując mi się z uwagą. A może z ponownie zrodzonym zainteresowaniem?

Wyobraziłam ją sobie rajcującą wraz z innymi w pomieszczeniach dla służby, z Tappertym, wiodącym prym w tej plotkarskiej gadaninie.

Czy oni nie potrafią myśleć o niczym innym, tylko o tym, jakiego rodzaju zażyłość wytworzyła się - lub zaczyna się wytwarzać - między panem domu a guwernantką jego córki?

* * *

Wystąpiłam na balu w zielonej jedwabnej sukni Phillidy, mocno wydekoltowanej, z obcisłym stanikiem i szeroką rozkloszowaną spódnicą. Zmieniłam też na tę okazję uczesanie, upinając wysoko włosy. Chciałam w ten sposób uwidocznic bursztynowe piękno grzebienia. Przypięta do stanika brylantowa broszka Alice mieniła się różnymi kolorami.

Byłam szczęśliwa. Mogłam wmieszać się w grupę gości i uchodzić za jedną z zaproszonych dam. Nikt się nie orientował, jeżeli przedtem o tym nie wiedział, że jestem tylko guwernantką.

Do sali balowej zeszłam dopiero wtedy, kiedy zebrał się w niej już spory tłum. Niedostrzegalnie wmieszałam się między zebranych. Nie stałam długo bez towarzystwa; zaraz przy moim boku pojawił się Peter.

- Wygląda pani olśniewająco - stwierdził.
- Dziękuję. Cieszę się, że mogłam panu sprawić niespodziankę.
- Wcale mnie to nie zaskoczyło. Zawsze wiedziałem, jak pani może wyglądać, jeżeli dać pani szansę.
- Nikt pana nie prześcignie w umiejętności prawienia komplementów.
- Pani mówię prawdę. Jedyne, czego jeszcze nie powiedziałem, to: wesołych świąt.
- Dziękuję. Życzę ich panu również.
- Życzymy ich zatem sobie nawzajem. Niestety, nie mam dla pani żadnego prezentu.

- Ale z jakiego niby powodu?

- Ponieważ jest Boże Narodzenie, a z tym świętem wiąże się zwyczaj obdarowywania prezentami przyjaciół i innych bliskich sercu osób.

- Ale nie...

- Bardzo proszę... dziś wieczór żadnych odniesień do pani zawodu. Któregoś dnia i tak otrzyma pani ode mnie Jacinth w prezencie. Ten koń jest dla pani przeznaczony. Widzę, że Connan zamierza otworzyć bal. Będzie pani moją partnerką?

- Dobrze, dziękuję.

- To jest tradycyjny taniec, jak pani wie.

- Nie, nie wiem.

- Nie jest trudny. Musi pani tylko naśladować moje ruchy. - Zaczął mi nucić melodię. - Widziała pani kiedyś, jak się go tańczy?

- Tak, przez wziernik w solarium podczas ostatniego balu.

- Ach, ten ostatni bal. Tańczyliśmy ze sobą. Ale Connan nam przeszkodził, pamięta pani?

- Sytuacja była dość niekonwencjonalna.

- Bardzo, dla naszej guwernantki. Doprawdy się jej dziwię...

Zabrzmiały pierwsze takty muzyki i na środek sali wkroczył Connan, trzymając za rękę Celestine Nansellock. Z przerażeniem się zorientowałam, że Peter i ja musimy do nich dołączyć i razem, we czwórkę, wykonać pierwsze figury tańca.

Chciałam się cofnąć, ale Peter trzymał mnie mocno za rękę.

Celestine była wyraźnie zaskoczona moim widokiem. Jeżeli Connan był nim podobnie zdziwiony, nie dał tego po sobie poznać. Wyobrażałam sobie, jakie myśli przebiegały po głowie Celestine: „Oczywiście, guwernantkę należało zaprosić na bal, przecież jest Boże Narodzenie. Ale czy powinna od razu tak się pchać na pierwszy plan?”

Jednakże jej słodka, jak sądziłam, natura wzięła w niej górę i Celestine, opanowawszy pierwszy odruch zdziwienia, uśmiechnęła się do mnie ciepło.

Zacząłam się tłumaczyć:

- Nie powinnam była się tutaj znaleźć. Naprawdę nie znam tego tańca. Nie zdawałam sobie sprawy...

- Proszę naśladować nasze ruchy - poradził Connan.

- Będziemy panią prowadzić - zawtórował mu Peter. Inni goście natychmiast zaczęli ustawiać się za nami.

W takt melodii The Furry Dance przetańczyliśmy dookoła całą salę.

- Świetnie pani idzie - odezwał się Connan z uśmiechem, gdy zetknęły się nasze ręce.

- Wkrótce stanie się pani prawdziwą Konwalijką - dodała Celestine.

- A dlaczegoż by nie? - zapytał Peter. - Czyż nie jesteśmy solą ziemi?

- Nie jestem pewien, czy panna Leigh też tak myśli - odparł Connan.

- Muszę przyznać, że zaczynam się bardzo interesować wszystkimi zwyczajami tego regionu - stwierdziłam.

- Mam nadzieję, że i jego mieszkańcami również - szepnęła Peter.

Tańczyliśmy dalej. Taniec był dość łatwy do zapamiętania i zanim dobiegł końca, opanowałam już wszystkie jego figury.

Kiedy przebrzmiały ostatnie takty, usłyszałam, że ktoś pyta:

- Kto to jest ta interesująca młoda kobieta, która tańczyła z Peterem Nansellockiem?

Spodziewałam się, że usłyszę w odpowiedzi:

- Ach, to tylko guwernantka.

Ale zamiast tego doszły mnie słowa:

- Nie mam pojęcia. Ale z pewnością jest nadzwyczajna! Byłam w siódmym niebie. Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu byłam tak szczęśliwa.

Wiedziałam, że później, jak jakiś najdroższy skarb, będę przechowywać w pamięci każdą chwilę tego cudownego wieczoru, bo nie tylko znalazłam się na balu, ale w dodatku cieszyłam się powodzeniem.

Nie brakowało mi partnerów. I nawet kiedy przyparta do muru zmuszona byłam wyznać, że jestem guwernantką, zbierałam hołdy należne atrakcyjnej kobiecie. Co spowodowało u mnie taką odmianę? - zadawałam sobie pytanie. Dlaczego nie zachowywałam się podobnie na przyjęciach ciotki Adelajdy? Ale gdyby było inaczej, nigdy bym nie znalazła się w Mount Mellyn.

Zrozumiałam teraz, dlaczego moje dawniejsze zachowanie było inne. Obecne powodzenie zawdzięczałam nie tylko zielonej jedwabnej

sukni, bursztynowemu grzebieniowi i brylantowej broszy. Zawdzięczałam je także miłości. Byłam zakochana, a każdy zakochany człowiek staje się piękny.

To nieważne, że ta miłość była śmieszna i beznadziejna. Byłam jak Kopciuszek z bajki, zdecydowany bawić się na balu całą duszą, dopóki zegar nie wybije dwunastej.

W czasie jednego tańca wydarzyła się dziwna rzecz. Tańczyłam z sir Thomasem Treslynem, który okazał się pełnym kurtuazji starszym panem. Sapał ciężko, ponieważ taniec wyraźnie go męczył, więc zdjęta współczuciem, zaproponowałam, byśmy zrobili przerwę i usiedli odpocząć. Był mi wyraźnie wdzięczny za propozycję, a ja poczułam do niego przyływ sympatii. Tego wieczoru gotowa byłam przycisnąć do serca cały świat.

Sir Thomas powiedział:

- Jestem trochę za stary na tańce, panno...

- Leigh - dokończyłam. - Panna Leigh. Jestem tu guwernantką, sir Thomasie.

- Ach, tak!... Chciałem powiedzieć, panno Leigh, że to bardzo ładnie z pani strony zrezygnować z tańca ze względu na mnie. Pani z pewnością chętnie tańczyłaby dalej.

- Z przyjemnością posiedzę przez chwilę.

- Widzę, że jest pani równie sympatyczna jak piękna.

Przypomniałam sobie wskazówki Phillidy i przyjąłam komplement jako coś zupełnie naturalnego, jakby takie wyrazy uznania były dla mnie chlebem powszednim. Sir Thomas był zrelaksowany i skory do zwierzeń.

- Biorę udział w tych towarzyskich spotkaniach ze względu na żonę, która za nimi przepada... Ona ma w sobie tyle życia.

- Rzeczywiście - zauważyłam. - Pańska żona jest bardzo piękna.

Zauważyłam ją natychmiast, gdy tylko weszłam na salę. Była w kreacji z fiołkoworóżowego szyfonu na seledynowej podszewce. Wyraźnie upodobała sobie szyfon i podobne przylegające do ciała materiały. Było to zrozumiałe, zważywszy na jej doskonałą figurę. Obwieszona była brylantami. Jaskrawy seledyn podbicia, zgaszony fiołkowym różem, dawał znakomity efekt. Zastanawiałam się, czy żywa szmaragdowa zieleń mojej sukni nie przedstawiała się zbyt krzykliwie w porównaniu z jej strojem. Wyglądała olśniewająco, jak zresztą zawsze, przy wszystkich innych okazjach.

Skinał głową potakująco, ale wydawało mi się, że z odrobiną smutku.

Gdy tak siedziałam, rozmawiając i błędząc spojrzeniem po sali, wzrok mój nagle padł na otwór umieszczony wysoko w górze w ścianie, na ów wylot w kształcie gwiazdy, który zlewał się z tłem tak idealnie, że ktoś nie wtajemniczony nigdy by go nie zauważył.

Ktoś przyglądał się bawiącym przez ten wziernik, ale nie mogłam rozpoznać, kto.

Pomyślałam: nikt inny, tylko Alvean. Czyż nie ogląda zawsze balu przez ten otwór? W tym momencie zadrżałam, bo Alvean zobaczyłam w tłumie gości. Zapomniałam, że to był specjalny wieczór - Bożego Narodzenia - i że dziewczynka, podobnie jak ja, guwernantka, ma również prawo uczestniczyć w uroczystym balu.

Ubrana była w białą muślinową sukienkę, przybraną szeroką niebieską szarfą. Do staniczka przypięła srebrną broszkę w kształcie pejsza, którą dostała ode mnie w prezencie. Wszystkie te szczegóły dostrzegłam jakby machinalnie. Po raz drugi szybko spojrzałam do góry, w stronę gwiazdzistego otworu. Czyjaś nierozpoznawalna, nieokreślona twarz nadal tam widniała.

Kolację podano w jadalni i w ponczowym saloniku. W obydwu pokojach urządzono bufet, tak by goście mogli sami się obsługiwać. Zgodnie ze zwyczajem służba w to największe ze świąt miała wolne i bawiła się w swoich pomieszczeniach.

Stwierdziłam, że ludzie, którzy zawsze byli obsługiwani, teraz traktowali to jako doskonałą rozrywkę. Na półmiskach piętrzyły się produkty będące dziełem kuchni: różnego rodzaju paszteciki - nie te wielkie, które często jadła służba, ale małe, wykwintne - plastry wołowiny na zimno oraz kurczęta i ryby różnych gatunków. Stała ogromna waza gorącego ponczu i druga, grzanego wina z korzeniami. Był miód, whisky i tarniówka.

Peter Nansellock, z którym tańczyłam ostatni taniec przed kolacją, zaprowadził mnie do ponczowego saloniku. Znajdowali się tam już sir Thomas Treslyn i Celestine. Podeszliśmy do ich stołu.

- Proszę obsługiwanie zostawić mnie - powiedział Peter. - Nakarmię was wszystkich.

- Pomogę panu - zaofiarowałam się.

- Nonsens! - zaprotestował. - Pozostanie pani tutaj z Celeste. - Następnie szepnął przekornym tonem: - Pani dziś wieczór nie jest

guwernantką, panno Leigh. Jest pani damą, jak reszta pań tutaj. Proszę o tym nie zapominać, a wówczas inni również nie będą o tym pamiętać.

Ja jednak nie chciałam być obsługiwana i nalegałam na to, by mu towarzyszyć do bufetu.

- Duma - rzekł półgłosem, ujmując mnie pod ramię. - Czy to nie przez ten właśnie grzech upadli aniołowie?

- Może to tylko ambicja? Mam wątpliwości.

- Zapewniam panią, że ma pani w sobie po trosze każdej z tych cech. Ale to nie ma znaczenia. Na co ma pani ochotę? Z tym, co jest tutaj, też należy się zapoznać. Nasze kornwalijskie potrawy często wydają się dziwne wam, przybyszom z drugiej strony rzeki Tamar.

Zaczął nakładać potrawy na jedną z przygotowanych uprzednio tac.

- Jaki pasztecik pani sobie życzy? Z podróbek czy z gołębia? Ale są też i inne pyszności. Polecam pasztet z gołębia: jabłka, bekon, cebula i baranina oraz młody gołąbek. Najwykwintniejsze kornwalijskie danie.

- Chętnie je spróbuję - zgodziłam się.

- Panno Leigh - mówił dalej - Martha... czy ktoś kiedyś powiedział pani, że ma pani oczy jak dwa bursztyny?

- Owszem - odparłam.

- A czy ktoś kiedyś powiedział pani, że jest pani piękna?

- Nie.

- A zatem należy jak najszybciej naprawić to niedopatrzenie, co też czynię.

Roześmiałam się. W tym momencie do salonu wszedł Connan. Był w towarzystwie lady Treslyn.

Ona usiadła obok Celestine, a Connan podszedł do bufetu.

- Oświecam pannę Leigh w kwestii naszego kornwalijskiego jedzenia. Ona nie wie, co to jest „piękna dziewczica”. Czy to nie dziwne, Con, zważywszy, że jest jedną z nich?

Connan wydawał się niezwykle ożywiony. Jego uśmiechnięte oczy spoglądały na mnie ciepło. Zaczął wyjaśniać:

- „Piękne dziewczice”, panno Leigh, to również nazwa małych rybek, takich jak te tutaj, które przyrządza się z oliwą i cytryną. - Wziął widelec i nałożył ich trochę na dwa talerze. - Jest to skrócona

forma od hiszpańskiej nazwy sardynki. W naszych okolicach mówi się, że jest to potrawa nadająca się dla hiszpańskiego dona.

- Pozostałość, panno Leigh - przerwał Peter - z czasów, kiedy Hiszpanie najechali nasze wybrzeże i zainteresowali się nadmiernie innym rodzajem pięknej dziewczicy.

Przy moim boku pojawiła się Alvean. Wyglądała na zmęczoną.

- Powinnaś iść już spać - poradziłam jej.

- Jestem głodna - oznajmiła.

- Zjedz kolację, a potem pójdziemy na górę.

Skinęła sennie głową i skwapliwie nałożyła sobie jedzenia na talerz.

Zasiedliśmy wszyscy przy stole: Alvean, Peter, Celestine, sir Thomas, Connan i lady Treslyn.

To, że znajduję się w takim świetnym gronie, wydawało mi się prawie nierealne. Broszka Alice błyszczała na mojej sukni. Myślałam: dwa lata temu na tym miejscu siedziała ona... a teraz ja je zajmuję. Ale wyjąwszy ten fakt oraz to, że Alvean, jako jeszcze za małej, nie było wówczas na balu, dzisiejsza uroczystość niewiele się różniła od poprzednich. Zastanawiałam się, czy komuś z obecnych przy stole również nasunęło się podobne skojarzenie.

Przypomniałam sobie twarz, którą widziałam we wzierniku oraz to, co Alvean powiedziała w wigilię ostatniego balu. Nie umiałabym dokładnie powtórzyć jej słów, ale ich treść mocno utkwiała w mej pamięci. Alvean mówiła, że jej matka przepadała za tańcem i że gdyby mogła wrócić między żywych, przyszłaby chyba na bal. Alvean łudziła się wtedy nadzieją, że zobaczy ją wśród tańczących... A gdyby obserwowała ich z innego miejsca? Pomyślałam o solarium zalanym widmowym światłem księżycy i, zaintrygowana, zadałam sobie pytanie: Ciekawe, czyją twarz zobaczyłam we wzierniku? I doznałam olśnienia: Gilly! To była Gilly. To musiała być Gilly. Któż inny mógłby to być?

Głos Connana przywołał mnie do rzeczywistości. Ponownie zwróciłam uwagę na towarzystwo siedzące przy stole.

- Zaraz ci doleję whisky, Tom - powiedział Connan. Wstał i podszedł do bufetu. Lady Treslyn szybko podniosła się z miejsca i podążyła za nim. Nie mogłam od nich oderwać oczu. Tworzyli razem niezwykłą parę; ona, najpiękniejsza kobieta na balu, otulona w przytłumiony fiołkowym różem seledyn, i on, niewątpliwie

najbardziej dystyngowany spośród wszystkich zebranych tu mężczyzn.

- Pomogę ci, Connan - zaproponowała. Usłyszałam ich wesoły śmiech.

- Uważaj - powiedział ostrzegawczo Connan - rozlewasz. Stali odwrócenii do nas plecami. Patrząc na nich, miałam uczucie, że wystarczy lada powód, a wybuchnę płaczem. W tym momencie jasno sobie uzmysłowiłam całą śmieszność moich nadziei.

Wracając do stołu, lady Treslyn wsunęła rękę pod ramię Connana. Ten poufały gest sprawił mi dotkliwy ból. Przypuszczam, iż musiałam wypić za dużo miodu lub - jak to tutaj nazywają - meteglinu. Miód. Ten wyraz brzmiał tak miękko i łagodnie. Ale miód sycony w Mount Mellyn był bardzo mocny.

Powiedziałam do siebie chłodno: Czas już, byś opuściła towarzystwo.

Connan wręczył szklanekę sir Thomasowi. Ten wychylił ją tak skwapliwie, że aż mnie to zaskoczyło. Sińce pod oczami Alvean zmobilizowały mnie do działania. Zwróciłam się do dziewczynki:

- Alvean, wyglądasz na zmęczoną. Powinnaś już być w łóżku.

- Biedne dziecko - natychmiast włączyła się Celestine. - A przecież nie jest jeszcze zupełnie zdrowa.

Podniosłam się z miejsca.

- Zaprowadzę Alvean na górę i położę ją spać - oświadczyłam. - Chodźmy, Alvean.

Była już tak śpiąca, że nie protestowała, tylko potulnie podniosła się z krzesła.

- Życzę państwu dobrej nocy - powiedziałam, odchodząc. Peter wstał z miejsca.

- Au revoir - pożegnał mnie.

Nie odpowiedziałam. Czyniłam desperackie wysiłki, by nie patrzeć w stronę Connana, ponieważ miałam uczucie, że on w ogóle mnie nie dostrzega. Nigdy nie zauważał nikogo, kiedy w pobliżu znajdowała się lady Treslyn.

- Au revoir - powtórzył Peter.

Inni zawtórowali mu z roztargnieniem. Trzymając Alvean za rękę, opuściłam ponczowy salonik.

Czułam się tak, jak musiał się czuć Kopciuszek, kiedy zegar wybijał dwunastą.

Moja krótka sława minęła. Lady Treslyn uświadomiła mi, jak naiwne były marzenia, które dotychczas hołubiłam w skrytości mego serca.

* * *

Alvean zasnęła, zanim zdążyłam wyjść z pokoju. Idąc do swej sypialni i zapalając świece na toaletce, starałam się odsunąć od siebie myśli o Connanie i lady Treslyn. Wyglądałam ładnie, co do tego nie było wątpliwości. Jednakże krytyczny wewnętrzny głos podpowiedział: Każdy wygląda ładnie w blasku zapalonych świec.

Brylanty błysnęły ogniście i natychmiast przypomniała mi się twarz, którą dojrzałam we wzierniku. Kiedy później sięgałam pamięcią wstecz, doszłam do wniosku, że musiałam wypić na balu za dużo meteglinu, ponieważ pod wpływem impulsu zesłam na dół, na podest, piętro niżej. Z pomieszczeń dla służby dochodziły wesołe okrzyki. A więc tam nadal się bawiono. Drzwi do pokoju Gilly były uchylone. Zajrzałam do środka. Blask księżyca na tyle rozświetlał izbę, że dokładnie widziałam dziewczynkę. Była w łóżku, ale nie spała. Siedziała.

- Gilly - odezwałam się.

- Jaśnie pani! - wykrzyknęła. W jej głosie brzmiała radość. - Wiedziałam, że pani dziś przyjdzie.

- Gilly, ty wiesz, kto to przyszedł? - Co mnie podkusiło, by się tak głupio odezwać.

Skinęła głową.

- Zapalę świecę - powiedziałam, przytykając zapałkę do knota.

Pozbawione wyrazu niebieskie oczy dziewczynki utkwione były w mojej twarzy. Następnie jej wzrok spoczął na brylantowej broszce. Usiadłam na brzegu łóżka. Wiedziałam, że w pierwszej chwili, kiedy weszłam do pokoju, wzięła mnie za kogoś innego. Niemniej była wyraźnie ucieszona. Świadczyło to, że nabiera do mnie zaufania.

Dotknęłam broszki i zauważyłam:

- Kiedyś ten klejnot należał do pani TreMellyn. Uśmiechnęła się i twierdząco skinęła głową. Mówiłam dalej:

- Odezwałaś się, kiedy weszłam do ciebie. Dlaczego teraz nic nie mówisz?

Uśmiech był jedyną odpowiedzią.

- Gilly - zapytałam - czy ty wyglądałaś dzisiejszej nocy przez wziernik w solarium? Czy obserwowałaś tańczących?

Znowu skinęła głową.

- Gilly, powiedz „tak”.

- Tak - odpowiedziała Gilly.

- Sama tam poszłaś? Nie bałaś się?

Potrząsnęła głową przecząco, uśmiechając się w dalszym ciągu.

- Chcesz powiedzieć, że nie, tak Gilly? Powiedz „nie”.

- Nie.

- Dlaczego się nie bałaś?

Otworzyła usta i uśmiechnęła się ponownie. Następnie zaczęła: - Nie bałam się, ponieważ...

- Ponieważ? - dopytywałam się niecierpliwie.

- Ponieważ - powtórzyła.

- Gilly - prosiłam. - Czy byłaś sama, tam, na górze? Wciąż się uśmiechała, ale nic już więcej nie udało mi się z niej wydobyć.

Po chwili ucałowałam ją, a ona odwzajemniła mi się również pocałunkiem. Lubiła mnie, czułam to. Nie miałam wątpliwości, że w swej chorej głowie pomyliła mnie z kimś innym, i wiedziałam nawet, z kim.

Kiedy wróciłam do siebie, długo ociągałam się ze zdjęciem balowej sukni. Miałam uczucie, że jeśli ją będę miała na sobie, nadal mogę mieć nadzieję na to, co - dobrze wiedziałam - jest pozbawione jakichkolwiek szans spełnienia.

Usiadłam przy oknie i w tej pozycji spędziłam ponad godzinę. Noc była ciepła, a jedwabny szal, w który się owinęłam, dawał przyjemne poczucie komfortu.

Niektórzy goście zbierali się już do odjazdu. Słyszałam, jak rozchodzili się do swych powozów i jak się nawzajem żegnali.

W pewnej chwili dobiegły mnie słowa lady Treslyn. Miała głos niski i wibrujący, ale mówiła z takim przejęciem i żarliwością, że rozróżniałam każdą sylabę. Wiedziałam, do kogo kieruje swe słowa.

- Connan - dowodziła - to już nie potrwa długo. To długo nie potrwa.

* * *

Nazajutrz rano wodę przyniosła mi Kitty. Ale nie zjawiała się sama. Towarzyszyła jej Daisy. Ich grube, pomieszane głosy docierały do mej świadomości poprzez zasłonę snu. Brzmieniem przypominały wrzaski mew.

- Dzień dobry, panienko.

Wyraźnie pragnęły szybko mnie obudzić. Przynosiły rewelacyjne wiadomości. Widziałam to po ich minach.

- Panienko... - zaczęły mówić jedna przez drugą. Każda z nich koniecznie chciała być tą pierwszą, która zakomunikuje mi wstrząsającą wieść. - Dziś w nocy... lub raczej dziś rano...

Kitty udało się ubiec siostrę:

- Sir Thomas Treslyn w drodze powrotnej do domu poczuł się źle. Kiedy dotarli do Treslyn Hall, już nie żył.

Usiadłam na łóżku, przenosząc wzrok kolejno z jednej podekscytowanej twarzy na drugą.

Jeden z gości... zmarł. Byłam wstrząśnięta. Ale nie była to zwykła śmierć. To nie była zwyczajna śmierć.

Zdawałam sobie sprawę, tak samo jak Kitty i Daisy, co taki wypadek może oznaczać dla Mount Mellyn.

Rozdział 7

Sir Thomas został pochowany w Nowy Rok.

Przez cały tydzień po wypadku w Mount Mellyn panowała atmosfera przygnębienia. Zdarzenie to odczuto tym dotkliwiej, że miało ono miejsce pod koniec świąt Bożego Narodzenia. Postanowiono nie usuwać świątecznych dekoracji, chociaż zdania co do tego były podzielone. Zastanawiano się, co jest gorsze: usunięcie ozdób przed świętem Trzech Króli czy ich zostawienie. To ostatnie jednakże świadczyłoby o braku szacunku dla zmarłego.

Wszyscy zachowywali się tak, jakby ta śmierć dotknęła ich osobiście. Sir Thomas zmarł w drodze z naszego domu do swojego. Przy naszym stole spożył swój ostatni posiłek. Doszłam do wniosku, że Kornwalijczycy są bardzo przesadnym narodem; we wszystkim widzieli dobry lub zły omen i ciągle starali się pozyskać zyczliwość złych i nadprzyrodzonych mocy.

Connan był roztargniony. Mało go widywałam, ale kiedy się na niego natknęłam, sprawiał wrażenie, jakby mnie nie dostrzegał. Przypuszczałam, że zastanawiał się nad skutkami, jakie mogła mieć dla niego śmierć sir Thomasa. Jeżeli on i lady Treslyn byli kochankami, nic już teraz nie stało na przeszkodzie, by zalegalizowali swój związek. Wiedziałam, że takie myśli krążą po głowach wielu osób, ale nikt nie ośmielał się wypowiadać ich głośno. Pani Polgrey traktowała ten temat jako tabu. Przypuszczalnie uważała, że musi upłynąć przynajmniej kilka tygodni od pogrzebu sir Thomasa, by można było swobodnie o tym mówić. W przeciwnym razie można ściągnąć nieszczęście.

Pani Polgrey zaprosiła mnie do swego pokoju na herbatę, wzmocnioną łyżką whisky, którą otrzymała ode mnie w prezencie.

- To straszne - stwierdziła - że sir Thomas musiał umrzeć właśnie w Boże Narodzenie. Wprawdzie nie stało się to w pierwszy dzień świąt, tylko następnego dnia rano - dodała z lekką ulgą w głosie, jakby ten fakt czynił sytuację mniej dramatyczną. - I pomyśleć tylko - ciągnęła dalej, na nowo pogrążając się w smętnych rozmyślaniach - że to w naszym domu spędził swe ostatnie chwile, bawił się, jadł moje potrawy. Czy nie sądzi pani, że trochę za szybko wyznaczono datę pogrzebu?

Zaczęłam liczyć na palcach.

- Siedem dni - stwierdziłam.
- Mogli go jeszcze potrzymać. Jest przecież zima.
- Przypuszczam, iż sądzą, że im szybciej będzie po wszystkim, tym prędzej dojdą do siebie po wstrząsie.

Sama pani Polgrey wyglądała na bardzo zmartwioną. Sądzę, że moja uwaga, iż rodzina dotknięta nieszczęściem chciałaby jak najszybciej otrząsnąć się z żalu, wydała jej się niefortunna i niezbyt taktowna.

- Nie wiem - odezwała się. - Słyszysz się opowieści o ludziach pogrzebanych żywcem. Pamiętam, jak przed laty, kiedy byłam małym dzieckiem, wybuchła epidemia ospy. Ludzie wpadli w panikę i gdy tylko ktoś umarł, natychmiast go grzebali. Mówiono, że niektóre osoby jeszcze żyły.

- Z pewnością nie odnosi się to do sir Thomasa. Ten umarł naprawdę.

- Jednakże zdarzają się wypadki, że ktoś zapadnie w letarg. Ale siedem dni to wystarczająco długi czas, by się o tym przekonać. Pojedzie pani ze mną na pogrzeb?

- Ja?

- Tak. A dlaczegoż by nie? Moim zdaniem powinniśmy dać wyraz naszego szacunku dla zmarłego.

- Nie mam odpowiedniego stroju.

- Znajdę dla pani kapelusz. Dam też pani czarną wstążkę do płaszcza. Moim zdaniem wystarczy, jeśli pojedziemy tylko na cmentarz. Niekoniecznie też musi pani uczestniczyć w żałobnej mszy. Zresztą to nawet nie wypada... pani jest tutaj guwernantką, a oni mają tytuł przyjaciół, że na pewno w kościele we wsi Mellyn zrobi się taki tłok, iż nie będzie można wetknąć nawet szpilki.

Uzgodniłyśmy zatem z panią Polgrey, że razem pojedziemy na cmentarz.

Byłam obecna przy ceremonii składania do grobu zwłok sir Thomasa.

Pogrzeb był wspaniały, na miarę pozycji, jaką rodzina Treslynów zajmowała w księstwie Kornwalii. Przybyły nań tłumy. Pani Polgrey i ja trzymałyśmy się w czasie tej uroczystości nieco na uboczu. Mnie to odpowiadało, ale pani Polgrey bardzo z tego powodu bolała.

Stałam jednak na tyle blisko, że dobrze widziałam wdowę w czarnych szatach. Żałoba nie ujęła jej urody. W czarnym woalu,

przesłaniającym piękne rysy, było jej równie do twarzy jak w zielonoróżowych tiulach na balu w Mount Mellyn w Boże Narodzenie. Ruchy jak zawsze miała pełne gracji, a w ciężkiej żałobie wydawała się nawet jeszcze szczuplejsza niż w barwnych kreacjach. Nadal była niezwykle kobieca i pociągająca.

Connan również znajdował się wśród uczestników pogrzebu. Wyglądał szczególnie elegancko i dystyngowanie. Wpatrywałam się uporczywie w jego twarz, starając się odnaleźć na niej ślad tego, co przeżywał w duszy. Ale starannie krył przed światem swe uczucia. Zważywszy na okoliczności, uznałam, że w tej chwili jest to najwłaściwsze postępowanie.

Patrzyłam na karawan ozdobiony wielkimi, fryzowanymi, czarnymi piórami i trumnę przykrytą szkarłatnoczarnym aksamitnym całunem. Niosło ją sześciu tragarzy. Zobaczyłam stosy kwiatów oraz żałobników w pogrzebowych ubraniach. Jedynym odrębnym akcentem były białe chusteczki, którymi kobiety wycierały sobie oczy, ale i te również ozdobione były szeroką czarną obwódką.

Zimny wiatr rozproszył mgłę, a zimowe słońce rozbłysło na złoconych okuciach trumny w momencie, gdy składano ją do grobu.

Na cmentarzu panowała głucha cisza, którą od czasu do czasu przerywały jedynie nagłe wrzaski morskich mew.

Po skończonej ceremonii żałobnicy, a wśród nich Connan, Celestine i Peter, wsiedli do swych powozów, które zawiozły ich do Treslyn Hall.

Ja powróciłam do Mount Mellyn wraz z panią Polgrey, która zaproponowała mi tradycyjną filiżankę herbaty ze zwykłym dodatkiem.

Usiadłyśmy przy stoliczku. Oczy pani Polgrey błyszczały. Widziałam, iż z trudem stara się powściągnąć chęć do zwierzeń. Jednakże ani jednym słowem nie zatrafiła o ewentualnych skutkach, jakie śmierć sir Thomasa może mieć dla mieszkańców Mount Mellyn. Jej szacunek dla nieboszczyka był zbyt wielki, by pozwoliła sobie na roztrząsanie tego tematu.

* * *

Nie zapomniano sir Thomasa. W następnych tygodniach wielokrotnie słyszałam, jak wspominano jego imię. Pani Polgrey na wzmiankę o Treslynach potrząsała głową znacząco, ale jej surowy wzrok wyrażał ostrzeżenie.

Daisy i Kitty były znacznie mniej dyskretne. Kiedy zjawiały się w moim pokoju z ciepłą wodą do mycia, zwlekały z odejściem. Stałam się bardziej przebiegła. Byłam ogromnie ciekawa, co ludzie mówią, a jednocześnie nie chciałam o nic pytać. Udało mi się jednak wyciągnąć z nich to, co chciałam, bez - jak miałam nadzieję - zdradzania się ze swoją ciekawością.

Szczerze mówiąc, nie trzeba ich było zbytnio zachęcać do mówienia.

- Widziałam wczoraj lady Treslyn - oświadczyła któregoś poranku Daisy. - Wcale nie wyglądała na wdowę mimo żałobnego stroju.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Niech mnie pani nie pyta, panienko. Była blada i nie uśmiechała się, ale dostrzegłam coś w jej twarzy... rozumie pani, co mam na myśli.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Kit też ją widziała. Stwierdziła to samo. Sprawiała wrażenie, jakby na coś czekała i jednocześnie wiedziała, że nie będzie musiała długo czekać. Jednakże z pewnością jakiś rok. Mnie to się wydaje bardzo długo.

- Rok? Po co? - zapytałam, chociaż dobrze wiedziałam, dlaczego.

Daisy spojrzała na mnie i zachichotała.

- Ich nie urządzają częste, ale krótkie spotkania, zgodzi się panienka ze mną? Bądź co bądź sir Thomas umarł prawie na naszych schodach. Wydaje się, że oni chyba chcieli, by tak się stało.

- Ależ, Daisy, to bzdura! Jak można życzyć komuś śmierci?

- No cóż, dopóki się nie wie na pewno, nic nie można powiedzieć przed czasem.

Rozmowa zaczęła przybierać niebezpieczny obrót. Odprawiłam Daisy, mówiąc krótko:

- Muszę się śpieszyć. Już jestem spóźniona.

Kiedy wyszła, pomyślałam: A więc mówią na ich temat. Mówią, że życzyli mu śmierci.

Dopóki wszystko ogranicza się tylko do mówienia, to jeszcze pół biedy. Nie robią nikomu wielkiej krzywdy.

Zastanawiałam się, czy kochankowie zachowują odpowiednie środki ostrożności. Pamiętałam powiedzenie Phillidy, że postępowanie ludzi zakochanych przypomina strusie. Chowają głowę

w piasek i uważają, że ponieważ same nikogo nie widzą, to otoczenie również ich nie dostrzega.

Ale oni nie byli parą niedoświadczonych kochanków.

Nie - pomyślałam z goryczą - - to oczywiste, że obydwójce mają spore doświadczenie. Znają ludzi, wśród których żyją. Są ostrożni.

Później, tego samego dnia, kiedy spacerowałam po lesie, usłyszałam w pobliżu tętent kopyt końskich i głos lady Treslyn: „Connan. Och, Connan!”

A zatem spotkali się... ale takie spotkanie blisko domu było z pewnością bardzo nierozważne.

Głosy kochanków niosły się po lesie. Drzewa skrywały mnie przed ich wzrokiem, ale urywki rozmowy docierały do mych uszu.

- Linda! Nie powinnaś się tutaj pokazywać.

- Wiem... wiem... - Jej głos zaniknął i nie usłyszałam już dalszej części zdania.

- Wysłać taką wiadomość... - To mówił Connan. Słyszałam go wyraźniej niż ja, może dlatego, że dobrze znałam ten głos. - Niektórzy ze służby widzieli twego posłańca. Wiesz, jak wszyscy plotkują.

- Wiem, lecz...

- Kiedy to otrzymałaś...?

- Dziś rano. I natychmiast musiałam ci pokazać.

- Czy to pierwszy?

- Nie, był inny dwa dni temu. Dlatego musiałam się z tobą zobaczyć, Connan. Za wszelką cenę... Jestem przerażona...

- Jakiś głupi żart - odparł. - Nie zwracaj na to uwagi. Nie myśl o tym.

- Przeczytaj to! - wykrzyknęła. - Przeczytaj!

Nastąpiła chwila ciszy. Następnie usłyszałam głos Connana. - Rozumiem. Jest tylko jedno wyjście...

Konie ruszyły z miejsca. Za chwilę jeźdźcy będą przejeżdżać obok mnie. Pośpiesznie opuściłam swój posterunek i skryłam się w głębi lasu.

Byłam bardzo zatrwożona.

Connan wyjechał z Mount Mellyn jeszcze tego samego dnia.

- Musiał wyjechać do Penzance - oznajmiła mi pani Polgrey. - Powiedział, że nie wie, jak długo tam zabawi.

Zastanawiałam się, czy jego nagły wyjazd ma coś wspólnego z niepokojącymi wieściami, które lady Treslyn przekazała mu w lesie dziś rano.

* * *

Minęło kilka dni. Wznowiłam naukę z Alvean. Gilly również przychodziła do sali lekcyjnej.

Prowadziłam lekcje z Alvean i w tym czasie dawałam Gilly jakieś małe zadanie do wykonania, na przykład pisanie liter na tacy z piaskiem lub na rysikowej tabliczce bądź liczenie koralików na liczydłach. Sprawiało to jej widoczną przyjemność. Wiedziałam, że czuje się dobrze w moim towarzystwie; czerpała z niego potrzebne jej poczucie bezpieczeństwa. Ufała Alice, a teraz na mnie przenosiła to zaufanie.

Alvean początkowo buntowała się przeciwko obecności Gilly, ale w końcu udało mi się przełamać jej opór. Przekonałam ją, że należy być uprzejmym wobec ludzi, dla których los okazał się mniej łaskawy. Tak długo pracowałam, by wzbudzić jej sympatię dla nieszczęśliwej dziewczynki, że w końcu zaakceptowała jej udział w lekcjach, chociaż minę miała pochmurną. Zauważyłam jednak, iż od czasu do czasu ukradkiem zerknęła na Gilly, potwierdzając moje przypuszczenia, że jednak jest trochę nią zainteresowana.

Minął już tydzień od wyjazdu Connana, gdy w zimny lutowy ranek do sali lekcyjnej przyszła pani Polgrey. Bardzo się zdziwiłam jej wizytą, ponieważ rzadko zdarzało się jej przerywać nam lekcje. Trzymała w ręku dwa listy i jak zauważyłam, była bardzo podekscytowana.

Nie przeprosiła za swe niespodziewane wtargnięcie, tylko powiedziała:

- Mam wiadomość od pana dziedzica. Chce, by pani przywiozła Alvean do Penzance, i to bez zwłoki. A to list do pani. Znajdzie w nim pani bez wątpienia więcej szczegółów.

Wręczyła mi list. Bałam się, że zauważy, iż ręka, którą otwieram kopertę, drży mi nieco. Oto co przeczytałam: „Moja droga panno Leigh.

Zabawię tu jeszcze kilka tygodni. Myślę, iż zgodzi się pani ze mną, że byłoby dobrze dla Alvean, gdyby tu ze mną pobyła. Moim zdaniem nie powinna opuszczać nauki i dlatego proponuję, by

przyjechała razem z panią. Proszę się przygotować na jakiś jedno - lub dwutygodniowy pobyt tutaj.

Może zdąży pani wyjechać już jutro. Niech Billy Trehay odwiezie was na stację, tak byście zdążyły na pociąg o 2.30.

Connan TreMellyn".

Wiedziała, że robię się czerwona na twarzy. Miałam nadzieję, że niczym nie dałam poznać radości, jaka się we mnie rozszalała.

Zwróciłam się do Alvean:

- Jutro jedziemy do twego ojca.

Alvean skoczyła i rzuciła mi się w ramiona. Jej spontaniczna reakcja głęboko mnie poruszyła; najlepiej świadczyła o tym, jak bardzo go kocha.

Dzięki temu odzyskałam równowagę. Ostudziłam zapal dziewczynki, mówiąc:

- To będzie dopiero jutro. Dziś jest normalny dzień lekcyjny.

- Ale, panno Leigh, musimy się przecież spakować!

- Mamy na to całe popołudnie - odparłam sucho. - Na razie wracajmy do pracy.

Zwróciłam się do pani Polgrey:

- Tak - potwierdziłam. - Pan TreMellyn życzy sobie, by przywieźć mu Alvean.

Kiwnęła głową. Po jej minie widać było, że jest zdziwiona; nigdy przedtem pan domu nie okazywał takiego zainteresowania swoim dzieckiem.

- Wyjeżdżacie jutro?

- Tak. Trzeba uprzedzić Billy'ego Trehaya, że ma nas odwieźć na stację, na pociąg, który odchodzi o godzinie 2.30.

Znowu skinęła głową.

Pani Polgrey wyszła, a ja usiadłam z zamętem w duszy. Podobnie jak Alvean nie byłam w stanie zebrać myśli. Dopiero po jakimś czasie przypomniałam sobie o Gilly. Spoglądała na mnie swoim pustym, pozbawionym wyrazu spojrzeniem, które tak bardzo chciałam wypełnić świadomą treścią.

Gilly rozumiała więcej, niż się ludziom wydawało.

Wiedziała, że wyjeżdżamy i że ona tu zostaje samotna i opuszczona.

* * *

Nie mogłam się doczekać, kiedy przystąpię do pakowania. Zjadłam lunch razem z Alvean w sali lekcyjnej, ale żadna z nas nie miała ochoty na jedzenie. Natychmiast po posiłku udałyśmy się do swoich pokojów, by się przygotować do podróży.

Niewiele miałam do pakowania. Dwie bawełniane sukienki, szara i lawendowa, były na szczęście czyste, a szarą wełnianą postanowiłam włożyć na siebie. Nie wyglądałam w niej zbyt korzystnie, ale trudno ją było zmieścić do walizki.

Wyjęłam zieloną jedwabną suknię, którą miałam na sobie podczas balu w Boże Narodzenie. Czy mam ją również ze sobą wziąć? A dlaczegoż by nie? Rzadko miewałam coś tak ładnego, a kto wie, może nadarzy się tam okazja, by ją włożyć.

Wyjęłam swój grzebień i szal; grzebień wetknęłam we włosy, a szal zarzuciłam na ramiona.

Pomyślałam o świątecznym balu - o tym momencie, kiedy Peter wziął mnie za rękę i zaprowadził na środek sali, bym zatańczyła z nim Furry Dance. Dźwięki tej tradycyjnej ludowej melodii rozbrzmiały w mojej głowie; zaczęłam tańczyć po pokoju pod jej wyimaginowany rytm. Przez chwilę naprawdę miałam wrażenie, że znajduję się na sali balowej i że znowu jest noc Bożego Narodzenia.

Nie usłyszałam, kiedy do pokoju weszła Gilly, i drgnęłam, zobaczywszy ją nieoczekiwanie. Dziewczynka rzeczywiście poruszała się po domu jak duch.

Przestałam tańczyć i zaczerwieniłam się, zażenowana, że przyłapano mnie na takim niepoważnym zachowaniu. Gilly patrzyła na mnie z powagą w oczach.

Spojrzała na otwartą walizkę i rozłożone na łóżku ubrania, a mnie pod tym ciężkim spojrzeniem zaczęła opuszczać cała radość; zrozumiałam, że Gilly będzie bardzo nieszczęśliwa po moim wyjeździe.

Schyliłam się nad nią i objęłam ją ramionami.

- Wyjeżdżam tylko na krótko, Gilly.

Zacisnęła mocno powieki, by uniknąć mego wzroku.

- Niedługo wrócimy, Gilly - odezwałam się prosząco. -
Posłuchaj, przecież wiesz o tym.

Potrząsnęła głową, a spod jej zaciśniętych powiek wymknęły się dwie wielkie łzy.

- Po powrocie - mówiłam dalej - zaczniemy na nowo nasze lekcje. Nauczę cię kreślić kolejne litery na piasku i wkrótce będziesz umiała napisać już swoje imię.

Widziałam jednakże, że nie chce przyjąć do wiadomości żadnych słów pociechy.

Wyrwała się z moich objęć, podbiegła do łóżka i zaczęła wyrzucać rzeczy z walizki.

- Nie, Gilly, nie! - zaprotestowałam. Podniosłam ją i usiadłam na krześle. Przez chwilę kołysałam ją w ramionach i wciąż tłumaczyłam: - Ja wrócę, Gilly, wiesz dobrze, że wrócę. Zanim się spostrzeżesz, będę już z powrotem. Będzie ci się wydawać, jakbym nigdy nie wyjeżdżała.

Wówczas przemówiła:

- Pani nie wróci! Ona... ona...

- Tak, Gilly, tak?

- Ona... odeszła.

Przez moment zapomniałam nawet o tym, że jadę do Connana; miałam już teraz całkowitą pewność, że Gilly coś wie, a to, co wiedziała, mogło rzucić pewne światło na tajemnicę Alice.

- Gilly - zapytałam - czy pani powiedziała ci: do widzenia, zanim odeszła?

Gilly potrząsnęła głową gwałtownie. Miałam wrażenie, że lada chwila wybuchnie płaczem.

- Gilly - błagałam - postaraj się do mnie przemówić, postaraj się mi powiedzieć... Czy widziałaś, jak odjeżdżała?

Gilly rzuciła się i skryła twarz na mojej piersi. Przez jakiś czas trzymałam ją czule, a następnie odsunęłam się trochę do tyłu i spojrzałam jej w oczy. Powieki dziewczynki były jednak mocno zaciśnięte.

Podbiegła znowu do łóżka i na nowo zaczęła wyrzucać rzeczy z walizki.

- Nie...! - krzyczała. - Nie... nie... Podeszłam do niej szybko.

- Posłuchaj, Gilly - rzekłam - ja wrócę. Wyjeżdżam tylko na krótko.

- Ona nie wróciła!

Znalazłyśmy się w punkcie wyjścia. Nie sądziłam, że na tym etapie uda mi się wyciągnąć z niej coś więcej.

Uniosła ku mnie swą drobną twarzyczkę. Jej oczy straciły swój zwykły pusty wyraz. Spojrzenie miała teraz tragiczne.

Uświadomiłam sobie w tym momencie, ile dla niej znaczy zainteresowanie, jakie jej okazuję. Nie była w stanie zrozumieć, że jeśli wyjeżdżam, to tylko na jakiś czas. Alice była dla niej dobra i Alice odeszła. Życiowe doświadczenie nauczyło dziewczynkę, że taka była kolejność rzeczy.

Kilka dni... tydzień w życiu Gilly... dla większości z nas byłoby to jak rok. Zrozumiałam, że nie wolno mi zostawić Gilly.

Zastanowiłam się, co powie Connan, jeśli przywiozę ze sobą obie dziewczynki.

Miałam nadzieję, że potrafię odpowiednio uzasadnić powód, jakim się kierowałam, podejmując taką decyzję. W żadnym wypadku jednak nie zostawię Gilly samej. Pani Polgrey powiem, że pan oczekuje obydwu dziewczynek. Będzie zadowolona. Powierzyła mi Gilly i pierwsza przyznała, że od czasu, kiedy się nią zajęłam, dziecko znacznie się rozwinęło.

- Gilly - rzekłam. - Wyjeżdżam tylko na kilka dni. Alvean i ty jedziecie ze mną. - Ucałowałam jej uniesioną twarzyczkę. Ponieważ wydawała się zdezorientowana, powtórzyłam raz jeszcze: - Jedziesz ze mną. Cieszysz się, prawda?

Minęło jednakże kilka sekund, zanim moje słowa dotarły do jej świadomości. Zacisnęła mocno powieki i pochyliła głowę. Zauważyłam uśmiech na jej twarzy. Jej radość wzruszyła mnie bardziej niż jakiegokolwiek słowa.

Poczułam się gotowa stawić odważnie czoło ewentualnemu niezadowoleniu Connana, widząc, jak bardzo moja decyzja uszczęśliwiła to biedne dziecko.

* * *

Wyruszyliśmy następnego dnia wczesnym rankiem. Cała służba wyległa przed dom, by zobaczyć, jak odjeżdżamy. Usiadłam w powozie między dziewczynkami. Billy Trehay, w liberii TreMellynów, ochoczo zajął miejsce na koźle, przemawiając do koni wesołym głosem.

Pani Polgrey skrzyżowała ręce na podołku, nie spuszczać oczu z Gilly. Była wyraźnie zadowolona, że jej mała wnuczka wybiera się w podróż ze mną i Alvean.

Tapperty stał w towarzystwie swoich córek. Zmrużone oczy tej trójki, podobne do siebie jak dwie krople wody, wyrażały głęboki namysł.

W tej chwili mało mnie jednak obchodziły ich zaintrygowane spojrzenia. Rozpierało mnie takie szczęście, że tylko siłą woli powstrzymywałam się od radosnego śpiewu.

Dzień wstał mroźny, ale słoneczny. Powietrze było krystaliczne. Na trawie leżał szron, a cienka warstwa lodu ścinała powierzchnię wody w strumieniach i sadzawkach.

Powóz mknął z głośnym turkotem po wyboistych drogach. Dziewczynki nie posiadały się z radości. Alvean usta nie zamykały się ani na chwilę, a Gilly siedziała przy mnie z wniebowziętą miną. W rękę ścisnęła moją spódnicę. Rozczulił mnie ten gest. Miałam świadomość swej odpowiedzialności za to dziecko.

Billy był niezwykle rozmowny. Kiedy spotkaliśmy grób samobójcy przy rozstajnych drogach, odmówił modlitwę za biedną zagubioną duszyczkę, która w nim spoczywała.

- Ta dusza nigdy nie zazna odpoczynku. Osoba, którą spotkała podobna śmierć, skazana jest na wieczny niepokój. Tak jak wszyscy, którzy umierają gwałtowną śmiercią. Oni nie zostają pod ziemią. Oni przechadzają się wśród żywych.

- Co za głupota! - zauważyłam ostro.

- Ci, którym się wydaje, że wiedzą lepiej, nazywają mądrość bzdurą - odciął się urażony.

- Wydaje się, że wielu ludzi cierpi na przerost fantazji. Zauważyłam, że dziewczynki wpatrują się we mnie z napięciem.

- Spójrzcie, dzieci - rzekłam pośpiesznie, gdy mijaliśmy glinianą chatkę z ulami w ogrodzie. - Widzicie te ule? Czym one są nakryte?

- Czarną krepą - wyjaśnił Billy. - To oznacza, że w tej rodzinie ktoś umarł. Pszczoły poczułyby się bardzo dotknięte, gdyby im o tej śmierci nie powiedziano i nie pozwolono uczestniczyć w żałobie.

Byłam zadowolona, kiedy wreszcie przyjechaliśmy na stację.

W Penzance czekał na nas powóz, który zawiózł nas do Penlandstow. Zapadał zmierzch, kiedy wjechaliśmy na teren posiadłości i przed mymi oczami zamajaczył dom. Na ganku czekał na nas człowiek z latarnią, który widząc nadjeżdżający pojazd, wykrzyknął:

- Już są! Biegnij i powiadom pana. Kazał nam natychmiast dać znać, jak tylko przyjadą.

Byłyśmy trochę zeszywniałe po podróży, a dzieciom kleiły się powieki. Pomogłam im wysiąść; gdy się odwróciłam, zobaczyłam obok siebie Connana. Nie widziałam go zbyt dokładnie w mętym świetle latarni, ale wyczułam, że jest bardzo zadowolony z mego przybycia. Ujął mnie za rękę i serdecznie ją uścisnął.

Następnie powiedział zaskakującą rzecz:

- Zaczynałem się już niepokoić. Wyobrażałem sobie, że coś złego się wam wydarzyło. Żałowałem, że sam po was nie wyjechałem.

Pomyślałam: oczywiście ma na myśli Alvean, przecież nie mnie.

A on tymczasem stał naprzeciwko i uśmiechał się do mnie ciepło. Poczułam się tak szczęśliwa jak nigdy dotąd.

Zaczełam:

- Dzieci... Uśmiechnął się do Alvean.

- Witaj, tatusiu! - powitała go. - Jak dobrze, że jestem tu z tobą!

Położył jej rękę na ramieniu, a ona uniosła wzrok, jakby z niemym błaganiem, żeby ją pocałował. To jednak wydawało się zbyt wygórowaną prośbą dla Connana.

Powiedział jedynie:

- Cieszę się, że przyjechałaś, Alvean. Będzie ci tutaj wesoło.

Wtedy wysunęłam naprzód Gilly.

- Co... - zaczął.

Ja jednak nie pozwoliłam mu skończyć:

- Nie mogłam zostawić Gilly - wyjaśniłam. - Jak pan sobie przypomina, dał mi pan wolną rękę, jeśli chodzi o nią i jej naukę.

Zawahał się przez moment. Następnie spojrzał na mnie i wybuchnął śmiechem. Zrozumiałam wówczas, iż jest tak zadowolony z mego przybycia - mojego, a nie innych - że nie obchodziło go, kogo ze sobą przywiozłam, bylebym tylko przywiozła siebie.

Nic zatem dziwnego, że gdy wstępowałam w progi starego domu Alice, miałam uczucie, jakbym wkraczała w nowy zaczarowany świat.

* * *

Przez następne dwa tygodnie żyłam jak we śnie. Twarda rzeczywistość została gdzieś daleko za mną, a ja poruszałam się w świecie stworzonym przez własne marzenia, w którym wszystko, czego zapragnęłam, stawało się realne.

W Penlandstow Manor od samego początku traktowana byłam nie jako guwernantka, ale jako gość. W krótkim czasie pozbyłam się przeczulenia na tym punkcie i stałam się ponownie tą pełną radości życia dziewczyną, która mieszkała na wiejskiej plebanii z ojcem i Phillidą.

Otrzymałam przyjemny pokój sąsiadujący z sypialnią Alvean. Kiedy poprosiłam, by Gilly również umieszczono obok, moje życzenie natychmiast zostało spełnione.

Penlandstow było uroczą starą siedzibą zbudowaną podczas epoki elżbietańskiej. Nie ustępowało wielkością Mount Mellyn i równie łatwo można tu było pobłądzić.

Pokój mój był duży; pod oknami stały kanapki obite czerwonym aksamitem. Kotary miały również podobny ciemnoczerwony kolor. Łóżko było z baldachimem, z którego zwieszały się jedwabne haftowane zasłony. Dywan miał taki sam odcień głębokiej czerwieni. Całość sprawiała tak przytulne i ciepłe wrażenie, że nawet ogień płonący na kominku nie wydawał się konieczny.

Walizkę wniesiono za mną do pokoju, a jedna ze służących zaczęła ją rozpakowywać. Stałam przy kominku, obserwując rozżarzone głownie, z których raz po raz wyskakiwał niebieski płomień.

Służąca dygnęła, kładąc rzeczy na łóżku, i zapytała, czy ma je również poukładać. Nie traktuje się w ten sposób guwernantki - pomyślałam. Kitty i Daisy, chociaż serdeczne i uprzejme, aż tak mi nie nadskakiwały.

Odparłam, że sama schowam swoje rzeczy, proszę jedynie o ciepłą wodę do mycia.

- Na końcu podestu jest mała łazienka, panienko - powiedziała. - Pokażę ją pani. Tam przyniosę pani ciepłej wody.

Zaprowadzono mnie do izby, w której znajdowała się duża wanna. Oprócz niej była jeszcze druga, płytsza.

- To była łazienka pani. Korzystała z niej, dopóki nie wyszła za mąż i nie wyjechała z domu - wyjaśniła.

Lekko wstrząśnięta, uświadomiłam sobie, że znajduję się przecież w rodzinnym domu Alice.

Kiedy się umyłam i przebrałam w lawendową bawełnianą suknię, poszłam zobaczyć, co porabia Alvean. Zasnęła w ubraniu na łóżku. Gilly również spała w swym pokoiku. Wróciłam do swego pokoju. Po

chwili zjawiała się służąca, ta sama, która pokazała mi, gdzie się mieści łazienka, i zakomunikowała, że pan TreMellyn prosi, abym kiedy już się ogarnę po podróży, zeszła do niego do biblioteki.

Odparłam, że możemy tam iść choćby w tej chwili, i służąca zaprowadziła mnie do niego.

- Jak to miło widzieć panią tutaj, panno Leigh! - powiedział Connan na mój widok.

- Nie wątpię, że jest panu przyjemnie mieć u siebie swą córkę... - zaczęłam.

On jednak przerwał z uśmiechem.

- Powiedziałem, że miło mi panią tutaj widzieć, panno Leigh; to przede wszystkim miałem na myśli.

Zaczerwieniłam się.

- Bardzo to uprzejmie z pana strony. Zabrałam ze sobą kilka szkolnych podręczników dla dzieci...

- Zrobimy im małe wakacje, dobrze? Przypuszczam, iż jest pani zdania, że nie powinny przerywać nauki, ale czy koniecznie muszą przez cały czas ślęczeć nad książką?

- Myślę, że z takiej okazji jak ta można im trochę ująć lekcji.

Zbliżył się i stanął tuż obok mnie.

- Panno Leigh - powiedział - jest pani zachwycająca. Cofnęłam się zaskoczona, a on mówił dalej:

- Cieszę się, że przyjechała pani tak szybko.

- Zastosowałam się jedynie do pańskiego polecenia.

- To nie było polecenie, panno Leigh. To była prośba.

- Ale... - zaczęłam. Byłam nieco przestraszona, ponieważ sprawił na mnie wrażenie człowiek trochę innego niż ten, którego znałam. Wydawał mi się jakiś obcy - ale ten drugi Connan fascynował mnie nie mniej niż pierwszy. Ten obcy trochę mnie przerażał, bo poczułam się niepewna siebie, niepewna swoich uczuć.

- Byłem rad, że mogłem uciec z Mount Mellyn - powiedział. - Pomyślałem, że może i pani również ma ochotę zrobić to samo.

- Uciec... od czego?

- Od mroku śmierci. Nienawidzę śmierci. Przygnębia mnie.

- Ma pan na myśli sir Thomasa. Ale...

- Tak, wiem. Był tylko sąsiadem. Mimo to bardzo mnie ta jego śmierć przygnębiła. Chciałem uciec od tego jak najprędzej. Tak się

cieszę, że pani do mnie przyjechała... z Alvean i tą drugą dziewczynką.

Odparłam odruchowo:

- Mam nadzieję, że nie poczytał pan zabrania Gillyflower za zbytne zuchwalstwo z mojej strony. Musiałam ją wziąć ze sobą. W przeciwnym razie złamałabym jej serce.

W odpowiedzi rzekł coś, co wprowadziło w zamęt moje zmysły:

- Doskonale ją rozumiem. Nie wątpię, że rozstanie z panią byłoby dla niej ciosem nie do zniesienia.

Szybko zmieniałam temat.

- Sądzę, że dzieci powinny dostać coś do jedzenia. Są zmęczone podróżą i w tej chwili śpią. Ale muszą coś zjeść przed udaniem się na nocny spoczynek. Ten dzień był dla nich męczący.

Machnął dłonią.

- Niech pani zamówi dla nich coś stosownego, panno Leigh. A kiedy pani już to załatwi, my zjemy kolację.

- Ale przecież Alvean zawsze jada z panem posiłki - odparłam.

- Dzisiaj jest na to zbyt zmęczona. Zjemy kolację bez niej, tylko we dwoje.

Zamówiłam więc dla dzieci odpowiednie danie, a sama usiadłam do stołu z Connanem. Kolacja w towarzystwie tego mężczyzny, w intymnej atmosferze zimowego saloniku, przy blasku świec, była przeżyciem jednocześnie dziwnym i radosnym. Ciągle powtarzałam sobie, że to nie może być prawdą. Jeśli kiedykolwiek rzeczywistość utkana była z sennej materii, ten wieczór z pewnością do takich należał.

Connan był bardzo rozmowny. Tego wieczoru w niczym nie przypominał małomównego dziedzica TreMellyn.

Opowiadał mi o Penlandtow Manor; o tym, że wzniesiono go w kształcie litery E, na cześć panującej wówczas królowej. Naszkicował jego kontur na papierze, by mi lepiej uzmysłwić, jak wygląda.

- Dwa dziedzińce zamknięte z trzech stron - mówił - oraz wysunięty główny korpus to jego charakterystyczne cechy. W tej chwili znajdujemy się w centralnej części rezydencji. Składa się na nią przede wszystkim westybul, klatka schodowa i galeria oraz kilka mniejszych pomieszczeń, takich jak ten zimowy salonik, który, przyzna pani, świetnie się nadaje na kameralne spotkania.

Przyznałam, że dom jest wspaniały, i zauważyłam, że musi być bardzo szczęśliwy, posiadając takie dwie bogate rezydencje.

- Kamienne mury nie dają szczęścia, panno Leigh. Liczy się życie, które pulsuje w ich obrębie.

- Jednakże - odparowałam - przyjemniej jest przeżyć życie wśród pięknego i wygodnego otoczenia niż odwrotnie.

- Zgadzam się. Trudno mi wyrazić słowami, jak bardzo się cieszę, że podobają się pani moje domy.

Po zjedzeniu kolacji przeszliśmy do biblioteki; tam mnie zapytał, czy nie zechcę rozegrać z nim partii szachów. Chętnie się zgodziłam.

I tak siedzieliśmy we dwójkę w tym przytulnym pokoju z pięknie rzeźbionym sufitem, puszystym dywanem na podłodze i lampami, które miały klosze z ręcznie malowanej, oryginalnej chińskiej porcelany. Nigdy, nawet w najśmielszych marzeniach, nie przypuszczałam, że mogę być tak szczęśliwa.

Rozłożył na szachownicy pionki z kości słoniowej; w milczeniu zaczęliśmy grę.

W pokoju panowała głęboka i, jak mi się wydawało, pełna ukontentowania cisza. Obserwowałam silne, szczupłe palce Connana, przesuwające szachowe figurki, i wiedziałam, że nigdy, póki życia, nie zapomnę ognia migoczącego na kominku i tykania pozłacanego zegara, który mógłby należeć do Ludwika XIV.

W pewnej chwili, gdy pochłonięta grą, zmarszczyłam brwi, spostrzegłam, iż Connan przygląda mi się uporczywie. Kiedy uniosłam wzrok, napotkałam jego spojrzenie. Było wesołe, ale jednocześnie jakby zamyślane. Przemknęło mi przez myśl: On mnie tutaj ściągnął celowo. Ciekawe, o co mu chodzi.

Przebiegł mnie dreszcz niepokoju, ale byłam zbyt szczęśliwa, by głębiej analizować swe uczucia.

Przesunęłam swego pionka, a Connan powiedział:

- Aha. - I dodał: - Panno Leigh, moja droga panno Leigh, obawiam się, że wpadła pani prosto w zastawioną pułapkę.

- Och, nie! - wykrzyknęłam.

Okazało się, że zrobił ruch rycerzem, który zagroził memu królowi. Zlekceważyłam tego rycerza.

- Sądzę, że... - zaczął - Nie, niezupełnie. Szach, panno Leigh. Ale jeszcze nie szach i mat.

Zrozumiałam, że zanadto pozwoliłam swoim myślom bujać w obłokach. Pośpiesznie starałam się naprawić swój błąd, niestety na próżno. Z każdym ruchem pograżałam się coraz bardziej i wynik końcowy nie budził już wątpliwości.

Usłyszałam Connana. Mówił łagodnie, ale z pewnym rozbawieniem.

- Szach i mat, panno Leigh!

Siedziałam przez kilka sekund w milczeniu, spoglądając na szachownicę. Connan odezwał się pierwszy:

- Wygrałem nieuczciwie. Jest pani zmęczona podróżą.

- O nie! - odparłam szybko. - Myślę, że jest pan lepszym graczem ode mnie.

- Myślę - odparł - że jesteśmy godnymi siebie przeciwnikami.

Po skończonej grze poszłam do swej sypialni.

Położyłam się do łóżka i usiłowałam zasnąć, ale bezskutecznie. Czułam się zbyt szczęśliwa. Bezustannie rozpatrywałam jego przywitanie, naszą wspólną kolację i jego słowa: „Jesteśmy dobranymi partnerami”.

Zapomniałam nawet, że dom, w którym położyłam się na spoczynek, był domem Alice; a przecież w swoim czasie ten fakt wydawał się interesować mnie nade wszystko. Zapomniałam o wszystkim, z wyjątkiem tego, że Connan posłał po mnie i że teraz, kiedy już tu byłam, wydawał się bardzo z tego powodu zadowolony.

* * *

Następny dzień był równie przyjemny i pełen niespodzianek jak pierwszy. Rano odbyłam lekcje z dziećmi, a po południu Connan zabrał nas na przejażdżkę. Jakżeż ta jazda w jego powozie różniła się od trzęsionki za plecami Tapperty'ego lub Billy'ego Trehaya!

Zawiózł nas nad brzeg morza, gdzie zobaczyłyśmy rysującą się w oddali Saint Michael's Mount.

- Któregoś dnia - zapowiedział - kiedy przyjdzie wiosna, zabiorę was, byście zobaczyły krzesło świętego Michała.

- Czy będziemy mogły w nim zasiąść? - zapytała Alvean.

- Owszem, jeżeli jesteś gotowa narazić się na ewentualny upadek. Nogi ci będą zwisały nad przepaścią, na wysokości ponad dwudziestu metrów. Niemniej wiele przedstawiolek twojej płci uważa, że jest to warte ryzyka.

- Ale dlaczego, tatusiu, dlaczego? - dopytywała się Alvean, która była szczęśliwa zawsze, kiedy tylko na nią kierował swą uwagę.

- Ponieważ - wyjaśnił - ludowe porzekadło powiada, że jeżeli kobieta uprzedzi swego męża i pierwsza zasiądzie w krześle świętego Michała, to ona będzie rządzić domem.

Alvean roześmiała się uszczęśliwiona, a Gilly, którą na moją prośbę również zabrano na wycieczkę, siedziała, uśmiechając się łagodnie.

Connan popatrzył na mnie.

- A pani, panno Leigh - zapytał - czy pani zdaniem warto podjąć taką próbę?

Zawahałam się przez moment, po czym śmiało spojrzałam mu w oczy.

- Nie, panie TreMellyn, nie sędzę, by było warto.

- A zatem nie zależy pani, by rządzić domem?

- Uważam, że ani mąż, ani żona nie powinni dążyć do tego, by nad sobą górować. Myślę, że powinni razem pracować. A jeśli któreś z nich uważa, że ma rację, bo tak jest słusznie, musi przy swej racji obstawać.

Zaczerwieniłam się lekko; wyobraziłam sobie uśmiech Phillidy, gdyby słyszała, co mówię.

- Panno Leigh - oświadczył Connan - pani rozsądek wystawia na pośmiewisko nasze ludowe mądrości.

Zimowe słońce świeciło jasno, gdy wracaliśmy, a mnie ze szczęścia rosły skrzydła u ramion.

Tego wieczora nie zasiadłam z nim do kolacji; poprosiłam o przyniesienie mi posiłków do sali lekcyjnej. Nie chciałam, by Gilly jadła samotnie. Alvean jadła z ojcem. Później w swoim pokoju pograżyłam się w lekturze. Tym razem nie poprosił, bym do niego zeszła.

Wcześniej udałam się na spoczynek. Leżałam w łóżku, przez dłuższy czas nie śpiąc i rozmyślając o dziwnym obrocie, jaki przybrało moje życie. Wiedziałam, że nazajutrz rano obudzę się z tym samym uczuciem oczekiwania, ponieważ byłam głęboko przekonana, iż spotka mnie w tym domu coś niezwykłego.

Obudziłam się z uczuciem przerażenia. Ktoś znajdował się w moim pokoju. Obok mego łóżka coś się poruszyło. Podskoczyłam na

pościeli. Był wczesny ranek. Wiedziałam to, ponieważ niebo rozjaśniały już bladoróżowe pasma świtu.

- Kto tam?! - wykrzyknęłam.

Wtedy spostrzegłam Gilly.

Miała na sobie stary, przerobiony przeze mnie szlafroczek Alvean, a na nogach kaptcie, które jej kupiłam w prezencie.

- Co ty tu robisz, Gilly? - zapytałam.

Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Czekałam, ale ona tylko uśmiechnęła się do mnie i kiwnęła głową.

- Co się stało, Gilly? - dopytywałam się. - Wiem, że o coś ci chodzi. Musisz mi o tym powiedzieć.

Wskazała na drzwi i utkwiała we mnie wzrok.

Dreszcz przebiegł mi po plecach, ponieważ częstokroć odnosiłam wrażenie, że Gilly widzi rzeczy, których ja nie dostrzegam.

- Nic tam nie ma - rzekłam.

Znowu kiwnęła głową, ale tym razem wykrztusiła:

- Ona tu jest. Ona tu jest.

Serce zaczęło mi bić przyspieszonym rytmem. Pomyślałam: Zdaje jej się, że Alice jest tutaj. To był dom Alice. Gilly odnalazła Alice.

- Pani TreMellyn... - wyszeptałam.

Uśmiechnęła się promiennie, nie przestając kiwać potakująco głową.

- Ty... ją widziałaś?

Gilly ponownie skinęła głową.

- W tym domu? Kolejne kiwnięcie głową.

- Zaprowadzę panią tam. - Słowa z trudem wydobywały się z jej ust. - Ona tego chce.

Podniosłam się z łóżka i drżącymi rękami włożyłam na siebie szlafrok. Nogi wsunęłam w ranne pantofle.

Gilly wzięła mnie za rękę.

Przeszliśmy przez galerię, a potem po kilku schodkach w dół. Gilly zastukała palcami w drzwi i zatrzymała się przed nimi. Wydawała się nadśluchiwać.

Uniosła wzrok, spojrzała na mnie i kiwnęła głową, jakby odpowiadając komuś, kto znajduje się wewnątrz i zaprasza ją do środka. Ja nic nie słyszałam. Sytuacja stawała się niesamowita.

Następnie otworzyła drzwi. Znalazłyśmy się w pokoju, częściowo pograżonym w półmroku, ponieważ na dworze dopiero zaczynało się rozwidniać.

Gilly wyciągnęła rękę wskazującym ruchem, a mnie przez kilka sekund wydawało się, że widzę naprzeciwko kobiecą postać. Była w balowej sukni, z jasnymi włosami opadającymi w długich jedwabistych lokach na ramiona.

Wpatrywałam się w nią uporczywie; po chwili zdałam sobie sprawę, że mam przed sobą naturalnej wielkości portret olejny.

Zrozumiałam, że oto stanęłam twarzą w twarz z Alice.

* * *

Podeszłam bliżej do obrazu, by mu się dokładniej przyjrzeć. Błękitne oczy spoglądały prosto na mnie, a czerwone wargi sprawiały wrażenie, jakby pragnęły coś powiedzieć.

Z trudem zmusiłam się do stwierdzenia: Cóż za świetny artysta malował ten portret!

Ale, rzecz dziwna, miałam uczucie, że jest to coś więcej niż obraz. Możliwe, iż brało się ono stąd, że jeszcze nie całkiem się rozwidniło. Szary dom wciąż pograżony był we śnie, a na dodatek Gilly sprowadziła mnie tutaj w ten typowy dla siebie, tajemniczy sposób.

- Alice - wyszeptałam. Spoglądałam w napięciu na twarz z portretu i chociaż należałam do osób trzeźwo myślących, nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że postać młodej kobiety za chwilę wystąpi z ram i przemówi do mnie.

Zastanawiałam się, kiedy portret został namalowany... przed czy po tragicznym małżeństwie, zanim dowiedziała się, że nosi w sobie dziecko Geoffry'ego, czy potem.

- Alice - powiedziałam do siebie - gdzie jesteś teraz, Alice? Prześladowasz mnie, Alice. Odkąd dowiedziałam się o tobie, pojęłam, co znaczy być ogarniętym obsesją.

Gilly trzymała mnie za rękę.

- To tylko portret, Gilly - szepnęłam. Wyciągnęła mały palec i dotknęła białej balowej sukni. Gilly ją kochała. Popatrzyłam na tę łagodną dziewczęcą twarz i zrozumiałam, dlaczego.

Biedna Alice, którą nadmiar uczuć zapędził w ślepą uliczkę, co się z nią stało?

Nagle sobie uświadomiłam, że jest zimowy poranek, a ja mam na sobie tylko lekki szlafroczek.

- Zazębimy się na śmierć - zauważyłam rzeczowo. Ujęłam Gilly za rękę i mocno zatrzasnęłam drzwi za Alice.

* * *

Przebywałam w Penlandstow już od tygodnia i zastanawiałam się, jak długo ta sielankowa sytuacja może jeszcze trwać, kiedy wreszcie Connan zdecydował się odkryć przede mną karty.

Dzieci leżały już w łóżkach i Connan znów mnie zapytał, czy nie zechcę rozegrać z nim partii szachów.

Kiedy zeszłam do biblioteki, siedział przed szachownicą i patrzył na rozstawione pionki.

Zasłony były zaciągnięte, a w ogromnym kominku z wesołym trzaskiem paliły się grube polana. Podniósł się z krzesła, gdy weszłam. Pośpiesznie zajęłam miejsce naprzeciwko.

Uśmiechnął się do mnie. Taksował mnie wzrokiem od stóp do głów, rozpatrując każdy szczegół mej powierzchowności w sposób, jaki u kogoś innego z pewnością uważałabym za obraźliwy.

Zamierzałam właśnie przesunąć pionek króla, kiedy Connan się odezwał:

- Panno Leigh, nie zaprosiłem panią dziś wieczór tutaj po to, byśmy grali w szachy. Jest coś, co muszę pani powiedzieć.

- Słucham, panie TreMellyn.

- Wydaje mi się, że znam już panią bardzo długo. Dzięki pani zmieniliśmy się bardzo oboje: Alvean i ja. Gdyby pani wyjechała, bardzo by nam pani brakowało. Obydwoje pragniemy mieć pewność, że pani nas nie opuści.

Chciałam na niego spojrzeć, ale nie mogłam się na to zdobyć; obawiałam się, że on wyczyta w mych oczach zarówno nadzieję, jak i niepewność.

- Panno Leigh - ciągnął dalej - czy zechce pani z nami zostać... na zawsze?

- Nie rozumiem... Nie mogę uwierzyć...

- Proszę, by pani zechciała zostać moją żoną.

- Ale... ale to jest niemożliwe!

- Dlaczego niemożliwe, panno Leigh?

- Ponieważ... ponieważ to jest zupełnie bezsensowne.

- Czy według pani jestem nieodpowiednim kandydatem...? Może wydaję się pani odpychający? Proszę, niech pani będzie ze mną szczerą.

- Nie... nie o to mi chodzi. Ale ja jestem tu tylko guwernantką...

- Owszem. I tego się właśnie obawiam. Zdarza się, że guwernantki porzucają swe zajęcie. Nie zniósłbym, gdyby pani nas opuściła.

Zabrakło mi oddechu ze wzruszenia. Nie mogłam uwierzyć, że to, co słyszę, jest prawdą. Milczałam. Nie miałam odwagi się odezwać.

- Widzę, że się pani waha, panno Leigh.

- Jestem taka zaskoczona.

- Czyżby się pani niczego nie domyślała? - Kąciki jego warg drgnęły nieznacznie. - Przepraszam, panno Leigh. Wydawało mi się, że w pewnej mierze dawałam pani do zrozumienia, jaki jest stan moich uczuć.

Podczas tych kilku sekund starałam się wyobrazić sobie swój powrót do Mount Mellyn jako żony pana domu i przeistoczenie się z roli guwernantki w panią na Mellyn. Nie wątpiłam, że proces ten przebiegnie gładko i że za kilka miesięcy fakt, iż kiedyś byłam guwernantką, pójdzie w zapomnienie. Mogło mi nie dostawać wielu rzeczy, ale jedno miałam na pewno: godność; zdaniem Phillidy być może nawet trochę w nadmiarze. Ale nie tak wyobrażałam sobie oświadczyni. Powinny one mieć nieco inny charakter. Nie wziął mnie za rękę ani nawet nie dotknął. Siedział przy stole, spozierając na mnie chłodnym, prawie wyrachowanym wzrokiem.

Connan mówił dalej:

- Proszę pomyśleć, jak bardzo to nasze małżeństwo wyjdzie wszystkim na dobre. Ogromne wrażenie sprawił na mnie pani stosunek do Alvean. Dzięki pani pomocy doszła do siebie po ciężkim ciosie, jakim była dla niej strata matki. Dziecko potrzebuje matczynej opieki, a pani jej to zapewnia... wprost nadzwyczajnie.

- Czy pańskim zdaniem dwoje ludzi powinno się pobierać tylko ze względu na dobro dziecka?

- Jestem zbyt wielkim egoistą, panno Leigh. Nigdy bym się na to nie zdobył. - Przechylił się przez stół. Jego oczy płonęły dziwnym ogniem. Ich wyraz stanowił dla mnie zagadkę. - Pragnę panią poślubić, ponieważ mam na celu własne zadowolenie.

- Ale... - zaczęłam.

- Wyznaję, że nie miałem na względzie tylko samej Alvean. Jest troje ludzi, moja droga panno Leigh, którzy odniosą korzyść z tego małżeństwa. Alvean panią potrzebuje. I ja... panią potrzebuje. A pani? Czy my jesteśmy pani potrzebni? Może jest pani bardziej od nas psychicznie niezależną jednostką, ale co pani pocznie, jeśli pani nie wyjdzie za mąż? Będzie pani zmieniać jedną posadę po drugiej, a jak wiemy oboje, nie jest to przyjemna perspektywa. Kiedy się jest młodą, przystojną i wesołą kobietą, wszystko jest do zniesienia... ale wesołe guwernantki po jakimś czasie nieuchronnie zostają starzejącymi się pannami.

Odparłam kwaśnym tonem:

- Chce mi pan dać do zrozumienia, że powinnam zgodzić się na to małżeństwo, by zabezpieczyć się przed takim losem?

- Sugeruję tylko, by kierowała się pani głosem własnego serca, moja droga panno Leigh.

Zapadła chwila milczenia. Poczułam w tej chwili absurdalną ochotę wybuchnąć gorzkim płaczem. Marzyłam o tym momencie we dnie i w nocy, ale sposób oświadczyn Connana był tak suchy i bezduszny, że nie mogłam pozbyć się uczucia, iż skłoniła go do tego nie miłość do mnie, lecz zupełnie co innego. Miałam wrażenie, że dlatego skupił się na powodach, dla których powinniśmy się pobrać, ponieważ pragnął ukryć przede mną prawdziwą przyczynę swej oferty.

- Pańska propozycja sprowadza się wyłącznie do praktycznej strony naszego ewentualnego małżeństwa - wyjąkałam. - Nie tak wyobrażałam sobie oświadczyni.

Uniósł brwi i nagle wybuchnął gromkim śmiechem.

- Jakże się cieszę! Zawsze wydawała mi się pani taka rzeczowa i rozsądna, że doszedłem do wniosku, iż należy przedstawić ją w sposób, jaki najprędzej panią przekona.

- Czy poważnie chce się pan ze mną ożenić?

- Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu byłem bardziej poważny. Jaka będzie pani odpowiedź? Proszę nie trzymać mnie dłużej w niepewności.

Odparłam, że muszę mieć czas do namysłu.

- To jest do przyjęcia. Czy mogę liczyć, że jutro da mi pani odpowiedź?

- Tak - odparłam. - Jutro panu odpowiem.

Wstałam i podeszłam do drzwi. Uprzedził mnie. Ujął za klamkę. Czekałam, że zechce mi je otworzyć. Ale on nie zrobił tego, tylko nadal stał odwrócony plecami do wyjścia. Nagle pochwycił mnie w ramiona i zaczął obsypywać pocałunkami.

Całował tak, jak nikt nigdy przedtem mnie nie całował. W najśmielszych snach nie wyobrażałam sobie takich pocałunków. Zrozumiałam w tym momencie, że istnieje świat uczuć zupełnie mi nie znany. W uniesieniu całował moje oczy, nos, policzki, usta i szyję, aż obydwójgu nam zabrakło tchu.

Roześmiał się głośno.

- Czekać do rana - kpił. - Czy ja wyglądam na człowieka, który będzie czekał cierpliwie całą noc na odpowiedź? Czy pani myśli, że jestem typem mężczyzny, który żeni się tylko ze względu na dobro córki? Nie, panno Leigh - znowu przybrał drwiący ton - moja droga, droga panno Leigh... chcę się z panią ożenić, ponieważ odkąd zjawiała się pani w moim życiu, nie schodziła mi pani z myśli, i wiem, że tak już będzie do końca moich dni.

- Czy to prawda? - wyszeptałam. - Czy to może być prawda?

- Martha - powiedział. - Co za surowe imię dla takiego uroczonego stworzenia! A jednocześnie jest ono także bardzo dla pani odpowiednie.

- Moja siostra nazywa mnie Marty. Mój ojciec również mnie tak nazywał - wyjaśniłam.

- Marty... - zastanowił się. - To zdrobnienie z kolei ma w sobie odcień liryzmu, bezradności. Jest takie kobiece... Czasami możesz być Marty. Dla mnie będziesz wszystkimi trzema: Marty, Martha i panną Leigh, moją drogą panną Leigh. Widzisz, jesteś złożona z trzech osób naraz i moja najdroższa Marty zawsze zdradzi pannę Leigh. To ona mi powiedziała, że się mną interesujesz; w o wiele większym stopniu, niż panna Leigh uważałaby to za stosowne. Jakie to urocze! Poślubię nie jedną kobietę, lecz trzy.

- Czyżby moje zainteresowanie było aż takie widoczne?

- Bardzo. I tak uroczo okazywane.

Wiedziałałam, że dalsza wstrzeźliwość jest bezsensowna. Przestałam się bronić; słodycz jego uścisków przechodziła wszelkie wyobrażenie.

- Mam okropne uczucie - powiedziałam wreszcie - że rano obudzę się w swoim łóżku w Mount Mellyn i że ten dzisiejszy wieczór okaże się tylko snem.

- Czy wiesz - odparł z powagą - że ja mam podobne uczucie?

- Ale ty to co innego. Możesz robić, co chcesz... jechać, gdzie chcesz... nie jesteś zależny od nikogo.

- Nie jestem już niezależny. Zależę od ciebie, Marty, Martha, moja droga panno Leigh.

Mówił tak poważnie, że prawie rozplakałam się z rozczulenia. Zupełnie nie byłam w stanie zapanować nad swymi zmiennymi nastrojami.

To jest właśnie miłość - pomyślałam. Uczucie, które wznosi człowieka na same szczyty ludzkich doznań. A ponieważ może ono wznieść tak wysoko, grozi mu tym samym stałym niebezpieczeństwem upadku. Nigdy nie należy zapominać, że im większe jest szczęście, im wyżej cię ono wznosi, tym tragiczniejszy może być upadek z tego szczytu.

Ale moment, który przeżywałam w tej chwili, nie miał nic wspólnego z tragedią. Kochałam i - o cudzie! - byłam kochana. W bibliotece w Penlandstow nie miałam wątpliwości, że jestem obiektem prawdziwego uczucia.

Dla miłości takiej jak ta należy rzucić wszystko na szalę.

Położył mi ręce na ramionach i długo spoglądał mi w oczy.

- Będziemy szczęśliwi, kochanie - oświadczył. - Będziemy szczęśliwsi, niż ty i ja wyobrażaliśmy to sobie kiedykolwiek.

Wiedziałam, że tak będzie. Wszystko, co poprzedziło ten moment, zdążyło już dać nam przedsmak tej radości, którą będziemy się nawzajem obdarzać.

- A teraz pora na konkrety - oznajmił. - Powinniśmy nakreślić sobie jakiś plan. Kiedy się pobierzemy? Nie mam ochoty zwlekać ze ślubem. Nie ma niecierpliwszego człowieka ode mnie, gdy chodzi o chęć zaspokojenia własnych pragnień. Jutro wracamy do domu i tam ogłosimy nasze zaręczyny. Nie, nie jutro... pojutrze. Jutro mam kilka drobnych spraw do załatwienia. A gdy tylko zajedziemy do Mount Mellyn, wydamy bal, na którym ogłosimy nasze zaręczyny. Myślę, że w miesiąc potem powinniśmy wyruszyć w podróż poślubną. Proponuję, byśmy spędzili nasz miesiąc miodowy we Włoszech, chyba że masz jakiś inny pomysł.

Siedziałam ze splecionymi rękami. Musiałam wyglądać jak wniebowzięta uczennica.

- Ciekawa jestem, co powiedzą w Mount Mellyn.

- Kto, służba? Możesz być pewna, że orientują się w sytuacji. Służba zawsze ma dobry węch w takich sprawach. To domowi detektywi. Śledzą każdy trop. Ty drzysz! Jest ci zimno?

- Nie, jestem tylko podekscytowana. Nie mogę pozbyć się uczucia, że się za chwilę obudzę.

- Podoba ci się pomysł podróży poślubnej do Włoch?

- Może to być nawet Biegun Północny, byle w pewnym towarzystwie.

- Rozumiem, kochanie, że masz na myśli moje towarzystwo.

- Taka była moja intencja.

- Moja droga panno Leigh - mówił dalej - jakże ja lubię twoją powściągliwość! Ona w przyszłości bardzo ożywi nasze małżeńskie rozmowy.

Przemknęło mi przez myśl, że on porównywał mnie z Alice, i znowu wstrząsnął mną dreszcz jak po jego uwadze o detektywach.

- Zastanawiasz się, jak nasze zaręczyny zostaną przyjęte - ciągnął moją myśl. - Służba... sąsiedzi... Co to ma za znaczenie? Czy ciebie to obchodzi? Oczywiście, że nie. Panna Leigh jest na to zbyt rozsądna. Marzę o chwili, gdy powiadomię o naszym małżeństwie Petera Nansellocka. Szczerze mówiąc, byłem cokolwiek zazdrosny o tego młodego człowieka.

- Nie było powodu.

- Niemniej byłem niespokojny. Wyobrażałem sobie, że on zdoła cię namówić, byś wyjechała z nim do Australii. Zrobiłbym wszystko, by do takiej ewentualności nie dopuścić.

- Nawet uciekając się do propozycji małżeństwa?

- Nawet dalej, gdyby zaistniała taka potrzeba. Porwałbym cię i zamknął w lochu, dopóki by nie odjechał.

- Nie było najmniejszego powodu do takiej obawy.

- Mówisz prawdę? Moim zdaniem on jest bardzo przystojny.

- Być może. Nie zauważyłam.

- Miałem ochotę go zabić, kiedy się dowiedziałem, że miał czelność ofiarować ci Jacinth.

- Wydaje mi się, że on jedynie udaje takiego bezczelnego. Bawi się tą rolą. Przypuszczalnie domyślał się, że nigdy jej nie przyjmę.

- Nie muszę być zatem o niego zazdrosny?

- Nie musisz być zazdrosny o nikogo - zapewniłam go. Ponownie wziął mnie w objęcia. W mocnym uścisku jego ramion zapomniałam o całym świecie. Wiedziałam tylko, że odkryłam miłość, i jak bez wątpienia niezliczone rzesze kochanków przed nami wierzyłam, że nikt na świecie nie kochał się mocniej od nas. Po chwili Connan oznajmił:

- Pojutrze wracamy do domu. Bez zwłoki podejmiemy przygotowania do ślubu. Pobierzemy się od dziś za miesiąc. Zaraz po powrocie damy na zapowiedzi. Urządzimy bal, na którym ogłosimy nasze zaręczyny, i zaprosimy wszystkich naszych sąsiadów na wesele.

- Czy to jest naprawdę konieczne?

- Tradycja, moja droga. Dziedzictwo, przed którym musimy pochylić głowę. Będiesz wspaniała, co do tego nie mam żadnych wątpiwości. Bardzo się denerwujesz?

- Jeśli chodzi o twoich okolicznych sąsiadów - nie.

- Tym razem wspólnie otworzymy bal, najdroższa panno Leigh.

- Dobrze - zgodziłam się. Wyobraziłam sobie siebie w zielonej sukni z bursztynowym grzebieniem we włosach i brylantową broszką rozbłyskującą kolorowymi ogniami na zielonym jedwabiu.

Nie bałam się reakcji jego przyjaciół ani znajomych, gdy przyjdzie mi zająć miejsce w ich kręgu. Wówczas zaczął mówić o Alice.

- Nigdy ci nie mówiłem - powiedział - o swoim pierwszym małżeństwie.

- To prawda - odparłam.

- Nasz związek nie był szczęśliwy.

- Bardzo mi przykro.

- Małżeństwo zostało z góry zaplanowane. Tym razem sam wybiorę sobie żonę. Tylko ktoś, kto nie zaznał szczęścia w pierwszym małżeństwie, może docenić wartość drugiego. Najdroższa, obawiam się, że nie prowadziłem życia zakonnika.

- Domyślałam się.

- Dużo nagrzeszyłem...

- Jestem przygotowana na najgorsze.

- Alice... moja żona... i ja byliśmy bardzo niedobraną parą.

- Opowiedz mi o niej.

- Nie ma wiele do opowiadania. Była łagodnym stworzeniem, zgodnym i bezkonfliktowym. Bardzo starała się być miła. Nie miała jednak w sobie wewnętrznej radości. Rozumiałem przyczynę. Wyszła za mnie bez miłości. Przedtem była zakochana w kimś innym.

- To z tym człowiekiem uciekła? - zapytałam. Skinął głową twierdząco.

- Biedna Alice. Nie miała szczęścia. Wybrała nie tylko nieodpowiedniego męża, ale i nieodpowiedniego kochanka. Nie było wielkiej różnicy między nami... mną i Geoffrym Nansellockiem. Byliśmy ulepieni z tej samej gliny. Dawnymi laty w tych okolicach istniała tradycja droit de seigneurs (Prawo suwerena). Geoffry i ja robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by ją podtrzymać.

- Mówisz, że miałeś wiele miłostek.

- Jestem rozwiązłym, zdegenerowanym flirciarzem. Chciałem powiedzieć: byłem. Ponieważ od tej pory, zawsze, do końca życia, będę wierny jednej kobiecie. W twoich oczach nie dostrzegam ani pogardy, ani niedowierzania. Chwała ci za to! Naprawdę tak myślę, najdroższa Marty, przysięgam, że mówię prawdę. Ponieważ jestem człowiekiem doświadczonym, wiem, jaka jest różnica między miłostkami, którym się dawniej oddawałem, a tym, co czuję obecnie. Tym razem jest to miłość.

- Tak - odrzekłam wolno - będziemy sobie wierni, gdyż tylko w ten sposób możemy potwierdzić głębię i moc naszego uczucia.

Ujął moje ręce i ucałował je. Nigdy nie widziałam go tak poważnego.

- Kocham cię - powiedział. - Pamiętaj o tym... zawsze o tym pamiętaj.

- Będę się starała.

- Mogą cię dochodzić plotki.

- Owszem, słyszy się różne plotki - przyznałam.

- Słyszałaś o Alice i o tym, że Alvean nie jest moją córką? Och, kochanie, ktoś ci o tym powiedział? Nie chcesz powiedzieć, kto? Nie chcesz zdradzić tej osoby? Nieważne, kto. Wiesz o tym. Jest to prawda. Dlatego nie potrafiłem pokochać tego dziecka. Prawdę mówiąc, starałem się jej nawet unikać. Przywodziła mi bowiem na pamięć to, o czym usilnie starałem się zapomnieć. Budziła we mnie przykre skojarzenia. Ale kiedy ty się zjawiałaś, poczułem, że coś się we mnie zmieniło. Sprawiałaś, że spojrzałem na Alvean innymi oczami, że

zrozumiałem, iż jest biednym, osamotnionym dzieckiem, cierpiącym za grzechy dorosłych. Widzisz więc, że dzięki tobie, droga Marty, stałem się innym człowiekiem. Twoje przybycie wywarło wpływ również na wszystkich domowników. I to właśnie utwierdza mnie w przekonaniu, że nasz związek będzie różnił się od wszystkich moich poprzednich miłości.

- Chcę, by to dziecko było szczęśliwe. By pozbyła się wątpliwości, kto jest jej ojcem. Niech już raz na zawsze, bez zastrzeżeń, przyjmie, że to ty nim jesteś. Ona potrzebuje tej pewności.

- Skoro ty będziesz dla niej matką, ja muszę być jej ojcem.

- Będzie nam dobrze razem, ukochany.

- Czy potrafisz przewidzieć przyszłość?

- Ufnie patrzę w przyszłość, ponieważ to my sami ją tworzymy; a pragnę, by była wyłącznie pasmem szczęścia.

- Jeśli panna Leigh powie, że tak ma być, to tak być musi. A ty z kolei, czy obiecujesz mi, że nie weźmiesz sobie do serca plotek na mój temat, jeśli takowe dotrą do twoich uszu?

- Masz na myśli lady Treslyn? Wiem, była twoją kochanką.

Skinał twierdząco głową.

- Ale już nią nie jest! To już minęło! Ucałował moją rękę.

- Pamiętaj, że przysiągłem ci wierność aż po grób.

- Ona jest taka piękna - rzekłam - i mieszka tak blisko.

- Ale ja jestem zakochany - odparł. - Zakochałem się po raz pierwszy w życiu.

- W niej nie byłeś zakochany?

- Żądza, namiętność występuje często pod płaszczykiem miłości. Kiedy jednak ktoś napotka na swej drodze prawdziwe uczucie, odróżni je natychmiast. Najdroższa! Odrzućmy od siebie wszystko to, co wiąże się z przeszłością. Zacznijmy życie od nowa, od tej chwili... ty i ja... na dobre i na złe.

Znowu znalazłam się w jego ramionach.

- A może ja śnię? - zapytałam. - Powiedz, kochany, że to nie sen.

Było już późno, gdy się rozstaliśmy. Szłam do swego pokoju na skrzydłach szczęścia. Bałam się zasnąć z obawy, że kiedy się zbudzę, rzeczywistość okaże się inna.

* * *

Rankiem udałam się do pokoju Alvean i obwieściłam jej nowinę. Uśmiech przemknął po jej twarzy. Szybko przybrała obojętną minę,

ale już było za późno. Wiedziałam, że przyjęła wiadomość z zadowoleniem.

- Zostanie już pani teraz z nami na zawsze - stwierdziła.

- Oczywiście - zapewniłam.

- Ciekawa jestem, czy kiedyś będę jeździć konno tak dobrze jak pani.

- Przypuszczam, że nawet lepiej. Będiesz miała więcej sposobności do trenowania, niż ja miałam kiedykolwiek.

Uśmiechnęła się ponownie, ale zaraz spoważniała.

- Jak ja będę panią nazywać? Będzie pani przecież moją macochą.

- Możesz mnie nazywać, jak ci się podoba.

- Ale nie panną Leigh.

- Raczej nie. Nie będę już panną.

- Przypuszczam, że będę musiała mówić do pani: mama. - Mocno zacisnęła usta.

- Jeżeli ci to nie odpowiada, możesz zwracać się do mnie Martha lub Marty. Tak nazywali mnie siostra i ojciec.

- Marty - powtórzyła. - Podoba mi się to imię. Tak może się nazywać koń.

- Czyż może być lepsza pochwała?! - wykrzyknęłam. Alvean z niezmiennie poważną miną obserwowała moje rozbawienie. Poszłam do pokoju Gilly.

- Gilly - oznajmiłam. - Zostaję panią TreMellyn. Błękitne oczy błysnęły zrozumieniem, a uśmiech radości rozjaśnił jej twarzyczkę. Podskoczyła do mnie i ukryła głowę na mojej piersi. Czułam, jak jej ciało drży ze szczęścia.

Nie byłam w stanie dokładnie odczytać myśli przemykających przez zamroczony umysł Gilly, ale wiedziałam, że jest zadowolona. Utożsamiła mnie z Alice i czułam, że jest mniej zaskoczona ode mnie, od Alvean i od kogokolwiek innego.

Dla Gilly wiadomość, że ja zajmę miejsce Alice, była najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

Byłam przekonana, że od tego momentu stałam się dla Gilly Alice.

* * *

Powrotna podróż do domu przebiegła w wesołym nastroju. Przez całą drogę do stacji śpiewaliśmy kornwalijskie piosenki. Nigdy nie

widziałam Connana tak szczęśliwego. Pomyślałam, że podobnie będzie wyglądać reszta naszych dni.

Alvean śpiewała razem z nami. Gilly również. Z zadziwieniem patrzyłam, jak to dziecko, powszechnie uchodzące za niemowę, stara się nam wtórować, nucąc sobie z cicha. Śpiewaliśmy Twelve Days of Christmas. Connana, obdarzonego głębokim barytonem, z przyjemnością się słuchało. Miałam uczucie, że rozplnę się ze szczęścia, gdy śpiewał pierwsze zwrotki.

W pierwszy dzień Bożego Narodzenia ukochany mój

Przysłał mi na gruszy przepióreczką. Odśpiewaliśmy całą piosenkę, ale nie zapamiętałam, jakie dary napłynęły w ślad za pięcioma złotymi pierścionkami. Zaśmiewaliśmy się do łez, sprzecząc się, ile dziewcząt doiło krowy i ile przysłano gęsih niosek.

- To nie były zbyt mądre prezenty - zauważyła Alvean - z wyjątkiem tych pięciu złotych pierścionków. Myślę, że on jej naprawdę nie kochał, tylko udawał miłość.

- Ale to był jej ukochany - zaprotestowałam.

- A skąd ona miała pewność, że tak jest? - pytała Alvean.

- Ponieważ ją o tym zapewnił - wtrącił się Connan.

- Wobec tego powinien jej dać coś lepszego niż przepiórkę na gruszy. Przypuszczam, że przepiórka odleciała, a gruszki były twarde, nadające się jedynie do duszenia.

- Nie bądź taka bezwzględna dla kochanków! - wykrzyknął Connan. - Cały świat ich uwielbia i ty musisz go naśladować.

I tak śmialiśmy się i żartowaliśmy aż do nadejścia pociągu.

Na stacji oczekiwał nas powóz z Billym Trehayem. Po przybyciu na miejsce zorientowałam się, że Connan musiał poprzedzić nasz przyjazd odpowiednią wiadomością, która dotarła tutaj jeszcze przed nami. Chciał, by mnie przyjęto z należnymi honorami. Niemniej powitanie, jakie nam zgotowano w wielkim holu, było dla mnie wielkim zaskoczeniem.

Zebrała się w nim cała służba: Polgreyowie i Tapperty z rodzinami oraz ogrodnicy i stajenni, a nawet prawie nie znani mi chłopcy i dziewczęta ze wsi, zatrudnieni w domu i w gospodarstwie. Uroczyście ustawili się w szeregu. Connan ujął mnie pod ramię i wprowadził do środka.

- Wiecie już - zaczął - że panna Leigh przyrzekła zostać moją żoną. Za kilka tygodni zostanie waszą panią.

Mężczyźni uklonili się, a kobiety dygnęły. Uśmiechałam się do nich, przechodząc z Connanem wzdłuż szpaleru, ale miałam świadomość, że patrzą na mnie z pewną rezerwą.

Domyślałam się, że nie byli jeszcze gotowi zaakceptować mnie jako swą panią... na razie.

* * *

W moim pokoju było ciepło i przytulnie. Suty ogień buzował na kominku. Daisy przyniosła ciepłą wodę, ale sprawiała wrażenie trochę skrepowanej. Nie zatrzymała się, by ze mną porozmawiać, jak miała w zwyczaju.

Przyrzekłam sobie, że postaram się odzyskać ich zaufanie, ale oczywiście muszę pamiętać, iż jako przyszła pani tego domu nie mogę pozwalać sobie na zbyt dużą poufałość w stosunkach ze służbą.

Kolację zjadłam z Connanem i Alvean, a potem odprowadziłam dziewczynkę na górę. Powiedziałam jej dobranoc, a sama zeszłam do Connana, do biblioteki.

Mieliśmy wiele różnych spraw do omówienia i to wspólne robienie planów na przyszłość sprawiało mi niewymowną rozkosz.

Connan zapytał, czy już napisałam do mojej rodziny; odparłam, że jeszcze nie zdążyłam. Nadal nie mogłam uwierzyć, że to, co się dzieje, jest rzeczywistością.

- Może ten przedmiot wspomogę twoją pamięć - oświadczył wówczas Connan. Wyjął z szuflady biurka kasetkę z klejnotami i pokazał mi piękny szmaragd w kształcie kwadratu, otoczony brylantami.

- Piękny pierścień, zbyt piękny dla mnie!

- Nic nie jest za piękne dla Marthy TreMellyn - oświadczył; ujął moją lewą dłoń i wsunął mi pierścień na trzeci palec.

Wyciągnęłam rękę i przyjrzałam się klejnotowi.

- Nigdy nie myślałam, że będę miała w życiu coś równie cudownego.

- Jest to tylko zapowiedź tych wszystkich rzeczy, które dostaniesz ode mnie w przyszłości. To taka przepiórka na gruszy, kochanie.

Następnie ucałował moją dłoń, a ja powiedziałam sobie, że jeśli kiedykolwiek ogarnie mnie wątpliwość, czy wszystko to, co w tej

chwili mnie spotyka, jest rzeczywistością, popatrzę na swój szmaragd jako na rzeczowy dowód, iż nie śnię.

* * *

Nazajutrz rano, kiedy zeszłam na dół, Connana nie było - wyjechał w swoich sprawach. Jak codziennie, odbyłam lekcje z Alvean i Gilly, bo chciałam, by na razie wszystko pozostało po dawnemu, po czym udałam się do swego pokoju. Po kilku minutach usłyszałam dyskretne pukanie do drzwi.

Na moje zaproszenie do pokoju weszła pani Polgrey. Minę miała trochę niepewną. Domyśliłam się, że musiało zajść coś bardzo ważnego.

- Panno Leigh - zaczęła. - Są rzeczy, które musimy omówić. Chciałam się zapytać, czy nie zechciałaby pani pofatygować się do mego pokoju. Nastawiłam już czajnik. Napije się pani ze mną herbaty?

Zgodziłam się chętnie. Bardzo mi zależało, by nasze stosunki, które według mojej oceny zawsze były sympatyczne i pełne wzajemnego szacunku, nie uległy zmianie.

Zasiadłyśmy przy herbacianym stoliku w jej pokoju. Tym razem nie było propozycji whisky. Bardzo mnie to ubawiło, chociaż oczywiście nie napomknęłam o tym ani słowem. Będę panią tego domu i mój stosunek do alkoholizowanej herbatki niekoniecznie musi być taki sam jak guwernantki.

Ponownie złożyła mi gratulacje z okazji zaręczyn, wyrażając swoje wielkie zadowolenie z tego faktu. „Szczerze mówiąc - oświadczyła - cały dom się z tego cieszy". Zapytała mnie również, czy zamierzam poczynić jakieś zmiany, na co odrzekłam, że nic takiego nie przewiduję, ponieważ dom, moim zdaniem, jest doskonale przez nią prowadzony.

Przyjęła moje oświadczenie z widoczną ulgą i następnie przystąpiła do właściwego tematu.

- W czasie pani nieobecności, panno Leigh, w naszej okolicy trochę się zakotłowało.

- Och! - wykrzyknęłam, czując, że zaraz poznam prawdziwą przyczynę naszego spotkania.

- Jest to w dalszym ciągu sprawa związana z nagłą śmiercią sir Thomasa Treslyna.

Serce zaczęło mi bić niespokojnie.

- Ale przecież - zaczęłam - on już został pochowany. Wszak razem byliśmy na jego pogrzebie.

- Tak, tak. To jednak wcale nie oznacza, że sprawa jest zakończona, panno Leigh.

- Nie rozumiem, pani Polgrey.

- Widzi pani, chodzą plotki... nieprzyjemne plotki. Na dodatek są jeszcze anonimowe listy.

- Do kogo?

- Do niej, panno Leigh... do wdowy, a także chyba i gdzie indziej... i w rezultacie mają odkopywać grób. Będą dochodzić przyczyny śmierci.

- Sądzi pani... że podejrzewają, iż został otruty?

- Widzi pani, były te donosy, anonimy. Poza tym śmierć nastąpiła tak nagle. Nie podoba mi się, że zmarł prawie w naszych progach... Takie wydarzenie nie wychodzi na dobre żadnemu domowi...

Spoglądała na mnie dziwnym wzrokiem. Odniosłam wrażenie, jakby się nad czymś zastanawiała.

Z całej siły starałam się powstrzymać nieprzyjemne myśli, jakie zaczęły tłoczyć się w mojej głowie.

Ujrzałam ponownie Connana i lady Treslyn w ponczowym saloniku, razem, odwróconych do mnie plecami... śmiejących się wesoło. Czy Connan był wtedy we mnie zakochany? Nikomu by to na myśl nie przyszło. Przypomniały mi się słowa, które dobiegły do moich uszu po skończonym balu: „To już długo nie potrwa... teraz”. Powiedziała wtedy... i to do niego. A potem była rozmowa, której strzępy doszły do moich uszu podczas spaceru w lesie.

Co to mogło oznaczać? - zadawałam sobie pytanie. Nie chciałam jednak dopuścić, by zawładnęło ono moim umysłem. Nie miałam odwagi. Nie przeżyłabym, gdyby moje sny o szczęściu obróciły się wniwecz. Zmuszona byłam nadal wierzyć i dlatego nie pozwalałam sobie na dłuższe roztrząsanie tej sprawy.

Spojrzałam w zatroskaną twarz pani Polgrey wzrokiem, który niczego nie wyrażał.

- Przypuszczałam, że to panią zainteresuje - oświadczyła.

Rozdział 8

Bałam się; nigdy się tak nie bałam od przyjazdu do Mount Mellyn.

Miano ekshumować sir Thomasa Treslyna, który zmarł po przyjęciu w naszym domu. Jego nagła śmierć wydawała się ludziom podejrzana i w rezultacie zaczęły się mnożyć różnego rodzaju anonimy. Skąd się takie podejrzenie wzięło? Sądzone, że żona sir Thomasa pragnęła się go pozbyć, bo dla nikogo nie było tajemnicą, że Connan i Linda Treslyn byli kochankami. Na drodze do ich połączenia znajdowały się dwie przeszkody: Alice i sir Thomas. Obydwoje zmarli gwałtowną śmiercią.

Ale Connan nie zamierzał poślubić lady Treslyn. Connan kochał mnie.

Straszliwa myśl przebiegła mi przez głowę. Czy Connan wiedział o planowanej ekshumacji? O święta naiwności! Na jakim świecie żyję? Czy mój cudowny sen o szczęściu miał zmienić się w koszmarną rzeczywistość?

Czy stałam się narzędziem w ręku cynika? Dlaczego nie użyć mocniejszego słowa? Czy stałam się narzędziem w ręku mordercy?

Nie wierzyłam w to. Kochałam Connana. Przysięgam, że będę mu wierna aż do grobowej deski. Cóż za wartość ma taka przysięga, skoro moja wiara w niego załamała się już przy pierwszym doświadczeniu?

Próbowałam dyskutować sama z sobą. Jesteś szalona, Martha Leigh. Czy naprawdę wierzysz, że mężczyzna taki jak Connan TreMellyn mógł się nagle w tobie zakochać?

Tak, wierzę. Wierzę! - odcięłam się z całą mocą.

Ale jako kobieta odczuwałam strach.

* * *

Zauważyłam, że domownicy podzielili się na dwie grupy; jedni interesowali się przede wszystkim ekshumacją sir Thomasa, drugich natomiast zaprzętało głównie planowane małżeństwo pana domu z guwernantką.

Starłam się unikać surowego wzroku pani Polgrey i lubieżnych spojrzeń Tapperty'ego. Nie chciałam też spoglądać w podekscytowane oblicza jego córek. Czy i oni, tak jak ja, łączyli ze sobą obydwie te wypadki?

Zapytałam Connana, co myśli o sprawie Treslynów.

- Intrygi - odrzekł. - Dokonają autopsji i stwierdzą, że zmarł śmiercią naturalną. Przecież lekarz, który od lat go leczył, zawsze mu mówił, że powinien liczyć się z nagłym zejściem.

- To musi być bardzo denerwujące dla lady Treslyn.

- Ale w rezultacie wyjdzie jej na dobre. Anonimy zatruwały jej życie, więc odetchnie z ulgą, kiedy sprawa się wyjaśni.

Pomyślałam o biegłych lekarzach. Na pewno są to ludzie, którzy znają Treslynów i Connana. Ponieważ Connan miał ożenić się ze mną - a rozgłaszał to skwapliwie - czy ich podejście do sprawy w tym wypadku będzie inne, niż gdyby mieli przekonanie, że lady Treslyn jest zainteresowana w ponownym zamążpójściu? Któż to może wiedzieć?

Muszę odegnąć od siebie te straszliwe myśli. Wierzę w Connana. Muszę w niego wierzyć. Gdybym nie wierzyła, musiałabym przyjąć do wiadomości fakt, że pokochałam mordercę.

Zaproszenia na bal zostały pośpiesznie rozesłane; zbyt pośpiesznie jak na mnie. Lady Treslyn, jako wdowa w okresie żałoby, oczekująca w dodatku na wynik autopsji, nie została, rzecz jasna, zaproszona. Bal miał się odbyć już w czwarty dzień po naszym powrocie z Penlandstow.

Celestine i Peter odwiedzili nas dzień przed balem.

Celestine objęła mnie i ucałowała.

- Moja droga - powiedziała - cieszę się niewymownie. Obserwowałam twój stosunek do Alvean i wiem, jakie to będzie miało dla niej znaczenie. - W oczach jej rozbłyły łzy. - Alice byłaby taka szczęśliwa.

Podziękowałam jej za miłe słowa i dodałam:

- Okazywałaś mi zawsze tyle życzliwości.

- Byłam ci wdzięczna, że dziecko ma wreszcie guwernantkę, która ją naprawdę rozumie.

- O ile wiem, panna Jansen również ją rozumiała.

- Panna Jansen... tak. Wszyscy tak myśleliśmy. Szkoda, że okazała się nieuczciwa. Chociaż niewykluczone, że jej postępek wy pływał jedynie z nagłej pokusy. Zrobiłam wszystko, co w mej mocy, by jej pomóc.

- Rada jestem, że ktoś to uczynił.

Podszedł Peter. Ujął moją rękę i lekko ją ucałował. Wyraz niezadowolenia, jaki pojawił się na twarzy Connana, sprawił, że serce zabiło mi żywiej ze szczęścia. Zawstydziałam się swych podejrzeń.

- Szczęśliwiec z tego Connana! - wylewnie wykrzyknął Peter. - Nie muszę ci mówić, jak bardzo mu zazdroszczę. Sądzę, że dałem to już wystarczająco do zrozumienia. Przyprowaździłem Jacinth. Obiecałem przecież dać ci ją w prezencie, pamiętasz? To jest mój ślubny podarunek. Nie możesz go już odrzucić.

Spojrzałam na Connana...

- Prezent dla nas obojga - rzekłam.

- O nie! - zaprotestował Peter. - Koń jest dla ciebie. Dla Cona pomyślę o czymś innym.

- Dziękuję ci, Peter - oświadczyłam. - Jesteś bardzo hojny.

Potrząsnął głową.

- Nie wyobrażam sobie, by dostała się w inne ręce. Jestem przywiązany do tej klaczy. Pragnę, by miała dobry dom. Wiesz, że postanowiłem wyjechać pod koniec tygodnia?

- Tak szybko?

- Wszystko uległo przyśpieszeniu. Nie ma powodu, by odkładać wyjazd. - Popatrzył na mnie znacząco. - Zwłaszcza teraz - dodał.

Zauważyłam, że Kitty, która nas obsługiwała, uważnie nadstawia uszu.

Celestine z ożywieniem mówiła coś do Connana, a Peter kontynuował:

- Więc w rezultacie ty i Con będziecie razem. Panna Leigh będzie go krótko trzymać, jak ją znam.

- Nie mam zamiaru być jego guwernantką, wiesz o tym dobrze.

- Nie jestem tego taki pewien. Jak się już raz zostało guwernantką, jest się nią przez całe życie. Wydaje mi się, że Alvean odnosi się życzliwie do waszych planów.

- Mam nadzieję, że mnie zaakceptuje.

- Myślę, że lubi cię nawet bardziej niż pannę Jansen.

- Biedna panna Jansen. Ciekawa jestem, co się z nią stało.

- Celeste jej pomogła. Wydaje mi się, że bardzo się przejmowała losem tej biednej dziewczyny.

- Ogromnie się z tego cieszę.

- Pomogła jej załatwić inną pracę... u pewnych naszych przyjaciół. Nazywają się Merrivalesowie i mają posiadłość na skraju

Dartmoor. Zastanawiam się, jak naszej wesołej pannie Jansen podoba się Hoodfield Manor. Wyobrażam sobie, że musi się tam potwornie nudzić. Najbliższe miasteczko Tavistock jest oddalone od ich majątku o ponad dziesięć kilometrów.

- Bardzo ładnie ze strony Celestine, że jej pomogła.

- To cała moja siostra. - Podniósł kieliszek do góry. - Za twoją pomyślność, panno Leigh. A ilekroć dosiędziesz Jacinth, pomyśl o mnie.

- Obiecuję... - i o imienniczce Jacinth, pannie Jansen... Roześmiał się.

- A gdybyś - dodał - odstąpiła od zamiaru... Zdziwiona, uniosłam brwi.

- Poślubienia Connana, o tym myślę. Na drugim krańcu świata będzie na ciebie czekać mały domeczek. Zawsze dochowam ci wierności, panno Leigh.

Roześmiałam się i upiłam trochę wina.

* * *

Następnego dnia wybrałyśmy się z Alvean na konną przejażdżkę. Miałam pod sobą Jacinth. Było to wspaniałe zwierzę i jazda na niej sprawiła mi ogromną przyjemność. To jeszcze jeden z tych cudów, które mnie ostatnio spotkały. Miałam nawet własnego wierzchowca.

Bal okazał się niezwykle udany. Byłam zaskoczona przychylnością sąsiadów i ich gotowością przyjęcia mnie do swego grona. Zapomniano o fakcie, że byłam guwernantką Alvean. Domyślałam się, iż znajomi Connana nawzajem informowali się o tym, że jestem młodą, wykształconą kobietą, w miarę dobrze urodzoną. Możliwe, że ci, którzy go lubili, przyjęli nawet z ulgą wieść o jego projektowanym małżeństwie, ponieważ nie chcieli, by został wciągnięty w aferę Treslynów.

Na drugi dzień po balu Connan znów wyjechał z Mount Mellyn. Wzywały go interesy.

- Zaniedbałem dużo spraw w czasie pobytu w Penlandstow - oświadczył mi. - Zapomniałem o wielu rzeczach. Nic dziwnego. Głowę miałem zaprzątniętą zupełnie czymś innym. Przypuszczam, że moja nieobecność przeciągnie się do tygodnia. Kiedy wrócę, już tylko dwa tygodnie będzie nas dzieliło od dnia ślubu. Ty w tym czasie będziesz mogła poczynić własne przygotowania. I, kochanie, jeżeli uznasz za stosowne dokonać w domu jakichś zmian... coś w nim

zrobić, nie omieszkaj o tym powiedzieć. Nie byłoby od rzeczy poradzić się Celestine. Ona zna się doskonale na wszystkim, co dotyczy starych rezydencji.

Obiecałam, że zastosuję się do jego rady, ponieważ na pewno sprawię jej tym przyjemność, a chciałam być dla niej miła.

- Celestine od samego początku odnosiła się do mnie z wielką życzliwością - stwierdziłam. - Nigdy jej tego nie zapomnę. Jestem jej winna dozgonną wdzięczność.

Powiedział mi: do widzenia i odjechał, a ja z okna swej sypialni pomachałam mu ręką na pożegnanie. Nie odważyłam się żegnać go z ganku, nadal bowiem krępowałam się służących.

Kiedy wyszłam z pokoju, zastałam pod drzwiami Gilly. Od kiedy powiedziałam jej, że zostaję panią TreMellyn, zaczęła chodzić za mną krok w krok. Zaczynałam lepiej rozumieć to dziecko. Darzyła mnie takim samym uczuciem, jakie miała do Alice, i z każdym dniem granica między mną a panią TreMellyn zaczynała się coraz bardziej zacierać w jej chorej głowce. Alice zniknęła z jej życia. Pragnęła mieć pewność, że ja nadal istnieję.

- Dzień dobry, Gilly - powitałam ją.

Skłoniła głowę w charakterystyczny dla siebie sposób i roześmiała się cichutko. Następnie włożyła rączkę w moją dłoń i tak weszła do mego pokoju.

- Gilly - oznajmiłam jej - za trzy tygodnie będę mężatką. Jestem najszczęśliwszą kobietą pod słońcem.

Usiłowałam umocnić swoją wiarę; czasami zwracanie się do Gilly było jakby mówieniem do siebie.

Przypomniałam sobie rozmowę z Connanem o ewentualnych zmianach, jakie mogę poczynić w domu, i uprzytomniłam sobie, że są w nim pomieszczenia, których dotychczas nie widziałam.

Przyszła mi nagle na myśl panna Jansen; wiedziałam od domowników, że zajmowała pokój inny niż ja. Nigdy nie byłam w jej sypialni i doszłam do wniosku, że dobrze będzie obejrzeć ją teraz. Mogłam obecnie bez obawy zwiedzać wszystkie interesujące mnie zakamarki domu; nie musiałam się z tym kryć. Wszak niezadługo będę jego panią.

- Chodź, Gilly - zwróciłam się do dziewczynki. - Pójdziemy obejrzeć pokój panny Jansen.

Z zadowoleniem dreptała przy moim boku. Okazało się, że jest znacznie inteligentniejsza, niż ludzie o niej sądzą, ponieważ to właśnie ona zaprowadziła mnie do sypialni byłej guwernantki Alvean.

Pokój panny Jansen nie odznaczał się niczym nadzwyczajnym. Był mniejszy od mojego. Jedyne godne uwagi szczegól stanowiło dość ciekawe malowidło ściennie. Przyglądałam mu się z zainteresowaniem, gdy Gilly złapała mnie za ramię i pociągnęła bliżej ku niemu. Wyciągnęła krzesło i wspięła się na nie. Wówczas zrozumiałam. W tej ścianie znajdował się wziernik, taki sam jak w solarium. Wyjrzałam przez niego i zobaczyłam kaplicę. Widziałam oczywiście inną jej część, ponieważ wylot z solarium znajdował się z przeciwległej strony.

Gilly spoglądała na mnie z dumą. Była wyraźnie zadowolona, że mogła mi pokazać ten otwór. Wróciłyśmy do mego pokoju, ale dziewczynka ociągała się z odejściem.

Wiedziałam, że się boi, i rozumiałam powody jej niepokoju. W swym zdezorientowanym nieco umyśle połączyła mnie w sposób tak oczywisty z Alice, że nie mogła pozbyć się obawy, iż zniknę tak jak ona, niespodziewanie.

Była zdecydowana nie spuszczać mnie z oka, by nie przydarzyło się to po raz drugi.

* * *

Wiatr wiał przez całą noc. Ciągnął od morza z południowego zachodu. Niósł ze sobą deszcz, który niemal poziomo i z taką mocą zacinał w nasze okna, że nawet solidne fundamenty Mount Mellyn wydawały się dygotać pod jego naporem. Była to jedna z najbardziej deszczowych nocy, jakie przeżyłam od przyjazdu do Kornwalii.

Deszcz padał również w ciągu dnia. Wszystko w moim pokoju - lustra, meble - było zamglone od wilgoci. „Tak się zazwyczaj dzieje, gdy południowo - zachodni wiatr łączy się z deszczem - poinformowała mnie pani Polgrey - a to jest prawie regułą”.

Tego dnia musiałyśmy zrezygnować z Alvean z codziennej konnej przejażdżki.

Rankiem następnego dnia niebo się trochę przejaśniło, a ulewny deszcz zamienił się w drobny kapuśniaczek. Lady Treslyn przyjechała z wizytą do Mount Mellyn, ale ja się z nią nie widziałam. Nie pytała o mnie. To pani Polgrey poinformowała mnie o jej odwiedzinach i o tym, że pragnęła widzieć się z Connanem.

- Wyglądała na bardzo zdenerwowaną - stwierdziła pani Polgrey.
- Ona dopiero wtedy odżyje, kiedy ta straszliwa sprawa się zakończy.

Byłam pewna, że lady Treslyn zamierzała porozmawiać z Connanem o jego planowanym małżeństwie ze mną, i powodem jej zdenerwowania było to, iż nie zastała go w domu.

Przyjechała również Celestine Nansellock. Rozmawialiśmy o domu. Powiedziała, że ogromnie ją cieszy, iż zaczynam przejawiać zainteresowanie Mount Mellyn.

- Nie tylko jako domem - oświadczyła - ale jako mieszkalnym budynkiem. - I dodała: - Mam pewne stare dokumenty dotyczące Mount Mellyn i Mount Widden. Pokażę ci je przy okazji.

- Musisz mi pomóc - poprosiłam ją. - Przyjemnie będzie móc razem podyskutować o tych sprawach.

- Masz zamiar wprowadzić tutaj jakieś zmiany? - spytała.

- Jeśli się na nie zdecyduję - odparłam - wprawdzie zasięgnę twojej rady.

Wyjechała przed lunchem. Po południu poszliśmy z Alvean po konie do stajni.

Staaliśmy, czekając, aż Billy Trehay założy im siodła.

- Jacinth jest dzisiaj bardzo rozbrykana - ostrzegł mnie.

- To dlatego, że wczoraj nie miała ruchu. - Pogłaskałam ją po pysku, a ona otarła głowę o moją rękę, jakby dawała do zrozumienia, że odwzajemnia moje uczucie.

Jak zwykle zjechałyśmy w dół pagórka, mijając zatokę i Mount Widden. Następnie zaczęłyśmy się wspinać pod górę skalną ścieżką. Widok z tego miejsca był szczególnie piękny. Miałyśmy przed oczami poszarpany morski brzeg oraz wystającą z wody Rame Head, zasłaniającą perspektywę na Plymouth wraz z cieśniną.

Niektóre ścieżki były bardzo wąskie, zwłaszcza tam, gdzie zostały wyrąbane w skale. Wdrapywałyśmy się na górę, po czym zjeżdżałyśmy w dół. Docierałyśmy aż nad brzeg morza, by potem znowu pięć się mozolnie na szczyt.

Nie była to łatwa jazda, ponieważ na skutek opadów ścieżki rozmiękły i stały się błotniste i śliskie. Zaczęłam się niepokoić o Alvean. Siedziała mocno w siodle - nie była już nowicjuską - ale wiedziałam, w jakim nastroju jest Jacinth. Przypuszczałam, że Black Prince zachowywał się podobnie, mimo że nie miał ognistego temperamentu mojej klaczy. Chwilami musiałam mocno ściągać

cugle. Galop bardziej by jej odpowiadał od tego z konieczności powolnego kroku wzdłuż skalnych drózek, które dzisiaj były znacznie niebezpieczniejsze niż podczas naszej ostatniej przejażdżki.

Pewien odcinek kamienistej dróżki był szczególnie wąski. Wisiało nad nią groźnie skalne urwisko upstrzone krzakami janowca i jeżyn. Poniżej skała niemal prostopadle wpadała do morza.

Ścieżka zazwyczaj była zupełnie bezpieczna, ale jej dzisiejszy stan budził mą obawę. Tym bardziej niepokoiłam się o Alvean.

Zauważyłam, że miejscami urwisko osunęło się w dół. To zdarzało się często i Tapperty stale powtarzał, że morze coraz bardziej wdziera się w głąb lądu. W czasach, kiedy żył jego dziadek, mówił, była nawet droga, po której obecnie nie zostało już śladu.

Pomyślałam, że dobrze byłoby zawrócić, ale wówczas zdradziłabym się ze swymi obawami przed Alvean. A wolałam nie robić tego w chwili, kiedy siedziałam na koniu.

Nie - postanowiłam - pojedziemy tą ścieżką do szlaku na szczycie. Do domu wrócimy natomiast inną drogą, okreśną, ale dobrze utwardzoną.

Zbliżyłyśmy się do niebezpiecznego punktu. Grunt na tym odcinku był jeszcze bardziej śliski i więcej na nim widniało zwalonych skał niż w innych miejscach.

Powściągnęłam Jacinth i wolno wysunęłam się przed Alvean i Black Prince'a, ponieważ tutaj mogłyśmy się posuwać jedynie gęsiego.

Zatrzymałam się, obejrzałam przez ramię do tyłu i powiedziałam do Alvean:

- W tym miejscu musimy jechać bardzo wolno. Jedź za mną!

I wtedy usłyszałam huk. Obróciłam się szybko i ujrzałam głąz, który spadał z łoskotem w dół, wlokąc za sobą ilasty łupek, torf i zieleń. Tylko kilka centymetrów dzieliło kamień od Jacinth. Ogarnięta grozą, patrzyłam zafascynowana, jak stacza się dalej, po zboczu, by na koniec runąć całym ciężarem do morza.

Jacinth stanęła dęba. Przerazona, gotowa była puścić się galopem przed siebie... po skałach, do morza... dokądkolwiek, byle uciec od tego, co ją przestraszyło.

Miałam szczęście, że byłam doświadczonym jeźdźcem i że ja i Jacinth zdążyłyśmy się już zaprzyjaźnić! W ciągu kilku sekund opanowałam sytuację i odzyskałam kontrolę nad koniem. Klacz się

uspokoila, kiedy zaczęłam do niej przemawiać czułym i łagodnym głosem, chociaż lekko drżącym.

- Co się stało, panno Leigh? - zapytała Alvean.

- Już po wszystkim - odparłam, starając się mówić możliwie swobodnym tonem. - Doskonale sobie poradziłaś.

- Myślałam, że Black Prince mnie poniesie.

Poniósłby z pewnością - pomyślałam - gdyby Jacinth to zrobiła.

Byłam ogromnie wstrząśnięta, ale nie chciałam się z tym zdradzić przed Alvean i przed Jacinth.

Ogarnęła mnie chęć natychmiastowego opuszczenia tego niebezpiecznego miejsca. Spojrzałam nerwowo w górę i powiedziałam:

- Ścieżki są dziś niebezpieczne... po ostatnich deszczach. Nie zastanawiałam się, co chcę zobaczyć tam, w górze,

ale uporczywie wpatrywałam się w zbitą gęstwinę krzewów. Czy tylko tak mi się wydawało, czy rzeczywiście coś się w nich poruszyło? Gdyby ktoś chciał się w nich ukryć, mógłby to zrobić z łatwością. Stanowiły doskonałą kryjówkę. A jeśli na przykład głaz został podmyty przez ostatnie deszcze? Wspaniała okazja dla kogoś, kto chciałby się mnie pozbyć. Wystarczyło go tylko zepchnąć w dół w momencie, kiedy znajdowałam się na ścieżce - stanowiłam doskonały cel. Od pewnego czasu upodobałyśmy sobie z Alvean tę dróżkę: przejeżdżałyśmy nią codziennie o określonej porze.

Wstrząsnął mną dreszcz.

- Jedźmy dalej - poleciłam. - Wjedziemy na szczyt i stamtąd wrócimy już inną drogą.

Alvean milczała, a kiedy po kilku minutach dotarłyśmy do szosy na górze, spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem. Domyśliłam się, że zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie nam groziło.

Dopiero kiedy wróciłyśmy do domu, stwierdziłam, jak bardzo jestem zdenerwowana. Powstał oto - powtarzałam sobie - straszliwy schemat; Alice zginęła, sir Thomas zmarł, a teraz ja, przyszła żona Connana, znalazłam się dziś na tej skalnej ścieżce o krok od śmierci.

Marzyłam o tym, by podzielić się z Connanem swymi obawami.

Byłam jednak kobietą dociekliwą i rzeczową. Czy dlatego mam nie spojrzeć w twarz faktom, ponieważ boję się tego, co w konsekwencji odkryję?

Przypuśćmy, że Connan nie odjechał naprawdę, tak jak zapowiedział. Przypuśćmy, że chciał, by spotkał mnie wypadek podczas jego rzekomej nieobecności w domu. Przyszła mi na myśl lady Treslyn na balu w Boże Narodzenie. Przypomniałam sobie jej piękność, jej zmysłową, porywającą urodę. Connan przyznał, że była jego kochanką. Była? Czy to możliwe, że ktoś, znając ją, wolał mnie?

Oświadczył mi się tak niespodziewanie. Zrobił mi tę propozycję w momencie, kiedy postanowiono ekshumować ciało męża jego kochanki.

Nic dziwnego, że rzeczowa guwernantka zamieniła się w przerażoną kobietę.

* * *

Do kogo by się udać po pomoc?

Peter i Celestine... jedynie tych dwoje - pomyślałam. Nie, nie mogę zdradzić im straszliwych podejrzeń, jakie żywię do Connana. Sam fakt, że takie myśli chodzą mi po głowie, jest już dostatecznie okropny.

- Przestań wpadać w popłoch - zganiałam siebie. - Zachowaj spokój. Pomyśl raczej, co należy zrobić.

Pomyślałam o domu, ogromnym, pełnym tajemnic, domu, w którym z pewnych pokoi można było zaglądać do innych. Mogły być w nim jeszcze jakieś inne nie odkryte wzierniki. Kto wie? Może właśnie w tej chwili ktoś mnie podgląda.

Pomyślałam o wzierniku w pokoju panny Jansen; to z kolei przywiodło mi na pamięć jej nagłe odprawienie z Mount Mellyn. Przypomniał mi się adres: Hoodfield Manor, w pobliżu miasteczka Tavistock.

Ciekawa byłam, czy panna Jansen jeszcze jest u Merrivalesów. Należało przypuszczać, że nadal pracuje, ponieważ objęła tam posadę mniej więcej wtedy, kiedy ja przybyłam do Mount Mellyn.

A może by spróbować spotkać się z nią? Być może rzuci pewne światło na tajemnice tego domu.

Bałam się rozpaczliwie, a w takich sytuacjach zawsze lepiej podjąć jakieś działanie.

Poczułam się raźniej, kiedy napisałam list.

„Droga panno Jansen.

Jestem guwernantką w Mount Mellyn i słyszałam o pani. Chciałabym się z panią zobaczyć. Czy jest taka możliwość? Jeżeli tak,

to pragnęłabym, by nasze spotkanie nastąpiło tak szybko, jak się tylko pani uda.

Z poważaniem Martha Leigh".

Zaraz poszłam wysłać list, póki jeszcze trwałam w tym zamiarze. Następnie starałam się o nim zapomnieć.

Wyczekiwałam wiadomości od Connana. Nie było żadnej. Codziennie wyglądałam jego powrotu. Postanowiłam, że kiedy wróci do domu, wyznam mu swe obawy. Muszę to zrobić. Powiem mu o tym, co zdarzyło się na skalnej ścieżce. Poproszę, by powiedział mi prawdę. Zapytam: „Connanie, dlaczego chcesz mnie poślubić? Czy dlatego, że mnie kochasz i chcesz, bym została twoją żoną, czy też dlatego, że pragniesz odwrócić podejrzenie od siebie i lady Treslyn?"

Zrodzone w mej wyobraźni podejrzenie o szatańskim spisku z każdą upływającą chwilą nabierało cech prawdopodobieństwa.

Powiedziałam sobie: Możliwe, że Alice zginęła w wypadku, i to podsunęło im pomysł, by sami pozbyli się sir Thomasa, który był jedyną przeszkodą na drodze do ich małżeństwa. Może mu coś wsypali do whisky? Dlaczegoż by nie? A tam na ścieżce, czy to był wyłącznie przypadek, że głąz zaczął staczać się w dół właśnie w określonym momencie? Teraz miano ekshumować sir Thomasa, a sąsiedzi wiedzieli przecież o związku, jaki łączył Connana z lady Treslyn. Należy zatem przypuszczać, że Connan zaręczył się z guwernantką w celu odwrócenia podejrzeń. Guwernantka zaś jest w tej chwili taką samą przeszkodą na drodze do ich szczęścia, jaką byli Alice i sir Thomas. Guwernantka może mieć wypadek w czasie jazdy na wierzchowcu, który dopiero co otrzymała w prezencie. Można będzie stwierdzić wtedy ze współczuciem, że nie zdążyła go jeszcze dobrze obłaskawić.

Droga do wolności stoi otworem dla pary zbrodniczych kochanków i na razie potrzebują tylko czasu, by skandal przycichł.

Jak mogłam pozwalać sobie na takie myśli o człowieku, którego kochałam! Czy można kochać mężczyznę i jednocześnie podejrzewać go o zbrodnię?

Kocham go - powiedziałam do siebie z uniesieniem. - Kocham go tak bardzo, że wolę raczej ponieść śmierć z jego ręki niż zostawić go i wieść samotne, pozbawione sensu życie.

* * *

W trzy dni później otrzymałam list od panny Jansen. Pisała w nim, że chętnie się ze mną zobaczy. Nazajutrz będzie w Plymouth i proponuje, byśmy się spotkały na lunchu w gospodzie pod „Białym Jeleniem”, położonej dość blisko Cypla.

Powiedziałam pani Polgrey, że jadę do Plymouth po zakupy. Brzmiało to dość wiarygodnie, ponieważ do ślubu zostało trzy tygodnie.

Udałam się prosto do „Białego Jelenia”.

Panna Jansen - bardzo ładna blondynka - już na mnie czekała. Przywitała mnie wylewnie, oznajmiając, że pani Plint, żona właściciela gospody, oddaje nam swój prywatny pokój do dyspozycji. Tam, w niekrępującej atmosferze, zjemy lunch i spokojnie pogawędzimy.

Zaprowadzono nas do izby, gdzie wreszcie miałyśmy możliwość przyjrzeć się sobie dokładnie.

Karczmarka gorliwie zachwalała kaczkę z zielonym groszkiem oraz rostbef, ale żadna z nas w ogóle nie myślała o jedzeniu.

Zamówiliśmy rostbef, jeśli mnie pamięć nie myli. Gdy tylko zostałyśmy same, panna Jansen zapytała, jak mi się podoba Mount Mellyn.

- To piękna stara siedziba - powiedziałam.

- Jedna z najbardziej interesujących historycznych rezydencji, jaką w życiu widziałam - odparła.

- Słyszałam, zdaje się od pani Polgrey, iż pani bardzo się interesuje zabytkowymi siedzibami.

- To prawda. Urodziłam się w jednym z takich starych domów. Jednakże później, jak to się często zdarza, moja rodzina zbiedniała. Dlatego musiałam zostać guwernantką. Z żalem opuszczałam Mount Mellyn. Słyszała pani, dlaczego odeszłam?

- T... tak - odparłam z wahaniem.

- Bardzo przykra sprawa. Wprost wrzałam z gniewu na podłe i niesprawiedliwe posądzenie.

Mówiła tak szczerze i z takim przekonaniem, że natychmiast jej uwierzyłam i postarałam się dać to jasno do zrozumienia.

Ucieszyła się. W tym momencie wniesiono jedzenie.

Zasiadłyśmy do posiłku. W nieco chaotyczny sposób zaczęła mi opowiadać o tym wydarzeniu.

- Treslynowie i Nansellockowie przyjechali do Mount Mellyn na herbatę. Oczywiście zna pani Treslynów i Nansellocków?

- Tak jest.

- A więc musi pani wiedzieć o nich coś niecoś. Są bardzo zaprzyjaźnieni z rodziną TreMellynów.

- To prawda.

- Ja byłam traktowana szczególnie... - Lekko się zaczerwieniła przy tych słowach.

Pomyślałam: To zrozumiałe, jesteś przecież taka ładna. Connan też z pewnością był tego zdania. Poczułam w sercu nie tyle zazdrość, ile niepokój. Zastanawiałam się, czy w przyszłości również będę w podobny sposób reagować, ilekroć Connan okaże zbyt żywe zainteresowanie jakąś atrakcyjną przedstawicielką mojej płci.

Panna Jansen mówiła dalej:

- Zaprosili mnie na herbatę, ponieważ panna Nansellock chciała ze mną porozmawiać o Alvean. Ona świata nie widzi poza tym dzieckiem. Czy nadal tak za nią przepada?

- Tak jest w istocie.

- To taka miła osoba. Nie wiem, co bym poczęła bez jej pomocy.

- Cieszę się, że ktoś pani pomógł.

- Wydaje mi się, że ona traktuje Alvean jak swoje dziecko. Doszły mnie słuchy, że ojcem Alvean był brat panny Nansellock. Jeżeli tak było, dziewczynka jest siostrzenicą panny Nansellock. Może dlatego...

- Panna Celestine jest rzeczywiście bardzo przywiązana do Alvean.

- Zostałam więc wezwana do salonu na rozmowę. Poczęstowano mnie herbatą i rozmawiano bardzo miło. Byłam traktowana nie jak guwernantka, ale jak gość, taki sam jak każdy z nich. Wydaje mi się, że to babsko Treslyn było bardzo niezadowolone z tego powodu... Moja obecność wyraźnie ją denerwowała. Być może dlatego, że panowie trochę mi nadskakowali - mam na myśli pana Petera i pana TreMellyna. Wydaje mi się, że lady Treslyn odznacza się gwałtownym usposobieniem. Moim zdaniem to ona uknuła całą intrygę.

- Niemożliwe, by dopuściła się podobnej podłości!

- Niemniej to zrobiła i taka jest prawda. Nie da się ukryć. Widzi pani, miała na sobie brylantową bransoletkę, w której zepsuł się

łańcuszek od zameczka. Zaczepił się o obicie krzesła. Lady Treslyn powiedziała: „Zdejmę ją. Prosto stąd pojedę do starego Pasterna, by mi ją naprawił”. Zdjęła bransoletkę i położyła na stole. Zostawiłam ich tak nad tą herbata, a sama poszłam do szkolnej sali, ponieważ była to pora lekcji z Alvean. Byłyśmy jeszcze na górze, gdy całe towarzystwo stanęło w drzwiach, spoglądając na mnie oskarżycielskim wzrokiem.

Lady Treslyn mówiła coś o tym, że trzeba przeprowadzić rewizję, ponieważ zginęła jej bransoletka. Była napastliwa. Zachowywała się tak, jakby już się czuła panią tego domu. Pan TreMellyn oświadczył mi bardzo uprzejmie, że lady Treslyn prosi, by przeszukać mój pokój, i że on ma nadzieję, iż nie będę się sprzeciwiać. Odparłam z gniewem: „Proszę bardzo, przeszukajcie go. Nic nie sprawi mi większej satysfakcji”.

Poszli wszyscy do mego pokoju i tam w szufladzie, na dole, pod moimi rzeczami, znaleziono tę nieszczęsną brylantową bransoletkę.

Lady Treslyn oświadczyła, że zostałam schwyтана na gorącym uczynku i że ona już się postara, bym się znalazła w więzieniu. Wszyscy pozostali prosili, by nie robiła skandalu. Ostatecznie uzgodnili, że jeśli natychmiast opuszczę dom, zapomną o całym wydarzeniu. Byłam wściekła.

Domagałam się przeprowadzenia dochodzenia. Ale co mogłam na to poradzić? Znaleźli u mnie bransoletkę i cokolwiek bym powiedziała po tym fakcie, i tak by mi nie uwierzono.

- Musiało to być dla pani straszne przeżycie. - Przebiegł mnie dreszcz. Zaczęłam dygotać z przejęcia.

Nachyliła się do mnie przez stół i uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Obawia się pani, że mogą z panią postąpić podobnie. Lady Treslyn jest zdecydowana za wszelką cenę poślubić Connana TreMellyna.

- Tak pani sądzi?

- Tak sędzę. Jestem pewna, że coś między nimi było. Bądź co bądź jest wdowcem, a poza tym, moim zdaniem, on nie należy do mężczyzn, którzy mogą obyć się bez kobiety. Zna się taki typ.

- Prawdopodobnie zalecał się do pani? Wzruszyła ramionami.

- W każdym razie lady Treslyn uważała, że stanowią dla niej zagrożenie, i jestem głęboko przekonana, że wybrała ten właśnie sposób, by się mnie pozbyć.

- Jakaż podła kobieta! Ale panna Nansellock była dla pani miła.

- Bardzo miła. Była oczywiście obecna przy tym, jak znaleziono u mnie bransoletkę, ale kiedy się pakowałam, przyszła do mego pokoju i oświadczyła: „Jestem bardzo strapiona tym wydarzeniem, panno Jansen. Wiem, że znaleziono bransoletkę w pani szufladzie, ale pani jej tam nie włożyła, prawda?” Odparłam jej: „Panno Nansellock, przysięgam, że jej nie ukradłam”. Powiadam pani, dostałam ataku hysterii. To wszystko stało się tak nagle. Nie miałam pojęcia, co się dalej ze mną stanie. Miałam bardzo mało pieniędzy, a przecież musiałam się gdzieś zatrzymać, w jakimś hoteliku, i w tym czasie szukać pracy. Wiedziałam też, że nie mogę się spodziewać dobrej rekomendacji z Mount Mellyn. Nigdy nie zapomnę uprzejmości i dobroci, jaką mi wtedy okazała. Spytała, dokąd mam zamiar się udać, a ja podałam jej adres tej gospody w Plymouth. Powiedziała: „Wiem, że Merrivalesowie będą za miesiąc potrzebowali guwernantki. Postaram się, by pani otrzymała tę posadę”. Pożyczyła mi trochę pieniędzy, które już jej oddałam, chociaż wcale od mnie tego nie żądała. I tak żyłam, dopóki nie pojechałam do Merrivalesów. Napisałam do panny Nansellock list z podziękowaniem. Ale czy znajdują się słowa, które potrafią wyrazić w sposób dostateczny uczucie wdzięczności dla kogoś, kto wyciągnął do człowieka pomocną dłoń w takiej rozpaczliwej sytuacji?

- Dzięki Bogu, że znalazł się ktoś, kto pani pomógł.

- Bóg raczy wiedzieć, co by się ze mną stało, gdyby nie ona. Nasz zawód jest bardzo niestały, panno Leigh. Jesteśmy zdane na łaskę naszych chlebobawców. Nic dziwnego, że wiele z nas zachowuje się jak potulne baranki i pozwala sobą poniewierać. - Twarz jej się nagle rozjaśniła. - Staram się o tym wszystkim zapomnieć. Wychodzę za mąż. Mój narzeczony jest lekarzem, który leczy rodzinę moich państwa. Za sześć miesięcy przestanę być guwernantką.

- Moje gratulacje. Pragnę odwzajemnić się równą szczerością i chcę panią poinformować, że ja również jestem zaręczona i wychodzę za mąż.

- To wspaniale!

- Za Connana TreMellyna - dodałam. Spojrzała na mnie osłupiałym wzrokiem.

- Cóż... - wyjąkała - życzę pani wszystkiego najlepszego. Widziałam, że jest trochę zakłopotana. Przypuszczalnie przypomniła sobie swoje poprzednie uwagi o Connanie. Niewykluczone też, że myślała, iż takie życzenie bardzo mi się przyda.

Nie mogłam jej powiedzieć, że jeden burzliwy rok z Connanem znaczy dla mnie więcej niż życie spędzone w sielskim spokoju z kimś innym.

- Zastanawia mnie - odezwała się po chwili milczenia - dlaczego pani chciała się ze mną widzieć.

- Dlatego, że dużo o pani słyszałam. W Mount Mellyn często panią wspominają. Alvean panią lubiła, a poza tym chciałam się dowiedzieć o pewnych sprawach.

- Przecież pani, która wkrótce wejdzie do tej rodziny, będzie wiedziała znacznie więcej niż ja w tej chwili.

- Co pani myśli o Gillyflower?

- Och, biedna mała Gilly! Dziwna istota przypominająca Ofelię. Zawsze miałam wrażenie, że któregoś dnia znajdziemy ją unoszącą się na powierzchni strumienia z różańcem w ręku.

- To dziecko przeżyło wielki szok.

- Tak, wiem, koń pierwszej pani TreMellyn omal nie zatratował jej na śmierć.

- Pani musiała tam przybyć wkrótce po śmierci pani TreMellyn.

- Przedemną były jeszcze dwie guwernantki. Słyszałam, że odeszły, ponieważ uważały, iż w tym domu straszło. Dla mnie nie ma domu, który byłby dostatecznie straszny.

- Prawda, pani jest specjalistką od zabytkowych siedzib.

- Specjalistką? Ależ skąd! Po prostu kocham historyczne domostwa. Widziałam wiele takich siedzib i dużo na ich temat czytałam.

- W pani pokoju w Mount Mellyn jest wziernik. Gilly mi go kiedyś pokazała.

- Czy pani wie, że mieszkałam w tym pokoju przez trzy tygodnie, nie mając pojęcia, że on się tam znajduje?

- Nie jestem tym zdziwiona. Otwory są bardzo dobrze zamaskowane.

- Są zrobione fachowo. Czy pani widziała wzierniki w solarium?

- O tak!

- Przez jeden widać westybul, a przez drugi kaplicę. Myślę, że nie instalowano ich bez powodu. Rozumie pani, kiedy dawniej budowano dom, najważniejszymi w nim miejscami były kaplica i westybul.

- Pani się doskonale orientuje w historii architektury. Z jakiego okresu pochodzi Mount Mellyn?

- Z końca epoki elżbietańskiej. W tamtym czasie obecność kapłanów w domach musiała być utrzymywana w głębokiej tajemnicy. Myślę, że dlatego właśnie budowano te wszystkie wzierniki i inne urządzenia.

- To bardzo ciekawe.

- Panna Nansellock też się bardzo dobrze zna na starym budownictwie. Było to nasze wspólne hobby. Czy ona wie o naszym spotkaniu?

- Nie, nikt o nim nie wie.

- Chce pani powiedzieć, że nie poinformowała pani o tym nawet swego przyszłego męża?

Korciło mnie, by wyznać prawdę. Zastanawiałam się, czy zdobyć się na odwagę i zdradzić przed obcą osobą swoje myśli. Dużo bym dała, by to Phillida siedziała teraz naprzeciwko mnie. Bez obawy mogłabym wówczas otworzyć swoje serce. Zasięgałabym jej rad, które, wiedziałam dobrze, byłyby na pewno rozsądne.

Panna Jansen, mimo że, odkąd przybyłam do Mount Mellyn, tylokrotnie słyszałam jej imię, była dla mnie kimś zupełnie obcym. Jak mogłam nieznannej kobiecie powiedzieć: „Podejrzewam, że mężczyzna, za którego zamierzam wyjść za mąż, wdał się w spisek, mający na celu unicestwić mnie fizycznie”.

Nie, to niemożliwe.

Jednakże - zastanawiałam się - tym niesłusznym posądzeniem o kradzież zrobiono jej wielką krzywdę. Istniała między nami pewna więź.

Gdzież są granice - zadawałam sobie pytanie - dla zapalczywych ludzi, którzy pragną zaspokoić targające nimi żądze i namiętności?

Nie mogłam jej się zwierzyć.

- Wyjechał w swoich interesach - wyjaśniłam. - Nasz ślub ma się odbyć za trzy tygodnie.

- Życzę pani dużo szczęścia. To musiało stać się chyba bardzo nagle.

- Przyjechałam do Mount Mellyn w sierpniu.
- I nigdy się przedtem nie spotkaliście?
- Mieszkanie pod tym samym dachem bardzo ludzi zbliża.
- To prawda.
- Pani chyba również musiała się szybko zaręczyć.
- Tak, ale...

Wiedziałam, co ma na myśli. Jej narzeczony, wiejski lekarz, choć na pewno sympatyczny, nie był to jednak dziedzic Mount Mellyn.

Szybko weszłam jej w słowa:

- Chciałam się z panią spotkać, ponieważ byłam pewna, że niesłusznie panią oskarżono. Jestem przekonana, że wiele osób jest podobnego zdania.

- Bardzo się cieszę.

- Kiedy pan TreMellyn wróci, powiem mu o naszym spotkaniu i zapytam, czy da się coś zrobić, by naprawić wyrządzoną pani krzywdę.

- Nie ma to już żadnego znaczenia. Doktor Luscombe wie o tym wydarzeniu. Jest bardzo oburzony. Wytłumaczyłam mu jednak, że teraz nie ma sensu wyciągać na wierzch całej sprawy. Co innego, gdyby lady Treslyn znowu próbowała robić jakieś kawały, wtedy zdecydowanie należałoby zareagować. Ale nie będzie; jej jedynym pragnieniem było się mnie pozbyć z Mount Mellyn i to jej się udało - w sposób bardzo widowiskowy.

- Cóż za podła kobieta! Nic ją nie obchodziło, co się z panią stanie. Na szczęście dobre serce panny Nansellock...

- Wiem. Ale nie mówmy już o tym. Opowie pani pannie Nansellock o naszym spotkaniu?

- Naturalnie.

- Wobec tego proszę jej powiedzieć, że jestem zaręczona z doktorem Luscombe'em. Będzie zadowolona. Mam dla niej także jeszcze inną informację. Może to panią również zainteresuje. Chodzi o dom. Wszak będzie pani wkrótce jego właścicielką. Zazdroszczę pani tej siedziby. Jest to jedna z najbardziej ciekawych rezydencji, jakie widziałam w życiu.

- Jakąż wiadomość pragnie pani przekazać przeze mnie pannie Nansellock?

- Zajmowałam się trochę architekturą i podobnymi zagadnieniami związanymi z epoką elżbietańską. Mój narzeczony się

postarał, bym mogła zwiedzić Cotehele, siedzibę Mount Edgcumbe'ów. Bardzo im to moje zainteresowanie pochlebiało, ponieważ, rzecz zrozumiała, ogromnie są dumni ze swego domu. Ze wszystkich rezydencji, jakie widziałam, ta przypomina najbardziej Mount Mellyn. Kaplica jest identyczna: odnosi się to również do pomieszczenia dla trędowatych, tylko w Mount Mellyn jest ono znacznie większe, a jego ściany różnią się trochę konstrukcją. W gruncie rzeczy nigdzie nie widziałam izby dla trędowatych podobnej do tej, jaka znajduje się w waszym domu. Proszę o tym powiedzieć panie Nansellock. Jestem pewna, że ją to zaciekawi.

- Powiem jej o tym. Przypuszczam, iż bardziej ucieszy ją wiadomość, że jest pani szczęśliwa i że wychodzi za mąż.

- Niech pani nie zapomni jej także powiedzieć, że doskonale sobie zdaję sprawę z tego, ile jej zawdzięczam. Proszę przekazać jej moje najserdeczniejsze pozdrowienia i podziękowania.

- Na pewno nie omieszkam tego zrobić - przyrzekłam jej. Pożegnałyśmy się. W powrotnej drodze rozmyślałam o spotkaniu z panną Jansen i doszłam do wniosku, że przedstawiło mi ono w innym świetle dręczący mnie problem.

Nie było wątpliwości, że lady Treslyn przyczyniła się do zwolnienia panny Jansen, rzeczywiście bardzo ładnej, młodej osoby. Connan ją adorował, a Alvean lubiła. Connan myślał o ponownym małżeństwie, bo pragnął mieć synów. Ale lady Treslyn, zaborcza jak tygrysica, za wszelką cenę starała się nie dopuścić, by się ożenił z kimkolwiek innym oprócz niej.

Byłam teraz przekonana, że lady Treslyn planowała mnie usunąć, podobnie jak usunęła pannę Jansen. Ale ponieważ sytuacja w moim przypadku była inna - byłam zaręczona z Connanem - musiała uciec się do drastyczniej szych metod.

Connan nic nie wiedział o zamachu na moje życie.

Postanowiłam odrzucić od siebie podejrzenia, jakie miałam co do niego, i zrobiwszy to, poczułam się o całe niebo lepiej.

Co więcej, zdecydowałam się ostatecznie: Po powrocie Connana do domu powiem mu o wszystkim, o czym się dowiedziałam, i moich obawach.

To postanowienie przyniosło mi ogromną ulgę.

* * *

Minęły dwa dni, a Connan nie wracał.

Peter Nansellock przyszedł się z nami pożegnać. Tego dnia późnym wieczorem wyjeżdżał do Londynu, gdzie miał następnie wsiąść na statek i popłynąć do Australii.

Podczas tej wizyty towarzyszyła mu Celestine. Myśleli, że już zastaną Connana. Zamiast niego podczas ich bytności przyszedł list. Connan zapowiadał w nim, że jeśli mu się uda, wróci tego dnia wieczorem lub najpóźniej nazajutrz wczesnym rankiem.

Poczułam się ogromnie szczęśliwa.

Poczęstkowałam ich herbatą i w czasie rozmowy wspomniałam o panie Jansen.

Nie widziałam powodu, dlaczego mam się kryć z tą informacją przed Peterem. Wszak to on mi powiedział, że Celestine znalazła jej pracę u Merrivalesów.

- Widziałam się ostatnio z panną Jansen - zaczęłam. Obydwoje byli wyraźnie zaskoczeni.

- Ale jak do tego doszło? - zapytał Peter.

- Napisałam do niej i poprosiłam, by się ze mną spotkała.

- Co ciebie do tego skłoniło? - dopytywała się Celestine.

- Mieszkała tutaj pewien czas. A ponadto z jej osobą wiązała się jakaś tajemnica. Pomyślałam sobie, że warto by się dowiedzieć o niej czegoś bliższego, a ponieważ właśnie jechałam do Plymouth...

- Czarujące stworzenie - zadumał się Peter.

- Rzeczywiście. Ucieszycie się pewnie, gdy wam powiem, że jest zaręczona i wychodzi za mąż.

- To bardzo dobra wiadomość! - wykrzyknęła Celestine, okrywając się rumieńcem. - Ogromnie się cieszę.

- Za tamtejszego lekarza - dodałam.

- Będzie wspaniałą żoną dla człowieka tego zawodu - stwierdziła Celestine.

- Rozkocha w sobie wszystkich pacjentów płci męskiej - wtrącił Peter.

- To byłoby denerwujące - zauważyłam.

- Ale z korzyścią dla mężowskiej praktyki - powiedział półgłosem Peter. - Czy przesyła pozdrowienia?

- Zwłaszcza twojej siostrze. - Uśmiechnęłam się do Celestine. - Ona jest tobie bardzo wdzięczna. Okazałaś jej tyle serca. Twierdzi, że nigdy ci tego nie zapomni.

- To drobnostka. Nie mogłam przyglądać się beczynnie krzywdzie, jaką wyrządziła jej ta kobieta.

- Myślisz, że lady Treslyn celowo podłożyła jej swoją bransoletkę do szuflady i że to ona uknuła tę intrygę? Tak przynajmniej twierdzi panna Jansen.

- Nie mam co do tego żadnej wątpliwości - zdecydowanie odpowiedziała Celestine.

- To musi być bardzo bezwzględna kobieta.

- Mam o niej podobne zdanie.

- No cóż, los uśmiechnął się wreszcie do panny Jansen i wszystko obróciło się na dobre. A przy okazji prosiła mnie, by ci przekazać specjalną informację. Dotyczy ona domu.

- Jakiego domu? - zacięła się Celestine.

- Tego domu, Mount Mellyn. Panna Jansen odwiedziła Cotehele i porównała tamtejsze pomieszczenie dla trędowatych z naszym. Twierdzi, że nasze jest zupełnie unikatowe pod względem rozwiązania.

- Doprawdy? To bardzo interesujące!

- Jest większe, jak twierdzi - oczywiście chodzi o tę izbę, jaka znajduje się w naszym domu. Różni się także konstrukcją ścian.

- Celestine aż świerzbi, by pójść i zobaczyć, jak ona wygląda - zauważył Peter.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Obejrzymy ją razem w swoim czasie. Zostajesz panią tego domu, powinnaś więc poznać jego dzieje.

- Coraz bardziej zaczynam się nim interesować. Chcę cię prosić, byś mi opowiedziała wszystko, co o nim wiesz.

Posłała mi ciepły uśmiech.

- Będzie mi bardzo miło.

Zapytałam Petera, którym pociągiem wyjeżdża. Odparł, że o dziesiątej wieczorem, ze stacji St. Germans.

- Pojadę na stację konno - oświadczył - i tam zostawię konia. Bagaż wysłałem już wcześniej. Pojadę sam. Nie życzę sobie żadnych łzawych scen na stacji. Przecież wrócę za rok do domu o tej samej porze... z majątkiem. Au revoir, panno Leigh - dodał. - Wrócę któregoś dnia. I jeśli chcesz mi towarzyszyć... nie jest jeszcze za późno na decyzję, nawet teraz.

Mówił nonszalanckim tonem, a jego oczy błyszczały figlarnie. Zastanawiałam się, co by powiedział, gdybym mu się zwierzyła ze strasznych wątpliwości, jakie mam wobec człowieka, którego obiecałam poślubić.

Poszłam na ganek, by go stamtąd ostatecznie pożegnać. Służba już się tam zebrała; był jej ulubieńcem. Domyślałam się, że musiał cichaczem skraść niejednego całusa Daisy i Kitty. Żegnały go z wyraźnym żalem.

Prezentował się w siodle niezwykle wytwornie, w przeciwieństwie do Celestine, która przy nim wydawała się bardzo niepozorna.

Staliśmy na ganku i machaliśmy ręką.

Jego ostatnie słowa brzmiały:

- Proszę pamiętać, panno Leigh... gdybyś przypadkiem zmieniła zamiar.

Wszyscy się roześmiali, łącznie ze mną. Zrobiło się nam trochę smutno na duszy, że wyjeżdża.

* * *

Kiedy wchodziliśmy do domu, pani Polgrey zwróciła się do mnie:

- Panno Leigh, czy mogę zamienić z panią słówko?

- Oczywiście. Mam przyjść do pani pokoju? Poszła przodem, a ja za nią.

- Przed chwilą dostałam wiadomość - oświadczyła. - Wynik autopsji. Śmierć nastąpiła z naturalnej przyczyny.

Ogarnęło mnie uczucie ogromnego odprężenia. Ciężar spadł mi z serca.

- Ogromnie się cieszę z tej wiadomości.

- Wszyscy się cieszymy. Przyznam się pani, że nie podobało mi się, co mówiono na ten temat... i że umarł po przyjęciu u nas.

- Wydaje się, że to była burza w szklance wody - stwierdziłam.

- Coś w tym rodzaju, panno Leigh. Ale widzi pani - ludzie mówią i nie wolno tego lekceważyć.

- No cóż, lady Treslyn odczuje wielką ulgę. Sprawiała wrażenie nieco zafrasowanej. Domyśliłam się,

że zastanawia się nad tym, co mi kiedyś mówiła na temat Connana i lady Treslyn. Wieść, że mam zostać przyszłą panią TreMellyn musiała ją trochę zaniepokoić. Postanowiłam raz na zawsze rozproszyć jej obawy i zaproponowałam wesoło:

- Miałam nadzieję, że zaprosi mnie pani na filiżankę swej wyśmienitej herbaty.

Rozpromieniła się natychmiast i zadzwoniła na Kitty. Woda w czajniku się gotowała, a my rozmawiałyśmy o domowych sprawach. Kiedy herbata była gotowa, wyciągnęła butelkę whisky, a gdy przyzwalająco skinęłam głową, wlała do każdej filiżanki po pełnej łyżce trunku. Poczułam wówczas, że powróciły dawne przyjacielskie stosunki.

Cieszyło mnie to, ponieważ widziałam, jak bardzo jej na tym zależy, a ja pragnęłam, by wszyscy wokół byli równie szczęśliwi jak ja.

Powtarzałam sobie: Nawet jeśli lady Treslyn naprawdę zamierzała mnie zabić, spuszczać głaz, od którego miałam zginąć, kiedy jechałam na Jacinth, to pan TreMellyn nic o tym nie wiedział. Sir Thomas umarł naturalną śmiercią, więc nie było czego ukrywać; Connan nie miał żadnego innego powodu, gdy prosił, bym za niego wyszła, niż ten, który mi podał... że mnie kocha.

Była dziewiąta godzina i dzieci leżały już w swych łóżeczkach. Dzień był przyjemny i słoneczny, a w powietrzu czuło się zapowiedź nadchodzącej wiosny.

Connan miał wrócić do domu tego dnia wieczorem lub nazajutrz rano. Myśl o tym przejmowała mnie szczęściem.

Zastanawiałam się, o której godzinie może przyjechać. Może o północy? Wyszłam na ganek, by tam go wypatrywać. Wyobrażałam sobie, że już z daleka usłyszę tętent końskich kopyt.

Czekałam. Noc była ciepła. W domu zawsze o tej porze panowała cisza, ponieważ cała służba udała się już do swych pomieszczeń.

Pomyślałam, że Peter znajduje się w tej chwili w drodze do stacji. Dziwnie mi było, że mogę go nigdy więcej nie zobaczyć. Przypomniało mi się nasze pierwsze spotkanie w pociągu; już wtedy byłam obiektem jego swawolnych kawałów.

W tym momencie ujrzałam, że ktoś idzie w moją stronę. Poznałam Celestine. Przybyła od strony lasu, a nie jak zwykle normalną drogą.

Była lekko zdyszana.

- Dobry wieczór - rzekła. - Chciałam się z tobą zobaczyć. Poczułam się taka samotna. Peter już odjechał. Myśl, że go nie ujrę przez dłuższy czas, trochę mnie przygnębiła.

- Rozstanie zawsze napawa smutkiem.

- Prawda, że lubił się wygłupiać, ale bardzo go kocham. Teraz nie mam już ani jednego brata.

- Wejź - zachęciłam ją.

- Connan chyba jeszcze nie wrócił?

- Nie, nie sądzę, by zdołał dotrzeć do domu przed północą. Napisał, że jeszcze dziś musiał coś załatwiać. Przypuszczam, że zjawi się dopiero jutro rano. Nie wejdiesz do środka?

- Czy wiesz, że szłam tu z nadzieją, iż jeszcze nie wrócił?

- Czyżby?

- Chciałam zobaczyć kaplicę... to pomieszczenie dla trędowatych, rozumiesz. Od chwili kiedy przekazałaś mi wiadomość od panny Jansen, płonę ciekawością, by je zobaczyć. Nie wspominałam o tym przy Peterze. On zwykle wyśmiewał się z mego hobby.

- Chcesz obejrzeć go teraz?

- Z przyjemnością. Mam nawet swoją teorię na ten temat. W boazerii powinny być drzwi prowadzące do innej części domu. Czy to nie byłoby wspaniałe znaleźć je i powiadomić o odkryciu Connana, gdy wróci?

- Tak - przyznałam - rzeczywiście byłoby.

- A więc chodźmy!

Przeszłyśmy przez westybul. Mijając go, uniosłam wzrok w stronę wziernika; doznałam dziwnego uczucia, że ktoś nas obserwuje. Wydawało mi się, że coś się tam rusza, ale ponieważ nie miałam pewności, milczałam.

Na końcu sali były drzwi. Przeszłyśmy przez nie i po kamiennych schodach zstąpiłyśmy na dół, do kaplicy.

W powietrzu czuć było stęchliznę.

- W kaplicy tak cuchnie, jakby nikt nie zaglądał do niej od lat. - Głos mój złowieszczym echem rozszedł się po całym pomieszczeniu.

Celestine nie odpowiedziała. Zapaliła jedną ze świec stojących na ołtarzu. Obserwowałam długi cień, jaki na ścianę rzucał jej migotliwy płomień.

- Chodźmy teraz do komnaty dla trędowatych - zaproponowała. - Przez to wejście. Tam są jeszcze jedne drzwi. Prowadzą na ogród otoczony murem. Tędy właśnie przechodzili trędowaci.

Trzymając wysoko świecę, zaprowadziła mnie do małej izby.

- To jest właśnie miejsce - zauważyłam - które jakoby ma być przestronniejsze od większości tego typu pomieszczeń w innych rezydencjach.

Nie odpowiedziała. Naciskała różne fragmenty ściany. Patrzyłam na jej długie palce, błądzące po murze. Naraz odwróciła się do mnie, mówiąc z uśmiechem:

- Moim zdaniem gdzieś w tym domu powinien być schowek kapłana... Wiesz, taka kryjówka dla rezydującego księdza, do której się chronił przed ludźmi królowej. O ile mi wiadomo, jeden z TreMellynów nosił się nawet z zamiarem przejścia na katolicyzm. Przysięgnę, że ten schowek znajduje się gdzieś tutaj. Connan bardzo się ucieszy, gdy go odkryjemy. On kocha ten dom równie mocno jak ja... jak i ty go pokochasz. Jeśli go odkryję... będzie to najpiękniejszy ślubny prezent, jaki mogę mu dać, nie uważasz? Cóż można bowiem ofiarować ludziom, którzy mają już wszystko? - Zawahała się przez moment, a w jej głosie zabrzmiało niezwykle podniecenie. - Chwileczkę. O, tutaj coś znalazłam!

Podeszłam do niej i straciłam oddech z wrażenia; ściana drgnęła i przesunęła się do wewnątrz; okazała się długimi, wąskimi drzwiami.

Odwróciła się i spojrzała na mnie. Wydawała się zupełnie odmieniona. Oczy jej błyszczały nienaturalnie. Włożyła głowę w otwór i już miała postąpić naprzód, ale się powstrzymała.

- Nie, ty pójdz pierwsza - rzekła. - To będzie twój dom. Ty powinnaś wejść tam przede mną.

Jej podniecenie i mnie się udzieliło. Wiedziałam, że Connan bardzo się ucieszy z tego odkrycia.

Wysunęłam się przed nią. W nozdrza uderzył mnie trudny do zidentyfikowania, przenikliwy odór.

Celestine zaproponowała:

- Rozejrzyjmy się szybko. Okropnie tu czuć. Uważaj! Tu muszą być schody. - Uniosła wysoko świecę.

Zauważyłam dwa stopnie. Zeszłam po nich, a kiedy to zrobiłam, drzwi się za mną zatrzasnęły.

- Celestine! - wykrzyknęłam z przerażeniem. Nie usłyszałam odpowiedzi. - Otwórz te drzwi! - krzyczałam rozpaczliwie. Głos mój jednak zginął uwieczony w ciemnościach. Zrozumiałam, że i ja również jestem więźniem - więźniem Celestine.

Zewsząd otaczała mnie nieprzenikniona ciemność. Była zimna i przerażająca - obrzydliwa i diabelska. Wpadłam w panikę. Nie jestem w stanie wyrazić tej grozy. Nie ma słów, które by mogły ją opisać. Jedynie ci, którzy przeszli przez podobne piekło, potrafią mnie zrozumieć.

Myśli - straszliwe myśli - bombardowały mój mózg. Okazałam się głupia. Wpadłam w pułapkę. Wzięłam wszystko za dobrą monetę i poszłam drogą, którą ona, pragnąca mojej śmierci, mi wskazała. I jak idiotka nie zadałam nawet jednego pytania.

Strach paraliżował mój umysł, podobnie jak ciało. Byłam przerażona, przejęta grozą do szpiku kości.

Weszłam na górę po tych dwóch schodach. Walałam pięściami w drzwi, które teraz wydawały się już tylko zwykłą ścianą.

- Wypuść mnie, wypuść mnie!... - krzyczałam. Wiedziałam jednak, że mój głos nie wydostanie się poza pomieszczenie dla trędowatych. A jak często ludzie zaglądną do kaplicy?

Celestine na pewno wymknęła się cichaczem... nikt nawet się nie domyśli, że wieczorem była w tym domu.

Ogarnęła mnie taka trwoga, że nie wiedziałam, co czynić. Usłyszałam samą siebie, łkającą z przerażenia. Ze strachu początkowo nie mogłam rozpoznać własnego głosu.

Poczułam się słaba i wyczerpana. Wiedziałam, że nie można długo pozostać przy życiu w tym ciemnym, wilgotnym lochu. Usiłowałam pisać się na ścianę; uświadomiłam sobie, że mam na rękach krew lejącą spod zdartych paznokci.

Zaczęłam rozglądać się wokół, ponieważ wzrok mój stopniowo przywykał do ciemności. I wtedy spostrzegłam, że nie jestem sama.

Ktoś tu już był przede mną. Leżało tutaj to, co zostało z Alice. Na koniec ją odnalazłam.

* * *

- Alice! - wykrzyknęłam. - Alice! A więc to ty? A więc byłaś tu, w tym domu, przez cały czas?

Nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Usta Alice zamilkły ponad rok temu.

Ukryłam twarz w dłoniach. Nie miałam odwagi otworzyć oczu. Wszędzie unosił się zapach śmierci i trupiej zgnilizny.

Zaczęłam się zastanawiać: Jak długo żyła Alice od momentu, kiedy zatrzęsnięto za nią drzwi do lochu? Chciałam to wiedzieć,

ponieważ należy sądzić, że i ja również mam tyle samo czasu przed sobą.

Przypuszczam, że na dłuższy czas straciłam przytomność, a kiedy się ocknęłam, zaczęły się przywidzenia. Słyszałam szmer głosu; musiał to być mój własny głos, bo w żadnym razie nie mógł należeć do Alice.

Miłosierny los sprawił, że zachowałam tylko częściową świadomość. Ale z drugiej strony ta inna, przytomna część mego jestestwa zdawała się rozumieć tak wiele!

Podczas chwil spędzonych w tym ciemnym i straszliwym miejscu ztraciłam świadomość, kim jestem. Czy jestem Marthą? Czy może Alice?

Nasze historie były tak bardzo do siebie podobne. Rozgrywały się według takiego samego scenariusza. Mówiono, że Alice uciekła z Geoffrym. Teraz powiedzą, że ja uciekłam z Peterem. Nasze odejście zostało tak sprytnie zsynchronizowane. „Ale dlaczego... - pytałam siebie - dlaczego...”

Zrozumiałam, czyj cień zobaczyłam na rolecie. To był cień jej... tej diabelskiej kobiety. Wiedziała o istnieniu notesika, który znalazłam w kieszeni żakietu Alice, i koniecznie chciała go znaleźć, ponieważ sądziła, że stanowi jeden z tych drobnych dowodów, które mogą doprowadzić do odkrycia prawdy.

Doszłam do wniosku, że nie kochała Alvean, że swym łagodnym i uprzejmym sposobem bycia wywiodła w pole nas wszystkich. Pojęłam, że nie była zdolna kochać kogokolwiek. Posługiwała się Alvean, tak jak posługiwała się innymi, tak jak miała zamiar posłużyć się Connanem.

Jedyne, co naprawdę kochała, to był ten dom.

Moja rozgorączkowana wyobraźnia podsunęła mi jej obraz, gdy spogląda ze swego okna w Mount Widden przez zatokę, pożerana niepokohamowanym pragnieniem posiadania tego domu. Pożądała go z równą mocą, jak mężczyzna może pożądać kobiety, a kobieta mężczyzny.

- Alice - odezwałam się. - Alice, jesteśmy jej ofiarami, ty i ja.

Zdawało mi się, że Alice mi opowiada... opowiada mi o dniu, w którym Geoffry wszedł do pociągu jadącego do Londynu, i o tym, jak Celestine przyszła do niej i zwierzyła się z sensacyjnego odkrycia w kaplicy.

Zobaczyłam Alice... bladą, delikatną, ładniutką Alice wydającą okrzyk radości na wieść o tym, schodzącą w dół po tych nieszczęsnych schodach na spotkanie śmierci.

Ale to nie głos Alice dochodził do mych uszu. To był mój własny głos.

Mimo to wydawało mi się, że ona jest przy mnie. Pomyślałam, że wreszcie ją odnalazłam i że teraz musimy być dla siebie nawzajem podporą. Wszak wkrótce odejdę wraz z nią do tej krainy duchów, do której należała od chwili, kiedy Celestine Nansellock podstępnie powiodła ją do komnaty dla trędowatych.

* * *

Oślepiające światło poraziło mnie w oczy. Czułam, że jestem niesiona.

Zapytałam:

- Czy już nie żyję, Alice? Jakiś głos odpowiedział:

- Moje kochanie... moje kochanie, jesteś bezpieczna!

To przemawiał Connan i to on trzymał mnie w swych ramionach.

- A więc sny są również po śmierci, Alice? - pytałam dalej.

Dochodził do mnie czyjś szept: „Moja najdroższa... och, moja najdroższa...” Leżałam na łóżku, wokół którego zebrało się wiele osób.

Wówczas zobaczyłam światło lśniące na włosach, które wydawały się prawie białe.

- Alice, tam jest anioł!

Wówczas anioł poruszył ustami i odpowiedział:

- To Gilly. Gilly zaprowadziła ich do ciebie. Gilly czuwała i Gilly widziała...

I rzecz zastanawiająca, nikt inny, tylko właśnie Gilly sprawiła, że powróciłam do rzeczywistego świata. Zrozumiałam, że nie umarłam, że stał się cud; że cudem były realne ramiona Connana, którymi mnie obejmował, i jego realny głos, który dochodził do mych uszu.

Znajdowałam się we własnej sypialni, z okna której widziałam trawniki i drzewa palmowe oraz pokój niegdyś należący do Alice. To w tym pokoju, na okiennej roletce, ujrzałam cień morderczyni Alice, tej samej, która próbowała zgładzić również mnie.

Wydałam okrzyk przerażenia. Ale Connan był przy mnie.

Usłyszałam jego kojący, przepelniony uczuciem szept: „Już dobrze, kochanie... moje jedyne kochanie. Jestem przy tobie... na zawsze zostanę przy tobie”.

Posłowie

Opowiadam tę historię swym prawnukom. Słyszały ją już wiele razy, ale zawsze dla któregoś z nich snuję ją po raz pierwszy.

Ciągle mnie proszą, by im ją opowiedzieć. Bawią się w ogrodzie, w parku, w lesie. Przynoszą mi kwiaty z ogrodów od południowej strony, jako wyraz czci dla starszej pani, która zawsze gotowa jest zabawić dzieci fascynującą historią o tym, jak poślubiła ich pradziadka.

Wszystkie te wydarzenia jawią mi się tak wyraźnie, jakby miały miejsce wczoraj. Żywo mam w pamięci dzień, w którym przyjechałam do Mount Mellyn, i to, co poprzedziło straszliwe chwile, jakie spędziłam w ciemności z martwą Alice.

Późniejsze lata z Connanem nie zawsze były spokojne. Wydaje mi się, że obydwójce, Connan i ja, odznaczamy się zbyt mocnym charakterem, by można było uniknąć konfliktów. Niemniej jednak były to lata, w których czułam, że żyję pełnią życia, a czegoż więcej można żądać od losu?

Teraz Connan jest już stary, podobnie jak ja. Od dnia naszego ślubu na świat przyszło trzech nowych Connanów: pierworodny syn, wnuk i prawnuk. Cieszę się, że mogłam dać Connanowi dzieci. Mielśmy pięciu synów i pięć córek i każde z nich dorobiło się również liczego potomstwa.

Kiedy opowiadam dzieciom moją historię, chcą poznać dokładnie każdy szczegół. Domagają się obszernych objaśnień. Dopytują się, na jakiej podstawie uznano, że kobietą, która zginęła w wypadku kolejowym, była Alice. Na podstawie medalionu, który miała na szyi. Ale to Celestine rozpoznała medalion jako ten, który - jak oświadczyła - został подарowany Alice, a którego ona oczywiście nigdy przedtem nie widziała.

Ona też nalegała, by Peter ofiarował mi Jacinth, kiedy uczynił to po raz pierwszy. Przypuszczalnie obawiała się, że Connan może się mną zainteresować, i dlatego gotowa była popierać zażyłość między mną a swoim bratem. A później, odkrywszy obluzowany gład na skale, to ona czyhała wśród krzaków na górze, by mnie zabić lub okaleczyć.

Celestine była również autorką wszystkich anonimowych listów do lady Treslyn i prokuratora; wskazywała w nich podejrzanę

okoliczności śmierci sir Thomasa. Uważała, że skandal, jaki z tego wyniknie, na długie lata przekreśli plany małżeńskie Connana i lady Treslyn.

Uczucie Connana do mnie było dla niej zaskoczeniem. Nigdy nie brała pod uwagę takiej ewentualności. Kiedy się dowiedziała, że mamy zamiar się pobrać, natychmiast postanowiła mnie usunąć. Nie udała się jej próba z głazem na skalnej ścieżce, wobec tego zdecydowała, że podzielę los Alice. Wyjazd Petera do Australii skłonił ją do wybrania tej drugiej metody. Cały dom wiedział, że Peter zalecał się do mnie; moje zniknięcie łatwo więc było upozorować jako ucieczkę.

I to Celestine była tą, która podrzuciła brylantową bransoletkę w pokoju panny Jansen. Guwernantka zaczynała okazywać nadmierne zainteresowanie historią domu. Celestine wiedziała, że prędzej czy później zawiedzie ją ono do pomieszczenia dla trędowatych i do Alice. Wykorzystała zazdrość lady Treslyn o ładną, młodą guwernantkę. Znała mściwość pięknej damy i wiedziała, że ta przy nadarzającej się sposobności postara się wziąć odwet na pannie Jansen.

Była zakochana - bez pamięci zakochana w Mount Mellyn. Pragnęła poślubić Connana po to jedynie, by zostać panią tego domu. Kiedy odkryła tajemnicę izby dla trędowatych, zachowała ją przede wszystkim dla siebie i wykorzystała do tego, by zamordować Alice. Wiedziała o uczuciu, jakie łączyło Alice i jej brata Geoffry'ego. Wiedziała, że Alvean jest jego córką. Wszystko ułożyło się tak, jak sobie zaplanowała, ponieważ długo i cierpliwie czekała na stosowną okazję. Gdyby nie było możliwości upozorowania śmierci Alice w wypadku kolejowym, znalazłaby jakiś inny sposób, by ją usunąć, tak jak zamierzała pozbyć się mnie, posługując się Jacinth.

Nie wzięła jednak pod uwagę Gilly. Kto by pomyślał, że biedne, upośledzone dziecko odegra tak wielką rolę w tym diabolicznym planie? Ale Gilly kochała Alice, tak jak później pokochała mnie. Gilly wiedziała, że Alice nie opuszczała domu owego pamiętnego dnia, gdyż miała zwyczaj wstępować do niej na dobranoc, kiedy przychodziła życzyć dobrej nocy swej córce, Alvean. Zawsze tak robiła, ilekroć wybierała się na przyjęcie. Ponieważ nigdy o tym nie zapominała, Gilly nie mogła uwierzyć, że tym razem ją pominęła. Gilly więc w dalszym ciągu sądziła, że Alice przebywa gdzieś w

domu, i stale jej poszukiwała. Twarz, którą widziałam we wzierniku u góry, była właśnie twarzą Gilly. Dziewczynka знаła wszystkie otwory w budynku i często przez nie spoglądała, bo bezustannie szukała Alice.

W ten sposób właśnie, z otworu w solarium, zobaczyła mnie i Celestine, gdy wchodziłyśmy do westybulu. Następnie wyobraziłam sobie, że musiała przejść przez pokój i spojrzeć przez wziernik znajdujący się po przeciwległej stronie; wtedy ujrzała nas, gdy wchodzimy do kaplicy. Skierowałyśmy się do pomieszczenia dla trędowatych, ale ta strona kaplicy nie była widoczna z solarium. Wobec tego Gilly szybko pobiegła do pokoju panny Jansen, skąd przez wziernik miała dobry widok na ten odcinek. Zdażyła na czas, by zobaczyć, jak znikamy w drzwiach, i czekała, aż stamtąd wyjdziemy. Czekala bezskutecznie, ponieważ Celestine oczywiście skorzystała z wyjścia prowadzącego na dziedziniec i po cichutku wymknęła się z Mount Mellyn. Była przekonana, że nikt nie widział, jak wchodziła wieczorem do domu, z wyjątkiem mnie. Mogła udawać, że w ogóle tu nie przychodziła.

Tak więc gdy ja przeżywałam straszliwe chwile w ciemnym i wilgotnym lochu, Gilly stała na stołku w pokoju panny Jansen, obserwując drzwi wiodące do komnaty dla trędowatych.

Connan powrócił o jedenastej, przekonany, że cały dom wyjdzie mu na powitanie.

Przyjęła go pani Polgrey.

- Proszę powiadomić pannę Leigh, że jestem z powrotem - polecił jej.

Musiał być trochę urażony, ponieważ był - i jest nadal - typem mężczyzny wymagającym szczególnych dowodów przywiązania i uwagi. Fakt, że udałam się na spoczynek, nie czekając na niego, był dlań nie do pojęcia.

Zobaczyłam w wyobraźni tę scenę: Pani Polgrey melduje, że nie ma mnie w pokoju; następują gorączkowe poszukiwania. Wreszcie nadchodzi straszliwy moment, kiedy Connan zaczyna wierzyć w to, co Celestine chciała mu podsunąć do uwierzenia...

- Pan Nansellock był dziś u nas po południu pożegnać się przed wyjazdem. Miał wyjechać pociągiem o dziesiątej z St. Germans...

Zastanawiałam się często, ile czasu upłynęłoby do chwili odkrycia, że nie uciekłam z Peterem. Wyobraziłam sobie, jak mógłby

wyglądać dalszy bieg wydarzeń. Connan, zgorzkniały, bez tej wiary w życie, którą - jak sądziłam - dzięki mnie zaczynał odzyskiwać, kontynuowałby być może swój związek z Lindą Treslyn. Ale nie zakończyłby się on małżeństwem. Celestine już by tego dopilnowała. A za jakiś czas znalazłaby sposób, by zostać panią na Mount Mellyn. Działając subtelnie i dyskretnie, stałaby się nieodzowna dla Alvean, a także dla samego Connana.

Jakie to dziwne - pomyślałam - że wszystko to rzeczywiście mogłoby się zdarzyć. Jedyne zaś dwie osoby, które mogłyby dać świadectwo prawdzie, leżały w charakterze szkieletów za ścianą komnaty dla trędowatych. Czy ktoś jest w stanie uwierzyć, że historia Alice i Marthy do dziś pozostałaby nie ujawniona, gdyby nie trochę upośledzone dziecko, zrodzone w smutku i żyjące w cieniu, dziecko, które wskazało drogę do prawdy?

Connan często wspominał, jaki rwetes zapanował w domu po moim zniknięciu. Opowiadał o Gilly, która podeszła do niego i cierpliwie stała obok, czekając, by ją wysłuchano. Ciągnęła go za surdut i szukała słów, by wyjaśnić, o co jej chodzi.

- Niech nam Bóg przebaczy - powtarza często - minęło sporo czasu, nim zwróciliśmy uwagę na to, co mówi, i przez to opóźniliśmy wydostanie ciebie z tego piekielnego miejsca.

Ale ona zaprowadziła ich tam... przez drzwi do izby dla trędowatych.

Ona powiedziała, że nas widziała.

Przez moment Connan uwierzył, że opuściłam dom z Peterem; wymknęłam się wraz z nim tą drogą, nie zauważona przez nikogo.

W komnacie leżała gruba warstwa kurzu; nikt do niej nie zaglądał od chwili, kiedy Alice weszła tam ze swoją zabójczynią. Na zakurzonej ścianie widniał jednak ślad ręki. Kiedy Connan to zobaczył, potraktował na serio słowa Gilly.

Nie było łatwo odnaleźć sprężynę do drzwi, chociaż wiadano, że taka sprężyna istnieje. Dziesięć minut trwały rozpaczliwe poszukiwania ukrytego mechanizmu, a zdesperowany Connan chciał już przystąpić do burzenia muru.

Ale w końcu znaleźli sprężynę i znaleźli mnie. Znaleźli także Alice.

Celestine została zabrana do Bodmin, gdzie ostatecznie miano ją sądzić za zamordowanie Alice. Nim doszło do procesu, Celestine

zwariowała. Początkowo myślałam, że jest to jeszcze jedna z jej chytrych sztuczek. Może na początku tak rzeczywiście było. Jednakże niezależnie od tego pozostałe dwadzieścia lat swego życia spędziła za drzwiami bez klamek.

Szczałki Alice pochowano w grobowcu obok zwłok owej nieznannej kobiety z pociągu. Connan i ja pobraliśmy się w trzy miesiące po wydobyciu mnie z ciemnego lochu. To przeżycie wpłynęło na mnie w większym stopniu, niż sobie z tego w owym czasie zdawałam sprawę. Przez ponad rok, a może i dłużej cierpiałam z powodu nocnych koszmarów. Zostać pogrzebaną za życia - to był potworny wstrząs, mimo iż grób otworzono na tyle szybko, że życie z ofiary nie zdążyło się jeszcze do końca ulotnić.

Phillida przybyła na mój ślub wraz z Williamem i dziećmi. Była bardzo uradowana. Podobnie cieszyła się ciotka Adelajda. Ciotka bardzo nalegała, by Connan wziął mnie za żonę z jej domu w Londynie. W rezultacie mieliśmy z Connanem elegancki, londyński ślub. My nie przywiązywaliśmy do tego zbyt wielkiego znaczenia, ale dla ciotki Adelajdy z jakichś powodów było to ważne. Nie wiedzieć dlaczego nabrała przekonania, że swoje szczęście jej zawdzięczam.

Miesiąc miodowy, jak pierwotnie planowaliśmy, spędziliśmy we Włoszech, a następnie powróciliśmy do Mount Mellyn.

Kiedy opowiadam dzieciom tę historię, na nowo wraca do mnie przeszłość. Myślę o Alvean, szczęśliwej żonie hrabiego Devonshire... Gilly nigdy mnie nie opuściła. Teraz jest ze mną. Lada chwila pojawi się na trawniku z przedpołudniową kawą; w pogodne dni pijemy ją w południowym krańcu ogrodów, w tej samej altance, w której po raz pierwszy ujrzałam lady Treslyn w towarzystwie Connana.

Muszę wyznać, że przez pierwsze lata małżeństwa miałam obsesję na punkcie lady Treslyn. Odkryłam, że potrafię być zazdrosna - i to bardzo. Czasami myślę, że Connan po prostu droczył się ze mną, by odpłacić mi się, jak mówił, za Petera Nansellocka.

Piękna lady Treslyn po kilku latach wyjechała do Londynu i, jak nas doszły słuchy, wyszła tam za mąż.

Peter powrócił po piętnastu latach. Dorobił się żony i dwojga dzieci, ale nie dorobił się majątku. Nie zmienił się jednak wcale przez ten okres i pozostał jak dawniej - wesół i pełen wigoru. W czasie jego nieobecności sprzedano Mount Widden. Później jedna z moich córek

wyszła za mąż za nowego właściciela tego majątku, tak że to miejsce stało się dla mnie drugim domem po Mount Mellyn.

Connan oświadczył, że ucieszył się, kiedy Peter odjechał, a ja śmiałam się na myśl, iż kiedykolwiek mógł czuć się o niego zazdrosny. Kiedy mu o tym powiedziałam, odparł: „Jesteś jeszcze bardziej niemądra, jeśli idzie o osobę Lindy Treslyn”.

Był to jeden z tych momentów, w których czuliśmy szczególnie mocno, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

I tak mijały lata. Kiedy teraz siedzę, myśląc o tym wszystkim, Connan zbliża się ogrodową ścieżką. Za chwilę usłyszę jego głos.

Ponieważ jesteśmy sami, powie: „Ach, moja droga panno Leigh”. Często tak mówi, zwłaszcza w czułych momentach. Ma mi to przypomnieć, że nie wymazał z pamięci tamtych pierwszych dni. Na jego wargach pojawi się uśmiech, mówiący, że widzi mnie nie taką, jaką jestem teraz, ale taką, jaką byłam dawniej: guwernantką cokolwiek obrażoną na los, desperacko starającą się zachować dumę i godność i wbrew rozsądkowi przyzwalającą na rodzące się w niej uczucie - jego drogą panną Leigh.

Następnie siądziemy, by grzać się w ciepłych promieniach słońca, pełni wdzięczności za całe dobro, jakie otrzymaliśmy od życia.

Oto właśnie nadchodzi, a za nim Gilly... nadal nieco różniąca się od innych ludzi, nadal rzadko się odzywająca. Kiedy śpiewa przy pracy swym dziwnym głosem, lekko fałszując, zawsze nam się wydaje, że jest istotą trochę nie z tego świata.

Gdy ją tak obserwuję, widzę znowu przed sobą dziecko, którym była kiedyś. I myślę o historii Jennifer, jej matki, która pewnego dnia weszła w morze i dała się zagarnąć falom, a także o tym, jak ta historia stała się częścią mojej własnej oraz w jak delikatny i zawiły sposób nasze losy splotły się ze sobą.

Wszystko się zmienia - myślałam - z wyjątkiem morza i ziemi, które są takie same jak w dniu, kiedy Gilly została poczęta, jak w dniu, kiedy Alice lekkomyślnie zstąpiła do swego grobu, jak w dniu, kiedy poczułam obejmujące mnie ramiona Connana i zrozumiałam, że dzięki niemu wracam do życia.

Rodzimy się, cierpimy, kochamy i umieramy, ale fale nadal biją o przybrzeżne skały; czas siewu przeplata się z czasem zbioru, ale ziemia zawsze pozostaje niezmienna